

Nowa powieść autora bestsellerowej
Bezsensowności w Tokio

M A R C I N

BRUCZKOWSKI



POWRÓT
NIEDOSKONAŁY

ヴ
イ
ス
ワ
川
の
外
人

Marcin Bruczkowski

POWRÓT NIEDOSKONAŁY

ヴ
イ
ス
ワ
川
の
外
人

Kraków 2013

znak *litera*
nova

Plik **NIE** jest zabezpieczony znakiem wodnym

***Książkę tę dedykuję Kit Fui Bruckowski
– gajdzince mądrej, dzielnej i wytrwałej.***

Dziura trwa, wy stoicie w pół drogi, porażeni odkryciem, a ci z was, którzy do desperacji żałują słodkiej bezwiedności kulturowego domu niewoli, wołają o powrót tam, do źródeł, lecz nie możecie się cofnąć, odwrót odcięty, mosty spalone, musicie tedy iść naprzód – o czym też będę wam mówił.

Stanisław Lem, *Doskonała próżnia*

*It's only water in a stranger's tear
Looks are deceptive, but distinctions are clear
A foreign body and a foreign mind
Never welcome in the land of the blind
You may look like we do, talk like we do
But you know how it is:
You're not one of us, not one of us
No, no, not one of us*

Peter Gabriel

*Ночь коротка, цель далека,
Ночью так часто хочется пить,
Ты выходишь на кухню, но вода здесь горька,
Ты не можешь здесь спать, ты не хочешь здесь жить.*

Виктор Цой

Rozdział 1

Japończyk pod mostem

Niedziela, 12 marca 2005

Stoję po kostki w błocie.

Ostrożnie próbuję wyciągnąć lewy but. Czarna breja puszcza ze złośliwym mlaskiem, ale prawy od razu zapada się głębiej, a do środka wlewa mi się strumyczek lodowatej wody.

Wzdrygam się, ale trudno – muszę zobaczyć to zjawisko nie z tej ziemi, a na pewno nie z tego Czerniakowa. Podczłapuję bliżej.

Namiot pod mostem Łazienkowskim jest nowy, radośnie pomarańczowy, jasno oświetlony od środka i zupełnie niepasujący do otoczenia. Czyli: potłuczonych butelek, szczątków rozprutych opon, sterty przemoczonych kartonów, i nieco dalej: buzującej beczki po oleju, nad którą grzeje ręce dwóch bezdomnych, oraz rozpadających się baraków, ledwie widocznych w mroku wczesnomarcowej nocy.

Jeszcze mniej do tej scenerii pasuje elegancki garnitur, w plastikowej torbie z pralni, wiszący na słupku otwartego przedsionka namiotu. I para błękitnych plastikowych kapci z białym napisem „WC”, równiutko ustawionych przy wejściu. Nienagannie czystych. Pewnie mytych po każdej wizycie w pobliskim toi toi.

To jest obraz z innej bajki.

Obraz tak dziwny, że aż znajomy. Właściwie znajomy do bólu – chociaż z innych czasów, innego miejsca i innego życia.

Ale tutaj, pod mostem?

Podchodzę o kolejny krok, starając się nie poślizgnąć.

W namiocie ktoś się porusza, rzucając dziwny, zgarbiony, przykulony cień na napięty tropik. Nadwiślański Quasimodo?

– Dobry wieczór – zagajam.

Cień nieruchomieje i zapada cisza.

– Zimna noc, prawda? – ryzykuję, nieco głośniej.

Cisza.

Stoję jeszcze chwilę. Nagle wydaje mi się, że to nie jest moje miejsce i nie mój świat i nie powinienem być tu przychodzić, a tym bardziej wygłaszać przemów do pomarańczowych namiotów. Postanawiam wycofać się dyskretnie. Stawiam pierwszy

krok wstecz. Błoto chrupie powierzchnią warstewką szronu, po czym mlaszcze, zjadając już tylko mój but, ale też skarpetkę.

Wzdrygam się, robię kolejny krok i na pożegnanie próbuję jeszcze:

— こんにちは！寒いですね

Rozlega się chropawe „bzzzzz” rozpinanego zamka.

Męska głowa w czapce narciarskiej z dwoma żółtymi pomponami mówi:

– Baruzo dobrze pan zuna japoński.

– Ależ skąd – mamrocze grzecznie. – Przepraszam, że pana niepokoję o tej późnej porze. I dziękuję bardzo. Pana polski jest dużo lepszy od mojego japońskiego. Coś tam umiałem, ale zapomniałem.

– Aaa... tak. Tak. Dziękuję. Przepraszam. Prosię zaciekać.

Głowa znika.

Jest mi zimno, ale teraz nie mogę już wrócić do samochodu. Nie co dzień spotyka się Japończyków mieszkających pod mostem. Odruchowo macam jedną i drugą kieszeń, znajduję portfel i wyciągam wizytówkę.

Mieszkaniec namiotu właśnie się z niego wygramolił i stoi na wyłożonej wokół przedsionka tekturze, lekko dygocząc z zimna – jest ubrany w czarne lakierki na bosych stopach, spodnie od piżamy i idealnie wyprasowaną, więc pewnie naprędce włożoną, białą koszulę z krzywo pozapinanymi guzikami. Podchodzi o krok i klania się nisko, prezentując oburącz wizytówkę.

Robi mi się niezręcznie, bo w głębokim ukłonie patrzy prosto na moje dwie kule błota, które kiedyś były w miarę eleganckimi butami. Ale nie ma wyjścia – kląniam się jeszcze niżej i wyciągam oburącz swój kartonik, trzymając rogi delikatnie między kciukami a palcami wskazującymi.

Następuje ceremonia dyskretnego sprawdzania, kto jak nisko się uklonił, kto oderwał jedną z rąk od rogu wizytówki, sygnalizując, że jest gotów przyjąć wizytówkę drugiego, i kto pierwszy się wyprostuje.

Kątem oka zauważam, że bezdomni nad beczką gapią się na nas z rozdziawionymi szczękami. Jeden z nich zatrzymał nawet w połowie drogi do ust butelkę czegoś, co wygląda jak koniak *vintage* zesła środa.

Kolejnej ceremonii – obracania wizytówek, badania rewersu, studiowania zawartości i wydawania pełnych uznania pomruków przy zapoznawaniu się z detalami – nie może przerwać nawet fakt, że w cieniu mostu, w zachmurzonej, niby

marcową, ale jeszcze zimową noc, niewiele widzimy.

– Hattori-san – mówię w końcu – przeziębii się pan.

– Nie, nie, ale dziękuje dza trosuke.

– Tak, tak. To nie Tōkyō ani nie wiosna! Przecież pan tu może zamarznąć! Zaraz północ. Temperatura już spadła poniżej zera. Bardzo proszę przyjąć zaproszenie spędzenia noclegu w moim skromnym domu. To niedaleko. Napijemy się gorącej herbaty, ogrzeje się pan, a potem prześni w pokoju gościnnym.

Pan Hattori robi minę przepraszająco-zaambarasowaną, zasysa powietrze przez zęby, po czym rzuca się w wir protestów, więc żeby dać mu czas na dotarcie do dna i ponowne wypłynięcie na powierzchnię, rozpoczynam mozolną wędrówkę po skarpie, do samochodu, po zapasowy polar, który zawsze wożę w bagażniku. W tym kraju wiecznych lodów trzeba być gotowym na wszystko.

Kiedy wracam, ślizgając się, ale cudem jakimś nie wywracając, kłapa wejściowa namiotu jest otwarta i zarzucona na dach. W środku miga mi nadmuchiwany materac, śpiwór, mała szafeczka z lustrem i rzędem kosmetyków, oraz... deska do prasowania. Zaczynam się zastanawiać, skąd on bierze prąd do żelazka, więc próbuję zapuścić dyskretnego żurawia.

Hattori szybko zasłania wejście sobą i mówi:

– Nie mogę przyjąć pana zaproszenie, jednak chętnie na herbatę przyjdę.

Tak naprawdę mówi: „jedonaku, hentunie na herubate puzijude”, ale mój mózg zaczyna odfiltrowywać specyficzne japońskie podejście do naszej fonetyki i słyszeć to, co powiedziałyby rodak.

– Mam tylko prośbę – dodaje Hattori. – Czy mogę wziąć garnitur? W środku się pogniecie. Albo zabierzą go oni. Bezdomni – dodaje szeptem i dyskretnie wskazuje głową na trzech już osobników nad beczką, z przejęciem omawiających niezwykle i tajemnicze wypadki pod ich osobistym mostem.

Dostaję naglej chrypki, więc w odpowiedzi mogę się tylko ukłonić. Wskazuję zapraszającym gestem skarpe, na której zaparkowałem.

Japończyk rusza ostrożnie między marznącymi kałużami, z godnością dzierżąc w jednej ręce teczkę, a w drugiej – garnitur na wieszaku, niesiony wysoko, żeby się nie zabrudził. Prowadzi mnie ścieżką, którą musi znać, bo zręcznie omija zdradliwe kopalnie odkrywkowe gliny. Wdrapujemy się na ulicę, gdzie w zatoce przystanku autobusowego stoi moja archaiczna mazda, zakup sprzed trzech tygodni.

Gość obchodzi samochód od strony ulicy. Ja też. Spotykamy się przy drzwiach kierowcy. Przepraszam i znowu obchodzę auto. Japończyk po raz pierwszy się

uśmiecha.

– Brakat-san jest przyzwyczajony do ruchu po lewej? – pyta.

– Mów mi Robert. Tak. Niestety – przez ostatnie osiemnaście lat samochody miały kierownicę po prawej, a tu mają po lewej. Już się prawie przyzwyczaiłem, ale jeszcze czasem się mylę przy wsiadaniu.

Dopiero w samochodzie, w świetle lampki pod sufitem, widzę, że nie wygląda za dobrze. Jest blady i ma podkrążone oczy, co u Japończyka musi być dość ekstremalne, żeby było widoczne. Dygocze, nawet w moim polarze. Podkręcam grzanie na maksa.

Droga mija w milczeniu. Nie jest to milczenie ciężkie i niezręczne ani pełne namysłu, ani nawet milczenie twardej męskiej solidarności – po prostu Hattori zasnął, kiedy tylko silnik trochę się ogrzał i do kabiny dmuchnęło ciepłe powietrze.

Przeglądam mu się na czerwonych światłach na rogu Czerniakowskiej i Gagarina.

Nie może mieć więcej niż trzydziestkę. I nie jest najszczerzejszy – powiedziałbym, że raczej po stronie lekko pulchnej misiowatości. Więcej nie udaje się stwierdzić, bo w tym kraju opóźnienie o 0,1 sekundy przy starcie na zielonym świetle powoduje wściekle obtrąbienie przez straszliwie śpieszącego się kierowcę za nami.

A budzić chłopaka nie mam serca.

Staram się nie zbudzić go nawet, kiedy parkuję już na rogu Grójeckiej i Bitwy Warszawskiej. Nie chcę być zmuszony do tłumaczeń, po co zdejmuję na noc wszystkie wycieraczki. Człowiek ma jakieś szczątki patriotyzmu.

Niestety, samochód zaprojektowany w kraju, gdzie krawężniki nie mają pół metra wysokości, wierzga gwałtownie i zgrzyta podwoziem o bruk, budząc gościa.

Patrzy mało przytomnie dookoła, a ja czekam, aż ulica opustoszeje.

Wychodzę, starannie odczepiam wycieraczki z przedniej szyby i chowam pod fotel kierowcy. Mała przerwa, bo chodnikiem halsuje jakiś gentleman, trzymając się czule za lewą pierś, gdzie w kieszeni płaszcza spoczywa pewnie nie do końca pusta butelka.

Hattori obserwuje mnie dalej, zastanawiając się, czy już uciekać, czy jeszcze poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Zataczający się gentleman podejmuje próby wejścia na schodek prowadzący do klatki schodowej w sąsiednim domu. Udaje mu się przy trzecim podejściu. Znika. Szybko obchodzę samochód i biorę się do odczepiania tylnej wycieraczki; tej, która

się zwykle zacina i trzeba psiknąć WD40 trzymanym na tę okazję w bagażniku. Wracam i umieszczam ją pod fotelem, równiutko, po przekątnej – jest dłuższa od przednich.

Robię to z dawno wypracowaną nonszalancją kogoś, kto zamyka składany dach swojego lamborghini, żeby w nocy nie napadało na skórzane siedzenia. Unikam przy tym wzroku pana Hattori. Nie udaje się. Jego uniesione pytająco brwi są zbyt wymowne – nie mam wyjścia, muszę wyjaśnić:

– Kradną.

Na jego twarzy pojawia się mieszanina szoku i współczucia, w proporcjach 50:50.

– Tylko z mojej mazdy, za to każdej nocy. Ktoś się na mnie uwziął. Za co, nie mam pojęcia. Już gotowe, chodźmy.

Na szczęście nie drąży tematu i ruszamy do mojej klatki schodowej, a potem na drugie piętro.

Przedpokój wita nas pustką i stojakiem na kapcie gościnne. To jedyny mebel, jaki zakupiłem po przyjeździe do kraju. Nie licząc materaca do sypialni, oczywiście. Wielkiego, rozmiaru Emperor. Osiemnaście lat marzyłem o prawdziwym łóżku i obiecywałem sobie, że będzie to pierwszy zakup po powrocie do Polski.

Hattori przystępuje do ceremonii starannego wycierania lekko przybłoconych lakierów o słomiankę i równiutkiego ustawiania ich przed drzwiami wejściowymi. Oczywiście, kiedy już jest w przedpokoju, szybko wnoszę je do środka. Swoje buty zostawiam na zewnątrz, bo przy ich obecnym stanie nikt się na nie nie pokusi.

Dobieram mu kapcie gościnne, klęcząc na podłodze i czując się jak japońska gospodyni. Tylko mi fartuszka brakuje.

Idziemy do kuchni. Kuchnia zbliża. Poza tym salon jest pusty i w trakcie remontu, co nie tworzy zbyt domowej atmosfery. Niemniej goście udaje się pochwalić moje cztery kąty, razem z folią na podłodze, pięcioma drabinami malarskimi i trzema kubłami narzędzi po trzech różnych ekipach. Na szczęście nie pyta o nic i z wdzięcznością siada na podłodze w kuchni. Opiera się plecami o kaloryfer.

Auć – myślę – nie mam ani jednego krzesła. Trzeba będzie improwizować.

Czajnik buzuje na kuchence, a ja idę zmontować coś na kształt stołu i krzeseł. Hattori przychodzi po chwili do salonu i patrzy z zastanowieniem, jak w świetle pojedynczej zapryskanej farbą żarówki kiwającej się na drucie pod sufitem wciągam długą, upapraną zaschniętym wapnem deskę na stopień jednej z drabin.

– Pomogę... jak? – pyta.

– Pomożesz, jak wymyślisz, co włożyć na stopień tej drugiej drabiny, bo jest niższy, i będziemy siedzieć nierówno – odpowiadam. – Spróbuj w kuchni, chyba tam są jakieś gazety, i wyłącz przy okazji czajnik, OK?

Hattori rusza na poszukiwania.

Wraca z kilkoma książkami małego formatu.

– O? Gdzie to znalazłeś? To nie moje.

– Na podsuficie. Wszedłem na szafki i sięgłem...

– Sięgnąłem – poprawiam. – A ten podsufit nazywa się pawłacz. Czyli to są pozostałości po właścicielce. Starszej pani, od której kupiłem mieszkanie. Daj, zobaczmy.

Książki okazują się: konstytucją, modlitewnikiem i poszarpanym Harlequinem.

Mam pewne opory przed użyciem tych symboli Państwa, Religii i Sztuki jako podkładki pod deskę do siedzenia, ale Hattori, naiwne dziecko świata innych wartości, układa już je na stopniu drugiej drabiny i bada poziom deski.

Siadamy ostrożnie. Dwa aluminiowe wiadra, do góry nogami, robią za stoliki do kawy, a właściwie do herbaty – mojej w kubku bez uszka, a Hattoriego – wyszczerbionym, ale za to z uszkiem. I dwóch paczek herbatników, bo to wszystko, co udało się znaleźć w kuchni.

Przychodzi mi do głowy, że trzeba by mu zaserwować coś gorącego, jakąś zupę – niestety moje garnki, razem z całą resztą domostwa, od dwóch miesięcy tułają się po Oceanie Indyjskim. Obiecuję sobie kupić kilka chińskich zupek-szybkoróbek na sytuacje awaryjne.

W końcu stwierdzam, że Japończyk musiał już odtajać i pora dobrać się do meritum:

– No, więc skąd ten namiot pod mostem...

– Jestem na urlopie – błyskawicznie ripostuje Hattori, podnosząc oczy i sprawdzając, czy uwierzyłem.

– Na url...

– Na urlopie – stwierdza stanowczo i kryje twarz za kubkiem.

– Tak. Oczywiście. Rozumiem – odpowiadam, myśląc: w ten sposób daleko nie zajdziemy, kolego. Konieczny jest Rozwiązywacz Języka Japończyków.

Mam w szafce jeszcze ze trzy czwarte flaszki, pozostałość po wymuszonej przez sąsiada parapetówce. Wymuszonej, bo wódki nie lubię, a jeszcze bardziej nie lubię być zmuszanym do picia towarzyskiego. Ale skoro wpadłem między wrony, trzeba

było zakrakać.

Podnoszę się, a deska podskakuje, zrzucając na ziemię modlitewnik. Bierzymy się do naprawy mebla salonowego, po czym idę do kuchni po butelkę.

– To się nazywa „herbata z wkładką” – tłumaczę. – I uchroni to pana przed zapaleniem płuc. – 肺炎 dodaję w ramach wyjaśnienia, bo jego brwi mówią: „Nie rozumiem, cio to dzaparenie puuc”.

Cztery herbaty i pięć wkładek później Hattori jest gotów zwierzyć mi się z historii swojego życia, może z pominięciem co intymniejszych szczegółów, ale cóż – butelka się kończy.

Obraca się do mnie nieco i chwytając kubek w obie ręce, jakby się chciał nim zasłonić. Światło ubrudzonej farbą żarówki rzuca na niego żółtawy cień.

– Jestem Japończykiem – zaczyna.

– Naprawdę? – dziwię się uprzejmie.

– Tak. Z Izumi. Ōsaka-fu. Ale na studia pojechałem do Tōkyō. Tokijski Uniwersytet Studiów Międzynarodowych, w...

– Asahi-chō – kończę.

– Ooo, pan wie? – otwiera szeroko oczy.

– Jasne. Pracowałem niedaleko. I nie mów mi pan. Robert jestem.

– Tak, Robert-san. Ja tam studiowałem studia wschodnioeuropejskie. Specjalizacja polonistyka – to oznacza język polski i dodatkowo русский язык, a jeszcze kultura i historia...

– Hattori – przerywam – wiem, co to jest polonistyka, ale dlaczego akurat polski? Chciałeś zostać kulturoznawcą? Tłumaczem?

– Nie, salarymanem. Ale mój ojciec pracował w firmie, która handlowała z Europą oraz z Polską.

– Europą oraz Polską. Aha. I co, nadal tam pracuje?

– Nie. – Hattori zaciska usta, więc nie drażę tematu, tylko dla zachęty umieszczam kolejną porcję wkładki w jego kubku.

– W pierwszej pracy po studiach ja się uczyłem być w Hongō Sanchōme handlowcem. Bardzo dobrze mi szło. Dużo się nauczyłem. Po roku sam już negocjowałem niektóre kontrakty...

Kiwa głową i zamyśla się. Starannie odstawia kubek na wiadro, które wydaje cichą, basową nutę.

– Masowe zwolnienia? – domyślam się.

– Tak. Nie! Tak. No, gospodarka japońska...

– Jasne, wiem, co to jest, a raczej była, gospodarka japońska – zapewniam go. – I nie ma się czego wstydzić. Kryzys to nie nasza wina. Mnie na przykład dzisiaj zwolniono. Wszystkich nas zwolniono. Firma upadła. To znaczy bar muzyczny na Czerniakowie, w którym chwilowo pracowałem, żeby w ogóle coś robić. Bo w moim zawodzie jeszcze niczego nie znalazłem. To by było na dłuższą opowieść, nie na teraz. W każdym razie dziś właściciel postanowił zakończyć historię baru. Podziękowanie, wypłata, ostatnia wieczerza i chwilowo nie ma co robić. Dlatego poszedłem na spacer nad Wisłą. Chciałem pozbierać myśli.

Hattori mamrocze kondolencje i – dawszy się namówić na jeszcze jedną rundkę „herbaty z” – kontynuuje:

– Nie powiedziałem rodzinie o zwolnieniach. Jakoś wstyd, tak? Izumi bardzo małe miasto, chociaż blisko Ōsaka. Rodzina była bardzo dumna ze mnie. Bo pracowałem w dużej firmie handlowej w Tōkyō. Co oni by powiedzieli sąsiadom? Że najstarszemu synu się nie udało? Odniósł porażkę?

Wypija dla uspokojenia łyk i kontynuuje:

– Ja wiedziałem – kryzys trochę minie, firma mnie znowu zatrudni. To się zdarza ciągle! Czekałem kilka miesięcy. Ale zwalniali coraz więcej ludzi. No to

postanowiłem, zostanę... 自営業者 ?

– Biznesmenem? Wolnym strzelcem? – podpowiadam.

– Tak, tak. Handlowcem. Pośrednikiem. Freelance...?

– Freelancerem. Chyba tak się teraz mówi po polsku. Strasznie się zanglicyzował ten język, odkąd wyjechałem. Nic, mów dalej.

– No to... ja pojechałem do Polski. Pierwszy raz za granicę. Miałem trochę kontaktów z firmy i z dawnych lat od ojca, próbki towarów... Nawet nieźle poszło, na początku. Polska bardzo ciekawy kraj. Bardzo ciekawy. Poznałem też bardzo dobrych ludzi. Naprawdę dobrych. Znaczących różnych ludzi, niektórych dobrych, innych... No i przepisy w handlu bardzo ciekawe. – Milknie i wierci się na desce, w wyniku czego na podłogę spada tym razem konstytucja.

– Ja nie jestem bezdomny! – wyrzuca z siebie nagle. – Tylko zostałem turysta na przejściowo. Między jednym apartamentem a drugim. Dwóch moich kolegów z biura w Tōkyō straciło pracę i mieszkali w namiotach w parku. Do zimy tylko. Bo bali się

przyznać rodzinom i wrócić na wieś z... 体面を汚して?

– Hańba, strata twarzy...? – podpowiadam.

– No tak. Ale oni byli przegrani. Już nie wrócą do pracy i tylko rząd ich przeniósł

na zimę z namiotów do ホームレスシェルター.

– Przytułku.

– Tak. Ale ja nie jestem przegrany. Tylko turysta na przejściowo.

Zapewniam, że rozumiem.

Czuje, że wiele więcej z niego nie wyciągnę tego wieczoru. I tak otworzył duszę przed nieznanym. Następnego ranka będzie mu pewnie straszliwie głupio i zacznie się ze wszystkiego wycofywać.

Podnoszę się ostrożnie z deski, starając się nie zrzucić gościa, który jest ode mnie niższy, ale chyba ciut cięższy. Odstawiam kubek bez ucha na moje wiadro, które wydaje nieokreślone „klang!” zamiast dźwięcznego „bummm!”, jak to przed Hattorim.

Przygotowuję się do stoczenia małej bitwy pod tytułem „Nie wracasz do namiotu! / Nie chcę robić kłopotu...”, ale już czuję, że da się namówić. Tym bardziej że za oknem zaczyna padać coś, co nie wie, czy ma być deszczem, czy śniegiem, a i tak zostanie błotem.

Bitwa polsko-japońska nie trwa długo i kończy się kolejnym cudem nad Wisłą. Hattori zgadza się przenocować u nieznanego, oczywiście w drodze wyjątku i tylko dzisiaj. Odsyłam go do łazienki z instrukcją obsługi piecyka gazowego, który gaśnie, o ile się nie uchyli okna w kuchni. Na szczęście mój gość przyszedł wyposażony we własny ręcznik i szczoteczkę do zębów, wciśnięte do skórzanej salarymańskiej teczki.

Początkowy plan położenia go w mniejszej sypialni kończy się porażką, bo po wkroczeniu tam przypominam sobie, że zamieniłem ją niechcący na skład zawartości moich dwóch walizek, z którymi wróciłem do Polski. Posprzątanie zajęłoby godzinę, więc nadmuchiwany materac dla Hattoriego ląduje między kubłami narzędzi a drabinami. Koło posłania robi sobie stolik nocny z rozpadającego się Harlequina, stawiając na nim zdjęty z nadgarstka zegarek – złoty Patek Philippe – starannie podparty i zwrócony w jego stronę.

Drabiny składałam zresztą, bo kto wie – na tej ichniej sławistyce mógł się zarazić polskimi przesadami. Ja, kiedy mieszkałem w Japonii, przejąłem dobrych kilka

zabobonów od tambylców.

Na przykład bardzo nie lubię liczby „4”, szczególnie w adresach.

Moje mieszkanie, w kamienicy spółdzielczej, ale z nadzieją na wykupienie na własność wiekiustą, jest pod numerem czternastym.

To i tak dużo lepiej, niż gdyby było pod czwórką.

*

Poniedziałek, 13 marca 2006

Śniadanie z płatków, po które pobiegłem rano do sklepiu na dole, spożywamy w milczeniu, przerywanym tylko drobnymi grzecznościami. Ława w salonie została usprawniona cienkim biało-czerwonym sznurkiem, znalezionym w salarymańskiej teczce. Sznurek związał konstytucję, modlitewnik i Harlequina, żeby nic nie spadało. Robi się prawie elegancko.

Jestem ciekaw, czy Hattori, próbując ratować twarz, sprzeda mi teraz inną wersję swojej przygody z namiotem, coś w stylu „tak naprawdę chciałem tylko prowadzić obserwacje antropologiczne powiślańskich autochtonów”. Nie – nawet nie jest specjalnie skrępowany swoim wczorajszym wywnętrzaniem się obcemu. Uświadamiam sobie, że przecież Japończycy tak mają – pijackie ekscesy poprzedniego wieczoru do następnego rana zostają starannie zmiecione pod dywan świadomości.

Zadaje raczej dużo pytań.

– Dlaczego u pana Roberta są cztery wiertarek i pięć drabin?

– Wiertarki. Cztery wiertarki. To długa historia... Właściwie nie taka długa, tylko dużo się zdarzyło w krótkim czasie. No to słuchaj.

Przyleciałem do Polski trochę ponad miesiąc temu. Na początku lutego. Po osiemnastu latach z granicą. Większość z tego w Japonii, potem Singapur, czasem Malezja, Tajlandia, jak trzeba było tam jechać za pracą. W końcu postanowiłem wracać. Kiedyś ci powiem, dlaczego. Jak sam wymyślę.

W tym czasie moi rodzice wyprowadzili się na emeryturę do Arizony, gdzie mieliśmy daleką rodzinę, a klimat jest nieco przyjemniejszy niż tutaj.

Pół roku temu narzeczona z Singapuru zdecydowała nie podążać za mną do Polski, czyli, jak mówiła, barbarzyńskiego kraju w strefie subpolarnej. Zadziwiające, jaką rolę w naszych losach odgrywa klimat.

Co to ja...? Aha. No więc wyprowadziła się, a ja zacząłem pakować osiemnaście lat swojego życia. W końcu wróciłem i jestem sam – tak naprawdę nikogo tu nie znam. Owszem, mam zamiar odnaleźć starych znajomych ze szkoły, ale na razie nie było na to czasu.

Ile mam lat? Trzydzieści dziewięć. Wyjechałem do twojej ojczyzny w bardzo młodym wieku, po drugim roku studiów. A to mieszkanie kupiłem, jeszcze mieszkając w Japonii, żeby mieć do czego wracać. Było bardzo zaniedbane i nieremontowane chyba od lat siedemdziesiątych. Dlatego pierwsza rzecz po powrocie: zatrudniłem ekipę. Ekipa wzięła połowę zapłaty w formie zaliczki, zostawiła trochę narzędzi i znikła.

Jak kamień w wodę. Nikt nie odbierał telefonów, maile trafiały do wielkiej czarnej dziury w sieci.

– Nie trzeba dawać takiej dużej zaliczki – wyjaśnia Hattori, chrupiąc płatki. – Oczywiście, już nie przyjdą.

Mój Japończyk spod mostu ewidentnie lepiej zna polskie realia niż ja. Celem ukrycia zażenowania idę do lodówki po mleko do kawy. Hattori podąża za mną jak wierny pies i chce wiedzieć, co było dalej.

– OK. Druga ekipa budziła daleko większe zaufanie. Szefem był pan Józef z Limanowej. Góral, rozumiesz. Górale są rzetelni i uczciwi. Przyszedł obejrzeć mieszkanie, całkiem trzeźwy, w ogóle nie wziął zaliczki, a jego ludzie przynieśli do mnie drabinę i wiadro narzędzi. Wiertarkę, młot pneumatyczny, pędzle, różne takie. Owszem, trochę byli zakłopotani, kiedy dałem im kartkę ze szczegółową listą tego, co ma być zrobione. A pół nocy pisałem, żeby było precyzyjnie, szczegółowo, w punktach z podpunktami, i z małymi kwadracikami do odfajkowania ukończonych zadań. Po prostu nie chciałem, żeby coś schrzanili, rozumiesz?

Hattori kiwa głową w uznaniu dla mojego profesjonalizmu w życiu codziennym.

Wracamy do salonu i synchronizujemy moment siadania na desce, żeby drabiny się nie rozjechały.

– O czym to ja... Aha, no więc robotnicy nie bardzo wiedzieli, co zrobić z listą, i odniosłem wrażenie, że ten ze wschodnim akcentem i nie za bogatym słownictwem może nie umieć czytać po polsku. Ale góral uspokoił mnie, twierdząc, że zrobią tak, żebym był zadowolony. Poprzednia ekipa miała zrobić tak, żeby było dobrze. Ta druga opcja – żebym był zadowolony – wydawała się bardziej obiecująca. Byłem dobrej myśli.

Mieli zacząć w poniedziałek. Czekałem przez tydzień, dzwoniłem, znowu

czekałem... Jak kamień w wodę. Może to mi wyjaśnisz, panie specjalista od Polski?

– Eeetoo... nie wiem. Ale znam ktoś, kto wie.

– Kogoś – poprawiam automatycznie. – No to kiedyś musisz mnie z nim poznać, bo doszliśmy dopiero do drugiej ekipy, a potem była jeszcze trzecia i czwarta... Trzecia nawet rozłożyła folię malarską na podłodze i ukradła żarówkę energooszczędną w korytarzu, więc nie mogę powiedzieć, żeby niczego nie zrobili.

Przemieszczam się nieco na desce, bo grudka zaschniętej zaprawy uwiera mnie w kość ogonową.

– Posłuchaj, co jest najbardziej fascynujące – kontynuuję. – Otóż ekipy druga, trzecia i czwarta też obiecywały zrobić tak, żebym był zadowolony. Czy we współczesnej polszczyźnie to znaczy, że zostawią mi swoje drabiny i wiertarki, po czym znikną? Ja wcale nie jestem z tego zadowolony! Chyba że otworzę sklep z narzędziami.

Hattori śmieje się i ostrożnie wstaje, żeby zanieść naczynia do kuchni. Tym razem nic nie spada. Japoński sznurek znakomicie związał polskie dziedzictwo kulturowe.

– Hattori? – wołam. – Może byś złożył ten namiot i zamieszkał u mnie? Meble przyplyną lada dzień. Mamy dwie sypialnie, dla jednego za dużo... nawet myślałem, żeby poszukać współlokatora. Będzie się łatwiej płaciło rachunki...

Gryzę się w język. On pewnie nie ma ani grosza. A w ogóle chyba się pospieszyłem – wedle japońskich standardów poznaliśmy się pięć sekund temu. No, teraz się zacznie.

I zaczyna się. Hattori natychmiast unosi się honorem, obiecuje zapłacić za nocleg i zaczyna szukać butów na wycieraczce przed drzwiami. Biegnę zapewnić, że są, tylko schowałem je do szafki wnękowej w przedpokoju. Tej na korki.

Otrzymuję formalne podziękowania. W takiej sytuacji lepiej nie naciskać. Wymuszam na nim obietnicę, że się odezwie i wpadnie na kolację, jeśli pozwoli mu na to Ważne Spotkania Biznesowe, jakich się spodziewa w ten zimny, mokry poniedziałek. O dziwo, zgadza się i obiecuje przynieść coś do jedzenia wieczorem.

W sumie ja też mam co robić. Dziś jest znakomity dzień na zrobienie awantury w wielkiej firmie spedycyjnej, która zgubiła mi kontener na Oceanie Indyjskim. Najwyższy czas. W ogóle czuję przypływ energii i dobrego humoru. Może nawet tupnę nogą w spółdzielni w sprawie piecyka gazowego? O tak, to będzie dzień produktywny.

Do boju!

– Proszę pani, ale ja nie wiedziałem...

– A kto ma wiedzieć?! – Masywna dama z ogromną fryzurą w kolorze zeschła wiśnia, utrwaloną na twardy plastik, przerywa piłowanie perłoworóżowego pazura i celuje we mnie oskarżycielsko pilniczką. – To pana mieszkanie i pan ma wiedzieć, że nie wolno zamykać luzu w łazience! Panie Heniu, dobrze mówię?

Pan Henio wkłada do kieszeni wędkarskiej kamizelki śrubokręt, którym wydłubywał sobie brud spod paznokcia, i kiwa z politowaniem głową.

– I co on robi, pani Reniu, jak mu się cug cofnie, co? – mówi z wyrzutem. – Karetke będziemy na niego zrywać, ot co!

– No – stwierdza pani administrator wyniośle. – I czego jeszcze sobie życzy? – dodaje, podrzucając brodę w moim kierunku.

– Bo... ja... to okno pod sufitem, między kuchnią a łazienką, w ogóle się nie otwiera. Tak już było, jak kupiłem, ale ja chętnie...

Pani Renia wywraca oczy do sufitu, po czym zagapia się w zaokienną dal z miną pełną niesmaku. Pan Henio kręci tylko głową nad Głupotą Lokatora, po czym sięga po „Przegląd Sportowy”.

– To może jakoś tak... prywatnie...? – próbuję, zastanawiając się, czy powinienem być od razu przyjsć do Administracji z pudełkiem czekoladek, wypchaną kopertą czy też z kałasznikowem. Albo może na wszelki wypadek ze wszystkim naraz.

– Ej, tylko bez takich – warczy pani Renia, wydymając usta i upychając sobie delikatnie sprężynujący lok za pomocą długiego paznokcia. – Co za prywatnie? To nie firma usługowa! Nie jesteśmy tu po to, żeby panu służyć – dodaje wyniośle. – To jest Administracja!

Kręci głową ze zdumieniem nad głupotą tego świata w ogóle, a petenta w szczególności. Pan Henio potakuje ze smutkiem.

– Oj, co my z panem mamy... – wzdycha pani Renia. – Panie Heniu, no pójdzie pan już z lokatorem?

Henio wzrusza ramionami, dopija herbatę i zawija resztkę kanapki w papier, który umieszcza w jednej z niezliczonych kieszeni swojej kamizelki. Stęka i podnosi się z krzesła.

– Dziękuję, pani Relikt... Reniu – mówię szybko, kłaniam się i wychodzę z biura Administracji.

Pan Henio człapie za mną do windy.

– Bo pan tu nowy – zagaduje. – Stara Szumczykowska musiała coś z powietrzem spięprzyć. Nic, obaczymy.

Otwieram drzwi i zapraszam pana konserwatora do środka. Czekam, aż zdejmie buty.

Niestety, tego nie robi. I po trzech sekundach jest już w łazience. Gdzie też nie zdejmuję butów.

Zaczyna się we mnie gotować.

– Proszę pana... – zaczynam stanowczo, ale przerywam na widok ewidentnego szoku malującego się na twarzy pana Henia.

– O Jezu słodki, pan przebudował łazienkę...? Bez pozwolenia administracji...? – pyta zaszokowanym szeptem, jakby chciał się dowiedzieć, ilu prostytutkom poderżnąłem gardło zeszłej nocy.

– A to trzeba mieć pozwolenie...? – pytam głupio, zamiast od razu zasłonić się niewiedzą i zrzucić wszystko na poprzednią właścicielkę.

Dostaję wykład o tym, czego lokatorowi nie wolno (czyli praktycznie wszystkiego) oraz co wolno (oddychać, ale też nie za dużo, bo tlen się zużywa i piecyk gaśnie). Nie przestając pouczać, pan Henio zabiera się do rozmontowywania obudowy mojego piecyka.

– Pan przyniesie jakiś kombinerek, francuza, a i klucz szesnastka by się przydał – zarządza.

– Ale czy to konieczne...

– Pan się nic nie martwi – bzyczy luźnymi blachami mój piecyk, z którego wystaje korpus pana Henia. – Zrobimy tak, żeby był pan zadowolony!

W łazienkowym lustrze widzę swoją twarz. Maluje się na niej czysta groza.

*

Ding-dong!

Biegnę otworzyć.

W drzwiach stoi mój wczorajszy nocny gość przytroczony do ogromnego plecaka. Na szycie kiwają się śpiwór i wąski, jaskrawopomarańczowy pokrowiec – niewątpliwie namiot znad Wisły.

– Bogu dzięki, dałeś się namówić – mruczę, krzątając się wokół kapci gościnnych. – Dziś w nocy ma padać śnieg. Ostatni atak zimy.

– Nie Bogu, tylko panu Gutnerowi – wyjaśnia Japończyk, zrzucając z sapnięciem

plecak i w ten sposób odsłaniając wysokiego, chudego człowieka z potężnym nosem oraz imponującym sztormem czarnych loków.

Zapraszam go do środka i kłaniam się odruchowo, a nieznajomy unosi brwi z podziwem.

– Kolejny kłaniacz? No, no, klasa! – Wyciąga rękę. – Witam. Jestem Gutner.

– Gutner...?

– Apollo Ezra Gutner. Możesz mi mówić Gutner. Ewentualnie Sherlock. Na Apollona źle reaguję. Masz coś do jedzenia?

– Jasne, wchodźcie, ale lodówka...

– To dobrze, bo przynieśliśmy coś na ząbek. Nie dziękuj. Pomysł Hattoriego.

Wręcza mi wielką plastikową torbę ze stosem styropianowych pudełek.

I na szczęście zdejmuję buty. Pół godziny mopowałem podłogę po wizycie pana konserwatora.

Kłaniam się i wręczam wizytówkę. Gutner zerka na nią pobieżnie, nie odwraca nawet sprawdzić, co jest na rewersie, po czym wkłada do kieszeni. Nie oferując swojej. Może nie ma? Ja też kiedyś w Polsce nie miałem, chociaż dziś trudno mi to sobie wyobrazić.

Niezaproszony, idzie prosto do kuchni, jakby tu mieszkał.

– Kto to? – pytam szeptem Hattoriego, podczas gdy Gutner trzaska szafkami, pewnie czegoś szukając. Nie żeby mógł w nich wiele znaleźć.

– Mój przyjaciel. I partner. Handlowy! – odpowiada Hattori, również szeptem. – Chciałeś poznać ten, kto wie. On wie.

Sądząc z trzaskających szuflad w kuchni, wiedzący jednak nie wie, gdzie są sztuce oraz że ich w ogóle nie ma.

Na szczęście umie posługiwać się pałeczkami. Nawet bardzo zręcznie, jak widzę. Hattori łapie moje pełne podziwu spojrzenie i odpowiada samymi oczami: „Widzisz? Mówiłem! Swój człowiek”.

Siedzimy we trzech na desce, teraz już umocowanej do drabiny nie tylko książkami i sznurkiem, ale i z pomocą drutu, który dostałem w tym celu od pana Henia z administracji. Salon staje się coraz lepiej wyposażony. Zaczynam nawet myśleć, czy nie zaszałeć i nie poświęcić jednego ręcznika na przykrycie deski, żeby było wygodniej i wytworniej.

Przez zalepione plastikiem okno balkonowe wdziera się promyk słońca, tocząc nierówną walkę z chmurami i godziną.

– Świetny *chāhan* – stwierdzam z satysfakcją. – Nawet nie wiecie, jak się stęskniłem po dwóch miesiącach barów mlecznych. Nie dlatego, żeby mnie nie było stać...

– ... tylko dlatego, że przez osiemnaście lat wyłeś z tęsknoty za naleśnikami z serem – kończy za mnie Gutner. – Ale to nie jest *chāhan*, tylko *chaufan*, panie Azjata.

Czuję, jak robi mi się gorąco wokół karku. Z jednej strony chętnie bym go uściskał za to, że ROZUMIE, z drugiej jestem wściekły, bo spunktował mnie w obszarze, w którym powinienem być miejscowym ekspertem. Postanawiam skrzyżować z nim pałeczki.

– *Chaufan* też nie, bo Chińczycy by się nieco zdziwili na ten smak, panie specjalista od wszystkiego – odparowuję. – To nie jest *yang chow*, proszę: – demonstruję – krewetek nie ma. To ryż smażony à la Azja Południowo-Wschodnia, czyli coś pomiędzy kuchnią wietnamską, tajską a nawet indonezyjską; w ogóle właśnie ta ostatnia mi się tutaj odzywa tą nutką słodkiego sosu sojowego, więc powinniśmy to nazwać *nasi goreng*. O.

Po moim wykładzie zapada chwila ciszy, przerywana tylko beztróskim mlaskaniem Gutnera, na którym moje mądrzenie się ewidentnie nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

– Czy pan Robertowi udało się z kontenerem? – ratuje sytuację Hattori, składając staranie pałeczki i zamykając jeszcze do połowy pełne styropianowe pudełko.

– Owszem, byli bardzo szarmanccy i światowi, tylko nie mieli żadnych informacji, gdzie jest kontener. Zadzwoń natychmiast, kiedy tylko będą jakieś wiadomości. Poza tym bardzo mili. Przeprasili za kłopoty wynikające z opóźnień. W ogóle nie opieprzyli, jak pani Relikt w administracji rano. A panienska w recepcji się do mnie uśmiechnęła, uważasz? Pierwszy raz od zeszłego poniedziałku ktoś nieznamy się do mnie uśmiechnął. Nawet kawą poczęstowali! Tylko nie mieli mleka ani śmietanki. Nie wiem, dlaczego w tym kraju zawsze oferują kawę, a nigdy nie mają do niej niczego białego...

– Pan Robert zgubił kontener – wyjaśnia Hattori, bo chyba zacząłem dryfować. Niczym mój kontenerowiec.

– Nie tyle zgubiłem, ile wysłałem z Azji; specjalnie na sześć tygodni przed wylotem, żeby dotarł tu razem ze mną. Niestety. Minęły już prawie dwa miesiące, a kontener nadal pływa gdzieś po Oceanie Indyjskim.

– Nie pływa, ino stoi w porcie w Hamburgu – poucza Gutner, unosząc palec wskazujący lewej ręki dla dodania znaczenia swoim słowom. Prawą natomiast

nieprzerwanie ładuje do ust smażony ryż z pudełka Hattoriego, bo swoje już wylizał do ostatniego ziarnka.

– Skąd wiesz? – pytam. Od razu reflektuję się, że nie pamiętam, czy przeszliśmy formalnie na ty. Powiedział „Witam” w drzwiach, a nie „Witam pana”, a to chyba oznacza tykanie? Na ile zmieniły się formy towarzyskie przez prawie dwadzieścia lat? Właśnie – ile on ma lat? Trudno powiedzieć. Typ południowca. Czarne kręcone włosy, ciemne oczy, ciężkie powieki, duży nos. Jacyś greccy przodkowie? Może Turcja?

– To proste. – Gutner wyciera usta wierzchem dłoni, tłumi beknięcie i rozsiada się wygodniej, okrakiem na desce, oparty plecami o jedną z drabin. Palec znowu wędruje w górę. – Kontener nadałeś spedytorem NND z Singapuru. Wiem, że nie wiesz, skąd wiem, ale to proste: masz w kuchni puszkę kawy singapurskiej, jej nigdzie nie eksportują. Ani Malezja, ani Singapur nie mają koncesji na eksport nabiału. Praż kawę z dodatkiem masła, więc porozumienie urugwajskie ją zaklasyfikowało jako nabiał. Każdy to wie. Ergo, tam mieszkałeś. Jakbyś przejeżdżał turystycznie, tobyś się nie zaopatrywał w kawę, tylko w jakieś miejscowe upominki. Teraz: jedynym spedytorem wysyłającym indywidualne kontenery z Singapuru do Polski jest NND. Internet tak twierdzi, sprawdziłem, kiedy szukałeś pałeczek. Ale NND nie wysyła do Polski bezpośrednio. Przeładunek w Hamburgu. Twój kontener jest na nadbrzeżu, czeka na okazyny transport do kraju. Dla jednego kontenera nie będą wysyłać tira do Polski. Masz coś słodkiego na deser?

W lekkim oszołomieniu idę do kuchni po ciastka. Po drodze łapię spojrzenie Hattoriego, które znowu mówi: „Widzisz?”.

Faktycznie, Gutner wie. I chyba ta wiedza powoduje u niego zwiększony apetyt – właśnie wsuwa trzecią babeczkę śmietankową, a po pączkach został tylko lukier na podłodze. Dobrze, że mam na niej folię malarską.

– Pan Robert doświadczył przygodę z ekipą remontową... – zaczyna Hattori.

– Właściwie czterema ekipami – dodaję, wskazując ręką dookoła.

Gutner zrywa się z deski, prawie zrzucając z niej Hattoriego, i rozpoczyna inspekcję pokoju.

– Czy wiesz, która wiertarka należała do której ekipy? – pyta w pewnym momencie, świdrując mnie spojrzeniem spod tych swoich ciężkich, jakby lekko azjatyckich powiek.

– No nie, teraz to nie, już się pomieszały. A powinienem wiedzieć?

– Trudno. – Zbysza mnie machnięciem ręki. – Dużo można powiedzieć

o robotnikach na podstawie wyboru wiertarki, stanu jej zużycia i zadbania... ale nie, dlaczego się nie pojawili.

– Nie? – Czuję się zawiedziony.

– Nie, bo do tego nie potrzeba żadnych wiertarek. To oczywiste. Robol znika, jak dostaje lepszą fuchę, zwykle w Niemczech.

– A narzędzia?

– Jakby ktoś ci oferował pracę za cztery razy tyle, ile normalnie zarabiasz, plus pełne wyposażenie warsztatowe, też byś jechał, nie oglądając się na to, co u kogo zostawiłeś. Poza tym oni zwykle nagrywają sobie po kilka fuch naraz, bo któraś nieraz nie wypala. A jak wszystkie wypalą, to trzeba wybrać jednego z klientów. Czyli tego, który najwięcej płaci. Różnica w zarobkach pokrywa z nakładem jakąś starą drabinę zostawioną u innego. I nie trzeba wtedy jechać i się tłumaczyć.

Gutner robi nagle zwrot na pięcie i przygląda mi się bacznie.

– Jak długo byłeś za granicą?

– Osiemnaście lat. Jeśli ma pan... masz na myśli, dlaczego nie jestem zaznajomiony ze zwyczajami robotnika polskiego i inteligenta pracującego, to nie dlatego, że się tu nie wychowałem...

– Jasne – mówi Gutner, nie dając mi szansy wyjaśnić do końca. – Sądząc po twoim wyglądzie minus te osiemnaście lat, byłeś za młody, wyjeżdżając, żeby musieć się użerać z majstrami. Na garnuszk u rodziców, tak? Rozumiem. I co, bolesny szok?

– Może nie tyle bolesny, ile czasem nie wiem, co robić... jak tu ludzie sobie dają radę.

Gutner kiwa ze zrozumieniem głową i wygłasza, sylaba po sylabie, z palcem wysoko w powietrzu:

– Ludzie dają radę, bo sobie po-ma-ga-ją! – Mierzy mnie wzrokiem od głowy po kaptcie. – No tak, wyjechałeś młodo i nasiąkłeś tam bracie, na-si-ąk-łeś!

– Wcale niczym nie nasiąkłem. Jestem wdzięczny za porady i obszerne wyjaśnienia – kłaniam się lekko – ale jestem taki sam Polak jak pan, znaczy ty...

Gutner prycha z irytacją, po czym idzie nagle do kuchni, skąd znowu rozlega się trzaskanie szafek.

– Pan Gutner bardzo dobry człowiek – szepcze Hattori. – I przepraszam, że się zgodziłem przeprowadzić do pana Roberta. Ja będę płacić czynsz i rachunki... Gutner mnie zmusił.

- Jak to zmusił?
- On mnie tu wperswadował.
- Chyba wyperswadował? Znaczy życie w namiocie ci wyperswadował?
- Nie, on mnie wperswadował do pana Roberta.

Nie drażę tematu, a tym bardziej polsko-japońskiej gramatyki. Wypersadowany czy wpersadowany, cieszę się, że ktoś u mnie zamieszka, i to ktoś, kogo zachowanie i reakcje są... normalne. Zrozumiałe. Znajome.

Przez ostatnie osiemnaście lat prawie nigdy nie mieszkalem sam. Najpierw byli współlokatorzy na studiach w Tōkyō. Akademik. Potem pierwszy wynajem, z Judith, która była alternatywna, ale może właśnie przez to tak dobrze nam się razem mieszkalo – zero napięć damsko-męskich.

Potem jedna narzeczona. Potem druga. Między nimi dwóch kumpli, Kalifornijczyk i Australijczyk, którzy nie mieli gdzie się podziać, przyszli przepodłogować jedną noc i jakoś zostali. Potem trzecia narzeczona...

I wszyscy wkładali kapcie przed wejściem do mieszkania.

*

Judith woła mnie do siebie. Odsuwam drzwi i wchodzę, zostawiając kapcie na zewnątrz.

Coś jest nie tak, bo jej pokój świeci pustką – naga przestrzeń tatami, sześć mat zupełnie gołych i bez zwykłego bałaganu. Znikły nawet futon, którego nigdy nie chowa na dzień do szafy, i metalowy stojak na kółkach z rzędem sukienek i koszul nocnych.

Za to wielkiego mosiężnego lustra pod ścianą nigdy tu przedtem nie było. Za brzeg ramy zatknięte są jakieś zdjęcia dwóch dziewczyn w pstrokatych yukatach, na *matsuri*, japońskim festiwalu, roześmianych, objętych; chcę po nie sięgnąć; nie wiem dlaczego, i cofam rękę, też nie wiem dlaczego.

Otwieram usta, żeby o coś zapytać, ale nie wydostaje się żaden dźwięk.

Judith siedzi na macie z jedną nogą wyprostowaną, a drugą zgiętą, podkuloną pod siebie. Pochyloną głową mociuje się z bransoletką.

Klękam na podłodze plecami do lustra.

Podnosi głowę.

– Rozepniesz mi suwak?

Zapala papierosa, co robi rzadko i tylko w swoim pokoju. Tak się umówiliśmy,

kiedy się wprowadzała.

Idę odsunąć okno o kilka centymetrów, nie za dużo, żeby dać jej prywatność nieprzeźroczystych japońskich szyb. Wyglądam na zewnątrz, ale widzę tylko ogromne pole rozdeptanego błota tam, gdzie powinny być stłoczone domy i biurowce.

Judith klęczy teraz na podłodze w bieliźnie tak ciemnofioletowej, że prawie czarnej; poprawia makijaż przed lustrem. Oczywiście nieświadoma, jak na mnie działa. A może świadoma, tylko po prostu trochę przekorna. Ale jej wolno.

– To co z piątkiem? – pyta.

– Jasne, tylko powiedz, kogo zaprosisz – odzyskuję głos. Nie wiem, czy swój.

Wręcza mi kartkę z listą gości i uwagami, kto kogo lubi, a kto kogo nie bardzo, na kogo trzeba uważać, a kto nie powinien dostawać alkoholu po północy. Cała Judith.

– Co z Miyuki? – pytam. – Mieliśmy dla niej przygotować coś specjalnego. Kupiłem składniki do bigosu. Bigos. Takie polskie danie narodowe. Dostałem w Ochanomizu niemiecką kapustę kiszoną z puszek, powinno się udać...

Przerywam. Judith starannie zaczesuje sobie włosy na twarz, odgradza się od świata.

– Nie jesteśmy już razem – odpowiada po chwili. – Dziś wyjechała z Tōkyō. Na dobre.

Chcę podejść i ją objąć, po prostu jak przyjaciela, któremu jest źle.

Nie mogę.

Mata podłogowa robi się miękka, grząska, zaczyna mnie wciągać, wsysać jak bagno. Robię z wysiłkiem krok, ale podłoga zaczyna się kręcić, tworzy wielki czarny wir. Daleko, w głębi jego gardzieli, widzę czarą przestrzeń i słabe światełka. Gwiazdy? Próbuję się przeciwstawić, wyszarpnąć nogi i nawet trochę się udaje, ale za wolno, za późno.

Lecę, a może raczej płynę. Czuję, jak coś mnie szarpie za ramię, ale wyswobadzam się i ląduję.

Dno gigantycznej jaskini wypełnia pole czarnego błota, paskudnej, lepkiej brei usianej rdzewiejącymi kołami samochodowymi i szczątkami opon. Zamarza na nich warstewka szronu. Zamarzają też odciski butów. W jednym z nich, w oszronionym wgłębieniu, wiruje kula ziemiska. Perfekcyjna, malutka, jak piłka do golfa i wszystko jest jak na dłoni – zarysy kontynentów, kraje, ocean.

Na oceanie szaleje burza, atakując falami statek. Kontenerowiec. Widzę i czuję jego szarpnięcia, jakby to mną ciskał sztorm.

Wysoki chudy człowiek z wielkim nosem i burzą czarnych loków na głowie, ubrany w typowy salarymański garnitur i trochę za krótki na niego połatany płaszcz, szczyrzy zęby w złośliwym uśmiechu, staje w lekkim rozkroku nad kulą ziemską i robi szeroki zamach kijem golfowym.

Czuję gwałtowny wstrząs.

Budzę się.

*

Nade mną stoi Hattori i trzęsie mnie za ramię. Z przerażoną miną wskazuje palcem za siebie, w kierunku korytarza.

Zwlekam się z łóżka i wychodzę na korytarz.

Za otwartymi drzwiami wejściowymi wyciera buty dwóch policjantów.

Jeden z nich robi krok do przedpokoju.

– Pan Robert Brakat?

Rozdział 2

Raz na wozie, raz na podwoziu

Poniedziałek, 21 marca 2005

– Może jednak panowie wejdą i zaczekają, aż włożę coś cieplejszego?

Policjanci patrzą na siebie jakby zdziwieni. Ten starszy wiekiem, a pewnie i rangą, szura butami jak skrepowany uczeń.

– No, proszę, tylko szybko, bo kolega na ulicy... Pan weźmie dokumenty.

Biorę portfel, wkładam zimowe buty na bose stopy i przewiążuję mocno paskiem puchową kurtkę, narzuconą na piżamę i szlafrok. To nie najlepszy ubiór wyjściowy, ale coś mi mówi, że nie jest w moim interesie irytowanie panów funkcjonariuszy dłuższym czekaniem.

W ostatniej chwili chwytam jeszcze czapkę i szalik. Kwiecień za pasem, ale termometr zaciął się na minus jeden. Nie wiem, dokąd idziemy i na jak długo. A po pięciu latach na równiku jest mi wiecznie zimno.

Otwierają się drzwi sypialni Hattoriego. Ubrał się jak do wyjścia, pewnie chce mi towarzyszyć w nieznane.

– Kōichirō – zatrzymuję go. – Nie ma mowy. Zostajesz. Chcę, żeby ktoś był w domu, OK? To jakaś drobnostka, na pewno szybko mnie puszcza. A w ogóle wracaj do łóżka. Jest środek nocy.

Powinienem go jeszcze jakoś uspokoić, ale jestem zbyt zajęty mentalnym kartkowaniem rejestru moich potencjalnych grzechów. Stary profesor Yoshimoto z uniwersytetu w Ichigaya twierdził, że każdy człowiek, nawet najporządniejszy i najuczciwszy na świecie, zastanawia się, co przeskrobał, kiedy widzi w drzwiach policjanta.

Miał rację.

Stoją teraz koło mnie, jeden po lewej, drugi po prawej. Czekamy na windę. W głowie skokowo odtwarzają mi się fragmenty filmu sprzed dwudziestu czterech lat. Wtedy panowie nie byli tacy uprzejmi, nie nazywali się jeszcze policjantami i do drzwi nie pukali, tylko je wyważali. U nas zerwali łańcuch łomem, kiedy matka uchyliła drzwi na wołanie: „Milicja, otwierać!”. Weszli i odepchnęli ją tak mocno, że upadła. Ojciec zatrzymał mnie ramieniem w sypialni. Wyszedł, pomógł mamie wstać i zapytał spokojnie, czy pozwoli mu się ubrać.

Nie powiedzieli, gdzie go zabierają.

Matka płakała przez pół nocy i ciągle próbowała się gdzieś dodzwonić, od nas i od kolejnych sąsiadów. Telefony były oczywiście martwe – właśnie zaczął się stan wojenny, tylko nikt z nas o tym jeszcze nie wiedział.

Ojca już więcej nie widziałem tej zimy. W lutym przewieźli go z więzienia w Białolecie do ośrodka dla internowanych na Wybrzeżu. Jeździliśmy tam bezsensownym pociągiem na wizyty, raz na miesiąc.

Patrząc kątem oka na starszego policjanta po prawej. Ile on wtedy mógł mieć lat? Pięć? Trzy? A może go jeszcze w ogóle nie było. Jest coś absurdalnego w fakcie, że policjanci są ode mnie młodszy. W ogóle naród odmłodził.

Ile rzeczy może przelecieć przez głowę w czasie podróży z drugiego piętra na parter?

Starożytna winda zatrzymuje się z nerwowym szarpnięciem. Policjanci kołyszają się na obcasach, po czym ten niższy ciągnie za drewniane półdrzwi kabiny.

Wychodzimy z bramy. Jest jeszcze ciemno i tylko nerwowe blaski policyjnego koguta przetaczają się po śpiącej kamienicy. Patrząc na zegarek. Fosforyzujące wskazówki mówią: piąta rano.

– Czekaliśmy tu na pana od dwóch godzin – oskarża kierowca radiowozu. – Ma pan inny adres zameldowania!

– Inny? – Usiłuję zrozumieć, o co mu chodzi. Dużo bym dał za kubek gorącej kawy. I rękawiczki.

– Dzwoniliśmy na Mokotów, ulica Różana. Rozumiem, że pan się przeprowadził? Dowodzik poproszę.

– Właściwie nie przeprowadziłem, tylko wyprowadziłem, osiemnaście lat temu... Może być paszport...? – wręczam mój stary, wymęczony rejestr tułacza, ze stemplami większości krajów Azji Południowo-Wschodniej.

– A dowodzik gdzie? – Kierowca podnosi oczy znad paszportu, który kartkuje już po raz trzeci. Chyba nie umie odczytać niektórych wiz.

– Ostatnio zdany na komendę rejonową Milicji Obywatelskiej Warszawa-Mokotów, w poniedziałek, pierwszego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku – recytuję.

Panowie patrzą na siebie, niczego nie rozumiejąc.

– Wtedy był taki obowiązek – pomagam. – Trzeba było zdać dowód osobisty i książeczkę wojskową przed wyjazdem za granicę.

– I nie odebrał pan po powrocie?

– Nawet próbowałem, ale tam jest teraz sex shop.

W cieniu służbowych daszków trzy pary oczu wdają się w krótką niemą dyskusję, w której prawdopodobnie rozważają kwestie moralne, prawne i medyczne.

Nie zapowiada się to za dobrze, więc spieszę wyjaśnić:

– Panowie, kiedy wróciłem, miesiąc temu, od razu, znaczy następnego dnia, pojechałem na posterunek po dowód. Ale tam jest teraz sklep z... artykułami intymnymi. Czarny Lotos się nazywa. Nawet wszedłem, w środku była tylko ekspedientka, której musiało być zimno i która nie wiedziała, co się stało z komendą MO. To było przed jej czasami. Chyba na długo przed.

– Panie Robercie – zaczyna kierowca i przerywa, przygląda mi się dłuższą chwilę, po czym pyta z widocznym zniecierpliwieniem: – Co takiego śmiesznego?

– Przepraszam. – Gryzę się w język, bo nie będę im tłumaczył, że forma „Panie Robercie” ciągle mnie rozbawia. Albo jesteśmy na „ty” i wtedy „Robert”, albo nie jesteśmy: „Panie Brakat”. Ewentualnie, od funkcjonariusza: „Obywatelu”. Ale „Panie Robercie”...?

– Trzeba wyrobić nowy dowód, pan wie, tak? – Oddaje mi paszport. – Dobra. Teraz pokażemy, dlaczego tu czekaliśmy trzy godziny.

Wysiada.

Idziemy do mojej starożytnej mazdy zaparkowanej jak zwykle za rogiem, na chodniku. Przyglądam się karoserii w świetle latarni, ale na szczęście nie widać żadnych rys, jak pod koniec lutego, kiedy ktoś przejechał mi gwoździem po lakierze, ani kaptia, jak po przebitej oponie tydzień później.

– Proszę. – Policjant wskazuje długopisem. – Udaremniliśmy próbę kradzieży kół. Sprawcy chcieli zrzucić auto na chodnik. Widzi pan? Cegiel nawet nie podłożyli. Zdążyli tylko odkręcić śruby i kiedy przejeżdżaliśmy na patrolu...

Czuję wibracje telefonu. Na pewno Hattori. Odrzucam połączenie; trudno, będzie musiał jeszcze chwilę poczekać. Szkoda, że na tę stronę domu nie wychodzą okna, pomachałbym mu na uspokojenie.

Przystępujemy do oględzin kół. Wyglądają normalnie, tylko brak im nakrętek na śrubach. Nie wiedziałem, że samochód może się tak w ogóle utrzymać, nie spadając na bruk.

– Czy złapali panowie złodziei? – pytam z nadzieją.

– Niestety, nie zostali ujęci. Zwiali na widok patrolu.

– Szkoda, bo to mogli być ci sami, którzy mi regularnie kradli wycieraczki...
– No fakt – interesuje się jeden z funkcjonariuszy – wycieraczki rąbnęli, proszę...
– A nie, to akurat ja.
– Co pan?
– Ja je zdjąłem. Proszę – pokazuję – schowałem pod siedzenie, żeby nie ukradli.
Policjanci znowu patrzą na siebie.
– Znaczy pan wiedział, że akurat dzisiaj będzie próba przywłaszczenia...?
– Nie, tylko codziennie kradną. A jak nie kradną, to przynajmniej rysują karoserię czymś ostrym.

Znowu na siebie patrzą. Odkąd wróciłem do kraju, ludzie często wymieniają spojrzenia, kiedy coś powiem. Nie wiem, czy to mój język. Wydaje mi się, że mówię prawidłowo po polsku. Nawet bardziej prawidłowo niż część dziennikarzy radiowych, o dziwo.

– Zgłosił pan te szkody? – Policjant podnosi oczy znad notatnika.

Nie wiem, co powiedzieć, bo nie wiem, dlaczego nie zgłosiłem.

A właściwie wiem, tylko nie mogę im wyznać, że potrzebuję więcej niż dwóch miesięcy, żeby przyzwyczaić się do rodzimej policji. Kiedy ostatni raz mieszkałem w tych stronach, panowie w mundurach służyli raczej do tego, żeby się ich bać.

*

W drodze powrotnej na górę wyjmuję listy i myślę, co zrobić z moim zabytkiem motoryzacji, który spoczywa na kołach bez nakrętek.

Hattori cieszy się, że nie zostałem aresztowany i nie musi sprzedawać swojego złotego zegarka, żeby mnie wykupić – a już wykonał w tej sprawie kilka telefonów, tak na wszelki wypadek. Przy okazji odkrył, że Polska to nie Stany Zjednoczone i z aresztu nie wypuszczają za kaucję. W sumie w Japonii też nie. Za dużo się chłopak naoglądał amerykańskich filmów.

Ale i tak jestem pełen podziwu. Mój bezdomny spod mostu jest zdecydowanie bardziej zaradny i obrotny, niż myślałem, poznając go wśród błot Czerniakowa.

Jakby na potwierdzenie, Hattori wykazuje się jeszcze większą pomysłowością zaradczą, której musiał chyba nauczyć się w Polsce:

– A Robert-*san* nie ma drugich kołów? Wiosennych?

– Kół. Letnich. Już je przełożyłem, pierwszego marca. Za wcześniej zresztą, zapomniałem, że mamy globalne oziębienie. Czyli fakt, zimowe są w piwnicy. Hej,

dobry pomysł! Myślisz jak Polak, chłopie. Przecież u was nikt nie zmienia opon na zimę. Przynajmniej nie na Honshu. OK, przynajmniej ja nie zmieniałem. Tylko jadąc na narty, zabierałem łańcuchy.

– Ja tu już długo jestem, Robert-san.

– Dłużej ode mnie, Hattori-san.

Dochodzi siódma rano, a na dziesiątą jestem umówiony z kolejną ekipą remontową, tym razem poleconą przez Gutnera. Coś się jednak w tej ojczyźnie nie zmieniło. Wszystko, co dobre, jest z polecenia.

Najpierw trzeba zabezpieczyć samochód. W obecnym stanie wystarczy, żeby ktoś się o niego otarł, a jedno z kół spadnie i ów ktoś straci stopę.

Idziemy z Hattorim do piwnicy po felgi stalowe. On pierwszy, bo piwnica przypomina mi dzieciństwo oraz fakt, że w dzieciństwie panicznie bałem się piwnic. Było tam ciemno, dziwnie pachniało, a w komórkach mieszkwały potwory.

Potem wyjechałem do krainy bez piwnic.

Kiedy pod sufitem korytarza piwnicznego zapala się słaba, zakurzona żarówka, doznaję olśnienia.

– Hattori, nie musimy zmieniać kół! Wystarczy wziąć nakrętki od zimowych stalówek i użyć ich do przykręcenia letnich, aluminiowych, tych, które są teraz na samochodzie! Śruba ta sama sterczy z samochodu, więc nakrętki muszą mieć ten sam gwint.

Wychodzimy na powierzchnię z pudełkiem dwudziestu nakrętek i kluczem. Po piętnastu minutach pracy stara mazda jest jak nowa, przynajmniej od strony nakrętek na kołach.

W domu Hattori idzie się przebrać w mundur handlowca, czyli swój markowy garnitur z różową, niestety, koszulą i jedwabnym bordowym krawatem ze złotą spinką. Ma spotkanie biznesowe na mieście o jedenastej. Będzie w tym różu wyglądał jak bohater bajki pod tytułem *Prosiaczek zostaje Salarymanem*, ale tego mu oczywiście nie mówię. I tak pewnie spotka się z polskimi „byznesmenami” w białych skarpetkach.

Siadam wreszcie na desce między drabinami i piję dobrze zasłużoną kawę. Opieram kubek o czoło i próbuję zrozumieć, dlaczego ja, dlaczego mnie, co jeszcze się stanie z moim samochodem, i po co ja tu w ogóle jestem.

Ten pierwszy miesiąc był jakiś nierealny. Tak bardzo inny niż wszystko, co przewijało mi się przed oczami w ostatnie, bezsenne noce w hotelowym pokoiku w Singapurze z oknem wychodzącym na czyjś zaśmiecony dach, z walizką

zastępującą stolik nocny; kiedy kontener odpłynął, a ja wiedziałem, że już nie ma odwrotu. Wtedy przerabiałem w głowie niezliczone scenariusze spotkań, zmian, zdumień i powitań; odwiedzania starych kątów, otwierania szeroko oczu, bo wszystko takie małe, a drzewa o tyle wyższe.

W Japonii, Malezji, Singapurze cały czas coś się działo.

Tutaj też się dzieje, ale nie to, co trzeba.

Tutaj dni są zabiegane, ale właściwie nie wiadomo, za czym. Za bzdurami. Za ciągłym załatwianiem jakichś spraw.

Czy w Japonii też trzeba było za czymś bez przerwy biegać i coś załatwiać?

– Hattori, jak jest po japońsku „załatwiać sprawy”? – wołam.

– Eetooo... **用事がある?**

– Nie, to bardziej „mieć zobowiązania” czy „powinności”, a tu... załatwiać. No wiesz, jak w zdaniu: „Idę na miasto załatwiać sprawy”.

Rosnący poziom zakłopotania Hattoriego potwierdza moją teorię, że po japońsku nie da się tego powiedzieć. Że nie ma dokładnego odpowiednika. W „załatwianiu” kryje się odrobina słowiańskiego sprytu, osiągania tego, co niełatwe i nieoczywiste, za pomocą kreatywnego omijania rozlicznych barier. Podtekst kontaktów i znajomości, bez których wielu rzeczy w ogóle nie da się osiągnąć. Duma z sukcesu, kiedy się uda.

Załatwianie spraw jest kwintesencją polskości.

*

Postanawiamy pojechać razem na szybkie śniadanie, po czym odwiozę Hattoriego do centrum, a sam wrócę na spotkanie z ekipą roboczą numer sześć.

Znalezienie śniadaniowni w Warszawie nie jest proste. Żywię się zwykle w barach mlecznych, chociaż powoli odkrywam restauracje „staropolskie”, które ze starą Polską nie mają wiele wspólnego, ale skutecznie zaspokajają moją osiemnastoletnią tęsknotę za naleśnikami, barszczem, pierogami, pomidorową, leniwymi, żurkiem, kopytkami i jeszcze długą listą tego, czego Azja, przy najlepszych chęciach, oferować nie umie.

Postanawiamy spróbować w pobliskim centrum handlowym przy Alejach Jerozolimskich.

Zjeżdżam z chodnika najostrożniej, jak umiem, więc mój relikw motoryzacji

muska tylko podwoziem krawężnik zbudowany chyba dla traktorów, a nie samochodów osobowych. Udało się. Włączam radio – źródło mojej niekończącej się pociechy, bo grają muzykę, na której się wychowałem. Skręcamy w Bitwy Warszawskiej. Śpiewa Peter Gabriel, więc podkreścam głośność o jedno kliknięcie.

Jest jeszcze wcześniej, dwa puste pasy, nawet w miarę gładkie, bo przedwczoraj łatali dziury po zimie. Tylko żwiru asfaltowego po tych naprawach pełno – szemrze i stuka w nadkolach, psuje efekt piosenki Gabriela.

Przyspieszam do sześćdziesiątki. Na próżno – na odległym skrzyżowaniu ze Szczęśliwicką zapala się czerwone światło.

Zaczynam hamować.

Dzieje się coś dziwnego.

Samochód słabo reaguje na hamulce; co gorsza, zaczyna... pływać. Gorączkowe ruchy kierownicą nie odnoszą najmniejszego skutku, jezdnia staje się czymś w rodzaju lekko pofalowanego jeziora, a ruch do przodu zamienia się w powolny balet na wodzie. Z tendencją do piruetów.

Na desce rozdzielczej mrugają jakieś kontrolki, których nigdy dotąd tam nie widziałem. System antypoślizgowy?

Z całej siły napieram na hamulec. Samochód dostaje drgawek, ale efektów hamowania brak.

Coś mnie powoli wyprzedza po zawietrznej.

Jest to jedno z moich kół.

Nie dokręciliśmy...?

Samochód się przechyla, podwozie wydaje głośny chrobot. Wibracje są coraz większe, ściskam mocno kierownicę, co w niczym nie pomaga.

Z drugiej strony znowu ktoś mnie wyprzedza.

O, to moje drugie koło.

Mam głupią ochotę docisnąć gaz, żeby nie dać się wyprzedzić, a potem jeszcze głupszą myśl: „Czy ubezpieczenie to pokryje?”.

Mazda – jak stara dumna fregata – statecznie pruje asfalt w fontannach żwiru i odłamków asfaltu, zalegających ulicę Bitwy Warszawskiej.

Widzę, jak trzecie koło startuje w podskokach i toczy się pod ostrym kątem przez całą czteropasmową jezdnię. Uderza w krawężnik po drugiej stronie i upada.

A może to już czwarte? Na czym ja jadę?

Powoli przybijamy do krawężnika. Ostatnia fala asfaltowego żwiru rozchodzi się

spod zderzaków i wszystko się uspokaja. Stoimy. Tyłem do kierunku jazdy.

Jest dziwnie cicho. Chyba zamykam na chwilę oczy, kiedy słyszę:

何が起こったん？

Odpowiadam odruchowo, w języku, który myślałem, że zapomniałem:

ホイールが外れた。

えっ、めっちゃやばいな

– mówi Hattori i na szczęście przechodzi zaraz na polski, zanim wyczerpie mi się nieużywane od pięciu lat słownictwo:

– Twoje koło leży na środku jezdni.

– Naprawdę?

– Tak. Trzeba zabrać, bo ktoś je wypadnie.

– Na nie. Wpadnie. Wypadek. Uderzy.

Hattori chyba stwierdza, że potrzebuję czasu na dojście do pełni władz umysłowych, więc bierze akcję ratowniczą we własne ręce: wysiada i biegnie po koło blokujące środek drugiego pasa ruchu. Obserwuję z lekkim otępieniem, jak wyciąga z kieszeni nienagannie wyprasowaną chusteczkę i ostrożnie przetacza przez nią koło, tak żeby nie pobrudzić rąk.

– Dzień dobry panie kierowco – rozlega się nad moim uchem. – Czy ma pan jakieś obrażenia?

– Nie, nie, nic mi nie jest... A co się w ogóle stało?

– To pan nam powie, mam nadzieję. Dokumenty samochodu poproszę, ubezpieczenie, dowód osobisty i prawo jazdy.

Wygrzebuję się z mazdy, jakoś dziwnie dziś niskiej, jak sportowy supersamochód. Niskiej, bo pozbawionej kół. Poprawka – jedno z nich ugrzęzło w prawym przednim nadkole. Pozostałe trzy pognały samotnie w świat.

Rozglądam się. Za mazdą stoi radiowóz, błyskając wszystkim, czym się da. A policjanci, inna ekipa tym razem, uparcie próbują ode mnie wydobyć, co się stało.

Ponieważ moje wyjaśnienia są mętne i poplątane, jeden z funkcjonariuszy zabiera się do badania podwozia samochodu.

– Przecież on ma wszystkie śruby na miejscu, nakrętki też! – krzyczy do

kolegów. – To jak koła spadły?

Czuję pewną ulgę, że nakrętki są na miejscu. To znaczy, że nie zawiniłem, zbyt słabo je dokręcając. Natomiast jak koło może spaść, zostawiając na samochodzie śrubę z nakrętką, nie wiem, i wolę się nie zastanawiać.

Niestety, werdykt nadchodzi już po minucie:

– Kto panu przykręcał te koła? Felgi aluminiowe zostały dokręcone nakrętkami do felg stalowych. Do felg aluminiowych są specjalne nakrętki, z kołnierzem. Te go nie mają – demonstruje – są niewiele mniejsze od otworu. Przerznięły na wylot miękki metal felgi.

Zaczynam tłumaczyć, że rano miała miejsce próba kradzieży kół, ale daleko w tej opowieści nie docieram, bo nagle jeden z funkcjonariuszy mówi:

– Proszę zaczekać. – Rozgląda się szybko w obie strony i... rusza sprintem na drugą stronę ulicy.

Rozgrywa się tam przedziwna scena. Jakiś starszy pan, odziany w nie pierwszej świeżości ubranie, schyla się, chwytając moje koło i z zaskakującą jak na swój wiek siłą podnosi je, po czym wsadza sobie pod ramię.

A następnie rączy się z nim oddala.

Policjant go dogania i zatrzymuje.

Widzę chwilę ożywionej dyskusji. Dziadek jest stanowczo trzymany za łokieć. Drugą ręką macha w dramatycznych protestach. Po chwili zostaje przeprowadzony przez ulicę i zaproszony na tylne siedzenie radiowozu.

Policjant wraca do nas truchtem.

– Właśnie udaremniliśmy kradzież koła – mówi z dumą. – Będą potrzebne pańskie zeznania.

*

Stoję przed komendą dzielnicową na ulicy Opaczewskiej i żałuję, że nie wzięłem aparatu.

Cały parter ma zakratowane okna, ale nie są to byle jakie kraty. Każda składa się z motywu wielkich liter „M” i „O”, jedna nad drugą. Obie artystycznie wygięte z pręta zbrojeniowego, pomalowane na ten sam nieokreślony, szaroburobrudnozielonkawy kolor, którym kiedyś zamalowane było pół świata.

MO. Chyba po szesnastu latach powinni byli zmienić? A może to właśnie celowe, jak kopuła w Hiroshimie, ruiny zostawione ku pamięci i przestrodze?

Przypominają mi się entuzjastycznie pstrykane przez turystów zdjęcia z Kyōto pod tytułem: stare i nowe. Tradycja i nowoczesność. Czyli: tysiącletnia świątynia przyklepiona do ultranowoczesnego wieżowca. A w świątyni – mnich z laptopem.

Gdybym miał teraz aparat albo chociaż telefon z przyzwitym obiektywem, świetnie wyszłyby te kraty z „MO” na tle błyszczącej nowością czerwonej tabliczki „Policja”. Można by wysłać do znajomych w Kyōto, pokazać, że u nas też...

– Podziwiamy zabytki? – słyszę za sobą ironiczny głos. Obracam się gwałtownie. Gutner.

– Co tu robisz? – pytam, chociaż domyślam się odpowiedzi.

– Hattori mnie nasłał. Ma spotkanie na mieście. Nie chciał cię zostawiać samego na pastwę systemu. Przyjechałem zapewnić ci wsparcie psychiczne. Wchodzisz?

Wchodzimy. Budynek był chyba kiedyś mieszkalny, bo nie ma żadnego holu ani poczekalni, tylko klatkę schodową, w której na parterze wykuto w murze okno. W oknie urzęduje młody funkcjonariusz z twarzą poznaczoną bliznami po ospie i z trudnościami w wystawianiu się – przynajmniej na uprzejme pozdrowienia nie reaguje. Sprawdza jednak moje dokumenty, naciska guzik, a drzwi do dalszej części klatki schodowej odblokowują się z głośnym, złośliwym buczeniem, jak sygnał błędnej odpowiedzi w teleturnieju.

Zostajemy skierowani na drugie piętro.

Klatka schodowa została niedawno pomalowana przez kogoś, kto próbował podrobić peerelowski, szpitalno-milicyjno-urzędowy kolor bez nazwy. Ten, który zawsze kojarzył mi się z problemami żołądkowymi. Nie udało mu się. Jest tanio i brzydko, ale dużo weselej, niż kiedy „MO” na kratkach było jeszcze aktualne.

Siadamy na archaicznych, ściemniałych ze starości krzeselkach ze sklejki, przykutych łańcuchem do ściany. Gutner bierze się do spisywania instrukcji dla malarzy. Moje spotkanie z ekipą remontową diabli wzięli, ale Hattori zaoferował się reprezentować inwestora (tak mnie teraz nazywają robotnicy) – z lekką pomocą językową Gutnera.

– Słuchaj, nie musisz... – zaczynam.

– Wiem, że nie muszę. – Zbývá mnie machnięciem ręki. – Ale chcę. My, cudzoziemcy, musimy się wspierać. Teraz zaczniesz protestować.

– Jacy cudzoziemcy...

– „Once a gajdzin, always a gajdzin”. – Podnosi palec dla zaznaczenia wagi swoich słów. – To cytat w znanych ci językach obcych. Znaczy on: jak raz się wyobcujesz na

obczyźnie, będziesz obcy. Już zawsze i wszędzie. Ale nie przejmuj się. Ja z bycia obcym zrobiłem karierę. Co z samochodem?

– Samo...? Aaa, OK. Przyjechała taka mała ciężarówka z platformą do przewozu aut, właśnie zapomniałem, jak to się teraz nazywa, chociaż ktoś mi już...

– Laweta. I zawsze tak się nazywało.

– OK. – Unoszę się honorem. – Może tak się nazywało, ale nie był to termin należący do języka codziennego. Mieszkalem w tym kraju dwadzieścia lat i zapewniam cię, że nikt nie rozmawiał przy herbacie u cioci na imieninach o lawetach. Mówiło się: „pomoc drogowa”. Proszę. – Wyciągam z kieszeni mój notes telefoniczny, w którym zapisuję nowo poznane terminy współczesnej polszczyzny. Oraz nazwiska osób publicznych, żeby nie wychodzić ciągle na przybysza z Alfya Centauri.

Pod literą „L” jak byk figuruje Laweta (przyczepa, pomoc drogowa), Lipnicka (Aneta, piosenkarka, ponoć dobra) oraz Lis (Tomasz, jakiś dziennikarz).

Gutner jednym błyskawicznym ruchem nadgarstka porywa notes. Zanim udaje mi się zaprotestować, otwiera go na „A” i zagłębia się w lekturze. Unosi brwi i mruczy coś do siebie przy niektórych hasłach, ale na szczęście się nie śmieje, bo bym mu ten notes odebrał.

Po literze „F” (Felga, Faktura i Fuga) podnosi nagle głowę i pyta:

– Jaka laweta?

– Jaka jaka laweta?

– Jakiej firmy? – Pstryka niecierpliwie palcami.

– Nie wiem. Miałem szczęście, bo akurat przejeżdżała; facet się zatrzymał i od razu polecił mi warsztat blacharski. Do końca tygodnia mają zrobić wycenę. To chyba dobrze...?

Gutner prycha, kręci głową, po czym robi mi wykład o laweciarzach-hienach krążących po mieście z radioodbiornikami nastawionymi na częstotliwości policyjne. Każe solennie obiecać, że następnym razem do niego zadzwonię, zamiast wybierać pierwszy warsztat z brzegu.

Jego palec znowu staje w powietrzu niczym maszt:

– Wszystko, co w życiu dobre, jest z polecenia. Po-le-ce-nia, zakonotowałeś?

– Z polecenia – powtarzam zrezygnowany, bo uświadamiam sobie, że to akurat w szanownej ojczyźnie wcale i zupełnie się nie zmieniło od moich czasów. Nic a nic.

– Bardzo dobrze. Robisz postępy. Wejść z tobą?

Dziękuję, odmawiam, wstaję i otwieram drzwi, zza których Gutner usłyszał, a ja nie, stłumione zaproszenie.

Pokój jest mały i umeblowany jak komisariaty wszędzie na świecie – szary stalowy sejf, szare stalowe szafki na dokumenty, szare stalowe biurko; wszystko skąpane w szarym świetle jarzeniówki pod sufitem. A za biurkiem – kobieta w cywilu. Zupełnie nie szara. Młoda. Z czarną grzywką i końskim ogonem. W obcisłym ciemnoczerwonym kosmatym sweterku.

Bardzo obcisłym.

Podnosi na mnie wielkie brązowe zdziwione oczy z kocim i tylko odrobinę za mocnym makijażem. Kłaniam się uprzejmie i wręczam oburącz wizytówkę.

Uśmiecha się i przyjmuje ją prawie prawidłowo, usiłując przy tym skopiować mój ułkon.

– Pan Robert, tak? Słyszałam od kolegów, że był pan długo za granicą... w Japonii? Muszę panu zdradzić, że jestem zakochana w Japonii. Uwielbiam książki Haruki Murakamiego. Na pewno pan wszystkie przeczytał?

– Nie – odpowiadam. – Znaczy jedną tak, w samolocie.

ノルウェイの森 . Kupiłem na lotnisku, bo tytuł mi się spodobał. Książka trochę mniej.

– Co pan mówi? Proszę koniecznie przeczytać wszystkie! Murakami jest boski... Tak bym chciała tam kiedyś pojechać – rozmarza się i wzdycha głęboko, aż zaczynam się martwić o czerwony sweterek, który wygląda, jakby miał zaraz eksplodować. – Cudowny kraj, taki niesamowicie INNY... Proszę powiedzieć, jak tam było.

Szukam gorączkowo czegoś stosownego, kilku słów na opisanie kilkunastu lat. Czego ona oczekuje – streszczenia połowy życia w jednym zdaniu? Dwóch? Wykładzie? Poemacie?

– Bardzo... ciekawie – zaczynam. – Dużo się działo...

Dziewczyna znowu wzdycha.

– Tak, tak właśnie myślałam... – potakuje z głębokim zrozumieniem.

I zwraca mi wizytówkę, z którą, jak zwykle w takich sytuacjach, nie wiem, co zrobić. Etui na wizytówki już schowałem – przecież nie po to się komuś wręcza wizytówkę, żeby ją oddawał. Wstaję i próbuję wyciągnąć etui z przedniej kieszeni dżinsów, które są ciasne, więc robi się niezręcznie, tym bardziej że ja stoję, a ona siedzi, czyli ma grzywkę na poziomie mojego pępka. Opiera łokcie o stół i przygląda się mojej kieszeni. W zamyśleniu stuka delikatnie końcem ołówka w dolną wargę.

Może na policję przychodzi się ubranym jakoś bardziej formalnie, a nie w dżinsach?

Przechodzimy do spisywania zeznań w sprawie próby kradzieży koła samochodowego przez dziadka ulicznego.

Pani Ewa, bo tak mi się przedstawia, wyjmuje zeszyt w kratkę i zaczyna pisać... ręcznie. Ołówkiem.

Przenoszę wzrok na stojący na brzegu biurka komputer, potem na laptopa sterczącego z jej torebki na parapecie, wreszcie na drukarkę laserową w kącie.

Pani Ewa nie jest głupia, bo od razu wyjaśnia:

– Skończył się przydział papieru do drukarki. Nie mamy budżetu. Tak to u nas jest na policji – wzdycha. – Na pewno u pana, w Japonii, nikt nie spisuje ręcznie zeznań...

Nabieram już powietrza, żeby jej wyjaśnić, że owszem, jak najbardziej, że mimo nadejścia XXI wieku w Japonii zeznania spisuje się ręcznie, na specjalnym urzędowym papierze *genkō yōshi*. Bo taka tradycja, a i trudniej taki dokument potem sfałszować. Ale gryzę się w język. Nie mam serca druzgotać głębokiej wiary w świętą doskonałość Japonii. Pani Ewa ma w sobie coś niewinnego, rozbrajający urok ignorancji i dziecięcy entuzjazm do wielkiego świata, który musi być jednocześnie egzotyczniejszy i doskonalszy niż szary pokój, szare biurko i szara codzienność.

– Pani Ewo – proponuję – może ja wpadnę jutro po południu i przyniosę trochę papieru? Co prawda mój kontener jest jeszcze w drodze, ale nie miałem wyjścia, musiałem kupić drukarkę, tyle spraw było do załatwienia i podań do napisania... Mam chyba dwie ryzy w domu, nigdy ich nie zużyję...

– O, jaki pan miły! – Podnosi głowę znad tekstu. – Ale nie możemy! Mamy zakaz przyjmowania darów od społeczeństwa. Niestety. Takie przepisy.

Kończymy spisywanie zeznań. Pani Ewa czyta je na głos. Tekst brzmi dobrze, prawie literacko i daleko sensowniej, logiczniej, nawet prawdziwiej niż moja beładna opowieść z licznymi dygresjami. Wątek niewłaściwych śrub jest na szczęście pominięty. Na szczęście, bo Gutner przedstawił mi dosadnie, z cytowaniem numerów paragrafów, czym grozi składanie fałszywych zeznań na policji.

Poprawiam tylko w trzech miejscach. Pani Ewa posłusznie skreśla, zmienia, potem jeszcze sama czyta całość, dotyka w zamyśleniu gumką dolnej wargi. W końcu daje mi papiery do podpisu.

Podpisuję. Trochę nie tam gdzie trzeba, bo jestem dziwnie rozkojarzony i zamiast na dokument patrzeć na lekkie zaróżowienie na gumce ołówka, jakby ślad szminki.

Oddaję dokumenty. Pani Ewa wstaje i obciąga sweterek, który zipie już ostatkiem sił. Wychodzi zza biurka. Czuję coś znajomego... wspomnienie po perfumach.

– Opowie mi pan kiedyś o Japonii? – pyta.

– Bardzo chętnie... kiedy tylko pani zechce... Może mógłbym panią zaprosić na japoński obiad? Czy lubi pani *katsudon*?

Pani Ewa podchodzi jeszcze bliżej.

– Nawet dzisiaj? – kontynuuje, coraz szybciej. – Mam w domu żywego Japończyka. Prawdziwego...

Wielkie brązowe oczy robią się jeszcze większe.

– To może jednak zostawię wizytówkę...? – proponuję, sięgając znowu po etui.

– Tak, koniecznie – mruczy, wpatrując się w moją kieszeń.

Światło jarzeniówki odbija się falującą linią od czarnej grzywki.

Wyciągnięcie etui zza ciasnych džinsów nie jest łatwe.

Pani Ewa pomaga.

Ja też jej pomagam.

Inaczej sweterek mógłby eksplodować, a przecież na to nie możemy pozwolić.

*

Przed komendą oślepia mnie światło.

Jest ciepło i prawie wiosennie. Niesamowite, o ile ładniej wygląda świat, kiedy świeci słońce. Mijam grupę młodych ludzi w samych koszulach. Tak odważny nie jestem, ale zdejmuję zimową kurtkę i zostaję w samym swetrze – pierwszy raz, odkąd wróciłem pod krąg polarny, nie jest mi zimno.

Gutner już poszedł, widać nie mógł czekać trzech godzin, aż skończę składać zeznania. A nie, przecież poszedł wspierać językowo Hattoriego. Dobre chłopaki.

Aha, zamek! Miałem kupić zamek do drzwi sypialni.

Macham na taksówkę.

Kierowca jest w moim wieku, chociaż zupełnie nie mojej tuszy – ledwie się mieści w fotelu. Rzucam adres pobliskiego hipermarketu budowlanego. Rusza bez słowa. Jeden z tych małowównych. Za moich czasów byli rozmowniejsi i co trzeci miał doktorat UW, chociaż moja rodzima polibuda też była nieźle reprezentowana w zawodzie. Ciekawych rzeczy można się było dowiedzieć w czasie podróży.

Dzisiaj dowiaduję się tylko z rozrzuconych na siedzeniu ulotek, pod jakim numerem telefonu można dostać natychmiastową pożyczkę. Oraz że pan taksówkarz

ma problemy z trafieniem grubym paluchem we właściwą ikonkę na ekranie nawigacji. Dziabie w nią wściekle. Bez skutku.

– Mogę pana poprowadzić – proponuję uprzejmie, jak za czasów przed-GPS-owych w Tōkyō, gdzie taksówkarze rozumieli tylko trzy słowa: *hidari* (w lewo), *migi* (w prawo) i *massugu* (prosto).

Taksówkarz coś mruczy gniewnie, kręci głową i rusza.

Jedzie trochę trasą dosyć okrężną. Wkracza we mnie duch przekory i zaczynam go prowadzić:

– *Migi*.

– *Massugu*.

– *Hidari*.

– *Massugu!*

Kierowca nie reaguje, więc zabawa szybko się nudzi. Patrę przez okno i zaczynam myśleć o Ewie. Jakoś tak mi się skojarzyła. Nie wiem z czym. Jedziemy Bitwy Warszawskiej i mijamy miejsce, gdzie moje cztery koła zdecydowały się samodzielnie ruszyć w świat. Jak ja osiemnaście lat temu.

Potem w lewo, w Aleje Jerozolimskie, które kiedyś wydawałyby mi się futurystyczną autostradą – cztery pasy, wiadukty, rozjazdy... Dużo zrobiono w tym mieście.

Stajemy przed marketem.

– Ile się należy? – pytam.

Gruby paluch wskazuje licznik: 18,20.

Uśmiecham się, bo ciągle nie mogę się przyzwyczaić do wiary we wskazania licznika. Kiedyś kierowcy używali drukowanych tabel do przeliczania taryfy z użyciem skomplikowanego mnożnika, który zdawał się podwajać raz na tydzień.

Wręczam banknot pięćdziesięciozłotowy, dziękując jednocześnie za podróż.

Taksówkarz kiwa głową, chowa banknot do portfela i czeka, aż wysiądę.

Ja też czekam – aż mi wyda resztę.

Wszystko wskazuje na to, że mogę czekać do końca świata.

Wygrzebuję się z tylnego siedzenia. Czy ja się wreszcie nauczę, że przy wręczaniu zapłaty nie wolno mówić „Dziękuję”? Dlaczego w reszcie cywilizowanego świata kierowcy odpowiadają „Proszę bardzo” albo „To ja dziękuję”, po czym wydają resztę, zamiast uznawać zwykłą uprzejmość klienta za zamiar wręczenia im meganapiwku?

Sprawdzam w portfelu – mam jeszcze pięćdziesiątkę. Starczy.

Przed hipermarketem budowanym – słońce. Uśmiewam się do pana z ochrony. Ten rozbiera mnie wzrokiem pełnym straszliwych podejrzeń, wypatrując ukrytej kieszeni do przemytu gwoźdźcia tapicerskiego, który na pewno ukradnę z działu artykułów metalowych.

Macham mu ręką na do widzenia i ruszam różnym krokiem w stronę Zamków i Okuć. Jestem tu na zakupach czwarty raz i znowu czuję dumę ze swojego kraju. Japończycy powinni się od nas uczyć – takich marketów tam w ogóle nie ma. Podobne widziałem tylko u rodziców, w Stanach. Chociaż gigantyczny Home Depot z narzędziami i materiałami budowlanymi przy West Baseline Road w Tempe w Arizonie też wcale nie był większy ani lepiej wyposażony. Naprawdę nie mamy się czego wstydzić.

Mijam dwie rodziny zaabsorbowane wyborem glazury. Młode, zupełnie nieświadome, że głupie kilkanaście lat temu problem glazury nie polegał na dobraniu koloru do włoskiego gresu na podłogę, tylko wręczeniu odpowiednio dużego pudła czekoladek pani kierownik, żeby dała cynk, kiedy przyjedzie dostawa terrakoty. W barwie uniwersalnej, czyli beżowoburej.

Śmieszne. Przez dwanaście lat szkoły uczono mnie być dumnym z ojczyzny. Nie udało im się. A teraz – jestem. Ale nie z piosenki nad Wisłą i piasków Mazowsza, tylko z głupiego hipermarketu.

Wkładam do koszyka jedną zasuwkę. Prostą, solidną, mosiężną, o konstrukcji niezmienionej od stu lat. W Japonii, Singapurze czy Stanach takie rzeczy coraz trudniej znaleźć – wszystko jest nowoczesne, zawiera mikroprocesor i psuje się po roku.

A co tam, raz się żyje, wezmę dwie. Hattori też kiedyś może mieć... gości.

Kiedy odchodzę od półki, zatrzymuje mnie entuzjastyczny młodzieniec od marketingu zaczepianego:

– Zamki do drzwi? Znakomity wybór! Ale chyba o czymś pan zapomniał? Wiertarka! Bez wiertarki nie ma zamka! Na pewno zainteresują pana innowacyjne wiertarki firmy Guànmù^[1], lekkie, mocne i wytrzymałe! Dziś w promocji...

– Mam cztery wiertarki. I pięć drabin! – uspokajam go.

Maszeruję do kas.

Przed każdą kolejka, a za każdą – śliczna ekspedientka. Zapomniałem, jakie Polki potrafią być atrakcyjne. A może tutaj panują nieuczciwe praktyki przy zatrudnianiu i biorą tylko te najładniejsze? Nawet nie mają za dużych nosów. Czyżbym się

zadomawiał? Od-siąkał, jak by to ujął Gutner? Półtora miesiąca temu wszyscy mieli ogromne nosy. Szczególnie kobiety. Człowiek szedł po ulicy za zgrabnymi plecami i ślicznym karkiem, a potem nagle zwrot – i wielki dziób sterczący agresywnie w moją stronę. Bardzo deprymujące.

Kładę zasuwki na taśmę.

– Można prosić o kod pocztowy? – pyta dziewczyna z uroczą kolekcją piegów.

– Mieszkam niedaleko – odpowiadam, i już sięgam po wizytówki, kiedy coś mi mówi, że ona nie chce się ze mną umówić, tylko kierownictwo prowadzi badania geomarketingowe.

– 02-359 – odpowiadam trochę zażenowany.

Przy wyjściu uśmiecham się znowu do pana z ochrony. Chyba mnie poznaje, bo, o dziwo, też się uśmiecha. Wychodzi mu to trochę krzywo i niepewnie, jakby zmuszał do ruchu dawno nieużywane mięśnie.

Wracam piechotą. Gotówka się skończyła, a bankomat zepsuty. Powinienem był zapłacić w sklepie kartą – nie mogę się przyzwyczaić, że tak można. Ale nie szkodzi. Jest ciepło. Jest słonecznie.

Jest tak, jak miało być od początku.

*

Czwartek, 24 marca 2005

– Hattori-san!

– Robert-san?

– Umiesz gotować?

– Nie umiem! To znaczy umiem trochę.

– A czy to „trochę” zawiera *mābōdōfu*?

– *Mābōdōfu*? – dziwi się przesadnie Hattori, unosząc wysoko brwi i składając usta w ryjek.

– No dobra, słuchaj: wtedy, na komendzie, poznałem taką dziewczynę... studiuje zaocznie prawo i pracuje w policji. Ewa. Fascynuje się Japonią i... chce cię poznać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? Zaprosiłem ją do nas na kolację. W sobotę. Aha, i Gutnera zaprosiłem. Z osobą towarzyszącą, jeśli jakąś ma.

– *Mābōdōfu* umiem, ale to nie kuchnia japońska – stwierdza autorytatywnie Hattori.

– Tak, wiem, że z Chin, ale co nie jest...? OK, to może *chāhan*? Też z Chin, ale jak raz mamy wczorajszy ryż^[2]...

– *Chāhan* to „chińszczyzna”. Z waszych wietnamskich fast foodów. Na tej pani nie zrobi wrażenie.

– Wrażenia. No fakt... masz pomysłu, kolego. – Patrę z podziwem na współlokatora. – No to co zaserwujemy? Ewa pewnie kojarzy kuchnię japońską wyłącznie z sushi... – Wywracam oczy do nieba, a Hattori solidarnie mi towarzyszy.

– Właściwie nie mam nic przeciwko sushi, tylko stąd tu wziąć naprawdę świeżą rybę? – zastanawiam się. – I pewnie nie umiesz lepić sushi.

– Nie umiem – kręci głową Hattori. – A dlaczego nie do restauracji?

– Dlaczego... wiesz, dobre pytanie. No więc... jak mieszkałem w Polsce, dawno, dawno temu, to do restauracji chodziło się tylko od święta, a znajomych zapraszało do domu. Często u kogoś balowaliśmy. Prywatki, balangi, bibencje... po polsku jest dobrych kilka słów na zabawę u kogoś w domu. Po japońsku chyba nie ma na to terminu? Znaczący opisowo można powiedzieć, ale nie jednym słowem?

Hattori skrobie się w głowę w zakłopotaniu i mówi:

– Chyba nie. No to co mam ugotować, Robert-san?

Siadamy na blacie kuchennym i myślimy. Wybór pada jednak na *mābōdōfu*, bo mój zaradny lokator wie, gdzie kupić składniki, i to w naszej dzielnicy, bez jeżdżenia do specjalistycznych sklepów z żywnością azjatycką. A samochodu chwilowo nie mamy.

Wysyłam Hattoriego po zakupy – sam muszę przerobić mieszkanie ze stanu wiecznego remontu na rezydencję godną przyjmowania gości.

Idę do salonu.

Witają mnie nowe meble: szósta drabina i czwarte wiadro. Ale nie to jest najgorsze. Nasza luksusowa konstrukcja do siedzenia z drabin i ochlapanej wapnem deski, ostatnio udoskonalona ręcznikiem, żeby się miękkiej siedziało, zamieniła się w wielką rzeźbę współczesną z półprzeźroczystego plastiku.

Ewidentnie nowa ekipa remontowa uznała ją za najlepszy mebel w mieszkaniu i starannie okleiła folią malarską.

Świetnie. Tylko na czym posadzę gości? Zdzierać folii nie mam serca – to postępek, jakiego mój epicki remont nie zaznał od blisko dwóch miesięcy.

Dzwonię do Gutnera.

To też postępek – myślę, czekając, aż odbierze. – Uczę się dzwonić po radę do

znajomych. Bardzo mądre. Bardzo polskie...

– Gutner?

– We własnej.

– Chciałem cię zaprosić w sobotę wieczorem na kolację, właściwie...

– Parapetówkę?

– Tak. Jest tylko jeden problem...

– Robotnicy wszystko zakleili?

– Tak jest. No właśnie – to parapetówka i z definicji powinniśmy siedzieć na parapetach, ale...

– Parapety też zaklejone?

– Na amen.

– Zaczekaj.

Chwila ciszy. Słyszę mocno stłumiony głos Gutnera po drugiej stronie słuchawki, pewnie zakrytej ręką. I czyjś głos jeszcze, a może to telewizor? Nagle uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, co on robi, z czego żyje, gdzie mieszka, z kim mieszka.

Miękkie stuknięcie, szmer i Gutner wraca na linię:

– Ile osób?

– Tylko cztery. Ty, Hattori, ja i jeszcze pewna...

– Ta z komendy?

– ... Ewa – kończę, nie wdając się w źródła znajomości.

– No to zapraszam do nas. Razem z Pewną Ewą. Nie dziękuj. Raczej przynieś coś do jedzenia. To twoja parapetówka. Ja tylko użyczam parapetów.

*

Jadę starą szosą numer 85 na południowy wschód, z Maricopa do Tucson. Śpieszę się i mocno przekraczam dozwoloną prędkość – wskazówka pływa w okolicach osiemdziesięciu mil na godzinę. Śpieszę się, bo się boję. Boję się, bo nie wiem, dlaczego się śpieszę.

Nie pamiętam.

Usiłuję sobie przypomnieć, czy minąłem już białe mury Ajo i czy następne będzie Why na rozstajach dróg stanowych numer 85 i 86; a może przegapiłem Why, osadę o populacji zbyt małej, żeby zasługiwała na czarną kropkę na ekranie nawigacji?

Ostatni drogowskaz, jaki minąłem, oznajmiał: East of Nowhere. Stał pod nim stary Indianin. Przejechałem trochę za blisko i spowiłem go kłębem kurzu. Zatrzymałem się, żeby powiedzieć „Sorry”, ale kiedy kurz się rozwił, nikogo już nie było.

Jest mi ciasno i niewygodnie. Pochyłam się do przodu i czuję, jak przepocona koszula odkleja się od skóry siedzenia. Samochód jedzie jakby ociężale, mułowato; dociskam gaz do oporu, co niewiele daje, przyśpieszam w glejowatym tempie, a może nie przyśpieszam wcale.

Biorę trochę za ostry zakręt i wjeżdżam na prostą; długą i od lat nieużywaną drogę na wschód, przez pustynię, przez spaloną czerwonym słońcem pustkę doskonałą, na której nie ma nawet dumnych, sonorańskich kaktusów ani wysuszonych na wiór, pędzonych wiatrem krzaków, nie ma w ogóle nic – jadę po szarej kresce na bezkresnym, beżowym polu mapy i boję się, że nie zdążę.

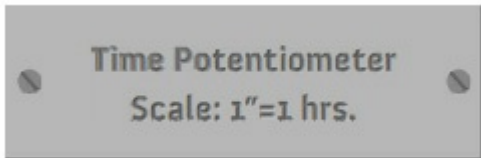
Patrzę w lusterko wsteczne. Samochód wlecze za sobą ogromny warkocz rudego pyłu, powoli rozpadający się w martwym powietrzu.

Przedemną, na poboczu – wrak starego radiowozu. Blachy tak przerdzewiały, że ledwie widać policyjne kolory. Przez chwilę wydaje mi się, że ktoś siedzi za kierownicą, chyba kobieta, ciemne włosy, koński ogon... Zdejmuję nogę z gazu.

Nie, to tylko wyschnięty, zbrązowiały korpus kaktusa, który jakiś dowcipniś posadził na przednim siedzeniu i ubrał w ciemne okulary z wybitymi szybkami i w czapkę bejsbolową, założoną daszkiem do tyłu.

Przyśpieszam.

Próbuję sprawdzić godzinę, ale w miejscu gdzie w desce rozdzielczej zawsze był zegarek, tkwi stalowe pokrętło, jak od jakiegoś precyzyjnego sprzętu laboratoryjnego, z kołnierzem, na którym wygrawerowano drobną tabliczkę. Pod pokrętłem czytam na mosiężnej tabliczce:



Nic mi to nie mówi. Wiem tylko, że się śpieszę donikąd. Może już je minąłem?

Samochodem zaczyna rzucać, więc szybko wracam oczami na drogę. Robi się coraz gorsza, spękany, skruszały asfalt trzęsie samochodem, a grad kamyczków gra nerwowe staccato o blachy podwozia.

Chwytam mocniej kierownicę.

Samochodem szarpie. Walczę o utrzymanie się na drodze, spinam wszystkie mięśnie...

Budzę się z krzykiem.

[1] *Guànmù* 灌木 (chiń.) – krzak (przyp. tłum.).

[2] Robert nie jest skąpy, tylko klasyczny *chāhan* (ryż smażony) robi się właśnie z wczorajszego ryżu. Ze świeżego chyba by nawet nie wyszedł. A wczorajszy i tak się do niczego, poza usmażeniem, nie nadaje. Czyli *win-win* (przyp. tłum.).

Rozdział 3

Sorry, Winnetou

Sobota, 2 kwietnia 2005

Stoję przed trzypiętrową kamienicą koloru czekolady mlecznej i zastanawiam się, czy powinienem poznawać ten budynek. Gdzieś tu niedaleko mieszkał Adaś, mój najlepszy przyjaciel z podstawówki. Sama podstawówka była dwie przecznice dalej.

Teraz absolutnie nic nie wygląda tak jak wtedy.

Ulica Narbutta, wersja 2.0: kostka zamiast chybotliwych, popękanych płyt chodnikowych, odnowione fronty kamienic, domofony, pozamykane bramy wjazdowe do ogródków i stada samochodów okupujące każdy wolny centymetr kwadratowy ulicy, łącznie z tym, co było kiedyś trawnikiem.

Mam nieprzyjemne uczucie zwątpienia w swoją sprawność umysłową albo, co gorsza, we własną przeszłość.

Powinienem tu poznawać każdy kąt. Czy nie po to wróciłem?

Podchodzę do bramy wjazdowej na podwórko zamkniętej wielkimi wrotami koloru czekolady gorzkiej. Stawiam torby z zakupami na ziemi i przykładam oko do szczeliny między skrzydłami wrót. Niewiele widzę w tej pozycji, więc przekrzywiam głowę, aż nos trafia mi w szczelinę i nagle... czuję.

Zapach łuszczącego się lakieru na starym drewnie, pokruszonego tynku, wilgotnych cegieł, zaschlęgo smaru na potężnych, ozdobnych zawiasach. Zapach starej kamienicy.

Wszystko wraca.

Znam tę bramę. Kiedyś ziała tu dziura brakujących drzwi, a za nią, na murze – wielka wyrwa po wybuchu i całe serie śladów po kulach. Dłubaliśmy w nich z Adasiem szczyrnikami w nadziei wykopania historycznego niemieckiego pocisku. Oczywiście niczego nie znaleźliśmy, chociaż kiedyś, przy okazji amatorskich wykopalisk archeologicznych w ogródku, natrafiliśmy na pustą łuskę od karabinu.

Adaś chciał ją zatrzymać. Ja, pomny szkolnych wykładów o niewypałach i niewybuchach, wymogłem na nim zanieśenie łuski do najbliższej budki milicyjnej, naprzeciwko ambasady. Milicjanci mnie fascynowali, chociaż się ich bałem. Funkcjonariusz obejrzał łuskę, schował do kieszeni, po czym kazał nam zwiewać i żeby nas więcej nie widział.

Cofam się o kilka kroków. Patrę wzdłuż ulicy, osłaniając oczy przed popołudniowym słońcem. Budynek ambasady, o dziwo, jest tam, gdzie był. Znikła tylko budka milicyjna – chyba już w ogóle ich nie ma. Znikł też stary, rozpadający się mercedes z owalną tabliczką „CD”, który stał przed ambasadą na czterech piramidkach z cegieł. Dawało się do niego wejść, kręcić kierownicą, zmieniać biegi (ale tylko z jedynki na dwójkę, potem się zaczynały) i przez godzinę być Simonem Templarem. Ewentualnie Arsenem Lupinem.

Wracam do bramy i znowu przykładam oko do szczeliny. Widzę nieco podrapaną, ale otynkowaną ścianę, żadnych dziur; kilka starych mebli i fragment ozdobnego gzymsu pod sufitem, gdzie kiedyś sterczały poszarpane cegły.

Przypomina mi się, jak w pierwszej klasie podstawówki byliśmy na Starym Mieście. Przewodnik demonstrował pomnik – specjalnie zachowany samotny kawałek muru, oznaczonego powstańczymi kulami. Wyjaśnił, że to ostatnia taka ściana w Warszawie. My – oczywiście w śmiech, bo powojenne rany nosiło co drugie podwórko na starym Mokotowie.

Patrę na zegarek – mam jeszcze trochę czasu do spotkania. Może da się obejść dom i wejść na podwórko z drugiej strony. Czy tam jest jeszcze jabłonka, na której bawiliśmy się w samolot?

Wracam do drzwi na klatkę schodową, rozglądam się, usiłuję sobie przypomnieć, z której ulicy można było wejść na tyły podwórka.

Telefon.

– Wejdiesz czy będziesz tak stał przez następny kwadrans? – chrypi przerywanym zasięgiem głos Gutnera.

– Skąd wiesz, że już... słuchaj, to jest denerwujące, kiedy ty zawsze wszystko dedukujesz. Człowiekowi może się zrobić nieswojo.

– Nie dedukuję, tylko widzę. Kamerkę mamy.

Drzwi bzyczą ponaglająco. Popycham je i wchodzę na klatkę schodową. Marmurów tu może nie ma, ale poza tym – wersal. Prawdziwe obrazy na ścianach, dębowa gabłota na ogłoszenia jak antyk z Desy, a na schodach – dywan w kolorach ciemnej czerwieni i starego złota. Przytrzymany na każdym stopniu mosiężnym prętem. Pamiętam z klatki schodowej dzieciństwa mosiężne uszka do takich prętów, wtopione w schody, pozostałość przedwojennego przepychu. Samych prętów, o dywanie nie wspominając, nie widziałem nigdy.

Windy nie ma, więc zdejmuję buty i w samych skarpetkach wspinam się na ostatnie piętro. Jest tutaj bardzo cicho, brak typowego, twardego echa klatek

schodowych.

Na każdym piętrze liczę drzwi – taka gra z dzieciństwa. Najpierw zgadywało się liczbę mieszkań z zewnątrz, oceniając po rozmiarze budynku i liczbie okien, potem wchodziło na klatkę schodową (domofonów wtedy jeszcze nie wynaleziono), liczyło drzwi na piętrach i ten, kto był najbliższy stanu faktycznego, wygrywał.

Tym razem się udało: stawiałem na dwa mieszkania na parterze i po trzy na trzech piętrach – razem jedenaście. I właśnie pod jedenastką stoję, szybko wkładając buty, żeby uniknąć ironicznych uwag Gutnera na temat chodzenia po schodach w skarpetkach.

Dzwonię.

Rozlega się stuk odryglowywanego zamka, ale nie w drzwiach, przed którymi stoję.

Odwracam się, żeby pozdrowić sąsiada z naprzeciwka i widzę w drzwiach pod numerem dziewiątym... Gutnera. Złośliwie wyszczerzonego.

– Czym chata – mówi, zapraszając do środka szerokim gestem.

– Wysłałeś mi SMS-a, że mieszkasz pod jedenastym. – Pokazuję na telefonie.

– Bo mieszkam. Również pod dziewiątym i dziesiątym. Zależy od pory dnia. I kto przychodzi. Wejdiesz w końcu?

Ściągam świeżo włożone buty i oddaję kurtkę Gutnerowi.

– Kwiecień mamy – mówi, macając moją grubą puchową obronę przed klimatem subpolarnym. – Pora się aklimatyzować.

– Pięć lat na równiku rozhartowuje – mruczę, wkładając kapcie.

Kiedy się podnoszę, Gutnera już nie ma.

– Zanieś torby do kuchni! – dobiegają z ciemności za zakrętem słowa wzbogacone lekkim pogłosem. Patrzę do góry – wysokie stropy.

Idę korytarzem do końca i skręcam w lewo, co niestety doprowadza mnie tylko do kolejnego mrocznego przedpokoju i kolejnych drzwi. Cofam się, skręcam dla odmiany w prawo, wchodzę do wielkiej łazienki z wanną na nóżkach, wychodzę z łazienki, przechodzę przez ogromny, półmroczny salon, zastawiony meblami z epoki. Jakiej, nie wiem, ale ewidentnie z epoki. Nawet ściany są wyłożone eleganckim, delikatnie wzorzystym materiałem, podzielonym na wielkie prostokąty listwami z ciemnego dębu.

Za salonem – sypialnia, a w sypialni, nie wiedzieć czemu, wielki, wczesnopeerelowski kredens z orzecha. Za szybami półki uginają się od stosów

talerzy i piramid kubków, poprzedzielanych rządkami stojaków na serwetki papierowe. Porcelana wygląda jakoś niekredensowo, podchodzę – wszystko jest rodem z baru mlecznego Apis czy podobnej instytucji z przeszłości: na kubkach błyszczą granatowe i zielone literki: GS Społem, tu i ówdzie: PZG, cokolwiek by to znaczyło.

Piętro niżej – kurhan aluminiowych sztuców z wybitymi dziurkami w trzonkach. Kusi mnie, żeby wyciągnąć rękę, ale nie chciałbym zostać złapany na grzebaniu w czyimś kredensie, w czyjejś sypialni, więc się cofam i próbuję pójść w prawo, co doprowadza mnie do kuchni, niestety nie tej, co trzeba, bo zamienionej w pracownię.

Zegarmistrzowską? Do długiego wąskiego stołu przykręcona jest mała szlifierka, obok stacja lutownicza, mikroskop, lampa z wielkim szkłem powiększającym, miniaturowa wiertarka w statywie i masa precyzyjnych narzędzi nieznanego przeznaczenia. Tylko zegarków nie widać.

Wracam i w przeblysku inwencji próbuję po kolei wszystkich drzwi w tym najdłuższym, mrocznym korytarzu, chyba głównym, prowadzącym wzdłuż mieszkania, o ile poczucie kierunku mnie nie zawiodło. Wszystkie są zamknięte, z wyjątkiem jednych, za którymi wiszą dwa rzędy ubrań, a pod nimi śpi na starym kocu wielki pies rasy nieokreślonej. Otwiera jedno oko, stwierdza, że to tylko nieznajomy, z poczucia obowiązku stuka dwa razy ogonem w posłanie i wraca do drzemki.

Przysmakam drzwi bardzo delikatnie. Korytarz tu się kończy, więc skręcam w prawo, po czym wypadam na Hattoriego.

Wymieniamy lekkie ukłony.

– Dzień dobry, Hattori-san.

– Dzień dobry, Robert-san.

– Miło mi cię spotkać.

– Aaa. Nawzajem też mi miło.

– Wesołych świąt.

– Ale święta jest w grudniu.

– Są w grudniu. Ale to są inne święta, których w Japonii nie obchodzą. I w ogóle były tydzień temu, ale wtedy przebywałeś poza miastem, a ja o nich zapomniałem, bo się odzwyczaiłem.

– Heee... – mówi Hattori, co po japońsku znaczy: „Ach, jakież to fascynujące”.

Chwila ciszy. Rozglądam się po korytarzu.

– Tak sobie zwiedzam – tłumaczę swoje położenie.
– Jak Robert-*san* skończy zwiedzać, Gutner-*san* mnie wysłał, żeby przyprowadzić.
– Właściwie... niech pomyślę. Tak! Już skończyłem. Poprowadzisz? Nie, czekaj...
czy Gutner mieszka sam?

– Tak, a dlaczego?
– Dlaczego pytam? Bo w czwartek powiedział „zapraszam do nas”. „Nas”, uważasz? W liczbie mnogiej. No nic, prowadź.

Hattori wie mnie do salonu, w którym już byłem i... na balkon. Który okazuje się przeszklony, długi i zakończony jakimś rusztowaniem. Patrząc w dół – podwórko wydaje się małe i zupełnie nie takie, jakie pamiętam. Jabłunki też nie ma. Ani grządek. Chyba nikt nie ma teraz czasu pielęgnować rzodkiewek w środku miasta.

Z balkonu przechodzimy do innego salonu, mniejszego, a za nim już tylko krótki korytarzyk i jesteśmy w kuchni właściwej. Albo jednej z.

– Proszę. – Wręczam gospodarzowi butelkę białego wina.

Gutner mruży oczy i studiuje etykietę. Kiwa głową z uznaniem i wstawia butelkę do lodówki.

– Skąd ten labirynt? – pytam. – Czy to są trzy mieszkania połączone w jedno?

– Jedno plus służbówka. Podzielone na trzy w czterdziestym szóstym. Dekret Bieruta, dokwaterowywania i tak dalej. Gdzie żarcie?

Rozładowuję torby z zakupami i wyjaśniam Hattoriemu:

– Wyobraź sobie, że ktoś włożył całe oszczędności życiowe w remont swojego mieszkania po wojnie, po czym pewnego dnia miasto przejęło to mieszkanie na własność. I przymusowo domeldowywało mu lokatora. Albo dwóch. Zupełnie obcych ludzi, z którymi musiał dzielić mieszkanie. Kuchnię. Łazienkę. Życie. Więc jeśli się dało, właściciel stawiał wtedy gdzieś ścianę, zamurowywał któreś drzwi i robił z jednego mieszkania dwa. Albo i trzy. Koszmar dla takiej rodziny, rozumiesz, bo...

Przerywam. Hattori wygląda na zakłopotanego i robi minę, która w jego części świata oznacza: „Nie śmiem się nie zgodzić, bo byłoby to nieuprzejme, niemniej pozwolę sobie mieć odrobinę inną opinię”.

– Po wojnie było za mało mieszkań? – pyta i słyszę w jego głosie delikatną formę sprzeciwu wobec mojego narzekania na los zamożnych, jak na owe czasy, właścicieli mieszkań.

– No... fakt – zgadzam się. – Ale chyba nie uważasz, że rząd powinien bawić się

w Robin Hooda, odbierać bogatym i dawać biednym?

– Ale to było po wojnie. Bardzo duże zniszczenia. Widziałem na studiach film *Kanał...*

– Dobrze. Ale w Japonii też były ogromne zniszczenia, a nikogo nikomu nie dokwaterowywano. Zresztą gdyby tak zrobili w przeciętnym japońskim mieszkaniu, wszyscy musieliby spać na stojąco. Nie, wasz rząd budował jakieś przytułki, prawda? Pomagał najbiedniejszym odbudować się, przynajmniej tymczasowo?

Hattori potakuje bez przekonania.

Może ma rację. Nie wiem, nie było mnie wtedy na świecie. Na temat pewnych spraw niebezpiecznie jest mieć opinię, jeśli się ich samemu nie doświadczyło.

Odwracam się do gospodarza, który stoi z założonymi rękami oparty plecami o lodówkę i przysłuchuje się z wielkim zainteresowaniem naszej rozmowie.

– Jak to było z twoim mieszkaniem? – pytam.

Gutner pociera nasadę nosa i mówi:

– Nie moim. Ja się nim tylko opiekuję. Psem też. Robię mu dogsitting dzisiaj wieczora. Co? Tak, oprowadzę cię potem. Odpowiem na wszystkie pytania. Gratis. Tylko najpierw wrzućmy coś do garnka.

Rozkładałam zakupy na blacie kuchennym. Hattori wyciąga z teczki kartkę z wydrukowanym przepisem na *mābōdōfu*.

– Internet? – pytam.

– Od mamy – odpowiada z dumą. – Robi bardzo dobre, bardzo ostre. Jak naprawdę po chińsku. Tam gdzie napisane: „HK” to są moje notatki. Po polsku dla wprawy.

Mābōdōfu

Składniki:

- Mięso mielone – może być każde, ale najlepiej wieprzowina. 500 g, jeśli na 4 osoby, mam nadzieję, że znajdziesz tam przyjaciół!
- Tōfu – 1–2 opakowania, jak kto lubi (**HK: 2**)
- Suszone, czerwone chili – jak ktoś lubi ostro. A wiem, że ty tak lubisz! (**HK: ja lubię, ale Polacy się robią bardzo czerwoni i kasłają. Chyba mają alergię na ostre.**)
- Czosnek – od 3 do 6 ząbków, jak kto lubi (**HK: 3**)

- Świeży korzeń imbiru – trochę
- Olej sezamowy
- Olej zwykły
- Sos sojowy (**HK: w sklepie na dole jest Kikkoman na szczęście!**)
- Miso (**HK: w sklepie pytać: „pasta miso”**)
- Nihonshu lub białe wino (**HK: na nihonshu mówią „sake”. Jest drogie i niezbyt dobre. Zastąpić białym winem. Tanie i dobre. Kupić butelka, do potrawy trochę, reszta wypić za zdrowie mamy).**
- Por – jeden, ale zależy, jak duże są w tej Polsce oraz jak kto lubi
- Cebula zwykła – 1 sztuka
- Mąka ziemniaczana
- Pasta syczuańska (**HK: shisen noodle sauce w hala Gwardii. Gutner mówi „Dawna hala Gwardii”**).
- Przyprawa chińska (**HK: można kupić u normalnych sklepach!**)

Jak zrobić:

1. Na patelni rozgrzej olej zwykły i sezamowy.
2. Wrzuć rozdrobnione chili (**HK: ja daję z pestkami, ale tutaj bez, bo w pestkach jest cała ostrość**).
3. Dodaj drobno posiekany czosnek i imbir. Smaż, aż czosnek prawie zacznie brązowieć. Ale nie pozwól mu mocno zbrązowieć, bo zrobi się gorzki.
4. Dodaj drobno posiekaną cebulę. Smaż, aż będzie szklista.
5. Dodaj mięso i smaż, dobrze mieszając, aż całość straci kolor surowego mięsa.
6. Dodaj przyprawy, najpierw sake/wino (**HK: można wtedy wypić pierwszy kieliszek za zdrowie mamy**).
7. Następnie sos sojowy i pastę syczuańską (2–3 łyżki) i przyprawę chińską też.
8. Niech to się tak dusi 15 minut (pod przykrywką).
9. Dodaj pastę sojową (2–3 łyżki) i pokrojone w kostkę tōfu i duś dalej 10 minut – na małym ogniu oczywiście.
10. Dodaj drobno posiekanego pora i podduś jeszcze trochę, aż będzie miękki.
11. Dopraw mąką ziemniaczaną, żeby potrawa się zagęściła (**HK: ale żeby nie zrobił się glut jak za pierwszym razem! Bardzo uważać!**)
12. Smaczno! (**HK: Jeśli podczas gotowania nie wypijeś całego wina, możesz resztę podać gościom, ale jak gość jest Gutner, to musi być dobre wino**).

– Jeśli będziesz ciągle podzerał ten sos w imię próbowania, to niewiele zostanie dla gości – sugeruję Gutnerowi.

– Nie czepiaj się – szczerzy zęby. – Lepiej powiedz, jak ci idzie szukanie pracy.

– A, dziękuję, świetnie. Znaczy powoli. Wysłałem aplikacje, nikt nie odpowiedział. Zadzwoiłem do paru firm – nawet nie chciały przyjąć mojego CV. Nie rozumiem tego. Dziś go nie potrzebują, ale przecież kiedyś mogą potrzebować? A ja im daję siebie za darmo. Na talerzu, że tak powiem. Piętnaście lat doświadczenia zawodowego, cztery języki, dwie nagrody za projekty dla...

– Czyli nie szukasz pracy – stwierdza Gutner, w zamyśleniu testując sos palcem wskazującym.

– Jak to nie szukam?

– A szukasz?

– No przecież mówię...

Gutner wzdycha teatralnie i wyciera palec ręcznikiem, po czym ustawia go w pozycji na sztorc.

– Jak szukasz pracy na ćwierć gwizdka, to znaczy, że jej nie szukasz.

– Jakie ćwierć gwizdka? – Robię się naprawdę zły. Siadam i rozpinam guzik pod szyją.

Gutner siada naprzeciwko mnie i zaczyna:

– Ile wczoraj wysłałeś CV?

– Wczoraj akurat żadnego, ale w zeszłym tygodniu...

– W który dzień tygodnia wychodzi dodatek „Praca” w największej polskiej gazecie?

– Ja raczej przez internet...

– Na ilu portalach pracy masz aktualny profil?

– Właściwie to prawie aktualny, właśnie miałem...

– Kiedy są następne targi pracy?

– Targi...?

– Do ilu headhunterów się zgłosiłeś?

– A żebyś wiedział, że się zgłosiłem! – udaje mi się w końcu przebić przez ogień maszynowy pytań. – W dwóch dużych agencjach...

– Aha. W dwóch z dwudziestu. Ćwierć gwizdka. Ergo: nie szukasz pracy. *Q.e.d.*

Zapada niezręczna cisza. Nie wiem, co powiedzieć. Hattori próbuje ratować

sytuację:

– Ja też nie szukałem pracy. Ale Gutner-san mnie nauczył.

– No i czego cię nauczył? – pytam zrezygnowany.

– Bardzo trudno powiedzieć po polsku. – Hattori patrzy na Gutnera, prosząc o pomoc.

– Kolego R.: dziewięćdziesiąt siedem procent ludzi szukających pracy jej nie szuka. Może szukali – przez pierwsze kilka tygodni. Potem sobie odpuścili. Taka wewnętrzna rezygnacja. I już tylko im się wydaje, że szukają roboty. Normalne. Mechanizm obronny. Nasz mózg boi się myśli, że jesteśmy niechciani i nieudolni, więc sprytnie zamiata cały temat pod dywan świadomości. Niestety, na tym cierpią rezultaty. A liczą się re-zul-ta-ty, rozumiesz? Rezultaty są prostą funkcją ilości pracy w nie włożonej. Praca w tym mieście jest – kontynuuje. – Raczej ludzi brak. Tylko trzeba szukać na pełen gwizdek. Powinieneś wysłać dziesięć cefałek dziennie. Być zarejestrowany wszędzie i jeszcze w paru miejscach. Uruchomić sieć znajomości...

– Ja tu nikogo nie znam – wtrącam.

– Mnie znasz – stwierdza Gutner i idzie pogmerać w garnku wielką drewnianą łyżką.

– Akurat znam... – mruczę. – A w ogóle jak wy się poznaliście?

Hattori ożywia się na perspektywę zmiany nieprzyjemnego tematu:

– Gutner-san uratował mi życie!

– Eee tam – żacha się Gutner, w wyniku czego na ścianie powstaje ciekawy wzór z sosu.

Hattori wstaje wytrzeć.

– Twój lokator wpadł na genialny pomysł, żeby rzeźbić w imporcie dla polskiego byznesmena. – wyjaśnia Gutner. – Bez podpisanej umowy. Byznesmen go wykiwał, oczywiście. Ja tylko spowodowałem, żeby już więcej nikogo nie wykiwał. Nie wyglądaj tak zaszokowanie. Żywota mu nie ukróciłem, tylko zmieniłem tymczasowo adres. Nawet niedaleko stąd. Ma tam trzy darmowe posiłki dziennie i dużo wolnego czasu. A właśnie. Posiłek. Macie coś do przegryzienia, zanim ta breja w garnku dojrzeje?

Wyciągam z torby chipsy.

– To nie był zły człowiek – wtrąca Hattori. – Tylko chyba nie rozumiał biznes.

– Oj, rozumiał, przyjacielu. – Gutner, z pełnymi ustami, chwytając Hattoriego za kark i robi mu masaż na szybko. – Aż za dobrze rozumiał. To ty paru rzeczy nie

rozumiałeś.

– Coraz więcej rozumiem! – woła Hattori, usiłując się wyrwać spod żelaznego uchwytu oprawcy.

– Tak jest! – Gutner puszcza ofiarę. – Na pewno więcej od kolegi R. Który chodzi wiosną po ulicach w stroju polarnika i usiłuje wtopić się w tłum. Nie nadymaj się, kolego R., tylko otwórz wino.

– Chyba zapominasz, że ja jednak jestem stąd. Bardziej stąd niż myślisz – mruczę pod nosem, szukając w szufladzie korkociągu.

– Właśnie dlatego że stąd jesteś – mówi za mną Gutner – niczego nie rozumiesz. Hattori tu przybył z nieskażonym umysłem. Szybko się uczy. Dlaczego powiedziałeś, że bardziej niż myślę?

– Znam tę kamienicę.

Gutner zamiera. Odwraca się i patrzy na mnie bez ruchu. Robi mi się nieswojo.

– Naprawdę...? – mówi ze sztucznym zaciekawieniem i przygląda mi się spod lekko spuszczonej powiek, jakby czekając na moją reakcję.

Myślę szybko, co znowu powiedziałem nie tak; skąd to spojrzenie, jakbym właśnie zaparkował mój latający spodek na rogu Narbutta i Sandomierskiej.

– Mój przyjaciel z podstawówki mieszkał dwieście metrów stąd.

– No proszę. Stare kąty. Lata siedemdziesiąte? – Gutner się rozluźnia. – Pewnie się nieźle zdziwiłeś. Duże zmiany?

– Tak. Nie... Znaczący, trudno powiedzieć, bo nigdzie nie można wejść. My chodziliśmy stąd aż do Wiśniowej samymi podwórkami. Teraz... wszystko pozamykane. Domy jak twierdze, tylko fos brak. Ciekawe, gdzie się bawią dzieciaki?

Gutner przygląda mi się z lekko przekrzywioną głową i lekkim uśmiechem. Znowu robi mi się niezręcznie.

– A ty? Długo tu mieszkasz? – pytam szybko.

– O mnie innym razem – mówi Gutner i zdejmuję fartuch. – Nakrywamy do stołu. W dużym salonie. Sam się tym zajmę. Chcesz coś pożyczyć do czytania? Musimy ci zacząć przyzwyczajać do nowego. Przygotowałem ci kilka lektur obowiązkowych. Na stoliku. Hattori, pokaż mu bibliotekę, co?

Idziemy znajomym korytarzem, ale tym razem w lewo i do sporego pokoju, umeblowanego dla odmiany bardzo współcześnie i minimalistycznie. Nie licząc rozświetlonej zachodzącym słońcem pstrokatej płaszczyzny różnokolorowych grzbietów – całej ściany zabudowanej regałami, jak w czasach kiedy ludzie czytali

jeszcze książki.

Przekrzywiam głowę i przeciągam palcem po grzbietach. Dużo klasycznej *science fiction*, potem trochę ogólnej beletrystyki. Dalej – coś o minerałach i kamieniach szlachetnych – nie, cała sekcja książek na ten temat – i znowu *science fiction*, tym razem polskie. O, a tutaj podręcznik masażu azjatyckiego. Otwieram i kiwam głową przecząco – szkoły tajskiej nie lubimy.

– Robert-san interesuje się masażem? – pyta Hattori, zaglądając mi przez ramię.

– Skończyłem szkołę masażu w Tōkyō – odpowiadam. – Jeszcze na studiach.

– Może to dobra praca na początek? – sugeruje Japończyk.

– Masz na myśli tutaj, w kraju? Zawodowo? Nie, dziękuję. Masażysta musi służyć wszystkim klientom, nawet jak są niedomocy albo nie używają dezodorantu. Nie, to było tylko hobby, dla przyjaciół. Mogę ci kiedyś zrobić masaż, jak chcesz. Europejczykom nie robię, bo się spinają, a spiętych mięśni nie wolno masować, tak uczyła nasza szkoła.

– Dlaczego spinają?

– Nie wiem. Chyba nie znoszą, jak ich dotyka inny mężczyzna. Taka nasza homofobia kulturowa.

Wracam do półki z książkami.

Szukam czegoś znajomego z dawnych lat, przynajmniej Lema, może Fiedlera czy Nienackiego, ale bez większych sukcesów. Rozglądam się za stolikiem, o którym mówił Gutner – jest.

Sapkowski? Nie mam pojęcia, kto to. Okładka sugeruje *fantasy*, gatunek, za którym nie przepadam. Latające smoki i księżniczki? Nie, dziękuję. Poza Pratchettem, oczywiście.

– To bardzo dobre książki – mówi Hattori.

– Naprawdę czytałeś je po polsku? Brawo!

– Pomagałem słownikiem. To bardzo ciekawy autor. Baaardzo polski. Nie wszystkie sytuacje rozumiem. To jest o bohaterze Wiedźmin. Bardzo... *romantic*? Taki... polski *rōnin*.

– No dobra, to ja też spróbuję.

Sprawdzam, który tom jest pierwszy w serii, i odkładam na bok.

Hattori idzie pomagać Gutnerowi przy stole, a ja przeglądam resztę odłożonych dla mnie książek.

Andrzej Pilipiuk, *Weźmiesz czarno kure*. Nic mi to nie mówi. Kolejne nazwisko, które

pewnie znają wszyscy poza mną.

O, pierwszy tom *Winnetou*. Nareszcie coś znajomego. Kiedyś znałem tę książkę na pamięć. Moi rodzice też byli fanami. Kiedy mama kupiła mi z pierwszej pensji konia na biegunach (miałem chyba trzy lata), nazwała go Swallow. Jak koń podarowany przez Winnetou Old Shatterhandowi. A w drugiej klasie podstawówki miałem już sztucer Henriego. Strzelał korkiem na sznurku, ale zawsze.

Siadam na podłodze, otwieram na chybił trafił i zaczynam czytać.

Po kilku stronach sprawdzam, czyje to tłumaczenie, bo nic nie brzmi tak jak kiedyś.

Gorzej – nie wciąga. Proza taka sobie, do tego lekko irytująca naiwnością. May nigdy nie był Kafką ani Bułhakowem, ale teraz nawet nie wytrzymuje porównania z Dumasem czy Verne’em, jeśli już wkraczamy na obszary popularne.

Jeszcze gorzej – denerwują mnie rażące błędy merytoryczne na temat Arizony, Apaczów i życia westmanów, których nota bene nikt tak w Stanach nie nazywał ani nie nazywa. Jak ja mogłem się tym fascynować?

Gutner wchodzi do pokoju i zastaje mnie w stanie konfuzji.

– Straciło urok, co? – pyta.

– Skąd wie... mniejsza. Specjalnie mi to dałeś, prawda?

– Ja wszystko robię specjalnie.

– A po co?

– A dlaczego straciło urok? – odpowiada pytaniem.

– Słuchaj, jak czytałem *Winnetou* w wieku lat dziesięciu, to było... okno na świat.

Od tego czasu ja to okno zbiłem i przez nie przelazłem.

Moi rodzice mieszkają w Arizonie. Byłem tam wiele razy. Kiedyś na dłuższych wakacjach, pięć miesięcy między pracami. Robiłem kurs pilota, ale zjeździłem też samodzielnie dużą część południowego zachodu: Kalifornia, Arizona, Nowy Meksyk, Nevada, Utah, Colorado; raz nawet zapuściłem się w Nebraskę. Prerie. Spałem w namiocie na prerii. Mam znajomych Indian, głównie Apaczów, bo ich w Arizonie najwięcej. Zawsze kupuję piwo na stacjach benzynowych w indiańskich rezerwach, bo taniej. To wszystko nie jest tajemnicze, romantyczne ani egzotyczne. I nijak się nie ma do Ameryki z książek Maya. Przecież on nawet nigdy nie był na Dzikim Zachodzie! Tu są tak ewidentne bzdury...

– *Winnetou* się nie zmienił – stwierdza filozoficznie Gutner. – Lepiej idź do kuchni i spróbuj sosu. Ta twoja Ewa się spóźnia.

Odstawiam przyjaciela młodości na półkę, obok reszty książek Karola Maya. Zamieszkującej, nie wiadomo dlaczego, sekcję *science fiction* i *fantasy*.

Sorry, Winnetou.

*

Leżę w ciemności na moim ogromnym materacu i czekam. Z łazienki dobiegają odgłosy kąpieli.

Przeciągam się i rozkładam szeroko ramiona. W mojej pierwszej japońskiej sypialni dotknąłbym obiema dłońmi ścian. A tu jest szeroko. I pusto. Aż za pusto.

No nic, czekamy.

Szum wody się urywa, piecyk czka basowo, jak zawsze kiedy gaśnie gaz. Słyszę drobne odgłosy łazienkowej krzątaczki i coś jakby cichutką melodię, nuconą wysokim głosem.

Już za chwileczkę, już za momencik...

Skrzypią uchylane drzwi łazienki. Plaśnięcie nagej, drobnej stopy i szurnięcie kaptura.

Kroki.

Radośnie parujący Hattori w różowym szlafroku włącza światło.

Zakrywam oczy ramieniem.

– Robert-san! Jak się czujesz? Chcesz łufę? Bardzo zdrowo!

– Może być łufa – mówię zrezygnowany. – Tylko daj mi najpierw skorzystać z dobrodziejstw cywilizacji, czekałem pół godziny, aż wyjdiesz z łazienki...

Kiedy sam wychodzę parujący, ciasno owinięty szlafrokiem, Hattori wręcza mi zmrożoną szklaneczkę żubrówki. Siadamy w kuchni, bo Gutner pożyczył nam parę plastikowych stołków, a w salonie – chaos pierwotny.

– Tego nauczył kolega z pracy w Tōkyō – wyjaśnia Hattori. – On był z Turcji. Ale jego żona jest Japonka. On lubił wieczorem sauna i potem łufka. Żubrówka z zamrażalnika. Bardzo zdrowo. Ale tylko jedna łufka, bo on był islamem!

– Muzułmaninem. Coś ty taki dziś wesoły, Hattori?

– Bo Robert-san niewesoły. Dlaczego?

– Dlaczego. Dlatego, że... – przerywam, szukając słów.

– Aha – odpowiada Hattori z pełnym zrozumieniem.

– Co aha?

– Pani Ewa.

- No nie wyszło. Zdarza się. Nalej jeszcze.
- Dlaczego...go nie wyszło?
- Hattori, co ty o niej myślisz?
- Pani Ewa? Bardzo miła. Bardzo.
- Ale głupia?
- Ale... miła. Nie każdy musi być geniusz. Czasem miły i uprzejmy ważniejsze niż inteligentny i mądry.

Hattori patrzy na mnie przez chwilę, żeby sprawdzić, czy zrobił odpowiednie wrażenie wykwinnością swojej polszczyzny i czy nie zacznę go znowu poprawiać. Kiwam z uznaniem głową.

- OK, może geniusz nie, ale czy nie miałeś wrażenia, że ona na ciebie patrzyła jak na łakomy kasek, w ogóle cię nie znając? Ani nie próbując poznać? Tylko dlatego, że jesteś z Japonii? Nie czułeś się jak apetyczne sushi na talerzyku? Hattori-*zushi*?

Hattori się śmieje z poczucia obowiązku, ale twardo broni Ewy:

- Bo ona się bardzo interesuje Japonią.
- Wcale się nie interesuje. Interesuje się mangą i anime i myśli, że to jest cała Japonia. Że kuchnia japońska to sushi oraz sushi. Że cała literatura japońska to Murakami.

Jeździ na te wszystkie konwenty fanów, ale jak jej spróbujesz opowiedzieć coś o życiu w Tōkyō, cokolwiek, co nie jest zgodne z jej wyobrażeniem, szybko zmienia temat. Zauważyłeś? Jakby się bała dowiedzieć czegoś nowego.

Spróbuj jej opowiedzieć o górze Asama. Stracisz jej uwagę po trzech sekundach, bo to nie jest góra Fuji. Tradycyjne hotele w górach nie są ciekawe, bo nie są kapsułkowe. Podróże pociągiem wzdłuż wybrzeża Chūgoku są nudne, bo to nie shinkansen, tylko pociąg wolniejszy niż ten z Warszawy do Krakowa.

Mówię ci, że ona jest głupia krowa. Czasem musisz uwierzyć autochtonowi.

- Robert-*san* jest zły, bo Ewa-*san* nie smakowało *mābōdōfu* – stwierdza autorytatywnie Hattori i wstaje zrobić herbaty. – Za ostre. Polacy nie lubią ostre. Ale za to było śmiesznie, kiedy powiedziałem o przekręcie.

Nie mogę się powstrzymać – zaczynam się śmiać. Faktycznie, Hattori stwierdził z dumą przy kolacji, siedząc, jakby nie było, obok pracownicy policji, że „zrobił dzisiaj przekręt”. Próbowałem go kopnąć ostrzegawczo pod obrusem w kostkę, ale kopnąłem tylko Gutnera, który postanowił zrobić to samo.

Okazało się, że w słowniku Hattoriego „przekręt” oznacza „interes”. Zostało to

skorygowane wśród powszechnej radości.

To była jedyna wesoła chwila.

Nie wiem, co ja widziałem w tej Ewie. Gutner chyba od razu ją zniełubił, kiedy wparowała do przedpokoju w nieco za ciasnej, koronkowo-falbaniastej sukience Hello Kitty, piszcząc „*kawaii!*” na widok psa, który akurat zrobił sobie przerwę w drzemce i przyszedł sprawdzić, czy już dają jeść.

Ogromny kundel znajomych Gutnera nie jest *kawaii*. Jest stary, leniwy, filozoficzny i lekko bezczelny, ale na pewno nie *kawaii*. Trzeba mieć dobrze pomieszanę w głowie, żeby uważać Bertranda za coś słodkiego i wzruszającego. Niestety, dla Ewy świat jest w ogóle *kawaii*, a Japonia najbardziej.

Japonia nie jest *urocza*. Japonia po prostu jest.

Dokładnie tak jak Polska.

– A w ogóle dlaczego ty jeszcze nie śpisz? – pytam Hattoriego, który dmucha w kubek z herbatą. – Nie masz jutro spotkań od rana?

– Jak ktoś smutny, trzeba się porozmawiać. I ponapić.

– Dobra. Ponapijmy się. Ja też nie mogę spać.

– Bezsenność w Warszawie?

– Masz naprawdę bogate słownictwo, Hattori-san.

– Dziękuję, Robert-san. To z książek i filmów.

– No fakt, mówiłeś przy kolacji. O co to jeszcze cię Ewa pytała? Aha – czy lubisz polskie dziewczyny. Nie odpowiedziałeś.

– Lubię. Ale one są bardzo różne.

– Jak różne?

– Niektóre bardzo miłe i spokojne. Jak moja była dziewczyna. A inne są agersywne.

– Agresywne. Dlaczego agresywne?

– No, chcą mnie od razu...

– Aha. Dlaczego mnie się to nie zdarza? Musisz mnie poznać z paroma z tych co agresywniejszych. I chyba trzeba jeszcze wypić. – Wstaję wziąć z zamrażalnika butelkę, a z drzwi lodówki karton soku jabłkowego.

– A tak dla zmiany tematu: jaki jest twój ulubiony polski film?

Hattori skrobie się w głowę i wciąga z zakłopotaniem powietrze przez zęby, bo sam nie wie, czy *Popiół i diament*, czy *Człowiek z marmuru*. *Nóż w wodzie* plasuje się na trzecim miejscu.

Pogrążamy się w dyskusji o wyższości Wajdy nad Polańskim albo na odwrót, wszystko jedno. Dochodzi czwarta rano i mój mózg powoli przygotowuje się do przejścia w tryb *offline*.

Co nie przeszkadza mi wymieniać się z Hattorim cytatami z *Misia*.

Absurd sytuacji, w której Japończyk śpiewa o czwartej rano w mojej kuchni: „Łubu-łubu, łubu-dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu!”, docenię zapewne dopiero jutro, po pierwszej aspirynie.

*

Poniedziałek, 4 kwietnia 2005

Zwlekam się z łóżka o dziesiątej i zaczynam dzień od bolesnego kontaktu stopy z czymś twardym, ostrym w plastikowej torbie na podłodze. Podnoszę – zasuwki do drzwi sypialni.

Idę wrzucić je na pawłaczu. Może się kiedyś przydadzą.

Na blacie w kuchni – listy.

Rozdzieram kopertę jedyne, który nie wygląda jak rachunek. Rzadkość. Kto jeszcze pisze papierowe listy?

Zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną.

Próbuję sobie przypomnieć, co to za firma, czy odpowiedziałem na konkretne ogłoszenie o pracę, czy to przez jednego z... jak się teraz nazywają łowcy głów? Mam: agencje doradztwa personalnego.

A więc ktoś się mną zainteresował. Chociaż nie wysyłałem dziesięciu cefałek dziennie.

Robię sobie kawę i siadam do komputera. Czego nie lubię. Bo wypadałoby sprawdzić wiadomości. Problem w tym, że ja nie chcę wiedzieć, co się stało na urlopie u Bolka-*san*, że Zosia-*san* wyszła za mąż, a sąsiedzi w Arizonie pomalowali dom na zielono. I co o tym wszystkim sądzi reszta świata.

Mam dość własnych spraw i nie mam na to czasu. Jestem bezrobotny.

Trudno, nie można być pustelnikiem. Mail. Mama? Nie. Jakiś Karol. Pewnie spam.

Otwieram i cytam:

Cześć, Robert!

Jak się masz? Słyszałem, że wróciłeś do kraju. Znalazłbyś czas na jakieś małe piwko? Będzie o czym gadać! A może u nas? Norbert ma już dwa lata. Załączam fotkę.

Pozdrówka

Karol

Ani imię, ani adres mailowy nic mi nie mówią. Fotografia dwuletniego szkraba tym bardziej. Odpisuję:

Cześć, Karol,

kopę lat! Fajnie, że się odezwałeś. Jasne, piwko brzmi dobrze. Tylko nie w tym tygodniu, bo mam strasznie dużo roboty po przeprowadzce do kraju... Odezwę się w przyszłym, OK?

Trzymaj się!

Robert

Mam właśnie kliknąć „Send”, kiedy w ostatniej chwili zawieszam palec w powietrzu. Przyznać się, że nie wiem, kto to? Głupio jakoś. W moją pamięć zwątpiłem ostatnio więcej niż raz. Co się ze mną dzieje? Na pewno jakiś znajomy... Skąd? Jak się dowiedział, że wróciłem? Wyraźnie mnie zna i nie próbuje mi nic sprzedać, nawet nie zachęca do łaskawego przyjęcia przelewu na piętnaście milionów funtów po zmarłej ciotce, żonie dyktatora Ugandy.

Nic to, na pewno w następnej wymianie maili coś się wyjaśni. I rozjaśni.

Dodaję jeszcze „wiesz, jak to jest” po słowach: „dużo roboty po przeprowadzce do kraju...”. Jeśli mi odpowie, że owszem, wie albo nie, nie wie, to mi pomoże ustalić, czy znam go stąd, czy stamtąd.

„Send”.

Biorę się do czytania o firmie, która mnie zaprasza na rozmowę. Duża, z kapitałem francuskim. Dostawca usług internetowych na terenie całego kraju. Brzmi

zachęcająco. Może będą podróże służbowe? Dobrze by się było wyrwać z Warszawy.

Napisać czy zadzwonić? W liście podają adres mailowy i telefon, prosząc o kontakt. Nigdy w takich wypadkach nie wiem, co jest właściwsze.

Decyduję się na telefon. Pewne rzeczy są chyba uniwersalne.

– Dzień dobry, nazywam się Robert Brakat. Czy mogę mówić z panem Dzielińskim?

– A można wiedzieć, w jakiej sprawie?

– W sprawie personalnej.

– Niestety, musi pan powiedzieć, czego ma dotyczyć rozmowa.

– Przecież powiedziałem... Personel? Nie wiem, jak to się teraz... kadry? Kadrowy?

– Rozumiem, że chce pan mówić z działem HR. W takim razie mam przyjemność poinformować, że wszystkie oferty pracy są na naszej stronie internetowej. Życzę miłego...

– Ale ja dostałem od państwa list! Z prośbą o kontakt!

– To dlaczego pan od razu tak nie powiedział? Mówił pan, że to w sprawie osobistej – pada ze słuchawki po chwili obrażonej ciszy. – Proszę o nazwisko rekrutera.

– To będzie – sprawdzam w liście – tak jak prosiłem na początku: pan Dzieliński...?

Kobieta przełącza mnie bez słowa.

Czekam długo. Angielska melodyjka ludowa, która ma relaksować oczekujących, nie spełnia swojego zadania.

Z Dzielińskim rozmowa jest już na szczęście konkretna i umawiamy się szybko – dostaję termin na środę rano.

Rozłączam się. Jest mi gorąco i zeszytniałem od nieruchomej pozycji przy telefonie.

Jeśli nie umiem się dogadać z recepcjonistką, jak mi pójdzie na rozmowie o pracę?

Ruszam do łazienki, bo zaraz przyjdą robotnicy.

Po prysznicu biorę się do mopowania podłogi, a przynajmniej tych jej kawałków, które nie są zaklejone folią malarską. Niby wczoraj odkurzałem, ale podłoga nie może być za czysta.

Kończę moją sypialnię i wchodzę do pokoju Hattoriego. Na ścianach pojawiły się pierwsze oznaki zadomowienia – wycinki prasowe i zdjęcia. Dużo zdjęć. Czuję się

trochę jak szpieg, ale nie mogę się oprzeć. Odstawiam mop, kucam i przyglądam się. Rodzina? Przyjaciele? Dziewczyna?

Nic z tych rzeczy. Jest co prawda jedna fotka Hattoriego, młodszego o dobre dziesięć lat, w mundurze swojego sportu narodowego – bejsbolu. Natomiast na całej reszcie zdjęć, głównie wyciętych z czasopism – Claudia Schiffer. Claudia w sukni, Claudia w bikini; Claudia na koniu, Claudia na plaży; Claudia ze szminką L'Oréal, bo jest tego warta.

Czyżby Hattori miał fetysz dwumetrowych blondynek z niebieskimi oczami? Jeśli tak, to trafił do dobrego kraju.

Ja mam wprost przeciwne upodobania gabarytowe i kolorystyczne. I też dobrze trafiłem.

Ale potem wróciłem.

*

Siedzę przed namiotem na wielkiej, trawiastej równinie i próbuję zrozumieć, czy to Japonia, może Hokkaido, czy gdzieś w Stanach. Arizona? Nowy Meksyk? Północny Teksas?

Mijają mnie jacyś ludzie. Twarzy nie widzę, tylko oddalające się tyły głów. Wszyscy ubrani w identyczne salarymańskie garnitury i każdy niesie w garści karabin. A może sztucer myśliwski. Coś z długą lufą.

Ludzi jest coraz więcej – opływają mój namiot jak skałę w środku strumienia i wylewają się rzeką na równinę, formują idealnie precyzyjne szeregi.

Zaczynam szukać swojej broni i nie znajduję. Cofam się do namiotu. Jest to indiański wigwam, bardzo kolorowy, jak w parkach tematycznych. Denerwuje mnie to, bo wigwam na południu jest jak igloo na Saharze. Arizona to kraj wikiupów, szałasów z kopulastymi dachami ze splecionych gałęzi, a nie wigwamów. Chcę o tym komuś powiedzieć, zażądać korekty, ale jestem sam, zupełnie sam.

W środku wszystko pokrywa półprzeźroczysta malarska folia. Jakby namiot został zakonserwowany do czasu powrotu prawowitych właścicieli. Nie, jest jeden obiekt nieprzykryty folią: drewniana skrzynka nakryta ozdobną chustą, jakby miniołtarz, na którym leży biała, płytka, okrągła czapeczka z miniaturowym ogonkiem na szczycie. Nie wiem, co oznacza, ale omijam ją z szacunkiem, odruchowo się kłaniam i czuję, jak gardło ściskają mi emocje, chociaż nie umiem ich nazwać i nie wiem, czy to lęk, żal, czy tylko rezygnacja.

Hanging on in quiet desperation is the Polish way?

Zaczynam podnosić folię.

Szukam sztucera.

Szukam w narastającej panice. Nie mogę sobie przypomnieć, jak wygląda, czy w ogóle coś takiego miałem; ktoś mnie woła, ale nie jestem pewien, czy na pewno mnie.

Słyszę, jak ludzki strumień przybiera na sile, salarymani ocierają się o napięty materiał wigwamu, zawadzają czarnymi lakierkami o pochyłe drągi, boję się, że go zgniotą, że cała struktura runie mi na głowę.

Wychodzę i dołączam do marszu, cały czas czując brak sztucera, czując się bez niego pusto i nago. Wiem, że zaraz ktoś zauważy moją niegotowość i skończy się to źle; jak, nie wiem, ale źle.

Jestem już daleko w prerii, kiedy widzę armię przeciwną. Ubraną identycznie. Zamiast broni palnej mają u pasków długie, lekko zakrzywione miecze.

Oglądam się, chcę wrócić do wigwamu. Nie widać go już – za mną faluje morze szarych, prążkowanych marynarek i nagle zdaję sobie sprawę, że jestem w pierwszym szeregu, dokładnie tam gdzie nie chcę być, i że już po mnie. Może mam przynajmniej rewolwer? Macam się po bokach. Ręka trafia na miecz – katanę. Nie wyciągam go nawet, nie chcąc się ośmieszyć.

Słyszę suche, wysokie trzaski i nie wiem, czy to oklaski, czy wystrzały.

Po chwili hałasy przybierają na sile, rozbrzmiewa narastająca kawalkada, tysiące strzelających salarymanów zgrywa się w jeden wielki rytm karabinu maszynowego.

Świat dostaje przedśmiertnych drgawek.

Budzę się.

– Ja bardzo przepraszam niepokoić pana inwestora – mówi skąpana w białym pyłe głowa – bo my kuli ścianu w salonie i troszku się mur popękał... Ale my naprawim!

Rozdział 4

Ja, ryba

Środa, 6 kwietnia 2005

Nowoczesny budynek biurowy nie różni się niczym od tych, które mógłbym zobaczyć w Tōkyō czy Singapurze. Szukam jakiegoś polskiego akcentu, czegoś swojskiego, słowiańskiego i chociaż trochę innego od tysięcy tamtejszych recepcji, bramek, wind oraz żółtych stojaków ostrzegających o mokrej podłodze.

Nic. Nawet napisy na stojakach są po angielsku.

Nie wiem, dlaczego jest to rozczarowujące. A nie, wiem: bo czy człowiek po to jedzie na drugi koniec globu, żeby znaleźć się w tym samym miejscu? Może za daleko pojechałem i świat mi się zapętlił.

Pocieszam się nadzieją, że rozmowa o pracę też nie okaże się specjalnie inna. Samo tłumaczenie CV na polski było wyzwaniem – nie znam rodzimej terminologii własnego zawodu. To będzie moja pierwsza praca w Polsce.

Nie licząc chałtur na studiach i dwutygodniowej kariery barmana w klubie jazzowym.

Dochodzi dziewiąta. Armia pracowników przepływa miarowym strumieniem przez bramki zatraskujące się w nerwowym pośpiechu po każdym przejściu. Jak w metrze tokijskim.

Wszyscy po kolei zbliżają zawieszoną na szyi kartę do czytnika bramki, oddając przy tym ukłon bramce. Bardzo azjatycko.

Ciekawe, że nie są ubrani w garnitury.

Syntetycznie czerwona, chromowo-pseudoskórzana sofa jest нефизjologicznie niska i zmusza do siedzenia na kości ogonowej albo wyciągnięcia nóg przed siebie – wtedy blokuje się drogę do recepcji. Poprawiam pozycję po raz trzeci i zakładam nogę na nogę celem odciążenia drętwiejącego pośladka.

Po prawej siedzi młody człowiek w źle dopasowanym garniturze. Kandydat? Tak sądzę, bo studiuje w napięciu swoje CV, jakby się go próbował nauczyć na pamięć. Mimowolnie zapuszczam żurawia. Informatyk, projektant stron internetowych. Czyli nie do końca konkurencja. Wyciągam swoje CV z teczki pożyczonej od Hattoriego.

Określiłem się w języku ojczystym jako „projektant interfejsów ludzkich”, co brzmi idiotycznie, ale nic lepszego w sieci nie znalazłem. Wiem, że „*human factor*

„engineering” to „ergonomia”, ale przy „human interface” jeden automatyczny tłumacz się poddał, zwracając wersję angielską, a drugi zaproponował: „człowiek międzytwarz”. Podobne bzdury dostałem przy „user-centered design”, „usability” i „interaction design”.

Chowam papiery.

Mój sąsiad nadal studiuje swoje. Ma delikatną cerę z dziewiczymi rumieńcami i cienkie włosy spięte w długi koński ogon. Na skroniach kręca mu się drobnymi lokami. Gruba wełniana marynarka wygląda, jakby ją pożyczył od młodszego brata. Poci się w niej okrutnie – znowu ociera czoło.

– Pan na rozmowę o pracę? – pytam. – Robert. Bardzo mi miło.

– No, na wywiad. Skąd pan wie? Pan z HR-ów?

– Z kogo? Aaa, nie, nie. Ja też na wywiad. Domyśliłem się, bo ma pan krawat. Tu chyba nikt krawatów nie nosi? – Wskazuję na wzbierającą ludzką rzekę, spiętrzącą się przed głodnymi gardłami bramek. Jest za dwie dziewiąta.

Młody człowiek czerwieni się już nie tylko na policzkach, ale i na szyi. Poprawia węzeł krawata, co skutkuje jego przekrzywieniem. Próbuje się nie uśmiechnąć i spuszcza wzrok. Na nogach ma buty robocze znanego producenta koparek. Na szczęście czyste.

Zmieniam pozycję, bo znowu zdrętwiałem.

Rozmawiamy o nadchodzących rozmowach.

Dziewiąta dwadzieścia. Podchodzi do nas rekruter (chyba ode mnie młodszy, ale już łysiejący, w garniturze, ale bez krawata) i zaprasza na rozmowę. Szczerzy się przy tym w uśmiechu, czego nie powinien robić, bo ma ostre, szpiczaste zęby, jak u rekina. Albo szczupaka. Tak, po dodaniu cienkich, ale dziwnie wysuniętych do przodu warg wygląda zdecydowanie szczupaczko.

Kłaniamy się po kolei bramkom i jedziemy na czwarte piętro.

Prowadzi mnie na koniec korytarza, na jego wewnętrzny róg właściwie, do idealnie sześciennego salki spotkań, której wszystkie ściany i nawet część podłogi są ze szkła. Akwarium. A ja – kolorowy japoński karp, egzotyczna rybka do podziwiania przez pracowników zakręcających tutaj w boczny korytarz. Wszyscy zwalniają, po czym szybko odwracają wzrok, żebym nie pomyślał, że się na mnie gapią.

Kilku przystaje, kiedy wręczam wizytówkę.

Powinienem zacząć sprzedawać bilety.

Siadamy. Padają pierwsze pytania. Brak mi słów, zacinam się, opowiadając

o przeszłych projektach, w których wszyscy mówili po japońsku albo angielsku. Zaczynam się mentalnie kopać w kostkę, że nie czytałem przez ostatnie kilka miesięcy stron biznesowych i nie łyknąłem zdrowej porcji *business Polish*. W którym, jak się zdaje, co drugie słowo jest angielskie. Ale niestety nie wszystkie i próbując polonizować w biegu angielskie terminy, wiem, że się ośmieszam. Jak rodacy, którzy po rocznym pobycie w Stanach mówią po polsku z akcentem i wrzucają angielskie słowa w każde zdanie.

Szczupak zdaje się nie zauważać rozterek językowych aplikanta. Potakuje, pochyla błyszczącą, płaską łysinę, robi kaczy dziób z cienkich warg w wyrazie uznania dla moich osiągnięć.

Zaplątuję się w odpowiedź dotyczącą projektu dla singapurskiego portalu społecznościowego. Usiłuję wytłumaczyć, co to jest ergonomia. Rozpraszają mnie ludzie zaglądający do akwarium. Rozprasza mnie brak zrozumienia, jeśli nie zainteresowania, ze strony mojego rozmówcy. Przerywa mi raz po raz, zadając pytania, których celem jest chyba tylko wybicie mnie z toku myśli. W końcu odkłada notatki i przerywa w momencie, kiedy miałem wreszcie dojść do roli projektanta interfejsów ludzkich.

– Tak, znakomicie, to chyba nam wystarczy... Teraz chciałbym sprawdzić pana znajomość języka angielskiego. Proszę mi opowiedzieć, czym się pan zajmował u swoich poprzednich pracodawców. Zakres obowiązków, ukończone projekty...

Mówi to po angielsku.

Po bardzo kiepskim angielsku. Udaje mu się wsadzić trzy błędy w jedno zdanie, o koszmarnym akcencie nie wspominając. Rodzajników postanowił chyba nie używać dla zasady, bo żaden jego rzeczownik nie jest opatrzony *a* ani *the*.

Wydaje z siebie oddech ulgi, co szczupak odbiera jako oznakę nerwów. Postanawia nagle być przyjazny i troskliwy. Wyjaśnia, jeszcze bardziej połamaną angielszczyzną, żebym się nie stresował, że na tym stanowisku nie będę musiał mówić jak rodowity Anglik czy Amerykanin.

– Bardzo mnie to cieszy – odpowiadam. – Wie pan, chociaż studiowałem ergonomię na amerykańskim uniwersytecie w Tōkyō i od blisko dwudziestu lat na co dzień mówię po angielsku (dawniej częściej po japońsku, ale ostatnio wie pan, Singapur – była kolonia brytyjska), to faktycznie rodowity nie jestem.

Szczupak wybałusza na mnie oczy, otwiera zębatą paszczę i wykonuje nią lekkie kląpnienie, ale nie wydobywa żadnych dźwięków. Tylko w mojej głowie wypuszcza mały, zaambarasowany pęcherzyk powietrza.

Zagłębiał się w historię kariery.

Po kwadransie zaczynam się niepokoić. Przerywam. Pytam, czy on z kolei mógłby mi opowiedzieć o sobie.

Robi minę, jakby nie rozumiał, co to znaczy „o sobie”. Może nie wolno takich pytań zadawać w czasie rozmów kwalifikacyjnych?

– A, ma pan pytania. Jasne. Chętnie odpowiem, ale już po polsku... Nie mówię tak dobrze jak pan...

– To co robisz, bubku nadęty, przepytując ludzi z języka, który ledwie znasz? – tego nie mówię, bo nie jestem samobójcą i potrzebuję pracy.

Kiedy wstaję, powiew klimatyzacji mrozi mi przyklejoną do pleców koszulę. Przed Akwariem pływa nerwowo we własnym pocie mój znajomy z parteru. Życzę mu powodzenia i szepczę:

– Nie martw się, ten człowiek nie ma pojęcia o ergonomii i ledwie duka po angielsku!

Chyba przestraszyłem chłopaka jeszcze bardziej. Nie wiem dlaczego. Widzę, jak ociera jeszcze raz czoło i zawija ogonem marynarki, wślizgując się do akwarium.

Szczupak szczerzy paszczę w powitalnym uśmiechu.

*

– Jak poszedło?

– Poszło. Nie wiem i wolę nie wiedzieć.

– Dlaczego?

– Myślałem, że idę na rozmowę o pracę, a okazało się, że to tylko wstępny odsiew płotek za pomocą sieci o dużych oczkach.

Hattori robi jeszcze większe oczka, więc próbuję powiedzieć to samo po japońsku, ale okazuje się, że nie wiem, jak jest „płotka” i zapomniałem, jak jest „sieć”. Rybacka, bo komputerowa to oczywiście „*nettowaaku*”.

– Teraz dopiero jestem umówiony na wywiad drugiego stopnia, z przyszłym szefem – tłumaczę. – Za tydzień.

– Aaa. Rozumiem. To w takim razie trzeba znaleźć coś ciekawie na ten tydzień – stwierdza Hattori, energicznie odskrobując zaschniętą farbę z szyby.

– Ciekawego. Bo...?

– Bo Robert-san żeby się nie zdenerwowywał.

– Ja się nie zdenerwowywam! – sapię, atakując z furią białe jezioro zastygłe na

klepce w rogu pokoju. – Słuchaj, za chwilę będę miał aż nadto ciekawie: kontener dotarł do Gdańska.

– Ja pomogę rozpakować!

– Dziękuję. Naprawdę, dziękuję, ale nie wiem, czy to do końca dobry pomysł, bo tam jest osiemnaście lat mojego życia...

– Nie będę zaglądał – zapewnia Hattori. – Tylko nosił.

Podnoszę na niego wzrok. Skończył właśnie szorować okno balkonowe i siedzi zmęczony pod ścianą. Odkładam szczotkę i też siadam – na wiadrze. Rozpinam sztywny roboczy fartuch – artefakt po jednej z ekip historycznych. Ogarniam wzrokiem pokój.

Folia zdjęta, ściany pomalowane. Podłoga, niestety, też. Może im się folia podziurawiła albo podwinęła, nie wiem; ale wzdłuż ścian ciągnie się gruba, łamana, miejscami podwójna linia rozprysków. Zakaz parkowania mebli.

– Hattori, gdzie ty mieszkałeś, zanim... – Nie kończę, bo jeśli czegoś mnie nauczyło osiemnaście lat w Azji, to tego, że każdemu trzeba pozwolić zachować twarz. Namiot pod mostem musi przejść do niebytu.

– Mieszkałem w mieszkaniach!

– Aha. Sam czy ze współlokatorami?

– I tak, i bez. Najpierw sam, potem z kolegami. Ale to było drożej.

– Z lokatorami chyba taniej?

– Tak myślałem, ale okazało się drożej.

– No coś ty... nie mów, że od ciebie brali więcej niż czynsz za całe mieszkanie...?

– To nie byli źli ludzie – mówi Hattori i zabiera się do dalszego czyszczenia okna.

No tak, na sucho z niego więcej nie wydobędę. Zmieniam temat:

– Chodź, zamówimy wietnamszczyznę.

– *Phở*?

– Na *phở* trzeba by jechać do miasta, a ja nie mam sił. Makaron Smażony à la Różne Kraje Azji z Polskim Wsadem Kapuścianym?

– Dobra. Ja dziś płacę.

– A skąd ty w ogóle masz kasę, Hattori?

– Robię przekręty z Gutnerem.

– Masz na myśli interesy.

– Tak, interesy.

– Ale takie bardziej uczciwe? – upewniam się.
– Bardziej uczciwe.
– To dobrze. A podatki płacisz?
– Oczywiście płacę! – Hattori przygląda mi się, jakbym zdjął skafander kosmiczny, a nie fartuch.

Tak patrzyli na mnie Japończycy w Japonii, ostatnio Polacy w Polsce, a teraz Japończyk w Polsce.

- Masz zachlapane – wtóruje moim myślom Hattori.
- Przechlapane.
- Nie, zachlapane. – Wskazuje na moje spodnie. – Farbą.

*

Poniedziałek, 18 kwietnia 2005

Stoję za palmą w korytarzu windowym i studiuję biznesowy savoir-vivre w akcji. Przepuszczanie pań. Szybkie zadzieranie głowy do góry, co ma chyba oznaczać „Cześć”. A właśnie – „Cześć” zostało chyba zastąpione przez „Hej” z jego odmianami rodzajowymi: „Heja” i „Hejka”.

Jeżeli już pojawia się staropolskie „Cześć”, to w przypadku spotkania znajomego wracającego po urlopie czy innym, dłuższym braku kontaktu. I jest wtedy zawsze poprzedzone „no”:

– No cześć.

Jest jeszcze wersja na pożegnanie, którą rozróżniamy po dodaniu kluczowego wyrazu „to”:

– No to cześć.

Uczę się szybko. Robię notatki. Chcę się wtopić w tłum. Coś, co w Azji było kompletnie, totalnie niemożliwe.

Ale teraz pora jechać na górę. Dochodzi dziewiąta.

Wchodzę ostatni do dość pełnej windy. Chociaż w Tōkyō spokojnie zmieściłoby się do niej jeszcze z pięć osób.

Stajemy na pierwszym piętrze. Wsiadają dwie osoby, mrucząc:

– Dziękuję.

– Dziękuję – odpowiadają wszyscy letargicznie.

Drugie piętro.

– Dziękuję.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Trzecie piętro...

Wygląda na to, że przyjechałem do najuprzejmniejszego narodu świata. Uczcie się, Japończycy.

Wysiadam na dziewiątym. Po drodze podziękowałem osiemnastu osobom za zaszczyt spędzenia z nimi przemyślnych dwudziestu pięciu sekund w windzie. Zajmie trochę, zanim to zrozumieć.

Idę do pokoju nr 94, gdzie powinno na mnie już czekać biurko. Szefowa powiedziała, że niejaka Tonia wprowadzi mnie do projektu.

Wchodzę.

Pokój jest czterobiurkowy. Projektant wnętrz powinien dostać nagrodę specjalną za pomieszczenie idealnie wyzute z osobowości. Wszystko jest w wesołym kolorze jasnoszarym, z odważnymi wstawkami w tonacji nieco ciemniejszej szarości. Tylko ogród botaniczny na, pod i wokół jednego z biurk nadaje pomieszczeniu nieśmiałą nutę osobistą.

Naprzeciwno wejścia, przy oknie, siedzi puchacz. Nastroszony, z czarno-siwą szpeciniastą brodą, czarno-siwym jeżem na głowie, okularami w grubej czarnej oprawie i wielkimi, bladymi oczami. Nad oprawkami krzaczą się brwi. Czarno-siwe. Nic nie mówi, obraca tylko powoli głowę – dużą, osadzoną na mięsistych ramionach – kiedy przechodzę do swojego biurka. A przynajmniej mam nadzieję, że mojego – jedyne z białym niezawalonym papierami.

Rzucam ogólne powitanie w stronę pokoju i usiłuję zidentyfikować Tonie. Domyślam się, że jej biurko jest po prawej – to z doniczkami. I szklaną kulą, wielką jak globus, ze złotą rybką pływającą wytrwale w kółko. Nie, z trzema rybkami. Dwie czarne na dnie wyglądają, jakby miały ochotę zjeść tę złotą.

Wspomniana Tonia spóźnia się do pracy dwadzieścia minut. W międzyczasie witam się z moim imiennikiem. To młodzieniec z końskim ogonem i rumieńcami, ten, z którym czekaliśmy na rozmowę kilka tygodni temu. Ma już komputer i usiłuje z niego odinstalować jakieś zabezpieczenia firmowe, które uniemożliwiają mu pracę. Komputer nagradza go raz po raz ciekawymi kolorami ekranu, wśród których przeważa niebieski. Robert mieli w zębach przekleństwa i strumień epitetów pod adresem różnych skrótów trzyliterowych.

Wpada zadyszana Tonia. Jest w wieku mniej więcej mojej mamy, może o kilka lat młodsza i kilka kilogramów szczuplejsza. Zdejmuje w biegu wielką chustę z ramion

i rzuca celnie na wieszak przy wejściu.

– Jesteś Robert! – oznajmia triumfalnie i przyciąga do mnie krzesło.

– Tak – odpowiadamy, ja i Robert.

Tonia zabiera się do wprowadzania mnie w arkana projektu, nad którym mam pracować. Słucham grzecznie i nie przerywam. Po dziesiątym niezrozumiałym akronimie postanawiam się ujawnić:

– Antonino...

– Mów mi: Tونیu.

– Tونیu, nie wiem, czy szefowa cię poinformowała, ale ja nie jestem web deweloperem.

– A czym, rybionku?

– Projektantem interfejsów ludzkich. Znaczy, jak będziemy mieli już spisane wymagania klienta i profil użytkownika, to ja powinienem zrobić analizę procesów i pomyśleć, jak człowiek będzie się komunikował z maszyną, a maszyna z człowiekiem. Wtedy zacznę szkicować interfejs, używając metod zorientowanych na użytkownika – wyjaśniam dumnie, bo cały tydzień studiowałem polską terminologię. – Chcemy mieć takie ekrany, elementy graficzne, funkcjonalności przycisków i komend, logikę obsługi i tak dalej, żeby użytkownik rozumiał przekazywane informacje, szybko się uczył, jak najmniej mylił i miał po prostu przyjemność z pracy. To prowadzi do mniejszego zmęczenia i większej efektywności. – Zagrzewam się do tematu. – Zawsze mnie fascynowała ludzka strona technologii – jak dobrze dane narzędzie jest dopasowane do indywidualnych potrzeb, możliwości i umiejętności osób, które je będą...

– Znaczy nie jesteś informatykiem? – przerywa Tonia.

– Znaczy...

Robert zatrząskuje ze złością ekran, wstaje, wzdycha i podchodzi do Toni.

– To ja jestem nowym web deweloperem – mówi, rumieniąc się po uszy.

Tonia się cieszy i zabiera krzesło, razem z sobą, do Roberta.

Zostaję sam w pokoju pełnym ludzi, którzy są czymś bardzo zajęci. W przeciwieństwie do mnie. Biorę się do czytania kodeksu pracownika.

O dziesiątej Puchacz się budzi z letargu i przywołuje mnie do swojego gniazda pod oknem.

– Widzę, że nie masz co robić – mruczy basem.

– Czekam na jakieś wprowadzenie... orientację?

– Kretyni nic ci nie przygotowali. To typowe. Komputera pewnie też nie masz. Typowe.

– Szefowa...

– Szefowa nie wie, co robimy. Nikt nie wie. Fatalna organizacja pracy. Fatalna.

– Ale...

– Przyciągnij krzesło. Spróbuję cię trochę powdrażać. Pracowałeś w Azji? Jak cię tam nazywali?

– W pracy Robert albo Robert-san, przyjaciele Robu-san...

Puchacz się na chwilę odstrosza i szczyrzy zęby, co prawdopodobnie ma oznaczać uśmiech, pierwszy raz od dwóch godzin. Czyli zostałem Robu-san. Znowu.

Wdrażanie składa się głównie z tłumaczenia Puchaczowi, co ja tak naprawdę robię. Łapie to szybko, nie przestając narzekać na pracę, politykę i pogodę.

Wdrażanie zostaje przerwane o jedenastej wkroczeniem do pokoju Szefowej. Znam ją już z rozmowy wstępnej; chociaż z tego jednego, godzinnego spotkania wyniosłem głównie jedno wrażenie: jest nieśmiała i jakby wiecznie speszona, może tym, że prowadzi zespół, będąc w nim najmłodszą. W każdym razie była, dopóki nie zatrudniła Roberta informatyka. Ile ona może mieć lat? Na oko ze trzydzieści. Chociaż z Europejkami nigdy nic nie wiadomo.

Szefowa obchodzi pokój i ściska wszystkim po kolei dłonie. Jakby się ze wszystkimi witała pierwszy raz w życiu albo przynajmniej nie widziała ich od miesiąca. Robię mentalny wpis do mojego *Savoir-vivre polonais*, edycja 2005.

Zostajemy zwołani do nieszczęsnego akwarium. Puchacz usadza się w rogu, fukając groźnie i strosząc się jeszcze bardziej – wyraźnie nie jest tutaj w swoim żywiole. Szefowa wstaje, odchrząkuje i zaczyna:

– Chciałabym, żebyście powitali... Roberta...?

Załoga przenosi spojrzenia ze mnie na imiennika i z powrotem.

Szefowa prosi oczami o pomoc Puchacza.

Ten celuje we mnie palcem i mruczy:

– Robusan.

Obraca głowę i wskazuje drugiego Roberta:

– Młody.

Szefowa robi wydech ulgi i kontynuuje:

– No... widzę, że się szybko asymilujecie, tak? Tak. Znakomicie. Chciałabym, żebyście im maksymalnie pomogli. Tonia, ty zostaniesz mentorem Robe...

Robusana. – Patrzy na mnie przepraszająco. – Konrad, ty zajmiesz się Ro... Młodym?
– Już zaczęliśmy, Basieńko, ale na odwrót – huka ponuro Puchacz.
– Tak... Tak. Na odwrót. Znakomicie. Na odwrót. Tonia – Młody. Konrad – Robusan. Dajcie im, proszę, wszelkie wsparcie, wiecie, jakie mamy terminy. Tak? Tak. A właśnie – terminy. Tonia, jak tam twoje kamienie...?

Patrzę na Tonię ze współczuciem.

Tonia wcale nie wygląda na chorą, wprost przeciwnie – tryska energią. Po chwili już rozumiem, że nie chodziło o kamienie nerkowe, tylko milowe – główne daty w projekcie. Wyciągam notes i zapisuję pod „K”.

Po Toni głos zabiera Puchacz, żeby ponarzekać na wyżej wymienione kamienie, jak również wszelkie inne aspekty naszego projektu; potem Młody stwierdza, że nic nie może zrobić z powodu SQL, XML, PHP, P2P, ABC i DDT, jeśli dobrze zapamiętuję akronimy, których nie nadążam zapisywać.

Moja kolej. Zostaję zaproszony do przedstawienia się.

– Nazywam się Robert Brakat, jestem projektantem interfejsów ludzkich. Studiowałem na Politechnice Warszawskiej, potem na Jōchi Daigaku w Tōkyō, Katedra Inżynierii, ze specjalizacją ergonomia i użyteczność...

Kiedy kończę, zamiast na mnie, wszyscy patrzą na Szefową. Z dość oczywistym pytaniem w oczach: do czego i po co mnie zatrudniła? Szefowa ewidentnie nie jest pewna, ale wie, że będę Wartościowym Ogniwem Zespołu.

Wszyscy też mają taką nadzieję. Ze mną na czele.

*

Trzynasta dwadzieścia. Poszedłem na lunch w kiepskim nastroju, bo nikt nie chciał mi towarzyszyć – wszyscy zajęci i zabiegani. Trochę mnie to niepokoi. Jeść trzeba. Przynajmniej Puchacz obiecał iść ze mną jutro.

Wracam za to w nastroju świetnym – były naleśniki z serem, prawie tak dobre jak w barze mlecznym „Biedronka” na Grójeckiej. Jadę windą z minus jeden na dziewiąte. Spóźnieni lunchowicze wysiadają na kolejnych piętrach, dziękując sobie za zaszczyt wspólnej podróży. Po siódmym zostaje już tylko ja i wysoka, chuda dziewczyna w okularach, z „Księgowość” wypisanym na twarzy, wczytująca się w zawartość grubej teczki. Wysiada na dziewiątym. Zderzamy się w drzwiach. Teczka się rozsypuje.

Rzucam się podnosić kartki i przepraszać ze wszystkich sił. Dziewczyna zbiera

w końcu wszystko do kupy i biegnie do swojego pokoju.

– Panie się przepuszcza w drzwiach – mruczy nade mną bas. Puchacz.

– Wiem, przepraszam, ja się muszę na nowo nauczyć manier... Widzisz, w pierwszym roku w Japonii, kiedy czekałem, aż na moim piętrze kobieta wyjdzie pierwsza, to ona też czekała, bo tam pierwszy wychodzi mężczyzna. I tak sobie czekaliśmy, aż drzwi windy się zamykały i z powrotem zjeżdżaliśmy na parter. Więc się musiałem nauczyć szarżować do drzwi pierwszy...

Puchacz wyszczerza do mnie zęby. Daje mi lekkiego kuksańca, wsiada do windy i znikną. Nie wiem, co to ma znaczyć. Pewnie mi nie uwierzył.

Wracam do pokoju. Z głębi korytarza macha na mnie Szefowa. Zaprasza do swojego biura na podpisanie jakiegoś świstka.

Zatrzymujemy się, kiedy zza zakrętu wychodzi gładko ogolony, szpakowaty pan w prążkowanym garniturze i żółtym krawacie w groszki. Pierwszy krawat, jaki dziś widzę, nie licząc własnego. Szefowa mówi:

– Robert, chciałam ci przedstawić naszego prezesa, tak? Adam, to jest Robert Brakat. Robert jest projektantem interfejsów użytkownika. Będzie pomagał przy multiportalu...

Prezes słucha z syntetycznie uprzejmym zainteresowaniem.

– Robert przyjechał do nas z Singapuru.

Prezes unosi brwi w wyrazie autentycznego zaciekawienia i uznania, mierzy mnie wzrokiem od butów (rano wypastowanych) po fryzurę (wczoraj przyciętą), szukając elementów charakterystycznych dla singapurczyków.

– Mów mi: Adam – rozkazuje, ściskając mocno moją dłoń.

– Tak, panie pre...

– Adam.

– Robert... bardzo mi miło. – Sięgam po wizytówkę i przypominam sobie, że firmowych jeszcze nie mam, a trochę głupio wręczać prywatną. Jeszcze głupiej mówić prezesowi na ty.

Szefowa zamienia jeszcze kilka słów z prezesem. Czekam grzecznie.

Potem idziemy podpisywać papiery. Dużo papierów.

Włącznie z zaświadczeniem, że odbyłem szkolenia BHP, których nie odbyłem, ale szefowa chce, żebym się szybciej wdrażał w projekt.

Przekręt. Hattori by się ucieszył.

Sobota, 23 kwietnia 2005

– Czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem. – Pracownik firmy przewozowej, któremu sięgam do ramienia, celuje palcem w ostatnie pudło, dając mi do zrozumienia, że więcej nie będzie. – Co do zniszczeń, proszę wypełnić ten formularz.

– Jakich zniszczeń?! – pytam.

– Potencjalnych – odpowiada olbrzym, stukając niecierpliwie długopisem w formularz. – W przypadku, znaczy się. Proszę podpisać. Tu. Nie, nie tu – tu. Czytelnie!

Pudła wyglądają tak samo jak pół wieku temu, kiedy je pakowałem. Nic nie wydaje się rozerwane ani zgniecione, więc podpisuję i zamykam za nim drzwi. Idę ogarnąć moje królestwo.

Salon jest zastawiony trzema rzędami tekturowych pudeł o różnych rozmiarach, w większości poustawianych jedno na drugim. Między pudłami mam do dyspozycji dwie ulice równoległe, jedno skrzyżowanie z poprzeczną i ślepy zaułek przy kaloryferze. Są jeszcze wąskie alejki pod ścianami, ale tam nie odważam się jeszcze zapuszczać. Ruszam w pierwszą ulicę i parkuję na niewielkim placu koło ronda z Pomnikiem Pudła. Wysokie i pionowe. Patrzę na nalepkę: nr 26. Zawartość szafy z ubraniami? Nie pamiętam. Trzeba wydrukować moją bazę danych, czyli arkusz excelowy pod tytułem: *Gdzie Co Jest*.

Wrzucam wsteczny i powoli wycofuję się do korytarza, kiedy spostrzegam wgniecenia i zacieki na jednym z pudeł. Nie, na kilku. Tektura jest pofalowana i odbarwiona. Zalało? W kontenerze? Jak?

Dzwonię do firmy przewozowej.

Okazuje się, że kontener stał przez dwa miesiące na nadbrzeżu w Hamburgu i mógł „minimalnie przecieć na wskutek wpływu czynników atmosferycznych niezależnych od przewoźnika”. Ale: „dostał pan formularz ubezpieczeniowy? To proszę wypełnić i odesłać, a my się wszystkim zajmujemy.”

Do domu wpada Hattori ze zmierzwionym włosom i maszeruje z zaciśniętymi pięściami prosto do swojego pokoju. Zatrząskuje drzwi, trochę za mocno. Po chwili otwiera je i zamyka jeszcze raz, już ciszej. Nowość: wkurzony Hattori.

Wychodzi po chwili i przeprasza.

– Bo byłem w urzędzie do cudzoziemców. Bardzo nieuprzejmi, bardzo! Dlaczego?! Zapomniałem paszport. To jestem przestępca? Nie mogę iść do domu przynieść?!

– Hattori-san – uspokajam – w Tōkyō też nie są w urzędzie imigracyjnym najsympatyczniejsi. Mógłbym ci opowiedzieć parę historii...

– Ale tam przychodzą różni nielegalni Koreańczyki i panienki! I sami są nieuprzejmi dla urzędnika! A tutaj byłem ja! Bardzo grzeczny! Ja nie jestem panienka! Ani Korea!

– Nie jesteś Korea – zgadzam się na wszelki wypadek. – Często cię biorą za Koreańczyka?

– Zwykle za Wietnamczyka – burczy Hattori. – Jak pokażę paszport japoński, dopiero nagle wszyscy są uprzejmi.

– Słuchaj, to trochę normalne, ludzie tacy są...

– Nie ludzie, Polacy! Przepraszam. Ty też jesteś Polak. Ale nie do końca. Przepraszam! Nie chciałem obrazić.

– Ależ nie obraziłeś, Hattori, nareszcie z ciebie wyłazi jakaś zdrowa frustracja moim krajem! Czekałem na to od dobrego miesiąca. Tyle się znamy, miesiąc, prawda? Czyli kopę lat.

Hattori patrzy na mnie, jakbym spadł z księżycą.

Domyślam się, że w jego pojęciu znajomy od miesiąca to *de facto* obcy, ewentualnie obcy z potencjałem zostania znajomym, bo od przyjaciela dzieli go jeszcze pół stulecia i małe jezioro sake.

– Pomogę z pudłami – mówi ponuro.

– Świetnie – zgadzam się, żeby nie drążyć niebezpiecznych tematów, a już na pewno nie na sucho. Zapuszczamy się w główną ulicę, na pierwszym skrzyżowaniu skręcamy w lewo. Pokazuję zalane pudła. Hattori jest ciągle małomówny i obrażony, że go nie słucham i chcę je otworzyć – on uważa, że powinno się zrobić zdjęcia dla firmy ubezpieczeniowej i niczego nie ruszać. Nie zgadzam się:

– Nie będę mógł spać, nie wiedząc, co się dzieje w środku. Tu jest całe moje życie. Osiemnaście lat. Może pleśń zjada mi właśnie najcenniejsze książki? Kolekcja porcelany się potłukła? Ubrania butwieją? Miecz japoński rdzewieje? A my tu stoimy.

Hattori wzrusza ramionami i zaczyna się wycofywać. Wyminiecie się w wąskiej alejce nie jest łatwe, więc wracamy do ronda, gdzie można swobodnie zawrócić.

– Idę po nóż – stwierdza ponuro Hattori.

– Aż tak?

– Do rozcięcia pudła!

Zawracam i jadę za nim w stronę kuchni zrobić herbatę z wsadem. Pora wypić kubek pokoju. Ale najpierw muszę obronić honor narodu. Wołam:

– Polacy wcale nie są nieuprzejmi! U mnie w biurze wszyscy mówią wszystkim w windzie „Dziękuję”! Na każdym piętrze!

*

Wtorek, 26 kwietnia 2005

– No i jak tam było? – pyta Młody.

Aha! Moje ulubione pytanie. Na szczęście wypracowałem już parę gotowców na takie okazje. Wybieram Gotowiec nr 2:

– Życie w Azji jest ciekawe, ale tak naprawdę niespecjalnie inne od naszego tutaj w Polsce. Ludzie są ludźmi, gdziekolwiek byście pojechali. Naprawdę.

Wszyscy potakują i zmieniają temat, nie dając mi szansy przejść do drugiego akapitu. Widać to nie była właściwa odpowiedź. Będę musiał nad nią jeszcze popracować.

Siedzimy na lunchu, w restauracyjnym ogródku o dwie przecznice od biura. Jest ciepło i prawie rodzinnie. Tylko Szefowej jeszcze nie ma, dzwoniła, żebyśmy nie czekali i złożyli zamówienia, a ona dobiegnie, jak tylko skończy telekonferencję z Francją. Francuskie szefostwo uwielbia telekonferencje.

Czekam na następne pytanie, które nieodmiennie brzmi: „Co cię skłoniło do powrotu?”, ale chwilowo nie pada. Szkoda, bo właśnie chciałem przetestować Gotowiec nr 3.

Rozmowa schodzi na tory niejakiego dyrektora Oszogona, którego nie miałem jeszcze zaszczytu poznać. Okazuje się, że mam mu przedstawić nasz pierwszy wstępny projekt interfejsu użytkownika dla nowego portalu. Tonia, która ma na wizytówce „Project Manager”, nastawia uszu, słysząc słowo „projekt”. Odrywa się od karty dań:

– Co wy tam knujecie za moimi plecami, rybionki? W projekcie nic się nie dzieje bez mojej wiedzy, pamiętacie?

Puchacz, który był lekko odstroszony z okazji lunchu wyjściowego, nastrasza się

znowu i zaczyna narzekać na terminy, zarząd, informatykę oraz pogodę. Na nikim nie robi to wrażenia, aczkolwiek Młody przejmuje ochoczo pałeczkę i dokłada swoje trzy grosze na temat zestawu skrótów trzyliterowych, które skutecznie zatruwają mu od tygodnia życie.

Czuję, że wypada na coś ponarzekać, więc opowiadałam o zalanym kontenerze i samochodzie, którego naprawa przeciąga się w nieskończoność. To się podoba. Robusan wreszcie robi się swój chłop.

Zbiorowe utyskiwanie przenosi się potem na rząd, przepisy i biurokrację, a przy deserze dochodzi do polityki Unii Europejskiej, telewizji i globalnego ocieplenia.

Potem jeszcze gorzej – schodzi na piłkę nożną. Usiłuję udawać zainteresowanie, ale po trzeciej wpadce faktograficznej zostaję zdemaskowany jako Ten, Który Nie Lubi Futbolu. W domyśle – antypatriota. Skandal. Zaraz się okaże, że nie lubi wódki.

– Wiecie, są sporty, które lubię oglądać – bronię się. – Tylko akurat nie futbol. To sport przyprawiający mnie o depresję. Dla mnie polega on na tym, że dwudziestu dwóch ponoć fachowców próbuje zrobić to, w czym byli szkoleni przez pół życia, i BEZ PRZERWY IM NIE WYCHODZI. Mecz to półtorej godziny ciągłych PORAŻEK, nie licząc może dwóch minut sukcesów, kiedy w końcu komuś się uda wbić tę nieszczęsną piłkę do bramki. Ja lubię oglądać fachowców, którzy robią coś, w czym są ekspertami, robią to świetnie i dlatego co chwila osiągają swój cel. Jak w tenisie. Czy ktoś chciałby oglądać tenisistę, któremu w czasie półtoragodzinnego meczu RAZ udaje się trafić piłką w kort...?

Albo szermierkę – szukam innych przykładów – gdzie żaden zawodnik nie trafia...

Przerywam, bo Puchacz jest tak zaszokowany, że zapomniał się nawet nastroszyć, Tonia chichocze, a Młody trzyma się za głowę w desperacji. Stopień zrozumienia moich wyjaśnień jest dokładnie taki, jakbym zrobił tę przemowę po japońsku.

Ratuje mnie telefon od Szefowej. Puchacz odbiera. Słucha w milczeniu, mruczy coś na koniec i rozłącza się.

– Baśka nie dotrze. Spotkanie się jej przeciągnęło. Cóż. Typowe – stwierdza ponuro.

Szkoda, bo jestem ciekaw, na co ona by z kolei narzekała. Szefowi chyba nie wypada narzekać na firmę, co na pewno jej ogranicza towarzyskie tematy obiadowe.

Wracamy. Trochę boli mnie brzuch.

W biurze zbieram swoje notatki i zjeżdżam trzy piętra w dół, do twierdzy informatycznej. Tutaj nie działa nawet moja karta. Muszę dzwonić i czekać, aż

wyjdzie sekretarka i dowie się, z jakiej przyczyny chcę burzyć święty spokój komputerowców.

Dyr. Oszogona nie ma. Biega i załatwia.

Wracam na moje piętro i do mojego biurka. Laptop dla mnie ciągle „w budowie”. Próbowalem zapytać informatyków, kiedy go zbudują. Bardzo się na mnie zdenerwowali. Ludzie tutaj nie lubią pytania „Kiedy?”. Odbierają je jako atak personalny. Ciekawe, czy to specyfika tej firmy, czy jakieś szersze zjawisko?

Z nudów obserwuję czarną rybę, jak szczerzy groźnie zęby na mniejszą, złotą. Pływają w kuli idealnie okrągłej, jak globus.

Bzyczy telefon.

– Pan Brakat?

– Tak, Robert...

– Oszogon. Rozumiem, że chciał się pan spotkać.

– Tak, to znaczy zostałem poproszony...

– Zanim się spotkamy, chciałbym zrozumieć, jaka jest pana rola w projekcie.

– Jestem...

– Bo jak chyba pan rozumie, to jest MÓJ projekt.

– A...

– I dziwię się.

Chwila ciszy. Z radia, w którym ostatnio króluje komisja śledcza, wiem, że „dziwię się” oznacza w języku nowopolskim: „Jest pan bałwan, burak i bydlę, nienawidzę pana i zastanawiam się, jak panu dokopać”.

Czuję, że muszę coś powiedzieć:

– Dziwi się pan... czemu?

– Dziwię się, patrząc na pana opis stanowiska. Jak pan zapewne nie rozumie, nikt nie będzie mówił informatykom, w jaki sposób mają budować interfejsy. Więc może by się pan zastanowił nad swoją rolą w organizacji. Bo to, co pan robi, nie jest nikomu potrzebne. Więcej – jest skandalem!

– Panie dyrektorze, chyba zaszła jakaś pomyłka – zaczynam, ale zdaję sobie sprawę, że mówię do głuchej linii po tej stronie, a wyłączanego telefonu po tamtej. Wyłączam własny, nie trafiając za pierwszym razem w przycisk lekko drżącym palcem.

Tonia patrzy na mnie znad rozłożystej paproci.

– Oszło cię poturbował?

– Trochę.

– Nie przejmuj się, królestwo IT nie przepada za resztą świata. Rób swoje, rybionku, i będzie dobrze!

Puchacz nastrasza się w ramach wyrażenia swojej solidarności z ofiarami dyr. Oszogona.

Młody nie reaguje, bo ma w uszach słuchawki i – jak to informatyk – walczy z komputerem.

Znowu boli mnie brzuch.

Marzę o tym, żeby być już w domu. I z niczym nie walczyć.

*

– Jak życie na pudłach? – pyta pupa Gutnera, którego korpus jest pogrążony w mojej lodówce.

– Chodź, to ci pokażę – mówię w nadziei, że nie znajdzie zapasów na jutrzejsze śniadanie.

Idziemy do salonu. Gutner gwiżdże z uznaniem na widok miasta, które tam wyrosło. Ulice, budynki, gzymsy z półotwartych pudeł, wieżyczki i poddasza ze stopniowo rozpakowywanej zawartości. Jest nawet fontanna, bo postawiłem puszkę coli na chybotliwym pudle z płytami kompaktowymi i teraz trzeba wycierać.

– Najgorsze, że nie wszystko dokładnie opisałem – tłumaczę. – Dziś spędziłem dwie godziny, szukając budzika – boję się, że prześpię alarm w telefonie. Za cicho dzwoni. A jak może wiesz, mam już pracę. No i nie mam pojęcia, czy jest w pudle nr 27 (sypialnia – wyposażenie) czy tam, jedną przecnicę dalej, pod adresem 34 (drobna elektronika). Powinienem był spisać każdy przedmiot...

– I więcej byś czasu spędził, spisując, niż się przeprowadzając – stwierdza Gutner z ustami pełnymi mojego śniadaniowego jajka na twardo. Z majonezem Cupid, po który trzeba jeździć do sklepu z żywnością azjatycką na drugim końcu Warszawy.

Odprowadzam go do drzwi – już wraca. I dobrze, bo mnie boli brzuch. Pewnie nerwy. Zawsze tak reaguję na stres.

Po drugiej stronie drzwi: Hattori zzuwający właśnie buty.

– Hattori-san.

– Robert-san.

– Myślałem, że wyjechałeś na kilka dni. Za przekrętami.

– Wyjeżdżam dziś wieczorem. Teraz idę spakować bagaży.

– Bagaże. No to świetnie. A jak minął dzień?

– Bardzo dobrze, dziękuję. A nawzajem?

– Nawzajem fatalnie. To znaczy miałem okropny, paskudny, przechłapany dzień w pracy. I brzuch mnie boli. I nie mogę znaleźć w pudłach lekarstw, a w aptecce na dole nie wiedzą, co to jest seirogan.

– Seirogan tylko w Japonii – wyjaśnia Hattori. – W Polsce trzeba wypić białe proszki. Zapomniałem nazwę. Ale ja mam seirogan. Zaraz przyniosę.

Wraca ze swojego pokoju ze znajomą buteleczką. Malutkie czarne, swojsko śmierdzące kulki na mojej dłoni powodują, że robi mi się dobrze, przyjemnie i bezpiecznie. Wracają wonnymi falami wspomnienia pierwszego, samodzielnego mieszkania w Tōkyō, dzielonego z dwójką studentów, cudzoziemców, ale już zaprawionych w boju. To oni, a właściwie ona, Judith, nauczyła mnie zawsze trzymać w apteczce seirogan. Twierdziła, że w Japonii nie działają zachodnie lekarstwa i na japoński stres trzeba brać japońskie pigułki.

Judith. Ile to lat? Nie mam pojęcia, co się z nią stało. To było przed erą powszechnego maila i serwisów społecznościowych.

Brzuch przestaje boleć, jeszcze zanim połknę czarne kulki.

Idę do łazienki. Łazienka cieszy nowymi kafelkami. Puszczam gorącą wodę do wanny. Ciało już zdrowe, pora uzdrowić duszę.

*

Coś się znowu śniło... Próbuje uchwycić rozsnuwające się resztki snu, ale natarczywy dzwonek brutalnie je unicestwia. Nie mam wyjścia – szlafrok, kapcie i do przedpokoju. Po drodze patrzę na zegar w kuchni: trzecia rano. Trzecia dwadzieścia.

Wysoka dziewczyna za drzwiami jest koloru marchewki – nie wiem, czy to światło w korytarzu, czy moje przekrwione z niewyspania oczy.

– Bo zalewa nam solarium! – woła i robi krok do mieszkania.

Chcę poprosić o zdjęcie butów, szpilek właściwie, gotowych do ataku na moją świeżo wypastowaną klepkę. Nie zdążam. Odprowadzam ją wzrokiem, kiedy idzie lekko chwiejnym krokiem prosto do mojej łazienki. Jakby tu mieszkała. W głowie włącza mi się alarm:

– Bo zalewa...? Ja zalewam???

– U pana leje się woda! Zalewa nas, no!

Patrzę na podłogę, ale potopu nie widzę.

Marchewkowa dama nie daje się tak łatwo przekonać. Sprawdzamy dokładnie kuchnię i łazienkę. Sucho. Odsuwam pralkę, pokazuję: ani kropli wody.

Słyszę głosy w przedpokoju. Odwracam się.

Na progu łazienki staje druga kobieta, starsza, też o odcieniu lekko marchewkowym, chociaż nie tak ostrym jak ta pierwsza. Również w butach, niestety. Przedstawia się jako kierownik solarium „Solarium”. Coś mi majaczy, że faktycznie, na dole, pod arkadami od strony Grójeckiej jest przybytek o tak fantazyjnej nazwie.

Zastanawiam się, czy iść po wizytówki, ale pani kierownik blokuje mi drogę ucieczki. Co gorsza, robi krok do łazienki, a za nią przepycha się jeszcze ktoś. Dozorca. Znam go z widzenia, chociaż nie wiedziałem, jak się nazywa. Teraz się dowiaduję: Waldemar Mruk. To wszystko, czego się od niego dowiaduję, bo poza tym nie mówi nic, tylko zajmuje cenne miejsce w łazience. Zaczyna być tłoczno jak w tokijskim metrze. Wszyscy szukają, skąd się leje. Pani kierownik, na kolanach, bada podłogę za sedesem, prowadząc nieustanną narrację:

– No, chyba Kaśka panu mówiła. Pierwsza wstała, jej bliżej, bo ze Szczęśliwickiej ma piechotę. Miała powiedzieć, że na parterze się leje. Od dwóch godzin zalewa. Nasz lokal, no! No, jak pan nie wie? Dwa piętra niżej, dokładnie pod panem, od strony Bitwy. Woda ciurkiem z sufitu i po ścianie! Wie pan, ile kosztuje aparatura? A pan Henio mówi, że to pan zalewa i że zaworu w pionie nie da się zakręcić, bo zardzewiał czy coś. No, powiedział: „Musi ten od Szumczykowskiej spod czternastki”. Pan jest od Szumczykowskiej?

– Jaki pan Henio... – zaczynam, kiedy słyszę złowrogo znajomy głos w przedpokoju:

– Jak nie u niego?! Musi u niego! Łon tu już nie pierwszy raz cuś w te łazienki majstruje!

Wybiegam z łazienki, a marchewki i dozorca Mruk za mną.

Pan Henio, z przekrwionymi oczami i w wędkarskiej kamizelce włożonej na podarty podkoszulek, przepycha się z kilofem zarzuconym na ramię.

– Panie się usuno, bo pylić będzie! O, nowa kafelka... Jezusie Święty i ścianki postawił nielegalnom? Rury i kranik na amen замуrował, bez rewizji. I jak teraz będzie? Będzie musi ta kafelka troszkie puknąć... inaczej sie nie da, pan rozum!

Czas zwalnia. Patrzę w otępiałym zdumieniu, jak pan Henio bierze potężny zamach i z trzaskiem wbija ostrze kilofa w moje nowiutkie kafelki. Przez chwilę nie może go wyszarpnąć, więc zapiera się brudnym butem o pralkę i przeży grzbiet w heroicznym wysiłku. Odlicza zduszonym głosem:

- Rrraz!
- Dwa!
- KURRRR...

Ściana karton-gipsowa, od tygodnia elegancko kryjąca gąszcz przedpotopowych rur, opiera się przez chwilę woli pana Henia, ale szybko kapituluje. Rozlega się głuchy huk i staccato dźwięcznych chrupnięć.

Ściana pęka i wali się na podłogę.

Powoli opada pył, smakujący tablicą i lekcjami matematyki. Strumienie światła z lampek pod sufitem przebijają się przez niego z trudem, jak reflektory przez mgłę.

Najpierw wyłania się wielka czarna plama. Dziura, gdzie kiedyś była moja ściana.

W dziurze – mniejsza, biała plama. Umazana pyłem twarz pana Henia.

W niej – plama jeszcze mniejsza, czarna: otwarte w triumfalnym uśmiechu usta. Pan Henio wskazuje na strumień sikający spod grubej mosiężnej nakrętki:

– Mówiłem? No! U niego się leje. I musi się lać!

*

Gutner lewą ręką przechyla czajnik, a prawą – oszronioną seledynową butelkę. Dwie strugi – gruba, parująca i cienka, oleista, zderzają się w powietrzu, rozszczepiają i wypełniają wirem kubek. Wciągam głęboko aromatyczny obłoczek.

– Nie wiem, jak możesz pić to świństwo. – Gutner zeskrobuje paznokciem szron z etykiety. – Ze śliwownicą kosztowną jeszcze rozumiem. Ale z żubrówką?

– Jakbyś pomieszkał w Japonii, to twoje kubki smakowe najpierw by zrezygnowały, a potem polubiły. Na pewno nie chcesz?

Gutner krzywi się makabrycznie i chowa butelkę do zamrażalnika.

– Przenosisz się do nas – mówi odwrócony do mnie plecami.

– Prze... do was?

– Do kamienicy. Jest wolne mieszkanie. Wszystko załatwione.

– Gutner, jak i kiedy...? Przecież nie mogłeś wiedzieć, że dziś w nocy pęknie mi rura, a pan Henio zaatakuję łazienkę kilofem. Ja rozumiem, że się uparłeś być aniołem stróżem, ale...

– Oj tam, oj tam. Zadzwońłeś o siódmej, ja akurat wychodziłem. Spotkałem pana Mecenasa. Jest wolne mieszkanie, możesz się zatrzymać, aż... – Macha ręką w stronę korytarza, gdzie podłoga jest biała od pyłu aż po kuchnię.

Wsadzam nos do kubka. Muszę to przemyśleć.

– A Hattori? – pytam w końcu. – Nie mogę go tu zostawić bez łazienki.

– Hattoriego już dawno zapraszałem. – Wzrusza ramionami Gutner. – Nie chciał się przeprowadzić bez ciebie. Przywiązał się widać. Kiedy pakujemy?

– Spa... Gutner, ja się dopiero zacząłem rozpakowywać! Po trzech miesiącach! I znowu mam się pakować?

Przygląda mi się tym swoim badawczym, analizującym spojrzeniem, pod którym nawet kamień poczułby się niepewnie i zaczął wątpić w swoją twardość.

– Ile rozpakowałeś?

– Za mało... To bardzo czasochłonne, a ja mam pracę...

– Ile procent?

Nie wiem, jak policzyć stan mojego nieszczęścia w procentach, ale jest mi już wszystko jedno, więc strzelam pierwszą liczbę, jaka przychodzi do głowy:

– Czternaście.

– A, to żaden problem. Spakujemy cię w jedno popołudnie. Resztę pudeł się przewiezie firmą transportową. Mam znajomego.

– Resztę pudeł...? Gutner, jeśli nawet bym się zgodził, to przecież tylko na kilka dni! Ile może trwać naprawa łazienki?!

Gutner wychodzi z kuchni. Idę za nim. Stoi na brzegu salonu i lustruje moje miasteczko.

– Ja bym wywiózł – mówi. – Bezpieczniej. Będziesz miał tu robotników, ty w pracy...

Robię krok i też patrzę na plac manewrowy. Mam to wszystko znowu pakować?

To może już od razu gdzieś się przeprowadzić?

Za kolejny ocean?

*

Dziewczyna weszła przez okno łazienki. Zeskoczyła lekko na kafelki i wybiegła przez drzwi.

Biegnę za nią.

Biegnę po schodach. Szerokich, wyłożonych dywanem w poprzeczne czarno-białe pasy, jak zebra na przejściu. Długich i niknących w monochromatycznym półmroku, potem zakręcających, potem znowu się rozplywających w szarość. Ściany za to są ceglane, otynkowane na niegdyś biało i bardzo popękane. Miga mi jakiś napis, białe litery na czarnych panelach, A, B, B, E, Y i coś jeszcze dalej, ale już zakręcam, kolejny

odcinek schodów w dół, a na dole za kolejnym zakrętem znika mi nagie ramię, łokieć, brzeg niebieskiej sukienki. Coś mi mówi, że to ona, że przyszliśmy razem, że jej bardzo potrzebuję.

Przyśpieszam. Dywan nie daje pewnego oparcia bosym stopom i boję się przewrócić, szukam ręką balustrady. Jestem już blisko zakrętu, ale ciągle jeszcze kilka stopni i jeszcze kilka, i jeszcze, i... skaczę. Przygotowuję się na ciężkie lądowanie na półpiętrze, ale nie – lecę dziwnie powoli, ląduję lekko na miękkim dywanie, zakręcam, przygotowuję się do dalszego biegu w dół.

Schody zagraджа szare stalowe biurko.

Siedzi za nim mężczyzna w moim wieku, czarne włosy przyprószone trochę siwizną, niebieskie oczy, krótki, niechlujny zarost. Właściwie nie siedzi – półyży rozwalony w fotelu, z wyciągniętymi nogami i butami na brzegu blatu. Śmieje się. Mam wrażenie, że mnie rozpoznaje i że ja też powinienem go znać, tylko nie wiem, skąd, gdzie i przy jakiej okazji; przeczesuję pamięć – nic. Modłę się, żeby nie zapytał: „Pamiętasz mnie?”. Patrę na blat, szukając jakichś wskazówek. Na brzegu – drewniana tabliczka z mosięzną plakietką, są w niej wryte dwa chińskie znaki:

丸珍

. Okrągły i rzadki?

Mężczyzna kręci z niedowierzaniem głową, nie przestając rechotać. Schyla się, wyciąga z szuflady butelkę żubrówki, talerzyk sushi z ośmiornicą, kawał kielbasy niechlujnie zawiniętej w przetłuszczony papier i butelkę majonezu Cupid. Nalewa do kieliszka. Podnosi go w salucie i przyryka jedno oko.

Chcę coś powiedzieć, zapytać go o niebieską sukienkę i łokieć. Nie mogę znaleźć słów, głowę wypełnia mi szum pięciu języków, oderwane słowa, z których nie da się zbudować zdania.

Mężczyzna wzdycha i wznosi oczy do sufitu. Zakręca butelkę i wskazuje nią przez ramię na drzwi.

Teraz je dostrzegam. Ciężkie, stalowe, z zaokrąglonymi rogami i okrągłym rygłem, jak na łodzi podwodnej.

Pcham, napieram, w końcu zaczynam mocować się z rygłem. Czuję, że ktoś za mną staje. Odsuwam się. Mężczyzna zza biurka wkłada w koło rygła długi trzon młotka o srebrnej główce, ciągnie bez specjalnego wysiłku i otwiera jednym płynnym ruchem.

Krzywię się, oczekując przenikliwego skrzypnięcia archaicznych zawiasów, ale drzwi otwierają się bezszelestnie i znowu biegnę, po tym samym dywanie, mijając

jakieś stare meble, zepsute telewizory, tekturowe pudła, w których śpią bezdomni, a cegły na ścianach stają się białymi kafelkami i tak jak miało być, jestem w metrze linii Marunouchi i biegnę do bramek, żeby nie spóźnić się do pracy.

Ktoś woła:

– Kochanie!

Obracam się, widzę cienką, błyszczącą koronę na włosach, próbuję się uklonić:

– Wasza wysokość...? – Ale wagon otwiera już drzwi, tłum wypcha mnie na miejsce; na szczęście byłem pierwszy i jest jedno wolne, ostatnie; siadam, zamykam oczy. Wybuch złotych rozbłysków pod powiekami. Pociąg wjeżdża w tunel.

Zapadam w sen.

Rozdział 5

Kamienica

Środa, 27 kwietnia 2005

Zastanawiam się, czy zadzwonić do Ewy.

Nie żebym pałał ochotą do wysłuchiwania jej zachwyków nad Japonią i wszystkim, co japońskie. Po prostu jestem pod domem Gutnera o dwadzieścia minut za wcześnie, nudzę się, Ewa jest jedyną mi znaną osobą pracującą na policji, a to, co właśnie z nudów obserwuję, dziwnie przypomina próbę wyniesienia zawartości czyjegoś mieszkania. Na przykład właśnie Gutnera.

Dwóch mężczyzn ładuje kolejny mebel do ciężarówki. Meble wyglądają jak antyki i chociaż obserwuję tę scenę z przeciwnej strony ulicy, w żółtopomarańczowym świetle latarni, nawet stąd widzę, że to muszą być drogie antyki. I jakieś dziwnie znajome. Jak z salonu Gutnera.

O zawiniętych w papier i przewiązanych na krzyż sznurkiem obrazach trudniej coś powiedzieć, ale chyba nikt nie oprawia jeleni na rykowisku w ramy tak ciężkie, że trzeba je dźwigać na ugiętych nogach?

I pytanie, kto się przeprowadza o dziesiątej w nocy. I dlaczego ciężarówka jest nieoznakowana – żadnej reklamy firmy przeprowadzkowej.

Cofam się w cień płytkiej bramy. Wyciągam komórkę. Szukam telefonu Ewy.

Stukam w „Połącz” i przykładam telefon do ucha, czekając na pierwszy sygnał.

Tragarze mocują się z dużym, rzeźbionym regałem.

Biiip...

Szybko dziabię palcem w „Rozłącz”. Coś tu zupełnie nie pasuje do scenariusza kryminalnego. Nie coś – ktoś. Starszy pan, wąsaty, elegancko ubrany, w stalowoszarym prochowcu i kapeluszu. Dogląda ładowania antyków od dobrych pięciu minut. Kiedy mebel znika we wnętrzu ciężarówki, pisze coś w notesie. Teraz wydaje instrukcje mężczyznom – jeden z nich potakuje i wchodzi do klatki schodowej znajomej kamienicy, drugi znika we wnętrzu ciężarówki. Starszy pan w kapeluszu rozgląda się.

Wypatruje, czy nie nadjeżdża radiowóz?

Sięgam do przycisku „Połącz”.

Palec mi zamiera, bo z klatki schodowej wychodzi... Hattori. Który jest ponoć pod

Łodzią, robiąc przekręty.

Starszy pan wyraźnie cieszy się na widok Japończyka. Witają się, ściskają dłonie. Wyteżam słuch, jestem zaledwie dziesięć metrów od nich, ale chociaż wydaje mi się, że chwytam jakieś słowa, strzępki zdań, sensu wyłapać nie umiem.

Śmieją się z czegoś.

Chowam telefon do kieszeni. Czuję, że będę miał z moim lokatorem ciekawą rozmowę.

Drzwi znowu bzyczą otwieranym zamkiem – słyszę to wyraźnie z mojego punktu obserwacyjnego; jest tak cicho, wieczornie i bezwietrznie, że każdy dźwięk krystalizuje się w powietrzu niczym z najlepszego systemu hi-fi.

Wychodzi dziewczyna ubrana w bojówki i czarną koszulę z podwiniętymi rękawami. Ciemna cera. Czarne włosy. Chyba czarne, bo w żółtym świetle latarni wszystko wygląda jak odcienie czerni.

Podchodzi do Hattoriego i całuje go. Z jednej strony.

Z tej odległości i w tym świetle mogłaby być jego siostrą. Japonka...? Japonka by nie całowała Hattoriego w policzek, to zbyt polskie. Chinka?

Dziewczyna pozdrawia starszego pana i przechodzi przez jezdnię. Idzie prosto w stronę mojej bramy.

Wciskam się jeszcze głębiej w cień, a właściwie próbuję, ale za mną są już tylko drzwi. Zamknięte. Klamka wgnięta mi się w kręgosłup.

Dziewczyna zatrzymuje się i mówi do cienia:

– Robert Brakat? Szerlok powiedział, żebyś pan się przestał bawić w detektywa i przyszedł obejrzeć mieszkanie.

– Gutner? Skąd on... – zaczynam, ale ona od razu odpowiada:

– Widzi z góry. Teraz nie może zejść.

Po tej stronie ulicy czar pryska – jest tylko lekko opalona i ma dość krótkie rude włosy. Delikatnie rude, pewnie ufarbowane. Zero azjatyckości. Na szczęście nos zgrabny i nieduży.

Patrzy na mnie dziwnie, jakby słyszała moje myśli. Niecierpliwi się:

– To jak, idziemy?

Nie czekając na odpowiedź, robi zwrot na pięcie, maszeruje na drugą stronę ulicy.

Idę za nią.

Mijamy starszego pana, który uśmiecha się do mnie, kiwa głową, jakby mnie spotykał co wieczór od dwudziestu lat, dotyka palcem kapelusza i wraca do zeszytu

z notatkami.

Dziewczyna wstukuje kod.

Bzyk zamka. Wchodzimy.

Wbiega po schodach po trzy stopnie naraz. Dywan tłumi nieco stukanie jej ciężkich wojskowych butów, ale i tak rozlega się dudnienie, rozbrzmiewające znajomym echem klatki schodowej.

Wchodzę za nią. Dziewczyna zatrzymuje się na drugim piętrze. Otwiera pierwsze drzwi po prawej:

– Tu pan mieszka.

– Tylko tymczasowo...

Uśmiecha się na sekundę i od razu poważnieje, jakby tego uśmiechu nigdy nie było. Jest niebrzydka, ale ma trochę zbyt męskie rysy twarzy. Może nie tyle męskie, ile zdecydowane. I te wielkie oczy, jak u bohaterki japońskiego komiksu... Gdyby się nie farbowała na rudo, tylko powiedzmy, na czarno i przycięła tę grzywkę równo nad brwiami... I przestała ubierać tak militarnie...

– Sąd lustracyjny skończył sesję? – pyta. – To ja spadam. Do.

Wbiega na trzecie. Czyli do Gutnera. No tak. Mogłem się domyślić.

Ściągam buty i wchodzę.

Czuję zapach starej politory i dębowej klepki. Jak na Grójeckiej, tylko starzej, znajomiej i szlachetniej. Jak w mieszkaniu dziadków, gdzie grzało się jeszcze piecem. Zamiast rusztu było w nim uzwojenie elektryczne, ale zapach rozgrzanego pieca pozostał.

Dwie sypialnie i salon. Też jak na Grójeckiej. Jedna sypialnia jest zamknięta na klucz. Druga otwarta – łóżko z baldachimem, tylko bez baldachimu – w rogach sterczą cztery ozdobne kolumny. Przypomina mi spanie pod moskitierą w Malezji.

Salon też jest umeblowany, i to pięknie umeblowany, aż człowiek się boi usiąść na brzegu stołu. Nie wiem, dlaczego zakładałem, że mieszkanie przeznaczone do wynajęcia będzie stało puste. Mam wrażenie, że ktoś się stąd wyprowadził przed godziną. Siadam na korpulentnej kanapie w stylu Ludwik któryś tam i zapadam się w objęcia poduszek. Miło.

Dzwoni telefon.

Łapię się za kieszeń, ale nie, to nie mój, to nie cyfrowe nagranie mechanicznego dzwonka, tylko prawdziwy mechaniczny dzwonek. Telefon stacjonarny. Zabytek techniki. Podnoszę ciężką ebonitową słuchawkę.

– Jak jest?

– Cześć Gutner, właśnie...

– Zaraz do ciebie zjadę. Coś tu kończymy z Alicją.

– Alic...

– Wiem, miałeś przyjemność. Bądź dla niej miły, to córka twojego gospodarza.

Rozłącza się.

Odkładał ostrożnie słuchawkę. Wstaje. Idę obejrzeć balkon.

Balkon nie jest pusty. Zajmuje go... Alicja.

– Czy pani trenuje wspinaczkę po budynkach, czy też umie przenikać przez ściany? – pytam uprzejmie, zgodnie z zaleceniami Gutnera.

Śmieje się.

– Zjechałam windą – wyjaśnia, wskazując na stalową konstrukcję przylepioną do ściany kamienicy od strony ogródka. – Tata zbudował ją w dziewięćdziesiątym drugim. Na klatce schodowej się nie dało. Za mało miejsca. Poza tym piętrem wszystkie mieszkania są już scalone.

– Jak u Gutnera – połączone w jedno?

– Jak u Szerloka – potakuje. – Na tym piętrze dwa mieszkania mają dostęp do windy: pana i to obok. Trzecie nie ma. Zresztą stoi puste.

Faktycznie, balkon łączy dwa mieszkania. Żadnej bariery. Nie jestem pewien, czy chciałbym, żeby sąsiedzi mogli swobodnie wchodzić do mojego salonu. Ale przecież to tylko na parę dni. Ale moje rzeczy...

– Kto mieszka obok? – pytam. – Bo rozumie pani, Gutner zasugerował, żebym tu sprowadził na jakiś czas moje pudła...

– Wredne babsko tam mieszka – odpowiada Alicja. Wyjmuje telefon, wyciera wyświetlacz o ramię i zabiera się do wstukiwania tekstu. – Okropna kobieta. Niebezpieczna. Perfidna. Wyrachowana. Na pana miejscu... – telefon dzwoni, więc przykłada go do ucha i odwraca się do mnie plecami.

Wchodzę do mieszkania, żeby dać jej porozmawiać. W salonie spotyka mnie zmierzwiona burza włosów i potężny nos Gutnera – jego szczapowatą resztę pochłonęła kanapa.

– No więc jak jest? – pyta.

– Bardzo... towarzysko – odpowiadam, zapadając się obok.

– I o to chodzi. Wszyscy się znamy. Jak rodzina. Zaczekaj, aż poznasz Moździerzewskich. Starszych, mam na myśli. Młodą już poznałeś. Niesamowici

ludzie. Nie-sa-mo-wi-ci.

– Gutner, ja tu się zatrzymuję tylko na parę dni...

– To nie możesz poznać paru ludzi? Izolacja – podnosi palec, w wyniku czego zapada się jeszcze bardziej – jest niezdrowa na wątrobę. À propos. Masz coś do picia? Jestem po służbie.

– Przecież ja dopiero...

– A do lodówki zajrzał? To niech zajrzy. Nie pożałuje.

Idę posłusznie do kuchni. Jest duża, większa niż u mnie. Okno wychodzi na ulicę. Zerkam w dół. Starszy pan nadzorujący załadunek złośliwie wybiera akurat ten moment, żeby spojrzeć w górę. Macha mi ręką.

Wykonuję niezgrabne odmachnięcie i szybko odsuwam się od okna.

Otwieram lodówkę. Pusta, z wyjątkiem wielkiej butelki szampana i miski truskawek na środkowej półce. Butelka jest owinięta czerwoną wstążką z kokardą i kartką. „Witamy w naszej kamienicy!”

Wyciągam butelkę.

– I? – pyta Gutner.

– I co?

– I gdzie twoja szczęka? Powinna być na ziemi. To jest Lingenfelder Satyr. Najlepszy wytrawny szampan na tej półkuli. Mała, ekskluzywna winnica w Grosskarlbach. Land: Nadrenia-Palatynat, jak na pewno wiesz. Piękne miejsce zresztą. Otwieraj. Kubełek z lodem jest w zamrażalniku.

Stawia przede mną srebrną tacę z trzema wysokimi kieliszkami. Sięgam do lodówki po truskawki.

Odwijam korek i delikatnie wypycham go palcami, starając się nie dopuścić do erupcji.

Alicja wraca z balkonu i chowa telefon do kieszeni.

– Truskawki? Mniem.

Patrzy na nas wyczekująco. Nie mam pomysłu na toast. Patrzę w bąbelki śpieszące się do powierzchni klarownego, ale dziwnie ciemnożółtego szampana. Gutner mnie wybawia:

– Za akceptację!

Akceptację czego? Nie wiem. Ale akceptacja brzmi pozytywnie, więc wznoszę kieliszek.

Alicja wypija swój duszkiem jak sok jabłkowy i podstawia do dolewki.

– Kilka rosyjskich genów – wyjaśnia Gutner, wskazując nosem na Alicję. – Zaplątały się gdzieś po drodze.

Dopełnia zręcznie kieliszek – trzyma butelkę od dołu, jedną ręką, i w ostatniej chwili obraca, ukręcając kropelkę. Brak mu tylko serwety zawieszanej na przedramieniu.

– Zaprosisz nas do salonu czy będziemy stać w kuchni?

Bąkam przeprosiny, chociaż nie do końca wiem dlaczego. To ich mieszkanie, albo jego, czy też jej; nie ogarniam tutejszych realiów i powiązań. Ale na pewno nie ja powinienem grać rolę gospodarza. Idziemy do salonu. Alicja i ja siadamy na końcach kanapy. Gutner nurkuje w sam środek i pyta:

– Przeczytałeś?

– Twoje książki? Wiesz, dostałem właśnie pracę...

– I?

– I co? Uważasz, że powinienem mieć czas na czytanie, nawet jak pracuję i kontener przy pływa, i...

– Nie – i jak w pracy?

Nie odpowiadam. Studiuję bąbelki.

– No właśnie, tak myślałem. – Gutner szykuje palec. – Jeśli chcesz się wpasować, musisz zbudować most. Między starym a nowym. Sapkowski jest świetny na początek. Prąsłowiański duch i współczesny rozmach. Spodoba ci się i zachęci do zanurkowania w nową Polskę. Pilipiuk też, chociaż to bardziej dla rozrywki. Pora na.

– Pora... na co?

– Na mnie. Uciekam. Integrujcie się.

Macza truskawkę w szampanie, wrzuca do ust, wyswobadza się z objęć kanapy i znika w przedpokoju.

Alicja nie wygląda, jakby miała ochotę dołączyć do exodusu. Wpatruje się bąbelki.

– Od dawna znasz Hattoriego? – pytam, żeby coś powiedzieć.

– Kōichirō? Od pół roku mniej więcej.

Przetrawiam to. Nurtuje mnie dość oczywiste pytanie, po którym Alicja może się obrazić i sobie pójść. Co w sumie nie było by takie złe. Powinienem się rozpakować i spróbować przejąć sypialnię w chwilowe posiadanie. Strzelam:

– Dlaczego nie zaprosiliście go tutaj, kiedy nie miał gdzie mieszkać?

– Kolego, dopóki nie zostanę twoją królową, nie mów do mnie w liczbie mnogiej,

dobrze? Kōi się nie przyznał, kiedy stracił pracę i dach nad głową. Dziwisz się?

– No... w sumie nie. Człowiek ma w sobie jakąś dumę. Nie chciał stracić twarzy.

– Albo potrzebował chwili odpoczynku od ludzi. Ja mu się nie dziwię. Raczej Szerlok powinien był coś zrobić. Założę się, że wiedział o moście. W środku zimy, w namiocie? Ratunku.

– Wiesz... ja pytałem Gutnera. On uważa, że nie można ludzi zmuszać. Każdy musi dojrzeć i tak dalej.

– Dobrze uważa – stwierdza zdecydowanie Alicja.

Zapada niezręczna cisza. Znowu.

– A... czy on miał wtedy jakąś dziewczynę? Znałaś ją?

– Znałam. Wredna żoźła. Perfidna. Wyrachowana...

– Ta z mieszkania obok?

Alicja obraca się w moją stronę, wyłuskuje się z kanapy i siada znowu, teraz trochę bliżej mnie. Sięga po miskę z truskawkami i przygląda mi się badawczo. Ale nie UFO-badawczo. Wyjątkowo nie czuję się jak dziewiąty pasażer Nostromo. Chyba ją zaciekawiłem.

– Jakie masz IQ? – pyta.

– Też pytanie... Nie wiem. Nigdy mi nie mierzono. Geniuszem na pewno nie jestem. Jeżeli już, to Gutner chyba jest...

– Jest – stwierdza Alicja, jakby był to fakt oczywisty. – Ja też.

– I pewnie wszyscy mieszkańcy tej kamienicy? – żartuję.

– Nie wszyscy, tylko troje. Szerlok, Mecenas i ja. A, no i twój Japończyk.

– Hattori jest geniuszem?

– Niestety. Zakręcony jak ruski termos, ale geniusze zwykle są zakręceni.

– A ja?

– Ty jesteś zakręcony w przeszłości.

– Ja? Ależ skąd! W jakiej tam przeszłości.

Wyciągam z lodu butelkę i strząsam kropelki z etykiety. 1999. Rok, w którym pożegnałem się z Japonią i przeprowadziłem do Singapuru.

– Dlaczego w przeszłości? Przecież ty w ogóle ledwie mnie...

– Tak mówi Szerlok, a on wie, co mówi. Konkretnie: że zmagasz się z duchami Japonii i PRL-u. Ciekawe, czy są podobne. To jak, dolewasz? Zachowujesz na lepsze czasy?

Szybko dopełniam wyciągnięty w moją stronę kieliszek. Dziewczyna wychyla go

duszką i odstawia na podłogę.

– Idę zapalić – mówi.

Wychodzimy na balkon. W ostatniej chwili zdaję sobie sprawę, że moje buty są w przedpokoju – idę przynieść. Przy okazji zabieram parę kapci gościnnych dla Alicji, jak już będzie wracała do pokoju. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyłem, że jest w butach. Oj, będzie mopowanko.

Na balkonie ustawiam się bezpiecznie po nawietrznej. Opieramy łokcie o balustradę i patrzymy w dół, na czarny ogródek z ciemnoszarymi chmurami drzew. Już zielonych, czego teraz nie widzę, ale czuję – pyłki robią swoje i kicham. Czekam na „Na zdrowie”. Nie nadchodzi.

– Wiesz, ja tutaj się bawiłem w dzieciństwie – usiłuję podtrzymać rozmowę.

Alicja mruży oczy i znowu mi się przygląda z tym specyficznym rodzajem zainteresowania, który mógłby być nawet podziwem, gdybym właśnie opowiedział o mojej ostatniej akcji odbijania samolotu z rąk porywaczy, a nie o dziecięcych zabawach w ogródku.

– Kiedy to było? – pyta.

– Dwadzieścia... osiem lat temu. Dwadzieścia dziewięć. Plus minus trochę.

W tym momencie ludzie zazwyczaj mówią: „Wtedy jeszcze mnie na świecie nie było” albo „Ja wtedy zaczynałem przedszkole”, co pomaga ustalić ramy wiekowe. Alicja mówi tylko:

– I w co się bawiliście?

– W Indian i kowbojów. Czy tam jest jeszcze trzepak? – Wyciągam rękę w stronę ciemności. – Trzepak był koniem Old Shatterhanda, a po przyniesieniu z domu paru kocy wigwamem Winnetou. Chociaż nie wiem, czy wiesz, ale Winnetou był Apaczem, czyli gdzieś z Nowego Meksyku albo Arizony; Apacze nie budują tam wigwamów, tylko wikiup i w ogóle...

– Chodź, sprawdzimy, czy jeszcze jest – przerywa Alicja.

Idzie na koniec balkonu. Naciska guzik. Wychylam się mocniej przez balustradę. Jest zupełnie ciemno, ale słyszę narastające metaliczne dudnienia i postukiwania. Kabina pełnie po murze na nasze piętro. Czekamy. Winda maluje wąski, szybko rosnący pas światła wzdłuż posadzki balkonu, jak linię dzielącą pasy jezdni.

Odrywam się od balustrady i włączam do ruchu lewym pasem, Alicja jedzie prawym. Parkujemy. Alicja naciska „-1”.

– Dlaczego nie parter? – pytam, wskazując na przycisk „P”. – Aha, pewnie na

parterze winda otwiera się do czyjegoś mieszkania, bo tam balkonu nie ma? A na minus jeden... czekaj. Tam kiedyś był...

– Krawiec – mówimy naraz. Śmiejemy się.

– Pamiętasz krawca? – pytam.

– No pewnie! Stary alkoholik. Chociaż nieźle szył. Jak akurat był trzeźwy. Raz tata dał marynarkę do naprawy i krawiec przyszył mu prawy rękaw do góry nogami. Bronił się potem, że tata jest przecież nauczycielem. Kiedy pisze na tablicy, trzyma podniesioną rękę i wtedy marynarka będzie leżała idealnie. Ratunku. Uważaj – tutaj jest stopień.

Wychodzimy z windy do betonowej wnęki pod ziemią, która kiedyś była wejściem do suterenu krawca. Z niej droga prowadzi po schodkach na poziom ogródka.

Idziemy po starych płytach chodnikowych, na szczęście niezamienionych na wszechobecną teraz kostkę. Odruchowo robię większe kroki, żeby nie stanąć na granicy dwóch płyt, co jak wiadomo, grozi natychmiastową śmiercią.

Alicja prowadzi mnie na sam koniec podwórka. Zatrzymuje się i mówi:

– Ta-DA! Twój trzepak. Cały i zdrowy. Jak za dawnych lat. Ale ty mieszkałeś gdzie indziej?

– Tak, na Różanej. U nas trzepak miał kwadratowe rury. Znaczy o przekroju kwadratowym. Nie dało się robić... tego.

Wskakuję na dolne przesło i wykonuję przekręt do tyłu. Nagle zdaję sobie sprawę, że z kieszeni może wylecieć mi portfel i telefon, mój kręgosłup zbliża się do czterdziestki, a poza wszystkim mogę się nie wyrobić między dolną a górną rurą albo między dolną a ziemią. Ostatnim razem, kiedy ćwiczyłem tutaj salta, byłem pewnie o dobre pół metra krótszy. Za późno – nabrałem już rozmachu i świat wywija kozła. Na szczęście w nic nie uderzam.

Szukam wzrokiem Alicji, żeby sprawdzić, czy zrobiłem na niej piorunujące wrażenie swoimi wyczynami akrobatycznymi. Nie ma jej. Za to w bramie zapala się światło reflektorów ciężarówki. Mniejszej niż ta przed kamienicą. Znowu ktoś coś ładuje. Albo rozładowuje. Reflektory bijące w ogródek z czarnej paszczy bramy bardziej mnie oślepiają, niż pomagają coś dostrzec. Kolejna przeprowadzka o... Patrzę na zegarek – za ciemno. Wyciągam telefon – już kwadrans po północy?

– Przyjemnych fikołków – mówi za mną kobiecy głos. – Ja zmykam. Robota woła. Do.

Zeskakuję, ale znowu zdążyła zniknąć. Wracam powoli w stronę windy, potykając

się o stare przegrody z kamieni, między grządkami, których już nikt nie uprawia.

Dobrze, że chociaż trzepak został.

*

Czwartek, 28 kwietnia 2005

Dwie czarne ryby mają haczykowate szczęki i gdyby nie rozmiar, przysięgłbym, że to piranie. Ich zwyczajem jest przyczajanie się między liśćmi na dnie i wpatrywanie się w samotną złotą rybkę, która pływa nad nimi w kółko, dokładnie w połowie szklanej kuli, jakby po linii równika. Rybka tropikalna. Z Singapuru?

Czasem wydaje mi się, że słyszę dialogi między czarnymi stworami:

– Słuchaj, Boluś, jakbyś tak przyblokował ją z lewej, tam-uj, przy moczarce, a ja ją wtedy chaps za płetwę!

– Nooo... Albo ty, Zenek, przyblokujesz, a ja chaps.

– Nie będzie nam obca rasa wody psuła!

– No, ale skubnąć by można, ślinka cieknie...

– To może jutro? A dziś sobie jeszcze popatrzymy.

– Nooo... To popatrzymy.

Ostatnio spędzam dużo czasu, obserwując życie ryb, bo informatycy cały czas nie skonfigurowali dla mnie komputera. Szefowa poradziła mi zjechać na piętro IT i dowiedzieć się, kiedy go dostanę. Ale myśl, że spotkam tam mojego Wroga Nr 1, toczącego pianę z pyska dyrektora Oszogona, skutecznie zniechęca do wizyt na szóstym piętrze. To ja już wolę obserwować piranie ostrzące sobie kły na złotą rybkę.

Puchacz tkwi nieruchomo w gnieździe ze stosów papieru. Chrząka.

– Ciągłe bez komputera? Tak. Informatycy. Typowe.

– No, już dziś miał być, dobrze, że Tonia pożyczyła mi swój, bo o jedenastej mamy z nią prezentację dla Zarządu...

– Dla zarządu, hę?

– Tak... to chyba dobrze? W poprzedniej firmie byłem za mała płotka, żeby prezentować dla samego Zarządu, a tutaj już po kilku tygodniach? To wielki zaszczyt, prawda...?

– No, no. Nie daj się zjeść. Z Zarządami nigdy nic nie wiadomo. – Puchacz się nastrasza i nieruchomieje, co, jak już wiem, oznacza koniec audjencji.

Młody przysłuchiwał się naszej rozmowie, teraz podnosi rękę jak uczeń w szkole:

– Pan Robusan?

– Albo pan, albo *-san*, bo „*-san*” znaczy „pan”. Albo „*pani*”. Czyli: pan Robu-*san* to jak „serek fromage”.

Uśmiecham się dla złagodzenia przekazu.

Młody czerwieni się aż po skronie, przełyka ślinę i pyta w końcu:

– Czy to prawda, że w Japonii do biura nosi się garnitur i kapcie?

Chichocze, nie czekając na odpowiedź. Widać sama koncepcja jest śmieszna, nawet jeśli nieprawdziwa. Zaczynam mu tłumaczyć:

– Tak się robi tylko w małych, kilku- lub kilkunastoosobowych firmach, które wynajmują zwykłe mieszkanie na biuro. Jeśli w mieszkaniu jest pokój z matami na podłodze, to faktycznie, wkłada się kapcie. Nie można chodzić w butach po tatami. Zniszczyłaby się i zabrudziła; mopem prasowanej słomy nie potraktujesz, bo zgnije. A wymiana kosztuje niezłego jena. Natomiast w dużych firmach i biurach – nie, no skąd, wszyscy chodzą w normalnych butach do garnituru, nikomu by do głowy...

Drzwi otwierają się z impetem i wpada zdyszana Tonia.

– Robusan, idziemy! Szybko, rybionku, Zarząd czeka!

– Przecież jeszcze kwadrans?

– Im się ciągle harmonogram zmienia, tam trzeba być pół godziny wcześniej, siedzieć na zadku i czekać! Baśka ci nie powiedziała?!

Biegniemy do wind.

Wjeżdżamy na najwyższe piętro, zwane lokalnie Olimpem.

Nigdy tu nie byłem. Główna sala konferencyjna została dziś zarezerwowana na jakieś szkolenie, więc będziemy prezentować w sali roboczej, całej ze szkła, jak nasze akwarium na dziewiątym. Tylko to tutaj jest większe. Takie na siedem piranii i jedną złotą rybkę.

Wchodzimy. Tonia przedstawia mnie jako eksperta z Tōkyō. Nie jestem ekspertem ani tym bardziej z Tōkyō (kiedyś w, nigdy z), ale nie śmiem zaprzeczać.

Dyrektor marketingu chce wiedzieć, po co nam ekspertyza z Tōkyō, skoro my wszystko robimy co najmniej tak samo dobrze jak reszta świata, jeśli nie lepiej; a w ogóle jesteśmy Polakami i nie mamy się czego wstydzić, i jeżeli już, to Francuzi od nas powinni się paru rzeczy nauczyć, a nie my od nich, w kwestiach paramarketingowych na przykład.

Dyrektor finansowy uważa, że dyrektorowi marketingu sukcesy finansowe uderzyły do głowy, a poza tym jako marketingowiec, czyli człowiek od komunikacji

(rynkowej), powinien wiedzieć, iż „ekspertyza” nie oznacza po polsku tego co angielska *expertise*.

Prezes nie zwraca uwagi na jadłowite kąsanie się dyrektorów i usiłuje się dowiedzieć, czy zawsze noszę i będę nosił krawat.

– Tak jest, panie prezesie! – Prężę się na baczność, jak dobosz Mrożka.

Oszogon nie mówi nic, bo przygotowuje się do ataku. Czeką na swoją kolej, ponieważ teraz trwa atak na Tonię. Dyrektor marketingu pyta ją właśnie słodko:

– Nie sądzisz przypadkiem, Antonino, że kierownik projektu deweloperskiego powinien znać się na deweloperce...? Chociaż odrobinę? Troszkę wiedzy eksperckiej może, niewymagającej ekspertyzy zewnętrznej...? – Tu unosi znacząco brew i obraca się w stronę dyrektora finansowego, który ostatnio krytykował jego eksperckość lingwistyczną. Napawa się chwilę triumfem, po czym wraca do Toni. – Co to ja... aha – wiedzy eksperckiej, której, skoryguj mnie, jeśli się mylę, nie posiadasz ani odrobinek? No więc ja chciałem powiedzieć, że dziwię się, iż wybór padł na kogoś, kto się na niczym nie zna!

Patrząc przerażony na Tonię, gotów już jej bronić; ale ta, zupełnie niespieszona, ripostuje ostro:

– Kierownik projektu nie musi, a nawet nie powinien posiadać wiedzy merytorycznej. Jakby ktoś poczytał sobie trochę światowych metodologii zarządzania projektami, takiego PMBOK-a na przykład, toby o tym wiedział! Amerykanie stwierdzili ten fakt już w latach sześćdziesiątych, to może nie odkrywajmy Ameryki od nowa, jeśli można zasugerować.

Robi mi się gorąco. Tonia powinna mieć właśnie wypisywane zwolnienie w trybie natychmiastowym za brak szacunku dla Zarządu. Ale wygląda na to, że jej kontratak został przyjęty z uznaniem. Dwóch dyrektorów cieszy się z porażki marketingowca. Czy konflikt jest esencją działania polskiej firmy?

Bitwa toczy się przez następne dwadzieścia minut, po czym zostajemy wyproszeni, bo pora na raport finansowy, więc moja prezentacja, wszystkie moje piękne slajdy, dopieszczane po nocach, mają zostać wysłane szanownym dyrektorom mailem, do przejrzenia w wolnym czasie.

Już widzę, jak znajdą na to wolny czas. Zapewne spędzają go na meczach kickbokserskich.

Wracam do pokoju, masując sobie brzuch. Mam nadzieję, że Hattoriemu nie skończył się seirogan.

Zaklejam ostatnie pudło. Większość domostwa zabrał stary, bardzo wysoki, ale zadziwiająco silny mężczyzna z mocną szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi, który, zaciągając kresowo, zamiast imieniem czy nazwiskiem przedstawił się jako „Kozak”. Dziwne. To tak, jakbym ja się przedstawiał w Japonii „Słowianin mazowiecki”.

Drobiazgi osobiste chcę spakować sam. No i rzeczy Hattoriego hasającego gdzieś po Polsce w interesach.

Wchodzę do mniejszej sypialni. Claudia Schiffer znikła ze ścian. Zupełnie jakby Hattori wiedział, że zalejemy solarium i będziemy się wyprowadzać do Gutnera.

Nie ma zbyt wiele do spakowania. W końcu chłopak pojawił się tutaj z jednym plecakiem. Plecak stoi zresztą w kącie, robiąc za szafę. Pakuję zdjęte z wieszaków parę koszul, aparat fotograficzny, stos płytek z danymi, mały album ze zdjęciami (a, to tu schowała się Claudia). Aparat jest zastanawiająco ciężki. Przy bliższej lustracji okazuje się sprzętem, za który da się w Warszawie wynajmować ładne mieszkanie przez co najmniej pół roku. Z obiektywem – rok. No proszę – przygarnąłem bezdomnego z canonem piątką i obiektywem klasy L. O zegarku firmy Patek nie wspominając. Za niego to nawet można by pewnie kupić małe mieszkanko na obrzeżach miasta.

Ratunku, jak by powiedziała Alicja.

Zarzucam plecak na jedno ramię i idę do przedpokoju. Staram się nie patrzeć na pole bitwy, gdzie kiedyś była łazienka. Obym tu szybko wrócił. I zastał, dla odmiany, trochę normalności.

– Hattori-san!

– Robert-san!

– Wróciłeś z wojaży? I, jak widzę, już się przeprowadziłeś do Gutnerowa.

– Wiem, miałem w łazience pilnować wodę...

– Wody. Której ciągle nie ma?

– Przyszedł pan Henio dziś. Ale nie włączył. Bo znalazł problemy. Więc wodę nie ma.

– Wody. A pan Henio sam jest problemem. Nic to, mam dla ciebie dobrą

wiadomość. Ale najpierw wkładaj kaptcie i chodź do salonu, mamy gości. Raczej mieliśmy. – Wskazuję na wgłębienie w kanapie, prostujące się właśnie po wizycie Gutnera. Którą drogę ewakuacyjną wybrał, czy przez balkon do mieszkania obok, czy windą na inne piętro, nie wiem.

– Hattori? – pytam. – Jak oni sobie dają radę z windą, która łączy mieszkania, zamiast wychodzić na klatkę schodową?

Japończyk wsysa z zakłopotaniem powietrze, składa usta w ryjek i przechyla głowę w bok, co oznacza: „Robert-san zadaje Bardzo Trudne i/lub Ambarasujące Pytania”. Niestety – Robert-san zaczął je zadawać w wieku lat trzech i do dziś mu nie przeszło. Robię minę pod tytułem „sycz, ile chcesz, i tak to od ciebie wyciągnę, więc lepiej zacznij gadać”.

– Oni się wszyscy znają – zaczyna w końcu Hattori. – Bardzo dobrze. Prawie jak rodzina. Gutner, rodzina Moździerzewski, pan Mecenaz, pan Kozak. Oni robią razem...

– Przekręty? – podpowiadam.

– Biznes – nie daje się złapać Hattori.

– I co, żyją tu jak w jakiejś komunie? Wiesz, gdybym ja lubił życie w komunie, to nie wyjechałbym stąd w roku osiemdziesiątym siódmym.

Hattori znajduje bezpieczną przystań w kuchni.

Wraca po pięciu minutach z dwiema szklankami mętного żółtego soku.

– Proszę spróbować, Robert-san. Czy smakuje?

Próbuję ostrożnie, a potem wychylam z coraz większym entuzjazmem.

– Znakomity sok jabłkowy, Hattori! Gdzie go kupiłeś?

– Próbkę handlową – wyjaśnia z dumą. – Ekologiczny w stu procent! Ja go właśnie chcę sprzedawać w Japonii. Za tym jeździłem do Łodzi.

Powstrzymuję się od komentarza, że ostatnio to ja go widziałem w nocy, na ulicy przed kamienicą, a nie w Łodzi. Nie teraz, nie dziś. Dzisiaj jest dzień specjalny. Prowadzę Hattoriego na balkon.

– Mówiłem ci, że mam dobrą wiadomość?

– Tak, Robert-san.

– No więc widzisz co tam stoi? O tam, na dole, pod murem?

– Śmietnik...?

– Nie, mazda! Naprawiona! Jutro sobota, jedziemy świętować. Rano do Wietnamczyków na Phở! Co ty na to?

– Bardzo dobrze! Cieszę się, Robert-san. Naprawdę. Jeszcze soku?

Sobota, 30 kwietnia 2005

Wjeżdżam na parking płatny przy Filharmonii Narodowej. Rzucam pełne czułości spojrzeń na moją odrestaurowaną staruszkę i ruszamy z Hattori dalej piechotą.

Po kwadracie ulic wokół budynku filharmonii snują się polujący na wolne miejsce kierowcy. Rodacy, którzy mają pięćdziesiąt tysięcy złotych na samochód, ale nie mają pięciu na świecący pustkami parking płatny.

Skracamy za wcześnie w lewo i przestajemy rozpoznawać otoczenie – trochę się tutaj zmieniło. Hattori nie umie pomóc. Zatrzymujemy parę młodych ludzi:

- Przepraszam, czy orientują się państwo, gdzie jest ulica Rutkowskiego?
- Rutkowskiego? Nie... To chyba nie w Śródmieściu?

Idziemy dalej. Przypominam sobie, że początek Rutkowskiego był za „Warszawą”, który się teraz nazywa inaczej, ale nadal jest Domem Centrum. Wracamy na Marszałkowską.

Kolejny przechodzień wygląda na autochtona. Zatrzymuję go.

- Przepraszam bardzo, jak dojść do ulicy Rutkowskiego?
- Pan nie z Warszawy? Teraz to jest Chmielna. O, tu, w lewo.
- Tak, ja przyjezdny – odpowiadam.
- Dlaczego zmieniła nazwę? – pyta Hattori.
- Nie tyle zmieniła, ile wróciła do starej – mrużę zawstydzony. – Powinienem być pamiętać. Dziadek zawsze mówił „Chmielna” – tak się nazywała przed wojną. Zawsze mnie to irytowało, bo ja wtedy siedłem z duchem czasów. Kurczowe trzymanie się przeszłości było mi ideowo obce.

– Przeszłość jest ważna – oponuje Hattori. – Bo z niej wyrostamy.

– Wyrastamy. Jasne, nie mówię, że nie jest. Czekał, znalazłem! Chmielna. Widzisz to kino? – pokazuję „Atlantic”. – Kiedyś po szkole poszliśmy całą bandą na film. Ja musiałem wyjść w połowie, bo na salę dostało się trochę gazu łzawiącego i nic nie widziałem... Poprzedniego dnia były w Śródmieściu zamieszki. Zawsze miałem wrażliwe oczy; jeszcze dwa dni po rozruchach płakałem rzewnymi łzami w przejściu podziemnym pod Rotundą – ten gaz jest cięższy od powietrza i niełatwo się go pozbyć.

Hattori nic nie rozumie, ale nie mam nastroju na wykłady o historii zamierzchłej. Szukamy punktu naprawy elektroniki. Gutner mówił, że nadal tu jest.

I pewnie gdzieś jest, tylko wszystkie sklepy i restauracje się pozmieniały. Pierwsza runda badań witryn na odcinku Marszałkowska–Bracka kończy się porażką. Dopiero po nawrocie trafiamy, i to z pomocą kolejnych dwóch przechodniów. Punkt naprawczy był kiedyś frontem do ulicy – teraz jest w podwórku.

Na wystawie archaiczne radioodbiorniki i magnetofon Grundig, przebój PRL-u. Obok garści szczyrzyków z herbem Szwajcarii i kolekcji czarnych latarek, znanych z amerykańskich filmów.

Wchodzimy. Elektroniczne ding-dong oznajmia wtargnięcie klienta.

– Dzień dobry, czy podjąłby się pan naprawy kilku urządzeń elektronicznych? Wzmacniacz i odtwarzacz płyt kompaktowych, może jeszcze coś; nie wszystko rozpakowałem. Zostały zalane wodą w kontenerze. Nawet nie próbowałem włączać. Będę potrzebował rachunków z opisem, co zostało naprawione, dla firmy ubezpieczeniowej spedytora. A tak poza tym... czy pan mnie może pamiętać?

Mężczyzna za ladą podnosi znudzony wzrok znad katalogu i przygląda mi się chwilę. Widzę, że nie wie, o co mi chodzi, więc brnę dalej:

– W roku osiemdziesiątym drugim kupowałem u pana oporniki do noszenia w klapie...

– Oporniki? Podzespoły? To chyba nie u mnie. Pan zaczeka.

Odchyła firankę za swoimi plecami i woła:

– Ojciec! Zejdziesz? Klient ma pytanie!

Po minucie firanka się uchyla i wchodzi starszy pan, łysy z przodu i siwy po bokach, w bardzo wyciągniętym swetrze z łatami na łokciach. Zsuwa okulary na koniec nosa i patrzy na mnie pytająco znad grubych szkielek.

– Dzień dobry. Ja kiedyś u pana kupowałem części elektroniczne...

– Do zapiekania w cieście – kończy starszy pan.

– Do zapiekania w cieście – powtarzam.

Powoli zaczynamy się uśmiechać.

Hattori ciągnie mnie za rękaw i mamrocze coś po japońsku, ale nie zwracam uwagi, to jest zbyt ważne i niesamowite, sorry, Hattori...

– Proszę, proszę do mnie na górę – zaprasza starszy pan. – Chociaż na chwilkę. Po tylu latach, to trzeba uczcić!

Ciągnę bardzo zaniepokojonego Hattoriego po schodach na piętro, do małego pokoiku z kuchenką, nakrytą kocem kanapą i telewizorem na przykrytym haftowanym obrusem stoliku. W kącie piętrzą się stare kolumny głośnikowe.

Rozpoznaję marzenie mojej młodości – Altusy. Adaś takie miał. I gramofon ze stroboskopem: rząd maleńkich lusterek na brzegu talerza odbijał światło czerwonej żaróweczki, pokazując prędkość obrotów. Jak to obłądnie wyglądało wieczorami, na licealnych imprezach... Strasznie mu zazdrościłem.

– Proszę, proszę siadać... Może kawałek ciasta? Bez zapieczonych oporników, gwarantuję. Proszę, zaraz zrobię herbaty. Może kawy?

Zaczynam obowiązkowe ceregiele:

– Ależ proszę się nie kłopotać... – Ale szybko kapituluję. Proszę o herbatę, czarną z cukrem, a Hattori – kawę, z mlekiem i bez cukru.

Gospodarz krząta się przy kuchence, a ja wyjaśniam Hattoriemu:

– Kiedy ojca internowali, najpierw siedział w Białoleścu, potem przewieźli ich do ośrodka wypoczynkowego dla milicjantów. W jakiejś dziurze na Wybrzeżu. Mieli wszelkie wygody, tylko trzymano ich w totalnej izolacji, telefony wyłączone, nie wiedzieli, co się dzieje z rodzinami, co w reszcie kraju, czy może już wkroczyły wojska radzieckie, czy jest wojna. – Przetykam, bo nagle zaschło mi w gardle.

– W każdym pokoju było radio – kontynuuję – ale wymontowano z niego układy odpowiedzialne za fale krótkie i średnie. Żeby internowani nie mogli słuchać Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki – dwóch stacji, z których wiedzieliśmy, co się naprawdę dzieje w kraju, rozumiesz? I teraz słuchaj: mój ojciec, z wykształcenia inżynier elektroniki, spisał mi listę wymontowanych oporników, kondensatorów i tranzystorów. Ich parametrów nie znał, tylko numery przy pustych miejscach na płytce drukowanej radia: R24, C37 i tak dalej. Ja przychodziłem po szkole od tego pana, siedzieliśmy nad schematami popularnych w domach wczasowych radioodbiorników, kombinowaliśmy, który to może być i jakie to mają być części, o jakich wartościach. Potem mama wsadziła wszystkie podzespoły do plastikowej torebki i zapiekła w cieście dla ojca. A on je włutował na miejsce za pomocą... żelazka!

– Po czym pan Robert – dobrze pamiętam? – wpadł tu do mnie po szkole, grzecznie podziękował i opowiedział, że radioodbiornik już działa i słuchają znowu Wolnej Europy! – włącza się starszy pan, którego pamięć jest ewidentnie lepsza od mojej, bo jak on się nazywa – nie mam pojęcia. Ale pamiętam człowieka. Pamiętam twarz. Minus dwadzieścia kilka lat.

– Pana kolega chyba z dalekich stron? – pyta gospodarz.

Przedstawiam Hattoriego. Ten chwali ciasto i mówi, że w Japonii takich dobrych nie ma. I że wspaniała historia.

– Ale tata Roberta wiedział, że w cieście będą elektroniki? – chce wiedzieć Hattori.

– Jasne, mama mu powiedziała na wizycie... Dlaczego pytasz?

– Bo mógł sobie uszkodzić ząby.

– Zęby. Kurczę, Hattori, myśmy nawet nie myśleli w tych kategoriach...

– Bo wy byliście prawdziwymi bohaterami, tak? – podsumowuje Japończyk.

– Gdzieeee tam – zachamy się jak na komendę. I śmiejemy.

Starszy pan podejmuje wyjaśnienia:

– Trzeba było jakoś przeżyć. Nie takie rzeczy się przeszło. No właśnie, a jak pan się znajduje w naszym kraju?

– Mam AutoMapę – odpowiada Hattori.

Zapada chwila ciszy.

– Hattori... Pozwól, że ci wyjaśnię. Pan...

– Grzegorz – podpowiada gospodarz.

– Pan Grzegorz miał na myśli, jak ci się tu żyje, jak sobie dajesz radę, czy dobrze się czujesz wśród nas?

– Aaa... rozumiem. Tak, ja bardzo lubię zwiedzać, bardzo piękny kraj. Bardzo ciekawy. Taka bogata historia i sztuka... Ale Polacy, wy się nie doceniacie – odpowiada Japończyk.

– Dlaczego się nie doceniamy? – dziwimy się jak na komendę.

– Powinniście być bardziej dumni ze swojej historii... prawdziwe bohaterstwo... no, wszyscy nie są dumni z tego, co w Polsce osiągnęli – tłumaczy Hattori, ale widzę, że jest skrepowany i boi się, czy czegoś znowu nie chlapnął.

Próbuję zmienić temat na muzeum PRL-owskiego hi-fi w kącie i na regale. Pan Grzegorz, niestety, chce drążyć temat, czy Polacy naprawdę powinni być bardziej dumni z własnego narodu, ale Hattori właśnie mi się zaciął i zatkał, więc próbuję zboczyć w stronę sprzętu, który gospodarza powinien interesować, skoro grzebał w nim całe życie:

– Wie pan, ja jestem na przykład dumny z osiągnięć naszych firm elektronicznych. To były urządzenia światowej klasy, jak na owe czasy. Ten gramofon na przykład...

– Chce pan? Naprawiam takie rzeczy sobie, jako hobby, żeby całkiem nie zgnuśnić... Proszę, mam ich kilka. Ten dla pana. Na pamiątkę dawnych lat. Tylko troszkę przetrę z kurzu. Proszę. To były konstrukcje! Na całe życie. Nie to co

dzisiaj – wszystko plastik, psuje się po trzech latach...

Podnoszę pokrywę gramofonu. Na talerzu – *Abbey Road* Beatlesów.

Włączam zasilanie.

Zapalają się żaróweczki pod delikatnie wgłębionymi, chromowanymi sensorami dotykowymi. Muskam palcem i przełącznik reaguje natychmiast, jak w dzisiejszych ekranach dotykowych telefonów. Wtedy nas to zupełnie powalało swoją doskonałością techniczną i designerską, swoją „zachodniością”. Guzik, którego nie trzeba było wciskać. Chociaż krążyły plotki, że takie sensory mogą zatrzymać pracę serca to osób z wszczepionym rozrusznikiem.

My nie mieliśmy rozruszników i nie planowaliśmy nigdy ich mieć.

A za takie sensory warto było umrzeć.

*

– Ping!

Mail.

Spam?

O nie, znowu poczta od Tajemniczego Nieznajomego. Kto to jest, na Boga? Ewidentnie ktoś, kto mnie uwielbia i nie może się doczekać, kiedy mnie wreszcie zobaczy. Przeczytamy i zdecydujemy, czy starczy odwagi na powiedzenie mu: „Człowieku, nie mam pojęcia, kim jesteś, skąd cię znam i czy cię znam”.

Hej, Robert!

No i co z tym piwkiem...? Chyba już się urządziłeś i przyzwyczaiłeś na nowo do starych kątów:). Nie mogę się doczekać, kiedy się wreszcie spotkamy i będzie okazja pogadać o dawnych czasach.

Na zraziku

Karol

Pogadywanie o dawnych czasach sugeruje, że znamy się nie od wczoraj. Wyciągam notes z epoki, kiedy telefony nie przechowywały historii naszego życia, i kartkuję. Karolów brak. Jest jeden Carl i jeden Charles, ale obaj nie na tym

kontynencie. Nie ma wyjścia, trzeba brnąć:

Hej, hej,

też się nie mogę doczekać! Tylko teraz jestem wyjątkowo zajęty, bo właśnie przyplłynął mój kontener i rozpakowuję pudła, a do tego pękła mi rura w łazience i chwilowo nie mieszkam u siebie. Odezwę się, jak wszystko będzie na swoim miejscu, OK?

Do rychłego zobaczenia

Robert

Klikam „Send”. Jakoś się to wyjaśni. Zamykam ekran. Wstaję i przeciągam się.

Nie, jeszcze nie pora spać. Od wieków nie pisałem do rodziców. Włączam ponownie komputer.

Nocny wiatr szeleści zasłonami. Dzień był ciepły, teraz robi się chłodniej, ale nie chcę jeszcze zamykać drzwi na balkon.

Słyszę stłumione pukanie.

Wstaję i idę do przedpokoju. Dochodzi pierwsza rano – nawet Gutner chyba nie będzie mnie o tej porze nawiedzał. Alicja...?

Otwieram drzwi.

Pusta, cicha klatka schodowa drzemie w półmroku jak wewnątrz muzeum po godzinach. Powstrzymuję oddech, ale słyszę tylko słabe echo cyknięć jakiegoś przełącznika w puszcze elektrycznej.

Zamykam drzwi i wracam do komputera.

„Kochani, przepraszam, że tak długo nie pisałem...”

Puk, puk, puk.

Od strony okna?

Podchodzę do drzwi balkonowych. Waham się chwilę przed odsłonięciem ciężkich, śliskich w dotyku purpurowych zasłon, haftowanych w złote esy-floresy. W końcu robię szparkę i wyglądam.

Nic. Żadnych kruków, mówiących: „*Nevermore*”.

Może mi się wydawało. A może to ten cykający przekaźnik na klatce schodowej?

Przejdę się i posłucham jeszcze raz.

Wkładam kapcie schodowe i cicho zamykam za sobą drzwi – nie chcę budzić kamienicy. Schodzę po miękkim dywanie. Siadam na parapecie półpiętra, żeby popatrzeć na nocną ulicę, całą rudopomarańczową od sodowych lamp.

Przed domem – znajoma ciężarówka. Z opuszczoną tylną klapą. Znowu ktoś coś wywozi po nocy.

Schodzę na parter. Wyjść, zrobić zdjęcie telefonem? Nie, bez sensu.

Zawracam i stawiam już nogę na stopniu, kiedy widzę szczelinę w drzwiach, które zawsze były zamknięte. I światło w szczelinie. Za drzwiami – schody. Do piwnic. Uchylam te drzwi o kolejny centymetr. Schody nie są stare, cementowe i poszczerbione, jak można by się spodziewać w podziemiach, tylko wyłożone kolorową posadzką i jasno oświetlone mosiężnymi, ozdobnymi lampami na ścianach. Dywanik do wycierania nóg na górze. I chyba drugi na dole? Kucam. Tak, wycieraczka na dole, za nią... znowu dywan, taki sam jak na schodach. Kto kładzie dywan w piwnicach?

Uchylam drzwi jeszcze bardziej. Po ich drugiej stronie wisi obraz. Autentyczny olej na płótnie, w ciężkiej złoczonej ramie. Przedstawia wyłożony kocimi łbami zaułek w dziewiętnastowiecznym Londynie czy Paryżu – epokę poznaję po konstrukcji powozu mknącego ulicą, miejsce – nie wiem, jakoś tak mi się kojarzy ten bruk i te cegły domów. Na rogu zaułka – sklep z dziwnym symbolem, jakby trzech żółtych wisienek, zamiast normalnej w takim miejscu tabliczki z nazwą rzemiosła.

W tym momencie za mną rozlega się ostry stuk zamka.

Podskakuję i obracam się z poczuciem winy wypisanym zapewne na twarzy. W drzwiach wejściowych kamienicy stoi znajomy starszy pan w kapeluszu. Przy bliższej lustracji nie taki stary. Wczesna sześćdziesiątka tak na oko. I sumiasty wąs, à la prezydent emeritus. Uśmiecha się szeroko, a jeszcze bardziej uśmiechają się jego oczy. Sieć kurzych łapek wskazuje, że robią to często.

– Aaa, czyżbym miał zaszczyt poznać szanownego pana Roberta? Witam niezwykle serdecznie! Właśnie się zastanawiałem, kiedy można by złożyć panu pierwszą wizytę i pozwolić sobie na przedstawienie się. Moja córka wyrażała się o panu w jak największych superlatywach. Czy byłby pan tak niezwykle uprzejmy i pozwolił zaprosić się na tak zwanego kielicha powitalnego?

– Naprawdę? – pytam nieco oszołomiony potokiem kwiecistej polszczyzny. – Wydawało mi się, że Alicja niezbyt mnie lubi...

– Wielce szanowny panie Robercie, nic nie mogłoby być dalsze od prawdy! Proszę, pan pozwoli...

Manewruje mną zręcznie z dala od drzwi do piwnic, na górę, na pierwsze piętro.

– Moja małżonka udała się na wczesny spoczynek, bo nie najlepiej się dzisiaj czuła, co należy przypisać nagłym zmianom pogody i nadejściu spóźnionej, ale jakże mile widzianej wiosny – wyjaśnia gospodarz teatralnym szeptem, kiedy zdejmując buty przy wejściu. – Pozwoli pan więc, iż skorzystamy z zacisza kuchni, a formalną wizytę na salonach pozostawimy na okazję następnych odwiedzin, których, mam nadzieję, nam pan nie odmówi!

Po chwili siedzę przy potężnym dębowym stole w kuchni. Większej chyba niż mój salon na Grójeckiej. Zostaje szczelnie obstawiony talerzykami, słoikami, miseczkami i deskami do krojenia. Rozmach staropolskiej gościnności nie pozwala mi napomknąć, że pierwsza rano nie jest moją normalną porą obiadową.

Kubki do herbaty są rozmiaru artyleryjskiego. Wsad ze śliwowicy koszernej, szczerze wchlupnięty przez gospodarza, również sugeruje podejście hurtowe. Zaczynam się zastanawiać, czy pan Moździerzewski stosuje wobec mnie techniki, którymi zaledwie sześć tygodni temu próbowałem wydobyć z Hattoriego jego historię życiową. Rozwiązawcz Języka Robertów?

– A teraz proszę opowiadać!

– Jak było? No więc Azja jest...

– Nie jak było, tylko, jeśli szanowny pan Robert pozwoli, jak jest! Jak się podoba w naszych skromnych progach, jak w życiu, jak szanowni rodzice w dalekiej Arizonie? Których, nota bene, uprzejmie proszę serdecznie pozdrowić.

– Skąd pan...

– Proszę się niczym nie przejmować i koniecznie spróbować smalcu. Domowej roboty. I koniecznie ogóreczka! Tak, w tym słoju. Według receptury mojego nieboszczyka ojca, legionisty, oficera Pierwszej Brygady. Pod samym Marszałkiem służył! Wiem, spora różnica wieku, ale tatuś mnie spłodził dość późno w życiu. Takie były czasy. No, jeszcze jednego ogórka?

Ogórek małosolny mnie rozbraja. Domowy smalec jeszcze bardziej. Nie wiem, co na to powie brzuch, rosnący niepokojąco na kuchni ojczystej. Ale pal to lichy. Zabieram się do smarowania kolejnej pajdy i pytam:

– Czy pana ojciec też tutaj mieszkał?

– A nie, nie, skądże znowu, my z Kresów. Chociaż ja się urodziłem w Warszawie. Pan Mecenasek też. Nasi ojcowie razem służyli, znali się dobrze, chociaż za mojego

młodu pana Mecenasu nie było już w kraju; nie, on wcześniej wyjechał, wyemigrował, można powiedzieć.

– Zaraz, a pan Mecenas to...?

– Wielki człowiek, panie Robercie. Wspaniały człowiek. Spędził pół życia na wygnaniu, wrócił dopiero za Wielkiej Biedy, galopującej inflacji, pan tego nie pamięta, bo pana tu wówczas nie było, ale to były ciężkie czasy, niezwykle ciężkie. Wszyscy staliśmy się milionerami i nikt nie mógł za te miliony nic kupić. Wtedy właśnie przyjechał nas ratować, to i owo odzyskał, odrestaurował, co prawnie i moralnie jego było; wtedy też tę kamienicę odkupił. A stała ona ruiną, panie Robercie! To oczywiście temat na dłuższą rozmowę, fascynująca historia naprawdę, fascynujący człowiek...

– Czyli państwo wszyscy są jego lokatorami? – Usiłuję wydobyć jakiś prosty wniosek z tej zagmatwanej historii. Zastanawiając się jednocześnie, czy on zawsze tak się wyraża; a jeżeli tak, to czy dlatego, że jest wyjątkowym bufonem, czy dlatego, że ten typ tak ma.

Mam dziwne przeczucie, że jeszcze nieraz będę się nad tym zastanawiał, nie dochodząc do żadnej sensownej konkluzji.

– Lokatorami, a to dobre! – Pan Moździerzewski wali się otwartą dłonią w udo i zanosi śmiechem. – Tego bym, wielce szanowny panie Robercie, nie powiedział! Nie, raczej starymi druhami, współnikami, beneficjentami i rodziną przybraną... no, z formalnego punktu widzenia tak, jest dokładnie tak, jak pan Robert raczył być powiedzieć: jesteśmy lokatorami! Ale czy wszyscy nie jesteśmy czyimiś lokatorami...? Może kiełbasy czosnkowej? Domowej roboty! Nie zaszkodzi!

Kiedy wracam na górę, zionąc czosnkiem i śliwowicą, zastaję uchylone drzwi mojego tymczasowego schronienia. Widać nie zamknąłem ich, wychodząc na mały spacer, który skończył się biesiadą z panem Stanisławem, restauratorem antyków. Przynajmniej czegoś się dowiaduję. Nie żeby to wiele wyjaśniało.

Ale jedzenie było fenomenalne. Jak za złych, niedobrych czasów niewoli powszechnej. I prawdziwych ogórków małosolnych.

*

Stoję ostatni w nocnej kolejce wzdłuż muru parterowego budynku; architektura typowa dla Nevady, może mniej dla Las Vegas, ale nie – większość Vegas to właśnie takie niskie domy, otynkowane na rdzawe barwy pustynnego pyłu, na nierówno

oświetlonych i nie najczystszych ulicach, z dala od przepychu hoteli i kasyn The Strip.

Stoję, żeby coś sprzedać. Albo zastawić. Trzymam pod pachą płytę gramofonową i macam się po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś jeszcze, co mogłoby zainteresować właściciela lombardu. Nigdy nie byłem w lombardzie i nie wiem, co mogłoby być pożądane. Kieszenie mam puste, nawet wizytówek brak. Czuję się nago. Patrzę na płytę. Tytuł po rosyjsku: „Виктор Цой/Последний герой”.

Przedemną siedzi na kolumnie głośnikowej szczupły chłopak o lekko azjatyckich rysach, z ostrą, trapezoidalną szczęką i niesforną, burzliwą szopą loków à la lata osiemdziesiąte. Obraca się, wskazuje palcem na płytę:

– Daj, podpiszę ci. Więcej dostaniesz.

Wstaje, wyrzuca papierosa do ulicznej kratki, bierze płytę i podpisuje się po rosyjsku, z wprawą, zamasyście.

– Masz, bohaterze.

Zanim zdążę podziękować, znika we wnętrzu sklepu. Groteskowo otyły ochroniarz o idealnie beznamietnej, znudzonej twarzy wpuszcza po jednej osobie. Ja muszę czekać. Patrzę na zegarek, ale znajduję nagi przegub.

Trąbi samochód. Robi się zimno. Zapinam koszulę pod samą szyję. Na rękawie mam wyhaftowane 0 Rh-. Ochroniarz patrzy w przestrzeń. W końcu nagle, nie wiadomo na czyj sygnał, podnosi niedźwiedzią łapę i macha na mnie: do środka.

Wchodzę. Sklep jest pusty. Rosjanina ani śladu. Którędy wyszedł?

Chodzę w kółko przed szklanymi ladami. Nikogo. Zaglądam za filar. Kolejna lada, tym razem z obsługą: stoi za nią elegancko ubrany starszy pan w szarym kapeluszu z czarną wstążką. Przed nim – miska aluminiowych ogórków. Rozpromienia się na mój widok, uchyla kapelusza i zalewa mnie potokiem słów, bezsensownych stwierdzeń, niczego nie rozumiem; chcę mu pokazać płytę, ale nie mogę jej znaleźć. Czy Wiktor mi ją zwrócił?

– Wielce szanowny panie Robercie, nikt już nie słucha winyli! Tak, szkoda, wielka szkoda, bo to i tradycja, i czar, i dźwięk niezrównany, któremu cyfra nigdy nie dorówna, lata siedemdziesiąte się przypominają, imprezy do rana, dyskusje po świt, no ale cóż począć? Powstaje więc pytanie, co my w ogóle z panem zrobimy w Tu i Teraz; tak, owszem, Tu jest de facto Nigdzie, a może nawet na wschód od Nikąd, no ale płyta, prawdziwy winyl, no, no...

Biegnę szukać Wiktora, wiem, że zaraz coś mu się stanie, wracam na główną salę sklepu, która teraz zapchana jest ludźmi, każdy dźwiga jakiś przedmiot – stary zegar

z kukułką, oprawione w skórę tomiszcze, obraz, pudło płyt, ktoś nawet pcha zabytkowy i mocno pordzewiały motorower firmy Romet, który kiedyś był pomarańczowy, a może czerwony, albo coś pośrodku, kolor, na jaki malowano składaki i motorynki. Wypatruję Wiktora, czuję za sobą czyjś oddech, chcę się obrócić, ale nie mogę, jestem już na schodach, schodzę po czerwonym dywanie. Robi się goręcej i jaśniej, narasta gwar głosów.

Przeciskam się przez tłum, między rzędami automatów do gier, jednoręcznych bandytów, między stołami do black jacka. Zerkam na karty. Walet siedzi pod kotłem na Kamczatce, płacze i pyta: „Skąd ten smutek?”.

Jest gorąco, mam lodowate dłonie, gdzie Wiktor? Boję się o niego, wołam w stronę czyjejś rozwichrzonej fryzury: – Coj-san, не возвращайтесь на машине,

危ない ! – Ale sam siebie nie słyszę, jakbym wołał na koncercie, gdzie ściana dźwięku wdusza człowiekowi słowa z powrotem do gardła.

Nad muzykami – wielki transparent: „East of Nowhere”.

Pod ogromnym kryształowym żyrandolem tańczą pary w wiktoriańskich strojach. Orkiestra gra jakiś szybki numer indierockowy, a pary ruszają się powoli, sztywno, formalnie, z dziwną, obcą, sztuczną gracją.

Obracam się, kiedy kamerdyner – chudy jak szczapa Kozak w staroświeckim mundurze wojskowym – wręcza mi kieliszek żółtego szampana. Drugi niesie damie z wysoko upiętą rudą fryzurą, ta oddala się szybko. Idę za nią, bo nie wiem, gdzie iść i jak wyjść. Ktoś mnie popycha i zaczynam tańczyć, beznadziejnie nadęty, martwy układ z trzema krokami do przodu i trzema wstecz, ukłonem, właściwie zamarkowaniem ukłonu, obrotem i ponownym ukłonem.

– Nie znam pana, nie znam pani.

Nie znam siebie.

Ale bardzo mi miło.

Gdzie są moje wizytówki?

Rozdział 6

Śniadanie na balkonie

Niedziela, 1 maja 2005

Dobrze jest siedzieć o wschodzie słońca na balonie, w szlafroku, pić kawę, patrzeć na napęczniały zielenią ogródek.

I nie musieć iść na pochód pierwszomajowy.

Rozkładałam leżak o kolejny ząbek. Gdzieś na skraju podświadomości snują się pierwsze nuty *Poranka* Griega. Kiedy motyw wzbiera i staje się coraz bardziej namacalny, otwieram oczy i zaczynam szukać – są, kostki głośników firmy Bose, w obu podsufitowych rogach balkonu. Nie dostrzegłem ich wcześniej, bo stapiają się mlecznoczekoladowo z tynkiem kamienicy.

Hattori jeszcze śpi. I dobrze. Otwieram książkę na rozdziale szóstym. Sięgam po ciemne okulary – słońce, chociaż jeszcze nisko, w tej pozycji świeci mi prosto w oczy. Teraz lepiej. Leżak nie ma podnóżka – może by tak oprzeć nogi na balustradzie? Nie – za wysoko. Może na skrzynce z kwiatami? Aaa, to jest to.

Wracam do lektury.

Wiedźmin rozprawia się z kolejnym potworem, ja z pierwszą kawą.

– Piękny widok – słyszę nad sobą.

– Wiosna – zgadzam się, podnosząc wzrok na ogródek.

Alicja patrzy zupełnie gdzie indziej, więc błyskawicznie zdejmuję nogi ze skrzynki na kwiaty i owijam szlafrok wokół nog.

Alicja też jest w szlafroku – czarnym, czarnych kapciach i czarnej wstążce, związującej jej niedługie włosy w krótki koński ogonek. Niechcący zauważam, że ma czarną bransoletkę na kostce. Może nie najszczuplejszej, jednak dziwnie sympatycznej.

– Zapraszam na śniadanie na balkonie – mówi i znika.

A tak się dobrze czytało. No nic, może zajmie chwilę, zanim to śniadanie się pojawi i będę mógł skończyć rozdział.

Wiedźmin z chrzęstem wbija miecz w ohydny odwłok wrednej maskary.

Alicja z brzękiem przenosi nad progiem swojego mieszkania metalowy wózek na kółkach i pcha go w moją stronę. Trzy piętra srebrnych tacek uginają się pod miskami, miseczkami, dzbankami i salaterkami. Jest nawet obiecująco wyglądająca

patelnia. Wszystko przykryte, ale zapachy już wędrują w stronę mojej wyobraźni.

– Ojejej, Alicja, nie trzeba było...

– Pewnie, że nie trzeba. To nie z mojej inicjatywy. Jeszcze czego. Myślał, że gotować mu będę? Ratunku.

– To z czyjej...? Errr... taty?

Alicja wywraca oczami – co biorę za „tak” – i znika.

Trzy talerze i trzy filiżanki na górnej tacce mówią mi, że pora budzić Hattoriego.

Najpierw jednak...

Wiedźmin jest opatrywany przez czarodziejkę Yennefer. Będą momenty.

Układam się wygodniej w leżaku. Muzyka Griega opowiada o trollach, goblinach i czarownicach.

Namiętny kobiecy głos szepcze mi do ucha lekko chropawym kontraltem:

– Jajecznicza stygnie.

Podrywam się i odkładam książkę, nadrabiając rozczarowanie promiennym uśmiechem.

– Dziękuję bardzo! To może ja pójdę ściągnąć z łóżka Hattoriego?

– Odsuść sobie. Niech się chłopina wyśpi po podróży.

– Wiesz, ja go widziałem pod twoim domem w środę wieczorem – mówię, nakładając sobie na patelni jajecznicę z solidnymi kawałkami kiełbasy, też prawdopodobnie made by Moździejewski. Chociaż czosnkiem nic dziś nie zalatuje. O, są też bułeczki. Ewidentnie domowego wypieku.

– I? – pyta Alicja. Przeciąga się, co wygląda artystycznie, zaciska mocniej pasek szlafroka i siada naprzeciwko mnie, na składanym krzeselku. Zakłada nogę na nogę.

– I... – zbieram z wysiłkiem myśli – w sumie nic, wszystko byłoby dobrze, tylko on wtedy przebywał w Łodzi. Czy pod Łodzią. Robiąc interesy.

Alicja zatrzymuje w biegu przecinanie bułeczki.

– Wszystkich przyjaciół tak inwigilujesz? – pyta.

– Nie ingiwi... nie inwigiluję, tylko zakładałam, że są wobec mnie szczerzy. Mniej więcej.

Alicja z namysłem kończy krojenie bułeczki i smaruje ją masłem, a potem czymś beżowym, co mogłoby być pastą miso, gdyby nie to, że jesteśmy na niewłaściwym kontynencie.

Starannie odkłada bułkę na talerz, wyciera ręce, po czym wstaje z krzeselka i siada po turecku tuż przede mną. Pochyla się i nabiera własnym widelcem trochę

jajeczniczy z mojego talerza.

Nie lubię, jak ktoś je z mojego talerza. Nie lubię ducha wspólnoty, obozów studenckich i jedzenia z jednej michy. Alicja wygląda, jakby doskonale o tym wiedziała i dokładnie dlatego to robiła.

Nachyla się znowu i nadziewa kawałek kielbasy.

Patrzę jej w oczy. Dużym wysiłkiem woli nie opuszczam wzroku.

– Wielce szanowny panie Robercie, jak by powiedział tata – zaczyna Alicja, celując we mnie pustym widelcem. – Nie znam cię dobrze. Nawet się zastanawiam, czy chcę cię dobrze poznać. Nie wiem, czy szukasz dziury w całym, czy po prostu tak masz. Nie wiem, czy chcę wiedzieć. Ale coś ci powiem o Kōi. Jeśli w ogóle chce ci się słuchać.

– Chce. A mogę przy tym jeść?

– Możesz. Możesz nawet spuścić wzrok o trzydzieści centymetrów. Wiem, mnie też się podobają. O, ty się rumienisz? To ładne. Wracając do Kōi. On jest...

Widelec zawisa w powietrzu. Alicja zastanawia się. Wiem, że za chwilę powie coś o Ogromnych Różnicach Kulturowych oraz Azjatyckiej Inności.

– ...dokładnie taki jak my. Z jedną różnicą. Jest niesamowicie lojalny.

– Wobec kogo?

– Też pytanie. Po prostu lojalny. Wszyscy Japończycy tacy są?

– Nie. Wszyscy Japończycy w ogóle nic nie są, bo tam mieszka sto dwadzieścia milionów ludzi i każdy jest inny. Jak to ludzie – wypalam, czego natychmiast żałuję.

Alicja, o dziwo, nie obraża się, tylko przelotnie uśmiecha, po raz bodajże trzeci, odkąd ją poznałem. Kiwa głową, jakby z uznaniem.

– No dobrze – brnę – jakieś cechy wspólne każdy naród ma... Jeśli już pytasz o lojalność, to większość Japończyków jest chyba lojalna w stosunku do ojczyzny, cesarza, rodziny, firmy, przyjaciół z dzieciństwa i swojego telefonu komórkowego z wisiorkiem Hello Kitty w aspekcie *maneki neko*^[3]. Mniej więcej w tej kolejności.

Alicja w zamyśleniu kradnie mi jajecznicę. Myślam, że jest chyba daleko stąd i na pewno nie w Japonii razem z jej systemem lojalności. Zdaje się, że straciła zainteresowanie, kiedy zeszliśmy z tematu Hattoriego.

– Alicja?

– Jestem.

– Czy wy byliście...

– Co byliśmy czy?

– Razem?

– Nie twoja sprawa, i nie. Poza tym Kōi to mój oficjalny przyszywany brat.

– A czy on też uważa cię za... siostrę?

– A co znaczy po japońsku *onēsan*?

– Starsza siostra.

– Naprawdę? – Alicja wstaje, otrzepuje okruszki ze szlafroka i patrzy na mnie z góry. – Ciekawe. On powiedział, że to znaczy „młodsza siostra”. Chcesz? – Wręcza mi bułkę posmarowaną czymś beżowym.

– Młodsza siostra to *imōto*, chociaż Japończyk po prostu zwracałby się do swojej młodszej siostry po imieniu... – tłumaczę pustemu balkonowi, bo Alicja zdążyła już zniknąć.

Nie wiem, dlaczego czuję się dziwnie zadowolony z życia.

Wgryzam się ostrożnie w bułkę. Pasztet. Dobry pasztet.

Chociaż szkoda, że nie jest to miso.

*

Z głośników płynie staccato kroków – Peer Gynt skrada się do groty Króla Gór.

Strzepuję z książki okruszki tostu i przewracam stronę. Doppler imieniem Tellico przybiera postać niziołka Biberveldta. Szykuje się przekręt stulecia.

– Dobry dzień, Robert-*san*!

– I nawzajem, chociaż to trochę po czesku, Hattori-*san*.

– A jak powinno być?

– Dzień dobry.

– Ale dzisiaj jest dobry dzień.

Podnoszę wzrok znad książki. Hattori ma zaspane oczy i piżamę w malutkie słonie maszerujące w szeregu, trąby trzymające ogony. Mruga w oczekiwaniu na jakąś reakcję.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Ma rację. Dzień jest dobry.

– Ładnie zaczyna się długi weekend – przekonuje Hattori do swojej teorii dobrego dnia.

– To są weekendy krótkie i długie?

– Dziś – pierwszy maja, jutro wszyscy urlop, pojutrze trzeci maja – odlicza Hattori na palcach. – Długi weekend majowy. Jak *Golden Week*.

– Faktycznie. – Klepię się w czoło – *Golden Week!* Czyli udało się zbudować drugą Japonię. Ale trzeci maja? Za moich czasów był zwykłym dniem pracującym. Nie licząc świątecznych zamieszek w śródmieściu z udziałem ZOMO. Tak, wiem, że nie wiesz, ale to akurat dobrze, że nie wiesz. No cóż. Zapomniałem i nie wziąłem urlopu, jutro pracuję.

– Robert-san może wziąć urlop na żądanie.

– Co to jest urlop na żądanie?

– Jak pracownik ma kaca – wyjaśnia Hattori.

– Ale ja nie będę miał jutro kaca. Chyba że pan Moździerzewski znowu dopadnie mnie ze śliwowicą koszerłą...

Hattori podciąga spodnie piżamy, siada na stołeczku naprzeciwko leżaka i zabiera się do wyjaśniania zawilości polskiego kodeksu pracy. Staram się słuchać, chociaż słońce grzeje coraz mocniej i nie jest to dzień na zgłębianie kodeksów.

– Dobrze – poddaję się. – Zadzwonię jutro rano do roboty i wezmę ten urlop na żądanie. Nie liczyłem na czterodniowe wakacje po zaledwie trzech tygodniach pracy, ale jeśli można, czemu nie? Zaraz, ja tu gadam, a twoja jajecznicza stygnie. Może spróbujesz pasztetu? Roboty domowej, jak sądzę. Tu są bułeczki. Roboty jeszcze bardziej domowej. Prosto z pieca. Kawy?

Przyglądam się, jak napełnia kubek, wyciera serwetką kropelkę, żeby nie upadła na stół, i starannie smaruje bułkę pasztetem.

– Miałem dziwny sen – zaczynam.

– Dziwny dobrze czy dziwny źle? – pyta Hattori, odkładając na talerz bułkę, która wędrowała już do góry.

– Nie przestawaj jeść, to ci opowiem. Słuchaj: byłem w Las Vegas i spotkałem Wiktora Coja.

– Z grupy Kino?

– Hattori, nie mów mi, że znasz legendarny zespół Kino.

– Bo ja studiowałem studia wschodnioeuropejskie, specjalizacja Polska, ale русский язык i kultura rosyjska dodatkowo.

– Dodatkowo. Fakultet pewnie. No dobra, ale gdzie kultura rosyjska, a gdzie Kino? To przecież podziemie rockowe lat osiemdziesiątych! Żaden mainstream... no nic. W każdym razie spotkałem Wiktora. Czekaliśmy w kolejce do lombardu. Chyba w nocy, pamiętam, że świeciły światła i trąbiły samochody. I było zimno, jak nie w Las Vegas, nawet nocą.

Hattori znowu przestaje jeść.

– Wsuwaj, jest niedziela, świeci słońce, mamy teraz demokrację i wolno mówić z pełnymi ustami. No więc czekaliśmy w kolejce do lombardu, Wiktor podpisał mi płytę, potem wszedł pierwszy do sklepu, a jak mnie wpuścili, to już go nie było. Szukałem wszędzie, chciałem go ostrzec przed jakąś podróżą, przed wsiadaniem do samochodu... reszty nie pamiętam. A zaraz po przebudzeniu przysięgłbym, że wszystko będę pamiętał, to był tak intensywny sen. Nie wiem, co to znaczy. Czy w ogóle coś znaczy.

Hattori kiwa w zamyśleniu głową i nic nie mówi. I pewnie nic nie powie, jeśli nie zapytam go wprost:

– Jak myślisz, czy ten sen coś znaczy?

– Nie wiem. Może znaczy, że Coj-san umarł?

– Tak, wiem, zginął w wypadku samochodowym. Wracał z koncertu. To jak? Chyba zły znak?

Hattori zatrzymuje bułkę w połowie drogi z talerza.

– Nie wiem. Sny są nie zawsze nasze. Ale może dobry znak. Przypomina, żeby uważać na siebie. I jeździć wolniej po Warszawie. Robert-san był w Las Vegas?

– O tak, jasne, nieraz. To jednodniowa wycieczka z Tempe, przedmieścia Phoenix, gdzie mieszkają moi rodzice. Samo Las Vegas jest szmirowate w środku i slumsowate na obrzeżach. Nie masz pojęcia, ilu tam biednych ludzi mieszka, to wcale nie same pałace Cezara. Ale droga do Vegas jest piękna. Tak, droga jest zawsze najlepsza. Jedzie się przez pustynię sonorańską i rezerwat Joshua Trees...

– Joshua...?

– Coś na kształt skrzyżowania drzewa z kaktusem. A przynajmniej tak wygląda. Bardzo malowniczo. Pokażę ci kiedyś zdjęcia.

– Robert-san dużo podróżował?

– Za dużo. Teraz nie wiem, gdzie jest mój dom.

– To niedobrze – stwierdza Hattori, tym razem nie odkładając bułki. – Zawsze trzeba wiedzieć, gdzie dom.

– No dobrze, a gdzie jest twój? – pytam i natychmiast widzę pomarańczowy namiot wśród nadwiślańskiego błota, i chętnie bym wycofał to pytanie, gdybym tylko miał pod ręką pilota do szybkiego cofania czasu.

Hattori bynajmniej się nie peszy. Odpowiada natychmiast i bez zastanowienia:

– W Izumi. Ōsaka-fu.

– Wielce szanowny panie Robercie!

Odrywam się od językowej kwiecistości wywodów wampira Regisa.

– Dzień dobry, panie Stanisławie. Dziękuję za śniadanie... rozumiem, że to z pana inicjatywy. Naprawdę jestem bardzo wdzięczny. Nawet pan nie wie, jak się stęskniłem za europejskim śniadaniem przez te wszystkie lata.

Pan Stanisław promienieje od wąsów aż po łysinę.

– Ależ panie Robercie, głupstwo. W ogóle nie ma o czym mówić. Poza tym to był dopiero wstęp do śniadania. Niemniej sprawia mi pan ogromną przyjemność swoimi słowami! Rozumiem, że na Dalekim Wschodzie zwyczaje śniadaniowe są mocno odmienne od naszych, dyktowanych staropolską gościnnością?

– No... tak. Nieco odmienne. W Japonii dostaje się zupełną z wodorostami, ryż, kupkę białej rzodkwi i smażoną rybę w artystycznych konwulsjach.

– Czy szanowny pan Robert zechciałby objaśnić, na czym polega ryba w konwulsjach?

Pan Stanisław przysuwa do mnie krzesło i zamienia się w jedno wielkie zaciekawienie.

– Japończycy przykładają wielką wagę do wyglądu potrawy... Ryba, chociaż usmażona, musi wyglądać, jakby skakała między grzbietami fal. Nadziewają ją na patyczek i odpowiednio wykręcają, żeby sprawiała wrażenie żywej i dynamicznie walczącej z żywiołem, jak na starych rycinach.

– Fascynujące! Będę musiał spróbować coś takiego przyrządzić domowym sposobem, a pan będzie tak dobry pełnić funkcję sędziego i zechce się łaskawie wypowiedzieć, czy się udało! W międzyczasie, co by pan powiedział na herbatę z konfiturami?

– Właściwie... domyślam się, że konfitury domowej roboty...?

– Jest dokładnie tak, jak pan mówi! W takim razie pozwoli pan łaskawie, że udam się do kuchni po wrzątek.

Pozwalam, bo niespecjalnie czuję, żebym miał wyjście, a poza tym czwartej kawy jednego poranka nie wypiję.

W sumie herbata nie jest najgorszym pomysłem. Tym bardziej że słońce ciut wyżej, Hattori od pół godziny w łazience, po Alicji zaginął ślad, a książka by nawet wciągała, gdyby nie te wszystkie dystrakcje.

Właśnie, książka.

Czterystudwudziestoośmioletni Regis zrzuca z pleców swój worek z ziołami, mający zmylić konie bezbłędnie rozpoznające zapach wampirów.

Pan Stanisław brzęczy wózkami ze srebrnymi tacami, tym razem z pękającym czajniczką do herbaty, dwoma słoikami konfitur i czymś, co wygląda jak keks, a pachnie jak świeżo upieczony.

– Czy moje towarzystwo panu nie przeszkadza? Jeśli tak, proszę mówić śmiało!

– Właściwie...

– Tak właśnie myślałem! Jest pan prawdziwym przyjacielem, panie Robercie. I tak się dziwnie składa, że mam do pana pytanie zawodowe.

– Nie wiem, czy będę mógł w czymś pomóc, ale...

– Znakomicie! Otóż słyszałem, że zajmuje się pan szlachetną dziedziną nauki zwaną ergonomią. Czy byłby pan łaskawy oświecić mnie trochę w tej materii?

– Ergonomii? – Wcale nie jest łatwo wytłumaczyć laikowi w kilku słowach, o czym traktował ten dość złożony przedmiot na studiach. Tym bardziej że ledwie zaliczyłem egzamin.

Co gorsza już mnie kilka razy w życiu podpuszczono i robiłem wykłady ekspertom przedstawiającym mi się jako laicy. Nie wiem dlaczego, niektórzy ludzie uważają to za wspaniały dowcip. A ja ledwie znam pana Stanisława... który rozsiadł się w krześle, dmucha w swoją herbatę i oczekuje wykładu. Co on mówił o swojej pracy? Renowacja antyków?

– Ergonomia jest nauką, chociaż właściwie nauką nie jest... – Przerywam, szukając słów.

– A więc, drogi panie Robercie, mamy naukę, która nie jest nauką. – Pan Stanisław szczerzy się w ogromnym uśmiechu i ładuje łyżkę konfitur pod sabałowski wąs. Wyrażnie bawi się przewybornie.

– Jak to nam tłumaczyli na studiach...? Nie jest do końca nauką, bo nie ma własnych metod badawczych. Jest to raczej dyscyplina zbierająca wyniki innych nauk, celem... dostosowania pracy do możliwości człowieka tę pracę wykonującego. Do jego budowy fizycznej, możliwości psychicznych, kognitywnych...

– Brzmi to bardzo zawile, panie Robercie! – stwierdza pan Stanisław. – Proponowałbym panu spróbowanie tej drugiej konfitury, znakomita na keksie, a następnie wytłumaczenie mi opisywanego zagadnienia w sposób przystępny dla mojego mało kognitywnego śródmózgowia. Co pan na to?

– Oczywiście, panie Stanisławie... to może tak: w czasie drugiej wojny światowej

zaczęto budować coraz bardziej skomplikowane samoloty. Które, niestety, coraz częściej spadały na ziemię przy normalnym locie, nawet nie pod żadnym ostrzałem. Przy powrocie z misji na przykład. Nikt tego nie umiał wyjaśnić. Badano wraki – werdykt zawsze był ten sam: pomyłka pilota.

– Co się okazało? – Kontynuuję, spiętrzając konfiturę na keksie. – Konstruktorzy samolotów umieszczali zegary, wskaźniki czy inne pokrętła i dźwignie (czyli elementy interfejsu użytkownika, jakbyśmy to dzisiaj nazwali) tam, gdzie akurat im było wygodnie. A nie tam, gdzie oko ludzkie umie je błyskawicznie i prawidłowo odczytać, a zmęczona ręka do nich szybko sięgnąć. Wtedy zaczęto badania.

Okazało się, że na przykład patrząc na czterdzieści wskaźników, z inną szybkością zauważymy jakiś odstęp od normy w prawym górnym rogu tej grupy, a z inną – w lewym dolnym. Że dłoń ma największą precyzję ruchów w pewnym określonym obszarze, gdzieś między brzuchem a klatką piersiową. A drążki umieszczano wtedy często nisko, pod nogami pilotów, żeby były krótsze i tańsze w produkcji. Dla młodego, sprawnego fizycznie człowieka sięgnięcie do nich raz czy dziesięć razy nie było problemem, ale po kilku setkach razy, w warunkach stresu i zmęczenia, precyzja zaczynała szwankować. Wtedy o wypadek nietrudno. Tak powstała współczesna ergonomia. Czy to w ogóle ma sens...?

– Ależ tak, panie Robercie, i nikt od pana nie umiałby lepiej tego wytłumaczyć! Czyli, jak rozumiem, jest pan ergonomem?

– Nie, nie, jakim tam ergonomem. Z wykształcenia inżynierem, zajmuję się projektowaniem interfejsów ludzkich – odpowiadam, modląc się w duchu, żebym nie musiał przystępować do kolejnego wykładu. – Ergonomia to tylko jeden z nieodłącznych aspektów prawidłowego projektowania wszystkiego, co ma być używane przez człowieka do pracy.

– Czyli podpowiada pan informatykom, gdzie umieścić poszczególne elementy na ekranie i jak mają one działać, żeby były maksymalnie łatwe i instynktowne w obsłudze, mniej męczyły użytkownika i powodowały mniej błędów?

– Panie Stanisławie... – Nie wiem, co powiedzieć.

Nie oczekiwałem tak zgrabnej definicji tego, czym się od dziesięciu lat zajmuję. Zaczynam podejrzewać, że mój gość balkonowy wie więcej o tych sprawach, niż by się wydawało. Pachnie to kolejną życiową wpadką w kategorii „dał się złapać, naiwny”. Aczkolwiek pan Stanisław nie wygląda, jakby się ze mnie nabijał. Raczej promienieje z dumy, jak uczeń, któremu się uda poprawna odpowiedź na temat, na który nic nie wie.

– Świetnie pan to ujął. Sam lepiej bym tego nie zdefiniował. A proszę mi wierzyć, próbowałem. W pracy. Chodzi właśnie o dopasowywanie narzędzi do człowieka, zamiast na odwrót. Oczywiście są też zastosowania marketingowe, na przykład, żeby ktoś, wchodząc na stronę internetową, od razu dostrzegł jej najważniejsze elementy, i to w tej kolejności, w jakiej tego chce właściciel strony...

– Ach, wszechobecny marketing – wzdycha pan Stanisław. – Może jeszcze keksu? Domowej roboty! Makowiec będzie dopiero na drugie śniadanie, małżonka właśnie przygotowuje składniki.

– Drugie... a to było które?

– Pierwsze i pół – mruga do mnie pan Stanisław, kłania się i oddala, pchając przed sobą wózek ze srebrnymi tackami. Wchodząc do mieszkania Alicji, odwraca się jeszcze i mówi: – Do zobaczenia i proszę mi wierzyć, jesteśmy niezwykle szczęśliwi, że pan u nas zamieszkał.

– Ale ja tylko na kilka dni... – zaczynam i przerywam, bo mówię już do pustego balkonu, konkurując z pierwszymi nutami części drugiej *Ucztę Baltazara* Sibeliusa. Znanej jako *Pieśń żydowskiej dziewczyny*, o ile dobrze pamiętam.

*

Słońce jest nieco wyżej i ciemne okulary już niepotrzebne. Zagłębam się w lekturę. Niestety książka robi się zbyt brutalna jak na moje upodobania literackie i życiowe. Z tej samej przyczyny nigdy nie skończyłem *Trylogii*, a i tak latami męczyły mnie w koszmarach sennych tortury, w których opisach tak lubował się Sienkiewicz.

Odkładałem Sapkowskiego z pewnym zawodem, bo akcja była ciekawa. Sięgam po kolejną lekturę obowiązkową z magazynu Gutnera: Andrzej Pilipiuk.

– Przetawienie leżaka o sto osiemdziesiąt stopni spowodowałoby równomierniejsze oświetlenie strony. A co za tym idzie, lepszy kontrast i mniejsze zmęczenie oczu. O czym jako ergonom powinieneś doskonale wiedzieć.

Podnoszę oczy znad lektury i napotykam stojący na sztorc dydaktyczny palec.

– Nie jestem ergonomem! Co wy tak wszyscy mnie męczycie o tę ergonomię? Potrzebujecie konsultanta z tej dziedziny? Mogę popytać...

– Ha – mówi Gutner.

– Co ha?

– Po prostu „ha”. Zjadłeś cały keks?

– Nie wiedziałem, że przyjdiesz...

– A kto jeszcze nie przyszedł?
– No faktycznie... Zaraz, pan Mecenase nie przyszedł.
– Mecenase nie jada śniadań na balkonie – stwierdza Gutner, jakby było to coś oczywistego, czego dzieci uczone są już w przedszkolu. – Jesz czy czytasz?
– Ale ja już zja... aha – odpowiadam z rezygnacją na widok drewnianej tacy, we wgłębieniu której spoczywa przykryta patelnia.

Atakujemy naleśniki z nadzieniem jajeczno-fasolowo-boczkowym i podejrzeniem czosnku. Śniadaniowe, jak zapewnia Gutner. Specjalność zakładu.

– Słyszałem, że świetnie powodzi ci się w pracy. Prawda to?
– Od kogo... mniejsza. Jest OK. Cieszę się w ogóle, że mam co robić. Pensja też nie najgorsza, nawet jeśli to połowa tego, co ostatnio zarabiałem w Singapurze. W sumie jest źle.

– A nie w sumie? – dąży Gutner, pomagając sobie wycelowanym we mnie palcem. – Jakaś przyczyna bezsenności musi być.

Przełykam naleśnika.

– Skąd wiesz, że nie śpię?

– Przecież to oczywiste. Podkrążone oczy, trzecia kawa i czwarta książka od czterech dni, a człowiek, który stawia w przedpokoju kapcie w rzędku, według rozmiaru, czyta książki od deski do deski.

Zastanawiam się, czy wytłumaczyć Gutnerowi, że staranne ustawianie kapci czy butów jest po prostu zwyczajem w krajach, w których mieszkałem przez prawie połowę życia, a nie symptomem niezdrowego pedantyzmu. Nie zdążam.

– Tak, wiem. Azjatycki fetysz kapciowy musi się udzielać. Co nie zmienia faktu, że przerabiasz jedną książkę na dobę. Za dnia pracujesz. Zostają noce. C.b.d.o., c.n.d. i q.e.d. No więc?

– Co więc?

– Jak jest w pracy? Tylko nie w sumie.

– Bo ja wiem...? To moja pierwsza praca we własnym kraju. Są dobre rzeczy i złe. Czy ja wiem, które z nich to ja, moja osobowość, moje nawyki i preferencje, które – ta właśnie firma, a które – wszystkie polskie zakłady pracy? Specyfika narodowa?

– Na przykład – kontynuuję po chwili namysłu – czy w rodzimych korporacjach zawsze wszyscy ze wszystkimi walczą? U nas sala spotkań zarządu to pole bitwy, dyrektor każdego działu poświęca połowę energii na planowanie strategii bojowych przeciwko innym dyrektorom, a pracownicy albo się boją, albo sami zaczynają knuć

i podgryzać. Czy to jest norma krajowa, czy mnie się przypadkiem tak trafiło?

Patrzę z wyczekiwaniem na Tego, Który Wszystko Wie, ale dostaję tylko wzruszenie ramionami i wyciągniętą w moją stronę filiżankę. Dolewam mu kawy. Gutner macza w niej usta, krzywi się i mówi z wyraźną niechęcią, jak zawsze, kiedy próbuję z niego wyciągnąć coś osobistego:

– Nigdzie nie jest idealnie. Przynajmniej kilku dobrych ludzi tam poznałeś?

– Fakt, mam grupkę sympatycznych osób w pokoju. Ale ci z kolei non stop na coś utyskują. Po ośmiu godzinach wysłuchiwania narzekania na wszystko, od rządu po zarząd, nie wiem, czy od razu mam się powiesić, czy najpierw pochłastać i dopiero wieszać... – przerywam, bo Gutner, zamiast wyglądać współczująco, zaczyna się śmiać.

– Nie mów, panie R., że w latach osiemdziesiątych Polacy nie narzekali. Przecież to bardziej polskie niż kielbasa!

Nabieram powietrza, żeby jak zwykle bronić szlachetnej ojczyzny, po czym je wypuszczam. No fakt, zawsze na wszystko narzekaliśmy, tylko kiedyś mi to nie przeszkadzało. Przynajmniej nie pamiętam, żeby mi przeszkadzało.

– Może faktycznie Azja mnie trochę zmieniła – mruczę pokonany. – A o całej tej agresji i wiecznych wojnach w pracy mi nie odpowiedziałeś. Czy to jest charakterystyka mojej korporacji czy polskich firm w ogóle? Jak wstaję rano z łóżka i mam jechać do pracy, to na myśl o tym polu bitwy już zaczyna mnie boleć brzuch. I mam ochotę wsiąść w samolot. Wrócić do Japonii, gdzie takie rzeczy są nie do pomyślenia.

Gutner znowu wzrusza ramionami.

– Oj, chyba gloryfikujesz tę swoją Japonię. Nie, to nie tylko kwestia firmy. Też postrzegania. Postrzeganie jest funkcją dopasowania. Gdzie TY pasujesz. Ja nie pasuję do świata korporacyjnego. Ani do tej kawy. Idę zorganizować lepszą.

Oddala się wielkimi krokami tyczkowatych nóg. Nie do mojego salonu ani nie do windy, tylko do mieszkania Alicji.

I wraca już po minucie, właśnie wtedy kiedy wreszcie znajduję miejsce, w którym skończyłem czytać.

Niesie mały miedziany garnuszek z długą rączką. Jeśli ta kawa smakuje tak, jak pachnie, chyba skuszę się na czwartą tego poranka.

– Jak udało ci się zrobić ten nektar bogów w czterdzieści pięć sekund? – pytam z półprzymkniętymi z zachwytu oczami.

– Powiedziałem, że idę ją zorganizować, a nie zrobić. Ale nie przejmuj się. Będą z ciebie ludzie, panie inżynier – odpowiada nie na temat Gutner. Stoi oparty łokciem o balustradę, pochylony pod lekkim kątem, jakby nie mieścił się tutaj pionowo. Wdycha aromat znad malutkiej filiżanki i kiwa z uznaniem głową.

– Miałem na myśli, kto zrobił...

– Wiem, co miałeś na myśli. Ja mam ważniejsze pytanie. Jakie masz plany na jutro, ósma wieczór?

– Jutro po robocie...? Nie, czekaj, Hattori mi wyjaśnił, że mogę wziąć nieplanowany urlop. Na życzenie czy jakoś tak. Więc chyba pojadę do siebie tupnąc nogą na administrację w sprawie naprawy tych rur, przecież to wieki trwa... No i muszę się spotkać z ekipą remontową, umówić na ponowne kafelkowanie łazienki. Po naprawie rur, oczywiście.

– Super. A po zmianie planów?

– Czekaj, dlaczego miałbym je zmieniać? Nie mów, że znowu będziemy coś jeść?

– A nie, nie, jeść będziemy o siódmej, a potem o dziesiątej. Kto by jadł o ósmej? Nie. Jutro nic nie załatwisz. Długi weekend.

– Niech to... Zapomniałem. Wszystkie te nowe święta...

– Kup sobie kalendarz. O ósmej mam dla ciebie pracę. Intratną nawet.

– Ale ja mam pracę...

– Którą uwielbiasz.

Nie odpowiadam i patrzę na czubki drzew w ogródku. Wkładam znowu ciemne okulary.

– Staw się w schronie za piętnaście ósma. Nie pożałujesz.

– Jakim schronie?

– Myślałem, że już tam dotarłeś, somnambuliku.

– Masz na myśli piwnice. – Zdejmuję ciemne okulary i patrzę na Gutnera.

Ten szczyrzy zęby.

– Zaciekawilo?

– No tak, piwnica z dywanem i obrazami na ścianach. Wiesz, założyłem, że ktoś tam mieszka, tak jak kiedyś krawiec.

– A skąd – żacha się Gutner. – Nikt tam nie mieszka. Za ciemno. Niehigienicznie. To nie lata siedemdziesiąte. Tam jest coś ciekawszego. Przyjdiesz – zobaczysz. Należniczka? Ostatni. Jeszcze ciepły.

– No, jeśli jeszcze ciepły, byłoby szkoda...

Drrrrń.

Wzdrygam się i otwieram oczy. Książka zsuwa się z kolan na ziemię. Chyba się kapkę zdrzemnąłem na słońcu. Słońce zdecydowanie wyżej i grzeje bardzo przyjemnie. Która to już? Jedenasta?

Drrrrrrń!

Macam się po szlafroku w poszukiwaniu telefonu. Jest.

– Tak, słucham?

– Robert? Nie przeszkadzam? Nie za wcześnie?

– Tak, mówi Robert Brakat... Nie, nie, już od kilku godzin nie śpię...

– Hej, stary, cieszę się, że cię w końcu dorwałem!

– No cześć! Wiesz, zajęty byłem okrutnie...

– Ależ rozumiem, rozumiem, po tylu latach... – Reszta zdania mi umyka, bo odrywam telefon do ucha, żeby sprawdzić wyświetlacz. Niestety, telefon nie wie, kto dzwoni, a numer też mi nic nie mówi.

– ... długi weekend – kończy głos po drugiej stronie. – To może pojutrze, we wtorek?

– Wtorek, mówisz... Oj, chyba nie dam rady. Mam trochę kłopotu z łazienką... Może za tydzień, w weekend? Albo lepiej za dwa tygodnie?

– Świetnie, no to w weekend! Adres masz w mailu.

Klepię się odruchowo w czoło, mając nadzieję, że druga strona tego nie usłyszała. No tak – to Karol. Mój serdeczny kumpel. Trudno, trzeba się będzie w końcu spotkać. Jak zobaczę twarz, na pewno sobie przypomnę. Albo...

– Czekaj, powiedz jeszcze, co słyhać u Bożenki? – pytam od niechcenia.

– Jakiej Bożenki?

Nie trafiłem. Czego się można było spodziewać.

– Kosickiej. Aha, fakt, ty jej przecież nigdy nie poznałeś!

– No nie, żadnej Bożenki Kosickiej nie znam...

Chwila ciszy. Mam nadzieję, że teraz on zagadnie o kogoś, kogo może ja znam, i po nitce do kłębka dojdę do źródeł tej znajomości.

Niestety.

Umawia się tylko ze mną wstępnie na sobotę czternastego.

Wymyślenie Bożenki nie pomogło. A już sobie ją nawet wyobraziłem. Miała

proste czarne włosy przycięte równo nad brwiami i mały, zgrabny nosek.

*

Jakub Wędrowycz związuje mocniej spodnie sznurkiem do snopowięzałki i ze złośliwym uśmiechem podnosi z klepiska zardzewiałą pepeszę.

Obracam stronę.

Balkon wybucha ostrą kakofonią. Za mną – trzaskają drzwi windy. Przede mną – gruchocze wózek z tacami przenoszony nad progiem mieszkania Alicji. Po lewej – coś upada na podłogę w salonie.

Nie moim – strofuję się wewnętrznie – wynajmowanym. Do końca tygodnia, mam nadzieję, bo wtedy moja nieszczęsna łazienka powinna być w stanie pozwalającym na kąpiel. Lata w mieszkaniu bez łazienki mam już na szczęście dawno za sobą.

Odkładałam książkę i szukam źródła strzelaniny. Na balkonie ruch i gwar. Hattori z Gutnerem wnoszą kolejny stolik, pan Stanisław dźwiga samowar, a Alicja zbiera coś z podłogi.

W braku zegarka patrzę na słońce, ale niebo zasnuło się chmurami.

– To już pora obiadowa? – pytam, wstając z leżaka. Przy okazji zauważam, że jestem jedynym sąsiadem ubranym jeszcze w piżamę i szlafrok. Biorąc przykład z Alicji, znikam, zanim ktoś zdąży mi odpowiedzieć.

Wracam po dwudziestu minutach. Hattori siedzi na poręczy balkonu, na szczęście bezpiecznie oparty o drzwi windy, i opowiada coś, co jest witane powszechną radością, szczególnie pana Stanisława, który bije właśnie brawo.

– Nie przerywaj, Kōi – prosi Alicja.

– Eetoo. Przyjechałem z tylko jedną walizką. Chciałem wziąć drugą. Ale, limit bagażowy. Dwadzieścia trzy kilo.

– A w tej walizce? – pyta Gutner.

– Nie pamiętam dokładnie już. Chyba dwa garnitury, buty, kapcie, słownik i bielizna termiczna, i pięć kilo czerwonego ryżu. W torebkach do gotowania. Celnik był bardzo ciekawy torebkami. Nie wiem, o co jemu chodziło.

Nikt również nie wie, o co chodzi Hattoriemu. Nie wiedzieć czemu, odwracają się do mnie z oczekiwaniem wyjaśnień wypisanym na trzech twarzach. Czterech, bo Hattori też oczekuje ode mnie pomocy. Odchrząkuję.

– Ryż kleisty gotowany z fasolą azuki. Je się go na specjalne okazje, urodziny, śluby... To bardzo tradycyjna potrawa. Bardzo japońska. On nie jest właściwie

czerwony, tylko bladuróżowy. Zwykle posypyany solą i takimi czarnymi ziarenkami, to chyba sezam. Wygląda fantastycznie, a smakuje jeszcze lepiej.

– Ale po co zabrałeś aż pięć kilo ryżu? – pyta Hattoriego Gutner.

– Tata mi opowiadał, że w Polsce jest bieda. Bałem się być głodny... – odpowiada Hattori z rosnącym zaambarasowaniem.

– Musiałeś mieć niezły nadbagaż! – podjuddza pan Stanisław.

– Eeeto. Tak. Nie wszystko się zmieściło do walizki. Ryż dużo ważył. Żelazko też dużo.

– Po co ci było żelazko? – chce wiedzieć Alicja.

– Tata mówił, że w Polsce w hotelu nie ma żelazka. Albo jest zepsute. Więc wziąłem, specjalny model podróżny. Ze składaną rączką. Ale było już ponad dwadzieścia pięć kilo. Więc torebki grzejące włożyłem do wszystkich kieszeni. Dwa kilo. Bałem się, że jak będę ruchliwy, to się uruchomią i będzie bardzo gorąco...

Trzy pary wzniesionych brwi oczekują mojego tłumaczenia.

– ホッカイロ? – pytam Hattoriego, żeby się upewnić.

Kiwa głową, że tak.

– Aha. Tak myślałem. No więc *hokkairo* to małe płaskie saszetki z jakimś środkiem chemicznym, takimi granulkami – nie wiem dokładnie, co tam sypią – i kiedy się taką torebkę mocno wstrząśnie, zaczyna wydzielać intensywne ciepło przez kilka, nawet do dziesięciu godzin, jak twierdzi producent na opakowaniu. Mnie tam nigdy na dłużej niż trzy–cztery godziny nie starczyło. Ale i tak świetna rzecz do rozgrzania zziębniętych dłoni czy stóp. Są do kupienia w sklepach survivalowych i sportowych, na narty... Można je włożyć do buta albo rękawiczki.

– Celuloza, opiłki żelazne, węgiel aktywny, vermikulit, sól, woda – mruczy Gutner.

– Wiedza kolegi Gutnera nie przestaje zadziwiać. – Pan Stanisław mruży oczy z zachwytem.

– Dobre – mówi Alicja, szturchając ojca łokciem.

– Się mówi! Nie przerywać! – woła Gutner. – Głos ma Robert.

– Jak rozumiem – kontynuuję – chłopak ponapychał je do wszystkich kieszeni, bo w walizce miał już nadbagaż od całego tego ryżu. I bał się, że jak za bardzo podskoczy, wszystkie zaczną naraz grzać i go ugotują. Niepotrzebnie – zwracam się do Hattoriego – bo *hokkairo* trzeba otworzyć i naprawdę mocno potrząsnąć, żeby

zaczęły grzać.

– Nie wiedziałem – broni się. – Byłem zmęczony po długim locie. Wychodziłem bardzo ostrożnie z lotniska. Krok za krokiem. Żeby nie trząść torebki w kieszeniach.

– Udało się?

– Tak. Ale potem taksówka jeszcze bardziej trzęsła. Ponieważ są dziury w drodze. Wydawało mi się, że torebki się rozgrzewają. Ale to ja się rozgrzewałem od bielizny termicznej.

– Przecież przyjechałeś na wiosnę? – nie rozumie Alicja.

– Ale wszyscy mówili, że w Polsce jest baaardzo zimno – wyjaśnia Hattori.

– Wielce szanowny pan Hattori spodziewał się spotkania z białymi niedźwiedziami, uprawiającymi surfing na krach lodowych po Wiśle – wyjaśnia pan Stanisław. – I nie pomylił się co do miejsca, najwyżej co do czasu, bo w epoce lodowcowej...

– Oż, daj mu spokój, ojciec! – przerywa gniewnie Alicja.

– Ależ ja z najserdeczniejszą sympatią! – protestuje pan Stanisław. – I łaskawie proszę przywieźć mi czerwony ryż w torebce przy okazji następnej wizyty na Wyspach Japońskich, a ja pomyślę, jak go wkomponować w jakiś ciekawy przepis kulinarny! Lusieńko, nie trzeba było!

To ostatnie skierowane jest do kobiety niewysokiej, dystyngowanej, z siwymi włosami starannie ułożonymi i związanymi w pokaźny kok, która przed chwilą wytoczyła się z windy ugięta pod ciężarem wielkiego garnka. Ma coś w oczach, co mnie zastanawia – krewna Gutnera? Te ciężkie powieki i łukowata linia nozdrzy... może mi się wydaje.

Pani Moździerzewska odstawia garnek i przychodzi się witać.

– Panie Robercie, tyle dobrego o panu słyszałam! Zapraszaliśmy pana na Wielkanoc, jaka szkoda, że nie mógł pan przyjść!

Kłaniam się i mamroczę grzeczne podziękowania.

– Proszę spróbować, czy dobrze zrobiłam... tę *japanese beef stew* – wymawia to perfekcyjnym brytyjskim akcentem. – Mąż nigdy nie umie porządnie spisać, we wszystkich przepisach kulinarnych robi błędy. – Wskazuje łokciem na pana Stanisława.

– Najdroższa Lusieńko, jak dobrze wiesz, jestem artystą kuchni, a nie pióra – naburmusza się pan Stanisław.

Ja grzecznie uzbrajam się w łyżkę i otwieram garnek. O, to jest... podnoszę głowę.

Coś błyska mi w twarz.

Kiedy reflektor lotniczy pod powiekami zaczyna powoli przygasać, z wielkiej światłości wyłania się bardzo wysoki, chudy, stary człowiek ze sterczącymi kośćmi policzkowymi.

Znany mi z paru spotkań na klatce schodowej – jak rozumiem, służący pana Mecenasa, znany w kamienicy jako Kozak.

Jest częściowo schowany za aparatem z wielkim obiektywem i jeszcze większą lampą błyskową wystającą nad siwym jeżem jak peryskop.

– No, ja przepraszam, że pana oślepił – mówi, zaciągając kresowo. – Proszono zrobić zdjęcie, jak pan się cieszy z *mābōdōfu* pani Moździerzewskiej.

Cieszę się posłusznie, tylko tym razem w ciemnych okularach. Za mną cieszy się reszta balkonu, a aparat, umocowany na potężnym statywie, robi nam zdjęcie rodzinne.

Z głośników płynie Beethoven. *Ode an die Freude*.

Hattori robi palcami „V” jak „Victory”.

Alicja uśmiecha się z obowiązku.

Gutner uśmiecha się szyderczo.

Pan Stanisław uśmiecha się szeroko.

Pani Moździerzewska uśmiecha się skromnie.

Kozak stoi na baczność i w ogóle się nie uśmiecha.

Cyk.

*

Wybuchy radości w kokpicie atakują monotonny spokój kabiny, zaburzają męczący, ale przynajmniej znajomy, odczuwany ciałem bardziej niż uszami bas silników. I na granicy słuchu: wysoki, prawie ultradźwiękowy syk rozcinanego powietrza.

Oglądam się. Na końcu korytarza widzę tylko czyjeś plecy i rękę wzniesioną w toaście.

Pode mną płynie chropowata faktura skalnej pustyni, dokładnie taka sama jak godzinę temu. Pod skrzydłem znika małe kółko krateru, a może wygasłego wulkanu, biegną od niego jaśniejsze paski, jak promienie.

Wyteżam wzrok. Droga? Próbuje zejść niżej, ale wolant nie reaguje, jest w ogóle za nisko umieszczony i ma za cienki uchwyt, niedopasowany do mojej dłoni. I nie poddaje się, nie chce drgnąć ani o milimetr.

Patrę znów w dół – pustynia się skończyła i lecimy nad ogromną przestrzenią słomianożółtych pól, poprzecinanych cienkimi kreskami, może dróg, może rowów.

Ktoś trzaska drzwiami do kabiny.

– A radia spróbować nie łaska? – pyta Gutner, szczerząc zęby w nieprzyjemnym, złośliwym uśmiechu. Jest nieogolony i ma rozchełstaną, przemoczoną od potu koszulę.

Sięgam odruchowo do radia i nie dosięgam, jest za daleko, pasy się napinają; przez chwilę jakby popuszczają, ale zaraz na powrót wciskają mnie w zdradliwie miękkie, zaborcze siedzenie. Próbuje coś odpowiedzieć. Nawet wykrzyknąć.

Gutnera chwyta za szyję sięgająca mu do ramienia dziewczyna, chyba Japonka, w obcisłej ciemnoczerwonej sukience, ma włosy farbowane w kolorowe paski i wiem, że kiedyś się nie farbowała i że ją znam, tylko skąd, z kiedy? Rika? Nie. Na pewno nie.

– Rika-chan^[4]...? – pytam.

Nie słyszy mnie. Chichocze, daje Gutnerowi udawanego klapsa, i zaciąga go z powrotem do kabiny.

Jestem sam.

Pode mną – ocean. Dziwny, bo nie płaski. Wielka krzywizna ma odwrotny kształt do tego, co powinienem widzieć z tej wysokości, zamiast łagodnej wypukłości – gargantuiczna wklęsłość, lej, do którego zdążam, lecąc równolegle do powierzchni wody.

Próbuję dostrzec, co jest na dnie, w centrum wklęsnięcia. Niestety, jest zbyt płytkie, zbyt daleko, nie, coś tam jest, coś, co może być niebem i pustynią; drugi świat, inny, ale taki sam, odwrotna strona wstęgi Möbiusa.

Nie mogę nabrać oddechu. Zaczynam walczyć z fotelem i pasami, w końcu wyrwam się i spazmatycznie łykając powietrze, biegnę do kabiny.

Nie poznaję niczego. Nie ma foteli, pokład zasłany jest starociami. Antyki, obrazy, porcelanowe naczynia i srebrne zastawy, gramofony i wzmacniacze, wszystko podłączone kablami i gra na pełny regulator, z dziesięć różnych utworów naraz. Balanga trwa, wszyscy siedzą na kolumnach głośnikowych, ustawionych rzędami wzdłuż ścian kabiny jak fotele lotnicze; każdy ma przed sobą wieżę grającą, nie, własny kokpit, z horyzontem, prędkościomierzem, wysokościomierzem i wariometrem, z drążkiem i pedałami. EHSI nie ma, kontrola, brak kontroli? Czy leci z nami pilot?

Śmieją się, krzyczą, rozmawiają, ha, ha, hi, hi, hejże hola, jedna ręka wznosi kieliszek szampana, druga udaje, że trzyma stery. Tylko wysoki smutny Kozak niczego nie pilotuje – chodzi wzdłuż korytarza i dolewa szampana z ogromnej butelki owiniętej włochatym czerwonym ręcznikiem.

Znowu wybuchają śmiechem. Nie rozumiem dowcipu i nie wiem, czy mam się śmiać, czy bać.

Wracam do kokpitu. Lecimy nad skalną pustynią. Jakąś dziwnie znajomą.

Pod skrzydłem znika małe kółko krateru, a może wygasły wulkan, biegną od niego jaśniejsze paski, jak promienie, pęknięcia, tak, na granicy horyzontu pustynia kruszeje, rozpada się, rozsypuje w deszcz wyschniętych płatków, jak stara politura.

Patrzę na wskaźniki.

Żaden nie jest tam, gdzie trzeba, gdzie jest EADI, lot nieskoordynowany, albo kulka zwariowała. Ratunku.

Chcę wrócić do kabiny.

Kabiny nie ma.

Autopilot zaczyna miarowo bzyrzeć, coraz głośniejsze i natrętniej.

Muszę coś zrobić.

Muszę wyłączyć autopilota.

[3] *Maneki neko* to figurka kotka z podniesioną zapraszająco łapą, symbol pomyślności w Japonii, i nie tylko. Tutaj Hello Kitty występuje w aspekcie (czyli wcieleniu) maneki neko, tak jak bogowie religii dalekowschodnich występowali w różnych aspektach. A Hello Kitty, jak wiemy, ma już status bóstwa. Marketingu, ale zawsze (przyp. tłum.).

[4] *-chan* (jap.) – przyrostek zdrobniający imiona osób bliskich sercu. Lepszy od polskich zdrobnień, no bo jakby to brzmiało: „Rikunia”? „Riczkówka”? „Riksia”...? (przyp. tłum.).

Rozdział 7

Co ja robię tu

Poniedziałek, 2 maja 2005

Wyswobadzam się z objęć kanapy, bo po trzech godzinach przed telewizorem zdreptało mi wszystko, z wyjątkiem palca obsługującego pilota.

Telewizor. A w nim programy po polsku. W większości durnawe, ale do głupoty programów japońskich jeszcze im daleko. Bardzo daleko.

Fakt, program kabaretowy mnie rozczarował. Kiedyś dowcipy kabaretowe były wycelowane ciut powyżej poziomu inteligencji cenzorów, żeby oni nie załapali, a naród – tak. Dzisiaj celują w średni poziom panów spod budki z piwem.

O reklama! Niesamowite. Mam trzydzieści dziewięć lat, a to moja pierwsza polska reklama telewizyjna w życiu. To trzeba uczcić. Idę do lodówki.

Kiedy wracam, na kanale osiemnastym zaczyna się coś na kształt *Wielkiej gry*. Czy mnie oczy nie mylą? Ta sama prowadząca co za PRL-u, kiedy kanały były dwa! Jak ona się nazywa? Nie pamiętam. Proszę, nawet się specjalnie nie postarzała. Chyba musieli ją przechowywać w formalinie.

Rozsiadam się wygodnie. Uwielbiam takie programy. W Japonii nie ma niczego podobnego. W ichniejszych teleturniejach nie wolno zadawać uczestnikom pytań, na które większość widzów nie zna odpowiedzi. To by nie było śmieszne ani urocze. Gorzej – byłoby niekomercyjne, bo sprawiające, że widz czuje się głupszy od ekspertów na ekranie. Widz ma mieć dobre zdanie na swój temat – wtedy kupi więcej produktów reklamowanych w przerwach. Dlatego królują pytania typu: „Co jest stolicą Francji?”.

A tu, w rodzimej telewizji XXI wieku – *Wielka gra* jak za dawnych lat. Twarda, głęboka wiedza, celebrowanie intelektu i erudycji. Bez fanfar, kiczu i hostess w bikini.

– Dlaczego przez te trzy miesiące nie przyszło mi do głowy, żeby pooglądać telewizję?

– Bo nie mamy telewizora? – odpowiada za mną głos Hattoriego, co oznacza, że źle ze mną – zacząłem mówić do siebie na głos.

Obracam się. Hattori stoi w drzwiach do salonu, z wyższą od niego o pół głowy blondynką urody nordyckiej, umalowaną i ubraną wyjściowo. Opuszczam wzrok. Uff. Zdjęła buty.

– Robert-san, poznaj Bogna. Z Łodzi.

– Bardzo mi miło, Bogna z Łodzi – mówię, zauważając, że udało mi się nie zacząć szukać wizytówek, a i ukłoniłem się tylko leciutko. Gutner byłby ze mnie dumny. Asymilacja postępuje. Telewizja pomaga. – Jestem Robert z... różnych miejsc. Wchodźcie. Herbaty?

– Nie, my teraz wychodzimy – odpowiada Hattori.

Bogna nie mówi nic i wygląda na jeszcze bardziej skrępowaną niż Hattori.

Odprowadzam ich do przedpokoju.

– Wrócę o godzinie dziewiętnastej czterdzieści pięć – informuje ze szwajcarską precyzją Hattori, zapluwając się trochę przy zbitkach spółgłosek.

– Co tak dokładnie? – pytam.

– Bo o dwudziestej mam pracę.

Dopiero kiedy zamykają się za nim drzwi, przypominam sobie, że to godzina, o której miałem się stawić w piwnicy. Czyli on też został zaproszony. Hattori wydaje się doskonale zasymilowany z tą grupą dziwaków. W przeciwieństwie do mnie.

Wyglądam przez okno w kuchni. Przechodzi przez ulicę z Bogną. Nie trzymają się za ręce, ale prawie. To znaczy wyglądają, jakby się trzymali, gdyby Hattori się jeszcze trochę bardziej spolonizował.

Czyżby to był początek końca naszego współlokatorstwa? Wprowadzą się gdzieś razem i znowu zostanę sam. W sumie nic, tylko się cieszyć, że facet staje na własnych nogach. Naturalna kolej rzeczy. Dojrzewamy, zakładamy rodziny...

Wracam do telewizora. Nie mogę się doczekać dobranocki. Będzie *Bolek i Lolek*.

*

Za drzwiami na balkon robi się ciemno, ale nie chce mi się wstawać, by włączyć lampę. Poza tym udaję, że jestem poza domem, żeby załoga kamienicy nie ściągnęła mnie na kolejną biesiadę. W końcu mam wakacje. A dwie kanapki ze wszystkim, co było w lodówce, zupełnie wystarczą. Kładę sobie talerz na kolanach i sięgam po pilota.

Skomplikowany dźwięk zamka w drzwiach wejściowych oznajmia, że wrócił Hattori.

– Cześć! – wołam. – Jak randka? Wcześniej wróciłeś... chcesz kanapkę ze wszystkim?

Chwila ciszy, a potem kroki w korytarzu.

– Oglądasz *Bolek i Lolek*? – pyta niepotrzebnie Hattori, bo ekran telewizora odpowiada w sposób niemy, ale niepozostawiający wątpliwości.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać, stary. Nawet polskie dobranocki znasz ze studiów?

– Nie ze studiów, tylko tata próbował sprzedać polskie anime do telewizja japońskiej.

– Telewizji. No, coś ty? Nie wiedziałem. Której telewizji? Kupili? Chyba nie, bo nigdy nie widziałem w Japonii *Bolka i Lolka*.

– Fuji Terebi. Niestety, nie kupili. Przez majtki.

– Niejedna rzecz nie doszła do skutku przez majtki – pocieszam.

Hattori robi szerokie z niezrozumienia oczy i próbuje wyjaśnić:

– W różnych odcinkach chłopcy mają nie ten sam kolor majtek. Znaczą

spodenków. I koszulek. To w Japonii niedopuszczalne. Musi być... **品質管理**
?

– Kontrola jakości.

– Tak. Właśnie.

– No cóż, w owych czasach kolor majtek Bolka był taki, jak się akurat panu Zenkowi w Bielsku chlapanęło pigmentu przy mieszaniu farby.

Oglądamy.

– Hattori-san?

– Robert-san.

– Skąd właściwie znasz całe to towarzystwo? Gutnera, Alicję, Moździerzewskich...

– Eeetoo...

– A poza tym?

Hattori patrzy w ekran i zbiera myśli.

– Najpierw poznałem Gutnera. On jest z wykształcony prawnikiem. Przepraszam, z wykształ... cenia. A z drugiego jubilerem.

– Fascynujące rzeczy mi opowiadasz. Prawnik i jubiler?

– Tak. On wiele lat mieszkał poza Polską. Oryginalnie w Niemcy. Potem w Szwecji, Irlandii Północnej i Izraelu. On mi pomógł, kiedy mój pierwszy partner biznesowy nie rozumiał biznes. Spotkaliśmy się pierwszy raz w sądzie na ulicy Aleja „Solidarności”.

– Tak, tę historię już znam. A wiesz, skąd powstała ta jego zażyłość

z Moździerzewskimi?

– Nie wiem. Dlaczego Robert-san nie zapyta ich?

Wyłączam telewizor, bo dobranocka się skończyła, wiadomości też, zapowiada się kolejny zagraniczny film, który bym chętnie obejrzał w oryginale, jeśli język pozwoli, albo z napisami, jeśli nie pozwoli. Ale na pewno nie z lektorem czytającym listę dialogową, co chyba zachowało się już tylko w naszym kraju. Mieszkam w skansenie.

Odkładam starannie pilota. Szklany blat antycznego stolika brzęczy delikatnym dysonansem. Biorę do ręki kubek. Jest pusty.

Nie wiem, co odpowiedzieć Hattoriemu.

Ten naciska. Po japońsku, czyli nic nie mówiąc.

– Słuchaj... to są jacyś dziwni ludzie. Nie wiem, czego oni ode mnie chcą.

– Czego chcą... – Brwi Hattoriego rysują w powietrzu znak zapytania.

– Tak, czego chcą. Ciągłe mam wrażenie, że mają dla mnie jakąś tajną agendę. Badają mnie, oceniają, do czegoś przygotowują... W końcu o coś poproszą?

Zapada cisza, więc włączam znowu telewizor. Na kablu leci *NCIS*, zupełnie jak w Stanach. Tylko tutaj pod tytułem: *Agenci NCIS*. I z nieszczęsnym lektorem, który będzie zagłuszał uroczą agentkę Zivę David.

Patrę na Hattoriego. Znajomy, nieco pucułowaty profil, oświetlony niebieskawym światłem ekranu; usiadł po turecku przed kanapą, jak zawsze – woli siedzieć na podłodze. Widzę, że ma nowe ciuchy: czerwono-szarą wzorzystą bluzę z kapturem. Na to chyba się mówi teraz „*hoodie*”? Ja bym czegoś takiego nie włożył, za stary jestem.

– OK, może przesadzam – podejmuję wątek. – W sumie bardzo przyjaźni i serdeczni ludzie. No, może poza Alicją. Dlaczego ona jest taka wiecznie zbuntowana? Na oko ma ze trzydzieści lat, bunt młodzieńczy ma już chyba za sobą?

– Alicja jest architektem. Typ artystyczna – wyjaśnia Hattori.

– Typ artystyczny – poprawiam.

– Ale ona jest kobietą. Czyli artystyczna?

– Tak, ale „typ” jest rodzaju męskiego.

– A jak będzie żeńskiego? Typa? Typowa? Typówna...?

Rozkładam ręce.

– Nie pytaj mnie. Po prostu tak się mówi: „typ artystyczny”. Nie umiem uczyć polskiego. Z gramatyki zawsze byłem nogą. Czyli słaby.

– Wiem, co to jest noga – odpowiada z godnością Japończyk i wstaje, żeby odnieść kubki do kuchni.

Robi mi się głupio, wyciskam się z kanapy i ruszam w stronę kuchni, wołając:

– Hattori-san! Czekaj, miałem ci coś powiedzieć! Świetnie mówisz po polsku. Naprawdę. Masz ogromny talent do języków. Więcej niż do języków. Żeby mówić dobrze w obcym języku, nie wystarczy talent lingwistyczny. Trzeba jeszcze umieć wyjść poza własne wzorce kulturowe, przyzwyczajenia językowe i myślowe. Stać się kimś innym na parę chwil, zacząć budować drugiego siebie... Bardzo cię podziwiam.

Hattori cofa się do własnych wzorców kulturowych, bo chichocze i macha przecząco ręką, że nie, to drobiazg, jego osiągnięcia są mikroskopijne i nic nieznaczące.

Ale widzę, że jest wielce zadowolony.

*

Na schodach jest tak cicho, że widownia musiała wstrzymać oddechy.

A pyłki kurzu w powietrzu poszły spać.

Cisza z echem. Stawiam ostrożnie kroki po czerwonym dywanie, żeby nie kopnąć mosiężnego pręta, który zafałszuje matowym brzęknięciem. Na półpiętrze siadam na parapecie. Jestem o siedem minut za wcześnie. Nie szkodzi, poczekam. Lubię schody. Nie wiem dlaczego. Jakiś psycholog miałby materiał na doktorat.

Pierwsze piętro.

Parter.

Muzyka zza drzwi na parterze psuje nastrój. Stłumiony wokół operowy brzmi płasko i martwo, a przekaźnik w skrzynce elektrycznej rozcykał się właśnie nerwowo i dodaje absurdalnych, arytmicznych synkop.

Czy ja na pewno chcę tam w ogóle iść? No nic, obiecałem Gutnerowi, trzeba dotrzymać słowa. Pójdę, przeproszę i wrócę do siebie.

Jeszcze jedenaście stopni. I drzwi do piwnicy. Z obrazem po drugiej stronie. Może ktoś go nie lubił, ale bał się urazić krewnego, od którego go dostał, więc wydelegował płótno na klatkę schodową?

Prowadzące w dół schody są jasno oświetlone. Patrzę na zegarek – za pięć ósma.

Korytarz wyłożono tym samym dywanem co schody. Na ścianach obrazy, pod sufitem dwa żyrandole, zawieszane na skróconych łańcuchach, żeby nie zawadzić głową. Wzdłuż ścian – ciemnobrązowa, czekoladowa właściwie boazeria, do

wysokości pasa. Kto kładzie boazerię w piwnicy? Gutner mówił, że nikt tu nie mieszka.

Mijam kaloryfer. I stary żeliwny stojak na parasole.

Korytarz kończy się skrzyżowaniem „T”. W prawo – koniec wersalu. Betonowa podłoga i komórki piwniczne. Na szczęście oświetlone, więc niegroźne.

Prosto – drzwi. Pukam. Naciskam klamkę.

Dawne mieszkanie krawca zamienione na warsztat stolarski.

Zamykam ostrożnie drzwi, żeby nie wzbudzić chmury żółtego pyłu pokrywającego podłogę.

W lewo – jeszcze kawałeczek korytarza i następne drzwi.

Próbuję – te się otwierają. Przed mną kolejny jasno oświetlony tunel, z kolejnym dywanem, też w perskie esy-floresy, tylko dla odmiany z przewagą niebieskiego. Sufit wydaje się trochę niższy, a zamiast żyrandoli – kinkiety na ścianach. Między obrazami. Między co trzecim obrazem dokładnie. I nie ma boazerii, tylko szara wykładzina na ścianach.

Na końcu korytarza – ciemnoczerwona kotara obszyta szeroką czarną taśmą. Kojarzy mi się z kinem „Stolica”. Pewnie już nieistniejącym.

– Gutner...? – wołam.

Jeśli go tam nie będzie, kończę zwiedzanie podziemi i wracam na górę. Dość tego.

Obraz, obraz, kinkiet, obraz, obraz, kinkiet, obraz. Kotara.

Odsuwam ostrożnie.

Wielkie stalowe drzwi do schronu są pomalowane na żółto z elementami pomarańczowymi i udają element łodzi podwodnej w estetyce beatlesowskiej. Tylko potężna jak łom klamka psuje efekt, bo powinno być koło do zakręcania.

Popycham drzwi. Nie poddają się łatwo. Napieram całym ciałem.

W końcu wprawiam je w ruch – otwierają się bezgłośnie, ale zaraz muszę chwycić znowu za klamkę i wyhamować ruch, żeby nie walnęły w ścianę kolejnego korytarza.

Nie, nie korytarza – przedpokoju odgradzonego od następnego pomieszczenia kolejną ciężką kotarą. Dokładnie taką jak w starych kinach.

Poza tym przedpokój jest typowy, z szafkami na buty, mosiężnymi wieszakami na ubrania, starą, ozdobną szafą z lustrami i całkiem nowoczesnym stojakiem na kapcie ze znanego szwedzkiego sklepu meblowego. Odruchowo zaczynam ściągać buty.

– Jak już musisz, to kapcie twojego rozmiaru są w paski!

Odchylam kotarę. Gutner stoi za długą szklaną ladą, ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Krzywiąc się, bada coś przez lupę zegarmistrzowską.

Posłusznie znajduję na stojaku prążkowane kapcie i wchodzę.

Pokój jest duży, nawet bardzo duży. Prawie kwadratowy, na oko ma dziesięć na jedenaście czy dwanaście metrów. Oświetlony dziesiątkami halogenowych reflektorów wycelowanych w meble. Stare meble – antyki. Stoliki, serwantki, kozetki, sekretarzyki, parawany i inne sprzęty, których nie umiem nazwać, chociaż sto lat temu stanowiły pewnie standardowy element wyposażenia domu.

Na ścianach – cała galeria obrazów. Kilka wiszących najbliżej portretów jest prawie mojego wzrostu i wyglądają śmiesznie nie na miejscu w pomieszczeniu o wysokości współczesnego mieszkania. Jakby ledwie się mieściły w tej rzeczywistości.

Pod ścianami i w dwóch rzędach przecinających częściowo pokój – szklane gabloty. Za nimi – bardzo ozdobny fortepian. Ogarniam znowu wzrokiem całe pomieszczenie, próbując zdecydować, czy to kolekcja, muzeum, czy coś w rodzaju sklepu ze starociami. Prywatna Desa?

Gutner wyjmuje z oczodołu lupę i przygląda mi się zza lady.

– Co to jest? – pytam.

– Klawesyn – odpowiada.

– Nie, miałem na myśli całe to miejsce... czekaj, klawesyn? Myślałem, że fortepian.

Wskazujący palec Gutnera przechodzi w tryb wykładowy:

– Jeśli coś ma dwa rzędy klawiszy, przy tym białe zamiast czarnych, a czarne zamiast białych, to zazwyczaj nie jest fortepianem, tylko klawesynem. Głodny?

– Co? Nie, nie, właśnie zjadłem... ale chciałem zapytać: co to w ogóle jest? Prywatna kolekcja? Sklep z antykami? Muzeum?

– To jest Antykownia – odpowiada Gutner i ponownie wraża sobie lupę w oczodół.

– Aha. Zaraz. Antykownia to...? – drążę w poszukiwaniu zrozumienia.

– To – odpowiada Gutner, wskazując dookoła. – Plus zaplecze i trzy pracownie. Gotowy?

– Gotowy... do czego? Słuchaj, ja w ogóle chciałem przeprosić i...

– Super. Potrzebujemy pomocy. Malutkiej. Dwadzieścia, trzydzieści minut masz? Płacą gotówką.

– Nie wygłupiaj się, jeśli mogę pomóc, to przecież nie będę od ciebie brał pieniędzy, dość mi sam pomogłeś...

– Pomoc służbowa – inna bajka. Kasa jest z kasy firmowej. Nie mojej. To jak?

– Dobra, pokaż, o co chodzi – mówię zrezygnowany.

– Zaczekaj. – Gutner podnosi palec, obraca się i znika za kotarą, którą dopiero teraz zauważyłem.

Więc dalej jest jeszcze jedno pomieszczenie. Co tu się kiedyś mieściło? Strop jest trochę na wysoki na zwykłe piwnice. Skład win?

Gutnera nie ma już kilka minut, więc zaczynam oglądać wystawę. W każdej szklanej gablocie – inna kolekcja tematyczna. Medale. Obok – kindżały i szable. Stare monety. Dalej – czy to jest dowcip? Zastawy rodem z baru mlecznego. Kubki „Społem” z granatową obwódką i talerze „GS” z obwódką zieloną. Widziałem podobne w jednym z rozlicznych salonów na trzecim piętrze...

– Gutner? – pytam, bo widzę jego odbicie w szkle gabloty. – Czy to ktoś kupuje?

Gutner szczerzy kły, ale nie odpowiada; robi zwrot w stronę kotary wejściowej, która się porusza... aha.

– Witam serdecznie, wielce szanowny panie Robercie! – Możdziejewski kończy wycierać buty i kieruje się prosto w moją stronę. – Otóż jak zapewne pan doskonale wie, są ludzie, którzy kolekcjonują naszą niedawną i nie do końca mile wspominaną przeszłość. W kraju i za jego granicami. Powiedziałbym, że szczególnie za granicą. Nawet w Japonii! O czym pan Hattori wie lepiej niż ktokolwiek, bo już wyeksportował sto dwadzieścia trzy kilogramy zastaw z czasów PRL-u. Dobrze mówię?

Mój współlokator, który nie wiadomo kiedy wszedł do Antykowni, kiwa poważnie głową.

– To jest znaczący i szybko rosnący rynek – kontynuuje triumfalnie pan Stanisław. – Rynek rządzący się swoimi własnymi prawami. Ostatnio w Chicago sprzedano na aukcji zestaw radzieckich szklanek do herbaty z aluminiowymi uchwytami za tysiąc pięćset siedemdziesiąt dolarów! Proszę łaskawie spojrzeć tutaj. – Wskazuje na półkę w gablocie wiszącej. – Widzi pan te stojaki do serwetek papierowych? Jak pan na pewno się domyśla, są szczególnie cenne, bo opatrzone logo PZG, Państwowych Zakładów Górniczych. – Pochyla głowę z szacunkiem. – To dziś bardzo rzadkie. Zaraz panu pokażę.

Otwiera kluczem gablotę i sięga po biały ceramiczny stojak na serwetki, znany mi doskonale z dziesiątków barów mlecznych, gdzie się żywiłem za czasów

studenckich.

– Proszę nastawić ręce, o, tak. – Demonstruje, wyciągając dłonie złożone w miseczkę. Wygląda przy tym, jakby oczekiwał na dar od boga Azteków.

Nie jestem pewien, czy jest to jeden wielki żart, czy nabijanie mnie w butelkę, czy też rzeczywiście zaczęła się moda na socjalistyczną porcelanę, ale na wszelki wypadek wstaję szybko i przyjmuję w posłusznie złożone dłonie półokrągły kawałek taniej ceramiki, jakby to była bezcenna czarka dynastii Tang.

Pan Stanisław daje mi się ponapawać zabytkiem, po czym odstawia go ze czcią do gabloty.

– Jeśli już tutaj jesteśmy – kontynuuje – to gwiazdą kolekcji jest nowo nabyty...

– Stasiu, daj mu spokój i pomóż mi znaleźć ustrojstwo. – Gutner wychyla głowę zza kotary. – To, które Robert miał rozgryźć.

– A! Ustrojstwo! Gdzie ono się zapodziało? Zaczekaj, kochany, już się udaję w twoim kierunku!

Znikają obaj. Zostaję z Hattorim i Alicją, która prostuje się po energicznym wycieraniu czarnych wojskowych butów.

– Ali-chan! – cieszy się Hattori. – Nie wiedziałem, że będziesz dzisiaj.

– No, jestem, jestem. Wiem, mam ci skończyć ten obraz do gdzieś tam.

– Do Hamamatsu – przypomina Hattori. – Mam kupca – wyjaśnia, zwracając się do mnie. – Bardzo ważny człowiek. Bardzo zamożny. On zbiera sztukę pe-er-el. Sotsurearizmu?

– Socrealizmu – domyślam się.

– Tak właśnie powiedziałem. – Hattori kiwa głową.

Patrzą na mnie oboje, jakby na coś czekali. Odchrząkuję.

– Słuchajcie... czy ktoś mi w końcu powie, co to jest? To znaczy mam na myśli: gdzie ja jestem?

Alicja wzdycha, jakbym ją prosił o wyjaśnienie, czy Ziemia jest okrągła, czy może jednak płaska i podtrzymywana przez trzy słonie stojące na wielkim żółwiu.

– Sąsiedzie Robercie. Moja rodzina, bezpośrednia i przyszywana, prowadzi Antykownię. To – z pełną gracji, teatralną przesadą pokazuje ramieniem dookoła, na meble, gabloty i obrazy, jakby przedstawiała zawartość Luwru zgromadzonym ambasadorom.

Śmieje się, nie wiem z czego. Ale dobrze, że się śmieje.

– Tata zajmuje się renowacją antyków – kontynuuje. – Ja konserwuję i wyceniam

obrazy, czasem rzeźby i inne takie. Gutner zajmuje się biżuterią i wszystkim z metali szlachetnych. Kōi jest naszym oficjalnym *liaison* z rynkami dalekowschodnimi. – Trąca go przyjaźnie w zębra. – Ty... nie wiem. Mama coś mówiła, że masz pomóc przy elektronice i starych maszynach.

– Mam?

Alicja patrzy na mnie uważnie i z wyraźnym... uznaniem.

– Też nie lubisz, jak ci projektują życie? No nic – macha ręką – muszę wziąć się za tę szmatę do...

– Hamamatsu – kończy za nią Hattori.

– Cobynietam.

Parskają śmiechem i przechodzą na koniec lady ciągnącej się wzdłuż całej lewobrzeżnej ściany pomieszczenia. Dopiero teraz widzę, że lada kończy się kolejnymi drzwiami. Za którymi po chwili znikają.

*

Siedzę przy ozdobnym stoliku przykrytym zielonym filcem, w kącie utworzonym z wielkiej szafy gdańskiej i wysokiej szklanej gabloty wypełnionej zdekompletowanymi zastawami stołowymi. Wykręcam kolejne śrubki z ustrojstwa. Co to jest i w jakim stanie – dowiemy się za sześć śrubek.

Kątem oka obserwuję krzątanicę. Przed chwilą pan Stanisław z Kozakiem (muszę się wreszcie dowiedzieć, jak ten człowiek się nazywa i dlaczego mówią na niego „Kozak”) przyciągnęli na wózk kolejny mebel. Rzeźbiona szafka z lustrem, może kiedyś łazienkowa, na pewno bardzo stara, w opłakanym stanie i chyba niewarta złamanej złotówki.

Podchodzi Gutner.

– Jak idzie?

– Powiem ci za cztery śrubki. Są stare i zapieczone. Idzie powoli, nie chcę zerwać gwintów.

– Doskonale. Niczego ci nie trzeba?

– Nie, chyba że nie masz co robić, to opowiedz, skąd wytrzasnęliście taki podziemny hangar. To był kiedyś schron, prawda?

– Brawo.

– Ale nie pod naszą kamienicą, zgadza się?

– Brawo bis, z dodatkowym punktem za zaimek dzierżawczy. Skąd wiesz, że nie

pod naszą?

– Korytarz jest za długi i prowadził w lewo, czyli wzdłuż ulicy, pod następny dom. Zresztą gdyby był pod naszą... twoją kamienicą, w ogródku musiałyby być betonowy grzybek wyjściowy do ewakuacji. Odległy od ściany o jedną trzecią wysokości budynku. Bo jak dom się zwali od bomby, to gruz spada do dystansu równego jednej trzeciej jego wysokości. Przynajmniej tak nas uczyli. Aha, i grzybki wentylacyjne musiałyby być w ogródku. Koniecznie grzybki.

– Wielkie nieba. Nie spałeś na przysposobieniu obronnym? Jestem pod wrażeniem, kolego R. Tak, schron był pod sąsiednim numerem. Mecenas kupił go w osiemdziesiątym dziewiątym.

– To schron można kupić?

– Wszystko można kupić... – Palec Gutnera waha się, czy nie stanąć w pozycji wykładowej, ale rezygnuje i wraca do kieszeni. – Wtedy wszystko można było kupić – mówi Gutner ciszej, już normalnie i od siebie. – Mecenas wrócił ze Stanów z dużymi pieniędzmi. Odremontował kamienicę, szukał miejsca na pracownię dla Moździerzewskich. Trafił się schron. Połączony z naszymi piwnicami jeszcze przed wojną. Wykręcasz te śrubki czy się poddajesz?

– Już, już – mruczę, biorąc z powrotem śrubokręt. – Czekaj, powiedz jeszcze: to jest normalny biznes? Z kasą, jak to się teraz nazywa, fiskalną? I tak dalej?

– Nic nie jest normalne. – Gutner przygotowuje już palec, ale nie kończy, zrywa się z zabytkowego taboretu, na którym przycupnął koło mnie, i biegnie do swojego stanowiska za ladą. Klika myszą, czyta w skupieniu.

Coś się dzieje.

Pan Stanisław wbiega do sklepu i kieruje się od razu na zaplecze.

Z przeciwnej strony sklepu, zza którejś z kotar, rozlega się stłumiony, ale i tak zirytowany głos Alicji:

– Klient? Dzisiaj? Ratunku!

Udaję, że walczę z kolejną śrubką, i nadstawiam uszu.

Gutner kłóci się z Moździerzewskim. Nie, to tylko dyskusja ożywiona dynamiczną gestykulacją. Przerywają. Gutner wzrusza ramionami, Moździerzewski teatralnie macha z rezygnacją ręką i idzie do mnie.

– Wielce szanowny panie Robercie... – zaczyna.

– Mam sobie iść? – zgaduję.

– Ależ nic nie może być dalsze od naszych zamiarów! Pozwoli pan, że wyjaśnię.

Mamy nieoczekiwanego klienta. Spodziewaliśmy się go w dniu jutrzejszym – cóż, może mu się dni tygodnia pomyliły. Niemniej jest to ważny klient, co zazwyczaj oznacza u nas alarm z kategorii: „Wszystkie ręce na pokład”. Będziemy niezwykle zaszczytzeni, jeżeli pan zostanie i zaobserwuje nas w akcji. Moja rodzina, bezpośrednia i przyszywana, jak to zwykle ujmuje moja córka, stanowi całkiem zgrany zespół! Czego, mam nadzieję, zaraz pan doświadczy.

– To może ja pomogę jakoś? – oferuję, wstając.

– Nie, nie, absolutnie, proszę się nie kłopotać! – woła pan Stanisław z odrobiną paniki w głosie. Wyciąga dłoń, jakby chciał mnie zatrzymać albo popchnąć z powrotem na krzesło, ale reflektuje się i cofa rękę. Wskazuje na prawie już rozebrane ustrojstwo. Mówi z uspokajającym uśmiechem: – Jakby jednak był pan tak miły dokończyć... to będzie dla nas największa pomoc. No, ja muszę... – Odchodzi szybkim krokiem, lawirując między meblami i gablotami.

Czyli pozwolili łaskawie popatrzeć, ale Klienta jeszcze mi dotknąć nie wolno.

Świetnie.

Rozsiadam się wygodniej, bo urządzenie już rozgryzłem, co nie było wcale trudne po usunięciu ostatniej śrubki. Jest to stara centrala telefoniczna, chyba z lat pięćdziesiątych. Po co im ona i dlaczego zatrudnili mnie do jej rozbierania, pojęcia nie mam. Zapytam, jak skończy się alarm kliencki.

*

Czerwona kotara przy wejściu odchyła się, pokazując chude ramię w białej koszuli, za dużej chyba, bo podwiązanej nad łokciem rzemyskiem. I zgarbioną szyję Kozaka.

Załoga sklepu zajmuje z góry upatrzone stanowiska.

Gutner – za ladą, z lupą w oczodole, udaje, że bada coś małego i niewątpliwie cennego.

Alicja – właśnie wytaszczyła z zaplecza obraz wysoki prawie jak ona, po czym zamocowała go na sztalugach. Teraz udaje, że czyści pędzelkiem zdobne detale ramy.

Hattori – przechadza się w zadumie między gablotami, udając Zagranicznego Kupca z Krajów Egzotycznych.

Pan Stanisław – stoi przy szklanej ladzie, zwrócony w stronę kotary wejściowej, z wyrazem radosnego zdumienia na twarzy.

Klient wkracza.

A raczej się wtacza.

Jest niski, budowy baryłkowatej, z krótkimi, potężnymi nogami, sterczącymi kabląkowato po obu stronach pokaźnego brzucha. Ubrany w dżinsy i marynarkę. Wysokie czoło błyszczy mu się jak nawoskowane. Rozgląda się niepewnie dookoła, w końcu zatrzymuje wzrok na panu Moździerzewskim.

Ten rozpromienia się jak na widok zagubionego w czasie wojny brata. Otwiera szeroko ramiona i woła:

– Zapraszamy pana senatora, zapraszamy serdecznie!

Gutner wyjmuje lupę z oka i przygląda się z niedowierzaniem Klientowi. Niedowierzanie zmienia się powoli w rozpoznanie. Gutner szczerzy zęby.

Alicja nadal udaje, że konserwuje ramę obrazu. Wiem, że udaje, ponieważ jej mina mówi: robię cyrk, bo muszę.

Kozak eskortuje Klienta do lady. Kłania się i przekazuje go panu Moździerzewskiemu.

Klient wyciąga coś ze skórzanej teczki na pasku, którą ma przewieszoną przez ramię. Dokument. Plik dokumentów. Moździerzewski, niezwykle podniecony, pstryka palcami i wzywa Gutnera. Ten przestaje się szczerzyć i przyjmuje wyraz sceptycyzmu i wątpliwości. Nachyla się nad dokumentem, bada go przez lupę, kiwa przecząco głową.

Moździerzewski jest zawiedziony, naciska na Gutnera, by jeszcze raz sprawdził. Perswaduje:

– Czy jesteś pan pewien, kochany? Przecież to wygląda bardziej autentycznie niż ja! Nie pierwszy raz widzę ten podpis mój drogi, nie pierwszy raz!

Klient grzecznie rechocze ochryplym dyszkantem, ale patrzy z niepokojem na Gutnera, który nie przestaje kręcić przecząco głową.

Zaczynam podejrzewać, że zachodzi tutaj starannie przećwiczona inscenizacja, gdzie Moździerzewski jest Dobrym Policjantem, a Gutner – Złym. No, może Sceptycznym.

Wyteżam słuch.

– Cóż za rozczarowanie, tak nam przykro... Sam dałbym się nabrać, podpis wygląda na stuprocentowo autentyczny... Tak, tak. Ale zaraz, co ze mnie za gospodarz! Wielce szanowny pan senator wygląda na spragnionego, czy można służyć czymś odświeżającym?

Klient wyciąga z kieszeni marynarki chusteczkę i ociera łysinę. Potakuje.

Idą w moją stronę. Wykazują nagłe zainteresowanie ustrojem.

Przechodzą za moimi plecami.

Podnoszę głowę, by sprawdzić, gdzie idą, i odkrywam, że stoją nade mną.

– Zna pan już moją rodzinę, pozwolę sobie więc przedstawić naszego przyjaciela, inżyniera, który jest u nas konsultantem do spraw ergonomii i technologii starożytnych!

Otwieram już usta, żeby zaprotestować, ale zmieniam zamiar; nie wiem, co we mnie wstępuje, może duch przekory, o którym nie wiedziałem, że go posiadam. Wstaję, wyciągam oburącz wizytówkę i kłaniam się po japońsku w wersji przesadnej, czyli: chłop pańszczyźniany cesarzowi.

– Ergonom Brakat – mówię z głębi ukłonu.

Klient przyjmuje wizytówkę z zakłopotaniem i nerwowym chichotem, po czym chrypi:

– Brukwa. Jan.

– Brukwa Jan-san. Wielki zaszczyt – mówię, kłaniając się jeszcze niżej.

Dopiero po wyprostowaniu się widzę, że Alicja, podpatrująca nas zza sztalug, dusi się z radości.

Procesja odbija od mojego stolika i rusza w głąb, za witrynę ze zdekompletowanymi zastawami. Wracam do pracy, ale przesuwam trochę krzesło, żeby ich obserwować między srebrnym dzbanuszkim do śmietanki a zestawem sól-pieprz rodem z baru mlecznego. Z brakującą solniczką.

Wypatruję odległy ode mnie o jakieś siedem metrów, schowany w rzędzie mebli... saturator. Prawdziwy archaiczny saturator uliczny. Taki stojący, na złotówkę, z musztardówką na łańcuchu i guzikami do wyboru soku – żółtego albo czerwonego. Chyba odnowiony, bo cały w błyszczącym szaroniebieskim lakierze piecowym. I co lepsze, działa.

Przesuwam delikatnie pieprzniczkę, żeby lepiej widzieć.

Gutner z wprawą ulicznego sprzedawcy wciska guzik i przepłukuje musztardówkę rachityczną fontanną wody. Podstawia do napełnienia. Z rurki cieknie skąpa porcja gęstej czerwonej cieczy. Następnie maszyna rżęzi, dostaje czkawki, zamiera na moment, zbiera się w sobie, syczy coraz głośniejsze i wreszcie strzela do szklanki strumyczkiem wody sodowej. Sukces.

Klient wychyla duszkiem i przymyka oczy z zadowolenia.

– Ile? – pyta.

– Ach, wiedziałem, że pan dobrodziej doceni prawdziwy zabytek naszej

arcybogatej historii! – podnieca się pan Stanisław.

Gutner szturcha go w bok i szepcze coś teatralnie, ale nie dość teatralnie, żebym mógł usłyszeć. Tym bardziej że przed chwilą do sklepu weszła pani Moździerzewska, uśmiechnęła się do wszystkich i włączyła za ladą muzykę. Mruga do mnie – jesteśmy umówieni na kulinarną wymianę kulturową po pracy. Z ukrytych głośników (będę musiał wyśledzić, gdzie je zamontowali) sączą się przeboje lat trzydziestych ubiegłego stulecia. *As Times Goes By* z *Casablanki*. W wykonaniu Briana Ferry’ego, nie oryginalnym, ale zawsze.

Moździerzewski wygląda na wzburzonego szeptami Gutnera i reaguje z głośnym oburzeniem:

– Ja rozumiem, że tak bezcenny zabytek techniki nie jest na sprzedaż; no ale dla wielce szanownego senatora Brukwy?

Gutner krzyżuje ramiona i z obrażoną miną półobraca się w moją stronę.

Chowam się za salaterkę.

– Dwanaście tysięcy – mówi twardo.

Klient wyciąga chustkę.

– Nawet dla niezwykle szanownego senatora Brukwy? – błaga Moździerzewski.

– Jedenaście – zgadza się niechętnie Gutner. – Chociaż nasz konsultant do spraw rynków dalekowschodnich wspominał coś o zamożnym kupcu z Osaki...

Hattori przypadkiem przechodzi obok i staje jak wryty przed saturatorem, pożerając go łapczywym wzrokiem.

Klient wyciera spoconą łysinę.

– Dziesięć? – naciska Moździerzewski. – Specjalnie dla ogromnie szanownego senatora Brukwy?

Gutner przeżywa załamanie nerwowe. Zgodzi się...?

Zgodził. Na dziesięć i pół.

Klient wygląda na nieco oszołomionego i nie do końca pewnego, dlaczego kupił saturator za dziesięć tysięcy pięćset złotych i czy na pewno miał zamiar wydać takie pieniądze, ale jest już triumfalnie eskortowany do kasy.

Ustalają termin dostawy.

Ja wracam do ustrojstwa.

Przedstawienie się skończyło i ja też chyba muszę kończyć.

Wzywam Gutnera, który przyjął zapłatę i pożegnał się z Klientem.

– Jak jest? Rozgryzłeś ustrojstwo?

– Raczej rozebrałem i znowu złożyłem. To jest centrala telefoniczna. Mała, na dwadzieścia linii. Półautomatyczna, z lat końca pięćdziesiątych tak na oko.

– Działa?

– Powinna działać. To znaczy wszechstronnie jej nie przetestowałem, ale ogólnie – w dobrym stanie. Nie jestem elektronikiem. Natomiast znam jednego dobrego specjalistę, który lubi się grzebać w starociach. Mogę zarekomendować – mówię nonszalancko, bo do tej pory to Gutner mi ciągle kogoś rekomendował. Oczywiście, zauważył to:

– Zamiana ról? Ha! Świetnie. – Przygląda się centrali. – Da się ją przerobić na system wewnętrznych telefonów między mieszkaniami a Antykownią?

– Bo ja wiem... ale po co?

– Zasięgu nie ma. – Gutner wskazuje palcem na sufit. – Gruby beton. Miał wytrzymać bombę.

– Jasne... a nie lepiej kupić współczesną centralę, automatyczną? Cyfrową? Dobra, nie rób min. Rozumiem, że to by nie pasowało do klimatu Antykowni. Nie szczerz się, tylko powiedz, czy mogę ustrojstwo zabrać w sobotę do mojego magika od elektroniki. On je porządnie przetestuje i...

– Bierz. O to chodziło. Zdałeś.

– Co zdałem?

Gutner w ramach odpowiedzi porywa z mojego stolika śrubokręt, chwytając między dwa palce i kręci nim triumfalnego młynka, jak perkusista pałką.

Śmieje się, biegnie za ladę i znika za kotarą.

Wracam długim podziemnym korytarzem, zastanawiając się, po co mnie tu wezwali. Bo na pewno nie w celu wykręcenia dwunastu śrubek. Które wcale zresztą nie były takie zapieczone.

*

Czwartek, 5 maja 2005

Firma wyludniona – połowa pracowników robi swój długi weekend jeszcze dłuższym.

Wychodzę z budynku centrum obsługi klienta. Kupuję puszkę mrożonej herbaty.

Miałem prezentację nowego portalu dla konsultantek. Tak je nazywamy. Co praca dziewczyny na słuchawce ma wspólnego z konsultingiem, jeszcze nie wiem, ale nie

chcę za bardzo wypytywać, bo dziewczyny są miłe i gościnne. Oprowadziły mnie po swoim piętrze, zwanym egzotycznie Call Center. Mogłem posłuchać, jak urocze konsultantki zęcnie ochrzaniają kolejnych sfrustrowanych klientów i redukują ich do malutkich kupek drżącego posłuszeństwa.

Nie licząc tych klientów, których onieśmielić się nie udało, co powoduje otwartą wojnę, z obustronnym ostrzałem złośliwościami, a nawet wyzwiskami.

Pani dyrektor zachęciła mnie do wpięcia się drugą parą słuchawek przy telefonie Konsultantki Miesiąca. Usłyszałem:

– Ale proszę pani, ta funkcja w ogóle nie działa...

– Nikt z klientów nie zgłaszał takiego problemu.

– Ale...

– Wydaje mi się, że już panu powiedziałam: NIKT z klientów nie ma takiego problemu. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Ale...

– W takim razie chciałabym pana zainteresować atrakcyjną ofertą nowych usług...

– Niedziałających?

– Czy pan sobie ze mnie kpi?!

– Ale naprawdę u mnie...

– Nikt z naszych klientów nie zgłaszał takiego problemu. Może chce pan zamówić odpłatną usługę konfiguracji komputera?

– Ale ja mam w domu cztery komputery i na wszystkich...

Ciekawie było obserwować konsultantki rozmawiające z klientami. Zazwyczaj słyszymy tylko głos po drugiej stronie słuchawki. W Japonii uprzejmy do mdłości, słodko recytujący wyuczone formułki bez krztyny zrozumienia tematu. Tutaj – obojętny, lekko obrażony i przywodzący na myśl kogoś rozwalonego od niechcenia w fotelu, ze skrzyżowanymi ramionami, żującego gumę i patrzącego w sufit.

O dziwo, większość konsultantek dokładnie tak wyglądała.

Moją pierwszą reakcją było: „Muszę o tym porozmawiać z szefową. Jak można tak obsługiwać klientów naszej firmy?!”.

Ale teraz stoję przed budynkiem z grupką dziewczyn pośpiesznie kończących jeść batony. Chcę je zapytać, dlaczego tak nienawidzą swojej pracy. Nie wiem jak. Tutaj, na zewnątrz, nie wyglądają na obrażone urzędniczki. Są ode mnie dużo młodsze, dwie rozmawiają o nadchodzącej sesji – studentki. Może jakoś z nimi porozmawiać, że klient to nie wróg, tylko ktoś, kto płaci nasze pensje?

– Zadziwiające, że pozostajecie tak szczupłymi, konsumując tyle batonów – próbuję być szarmancki.

Stojąca najbliżej mnie dziewczyna śmieje się, druga wzrusza ramionami, trzecia mówi:

– Słuchaj, jakbyś zarabiał tysiąc dwieście złotych, jadłbyś to, co tanie – batony są dofinansowywane przez firmę, po złotówce.

– Ty, Malina, nie narzekaj – przerywa chuda jak słup telegraficzny blondynka z nie najczystszyimi włosami spiętymi gumką. Zdejmuje okulary i zaczyna je z furią czyścić brzegiem bluzki. – Nam się wyprowadził czwarty z mieszkania, musimy teraz we trzy płacić za trzy pokoje. Wiesz, ile zostaje po wypłacie?

Robi mi się straszliwie głupio, zaczynam przeproszać i oferować zakup czegoś do picia pod te batony.

O dziwo, zgadzają się. Kupuję im kilka puszek napojów z sąsiedniej maszyny. Dziękują, odwracają się, jakby mnie wreszcie zauważyły, kilka z nich podchodzi bliżej. Pytają, z jakiego jestem działu i jak długo w firmie.

– Departament marketingu – odpowiadam. – Pomagam informatykom budować portal... Jestem tu nowy. Dopiero od kilku tygodni w firmie.

Śmieją się, nie wiem z czego.

– Długo tam miejsca nie zagrzejesz – mówi wysoka brunetka z wąskim, sterczącym nosem, trzymająca w jednej ręce baton, a w drugiej papierosa. – Nikt tu długo nie wytrzyma.

Pozostałe potakują:

– Byle skończyć studia i wio z tego bagna...

– I nigdy więcej p...ych klientów – woła chuda blondynka w okularach, unosząc w powietrze zaciśniętą pięść.

Dostaje brawa.

Postanawiam szybko przetoczyć rozmowę na inne tory, może na coś poutyskiwać w celach integracyjnych:

– Faktycznie, mam już trochę problemów... dostałem dzisiaj megaopieprz od Kadr za odpisywanie na maile służbowe w czasie urlopu na żądanie!

Patrzą na mnie, nie rozumiejąc.

– Po grzyba sprawdzasz pocztę na urlopie? – pyta brunetka z batonem.

– No wiecie, jak to jest... Jak się jest nowym w zespole, trzeba się trochę wykazać, prawda?

Odrobinka sympatii, jaką udało mi się wypracować u dziewczyn, wyparowuje w tempie kropli wody pod dyszą silnika odrzutowego. Kończą jeść, mamroczą jakieś półoficjalne podziękowania i uciekają na piętro.

Wracam do swojego budynku, nucąc piosenkę zasłyszaną ostatnio w radiu – zupełnie nieznanego mi polskiego zespołu:

I co ja robię tu?

Co ty tutaj robisz?

*

– Chodź no tu, Boluś, coś ci powiedzieć muszę.

– Nooo?

– Ja nie wiem, czy mnie się wydaje, czy złotej egzotycznej się w tem rybiem mózdzku przewróciło. Jakaś taka, uważasz, bezczelna się zrobiła.

– Nooo... po wczorajszym karmieniu zapuściła się aż pod moczarkie.

– Pewnie w pogoni za naszą karmą... sprytna bestia. No i co, Boluś?

– No i przepłynęła mnie przed nosem, że aż mnie cuś tu pod skrzelą ścisło, o, tu.

– Ścisło, mówisz. I co z tem zrobiłeś, co?

– No wiesz, Zenek... Bym ją nawet skubnął, żeby popamiętała, ale pokarm szybko opadał na dno, wiesz, jak to jest...

– I tak jej pozwolimy, Boluś?

– No chyba nie... To może by tak chapsnąć?

– A żebyś wiedział, chapsniemy płetwę skubaną! Niech no tylko znowu tu do nas się zapuści! Począkać trzeba.

– Nooo... To czekamy.

*

Wychodzę z biura z Puchaczem. Wyjątkowo dziś nastroszonym – mieliśmy kilka drobnych potyczek i jedną poważną bitwę z IT o nasz portal.

On do autobusu, ja do mazdy zaparkowanej w uliczce za budynkiem – o miejsca na parkingu służbowym toczy się w pracy wojna podgryzowa, więc pewnie szybko swojego nie dostanę. Szczególnie po dzisiejszym zmyciu mi głowy przez bryzgającego jadem dyrektora Oszogona.

Puchacz kiwa mi głową na pożegnanie, po czym odstrasza się, powoli prostuje

ciężkie, zgarbione plecy i już całkiem lekkim, prawie tanecznym krokiem odpływa w stronę przystanku, jakby zrzucił z siebie cały ciężar korporacji.

Otwieram drzwi samochodu.

Alarm wydaje serię pisków. Ktoś się dobierał czy wiatr zakołysał staruszką? Alarm często głupieje, bo nie jest oryginalny. W żadnym japońskim samochodzie nie jest – w czasach kiedy wyprodukowano moją mazdę, nikt w Japonii nie wiedział, co to jest autoalarm. Z kolei w Polsce, jak twierdzi Gutner, autoalarmy nie są do niczego potrzebne, bo złodzieje doskonale je umieją rozbrajać. Ciekawe, czy jest jakiś kraj, w którym autoalarmy i są potrzebne, i spełniają swoją funkcję.

Nic to. Stacyjka nieuszkodzona, wszystko wygląda w porządku. Włączam silnik, zapinam pasy i sięgam do radia.

Ręka trafia w dziurę.

Przechodzę do rutynowych oględzin zewnętrznych i wewnętrznych. Szyby całe, lakier cały, opony nieprzebite. Nawet wycieraczek nikt nie ukradł – fakt, kradną tylko pod domem.

Jest – wybili zamek w drzwiach pasażera. To dobrze. Na szyby do starych japońskich samochodów trzeba czekać tygodniami.

Wyciągam komórkę i znajduję najbliższą komendę policji.

Jechać?

Bez sensu.

Macham ręką i ruszam do domu. W którym pewnie zastanę łazienkę rozgrzebaną nie mniej niż deska rozdzielcza mojej staruszki.

Ratunku.

Co ja tutaj robię?

*

Rzadko miewam gości po zachodzie słońca.

Nieznajomy przywiązuje konia przy bramie i dalej idzie piechotą, omijając większe kałuże. Wygląda jakby znajomo, nie, nie rozpoznaję go. Zdejmuję okulary i podnoszę do oczu lornetkę. Nic z tego – w czerwonej poświacie pierwszych minut po zachodzie nie widzę dobrze twarzy. Cień szerokiego ronda kapelusza też nie pomaga.

Czekam, aż podejdzie do drzwi. Zatrzymuje się tuż przed plamą żółtego światła rzucaną na kamienie przez samotną żarówkę nad werandą. Zadziera głowę. Kapelusz

zsuwa mu się na plecy i zawisa na sznurku. Jest nieogolony. W Meksyku nikt nie jest ogolony. Chyba że z okazji wesel i świąt religijnych.

– Masz tu niezłą fortecę, Robert-san!

– Jakoś trzeba przeżyć! – odkrzykuję. Powinienem znać głos, który woła mnie po imieniu. I na pewno znam. Albo znałem.

Znajomy czy nie, ale drzwi mu otworzyć trzeba. W tym bandyckim świecie manieri to wszystko, co nam jeszcze pozostało.

Zeskakuję z parapetu okna i schodzę po zakręcających stopniach wieży, starając się ich nie liczyć, bo wiem, że i tak zawsze wychodzi mi inna liczba.

Sprawdzam jeszcze raz przez okienko w drzwiach, czy jest sam. Tak. Czeką, patrząc gdzieś w lewo. Żuje żdźbło trawy. Nadal wygląda nieznajomo, ale teraz nieznajomo inaczej.

Odsuwam trzy potężne zasuwę. Ostatnia się zacina i skrzypi. Trzeba będzie naoliwić. Jeśli mam jeszcze kilka kropeł w oliwiarce z pykającym denkiem. Gdzie ona jest? Dawno nie jeździłem do miasteczka po zakupy.

– Witamy w rancho La Epifania – mówię. – Proszę się rozgościć.

– ただいま ! – mówi, jakby tu mieszkał. Bezcelny.

Wchodzi. Zdejmuje kapelusz i wiesza na kołku przy drzwiach. Przeciąga ręką po włosach ubarwionych na delikatny rudy, związanych z tyłu w mały koński ogon.

Poprawiam okulary. No proszę – to kobieta.

Idzie prosto do wieży.

Wspinam się za nią. Trochę wolniej. Jej ciężkie wojskowe buty szurają na starych stopniach. Takie buty noszą tutaj bandyci.

Kiedy docieram na górę, siedzi już okrakiem na parapecie, tak jak ja siedziałem jeszcze pięć minut temu.

Zajmuję swoje miejsce naprzeciwko gościa i dla bezpieczeństwa opieram się plecami o ścianę. Jak co noc.

Po chwili sięgam po sztucer i kładę go sobie na kolanach wycelowany w czubki drzew za studnią. Jak zawsze.

– Tak bezpieczniej? – pyta dziewczyna.

– Niespecjalnie, ale co zrobić. Wie... wiemy, jak tu jest. Bandy nie śpią. Nie okradły mnie już od miesiąca, więc najwyższa pora.

Kręci głową w ironicznym podziwie:

– Zawsze byłeś inny, prawda? – Śmieje się. – Niedopasowany. Wieczny cudzoziemiec. No jak? Zagramy?

Wyciąga bardzo starą, zniszczoną talię kart i zaczyna rozdawać. Jakoś nierówno, bo sobie cały wachlarz, a mnie tylko jedną kartę pokrytą siateczką pęknięć – waleta.

Nie mogę się skupić na grze, bo ciągle mam wrażenie, że coś się dzieje za bramą, że w mroku coś się rusza, nawołuje, przygotowuje do ataku. Gdzie jest lornetka? Chcę zapytać nieznajomą, ale nie mogę z siebie wydobyć głosu – nagle wydaje mi się podobna do kogoś, nie wiem kogo, ale nie do tej samej osoby, co jeszcze minutę temu. Wpuściłem wroga pod własny dach? Tak, to na pewno oni. Bandyci. Postanowili się wreszcie dobrać do rancha, pokazać, czyja to naprawdę ziemia i co im może zrobić obcy. A raczej co oni jemu.

Przeładowuję sztucer i wpatruję się w ciemność. Wydaje mi się, że widzę skradające się cienie, ale nie, to nie na dole, to za mną; rozglądam się, szukam, co zginęło, ale nie mogę sobie przypomnieć, czego szukam, patrzę znowu na nieznajomą, a może znajomą, jej już nie ma, znikła albo skoczyła, wychylam się, w powietrzu furkocze lecąca karta z waletem, obraca się, znika w mroku, coś mnie uderza, kopie, spinam wszystkie mięśnie...

Lecę.

Tonę.

Budzę się z krzykiem.

– Zawsze się tak szarpiesz przez sen? – pyta Alicja.

Rozdział 8

Na waleta

Sobota, 7 maja 2005

Trochę za wąskie firanki przed drzwiami balkonowymi wpuszczają wąską, intensywną smugę światła.

Co jakiś czas delikatny podmuch wiatru przesuwą tę smugę w interesujący sposób. Co obserwuję, nie mając nic lepszego do roboty.

O, właśnie powędrowała leniwie w moją stronę i rozbiła się w szerokiej złotej obrączce.

Na dużym palcu prawej stopy Alicji.

– Nie udawaj, że śpisz – słyszę z okolic swoich stóp.

– Ani nie udaję, ani nie śpię – odpowiadam.

– A co robisz?

– Podziwiam twoją obrączkę. Stopową.

– Zazdroszczę ci.

– Dlaczego?

– Ja mam do niej dalej.

– Mogę ci ją opisać. – Podpieram się na łokciu i wyciągam szyję, bo łóżko jest szersze niż moje pierwsze mieszkanie w Japonii. I, żeby utrudnić życie, z bardzo nietypowym materacem: przedzielonym biegnącym przez środek wzniesieniem, jakby miedzą, stanowczo wyznaczającą zakres terytorialny.

– Opisz – ponagla Alicja.

– Wygląda jak stare złoto Azteków.

– Dlaczego Azteków?

– Nie wiem, jakoś tak mi przyszło do głowy.

– Dobrze ci przyszło.

– Ukradłeś Aztekom?

– A dlaczego wszystko, co azteckie, musi być kradzione?

– Jakoś tak to już było, historycznie – odpowiadam, opadając z powrotem na bordowe prześcieradło, bo łokieć mi się zmęczył.

Mijają trzy minuty. Wiem, bo na ścianie wisi zegar z wahadłem. I tyka. Co zmusza mnie do liczenia – nie umiem nie liczyć, jak coś tyka. Zawsze tak miałem.

– Opowiedz mi coś. Może być po japońsku – mówi Alicja.

– *Mukashi, mukashi, nantoka, nantoka* – intonuję.

Tyk, tyk, tyk, cztery, pięć, sześć, siedem...

– Już?

– Już.

– Co to było?

– W przekładzie swobodnym: „Dawno, dawno temu; coś tam, coś tam”.

– Bardzo ładna bajka.

– Też tak uważam. Ma przekaz uniwersalny, prawda?

Tym razem mijają trzy minuty i dwadzieścia osiem sekund. Plus minus kilka, bo gdzieś w połowie zgubiła mi się rachuba, kiedy Alicja dokonała przewrotu na plecy. Obręczka już nie odbija światła, za to czarna bransoletka nad kostką skrzy się w ruchomej odrobinie porannego słońca.

– Jeszcze. Może być o tym, jak wróciłeś do kraju. Nie wzdychaj.

– Wcale nie wzdychałem.

– Ale taki miałeś zamiar.

– Skąd wiesz?

– Kobiety wiedzą.

– Dlatego są nazywane wiedźmami? Nie kop.

– Nie kopam.

– Ale taki miałaś zamiar.

– Teraz to naprawdę cię kopnę. To jak z tą opowieścią?

– No dobra. Daj pomyśleć chwilę. OK. Opowiem ci bajkę o Peslu.

– Kto to jest Pesl?

– Też nie wiedziałem, kiedy wylądowałem na Okęciu, zastanawiając się, czy byłoby przesadą ucałowanie pasa startowego.

– Aż tak się stęskniłeś?

– Nie, w sumie nie. Raczej miałem dość tego tam.

– Czyli uciekałeś przed, a nie do – stwierdza Alicja, jakby z rozczarowaniem.

– Nie, nie, nie uciekałem! Skądże znowu. Ja? No coś ty. W każdym razie nie za bardzo.

– Aha. I co zrobiłeś po wylądowaniu?

– Przebrnąłem przez wszystkie kontrole i ruszyłem na zewnątrz, do taksówek,

taszcząc moją opasłą walizkę, w której rodzime linie lotnicze urwały kółko. Po drodze zaciepił mnie jakiś grubawy, łysy gentleman w czarnej skórzanej kurtce. Ze ściągaczami. Zrównał ze mną krok i mruknął konspiracyjnie: „Taxi tu siti senter?”.

– „Nie, dziękuję, ja piechotą” – odpowiedziałem. Roześmiał się. To był mój pierwszy szok kulturowy.

– Dlaczego szok?

– Już tłumaczę: zawsze tak odpowiadałem. Po japońsku na Naricie, po malezyjsku w Kuala Lumpur i Dżakarcie, po angielsku w Singapurze^[5]. We wszystkich przypadkach nielegalnemu taksjarsowi opadała szczeka. Rozdziawiał usta w szoku, zamierał i w ogóle nie wiedział, jak zareagować.

– Taki prywatny żart – wyjaśniam dalej. – I lekka zemsta na rekinach wyłudających chore opłaty od naiwnych turystów. A tu? Rekin uznał odpowiedź za dobry dowcip, roześmiał się przyjaźnie i życzył udanego pobytu w Warszawie.

– I to był szok? Liczyłam na coś grubszego.

– Aaa, nie, niesłusznie liczyłaś, bo szoki kulturowe są tak naprawdę... szoczkami.

– Prawdziwy szok bym przeżył – kontynuuję – gdyby przed Okęciem zamiast taksówek stał rząd latających spodków. Albo rydwanów zaprzężonych w smoki. Natomiast ta lekka nieswojość, kiedy ludzie reagują ciut inaczej, niż się spodziewamy, kiedy nie do końca rozumiemy, dlaczego tak właśnie reagują, i zaczynamy się zastanawiać, co zrobiliśmy nie tak, to właśnie szoczki kulturowe. Małe, ale niepokojące.

– Szoczki? Chyba cię lubię.

– Naprawdę?

– Nie. Głupi jesteś. Opowiadaj dalej.

– Jak swojsko. Już na trzech kontynentach kobiety twierdzą, że jestem głupi.

– Widzisz? Ze mną nie będziesz miał szoczków.

– Tak. Cieszę się. No więc... pojechałem do domu. Czyli mieszkania na Grójeckiej, które kupiłem w czasie kilkutygodniowej wyprawy do kraju pięć lat wcześniej. Wywaliłem na nie większość oszczędności z ostatnich dziesięciu lat pracy w Tōkyō, ale przynajmniej miałem gdzie wracać. Mieszkać w hotelu w rodzinnym mieście jakoś nie wypada.

Tykanie zegara odmierza piętnaście sekund, kiedy sięgam po szklanę z wodą, obserwując przy okazji delikatny puszek mikroskopijnych włosków rozświetlonych przez smugę światła, która właśnie zawędrowała w szczególnie ciekawe miejsce.

– Mieszkanie stało puste od roku – wracam do opowieści, opadając z żalem na bordowe prześcieradło. – Kupiłem tylko kilka niezbędnych rzeczy: odkurzacz, stojak na kapcie, miskę do łazienki, pałeczki do kuchni. Takie podstawy. Nie miałem nawet łóżka. Pierwszą noc spędziłem na czymś w rodzaju barłogu, ułożonego z poskładanych ubrań, wszystkich, jakie znalazłem w walizce.

Zamyślam się na sześć tyknień, wspominając tę pierwszą noc. Bezsenną, bo barłóg był twardy, a godzina w mojej głowie – zupełnie nie ta.

– Następnego dnia ruszyłem w miasto po telefon komórkowy. Bez telefonu czułem się nago i niepełnie.

Zapada cisza, w której wyczuwam dezaprobatę Alicji.

– Miałem milion rzeczy do kupienia, załatwienia, zorganizowania, zapisania się do – bronię się. – Życie do rozpoczęcia od nowa. Telefon pomaga. Więc wkroczyłem do salonu jednego z naszych rodzimych operatorów komórkowych. Czekałem pół godziny w kolejce, zastanawiając się, co się stało – czy jest jakaś superpromocja i dlatego wszyscy się rzucili do salonów? Z drugiej strony, było jakoś swojsko. Od lat nie stałem w prawdziwej kolejce. Odżyły wspomnienia z dzieciństwa. Kartki na cukier i tak dalej. Jedno, co się różniło od moich wspomnień, to cisza w kolejce. Ludzie nie nawiązywali rozmów. Za moich czasów ktoś by zaczął narzekać, a wszyscy z nim gorąco się zgadzać, dodając swoje własne przykłady tego, na co akurat się w danej chwili narzekało. Mówiąc szczerze, nigdy nie lubiłem narzekactwa.

Zamyślam się chwilę nad Przeszłością i Narodem. Nie za długo, bo zegar popędza mnie tykaniem.

W końcu dotarłem do pani, która chciała wiedzieć, w czym może mi pomóc. Odpowiedziałem jej chyba coś w rodzaju: „Nie, dziękuję, nic mi nie jest. Ja chciałem tylko kupić telefon”.

Po chwili skojarzyłem, że jej powitanie było po prostu polskim tłumaczeniem angielskiego „*How may I help you?*”. Pomyślałem, że pewnie mieszkała wiele lat za granicą, stąd kalka językowa. Zrobiło mi się głupio. Zacząłem przeproszać. Pani ewidentnie nie rozumiała, za co, i patrzyła na mnie coraz dziwniej.

Wybrałem w końcu jakiś telefon i sensowną taryfę. Zostałem następnie poproszony o dowód osobisty i poświadczenie zatrudnienia.

Wyjaśniłem, że dowód zdałem na komendę Milicji Obywatelskiej osiemnaście lat temu i wątpię, czy jeszcze istnieje, pewnie się rozpadł ze starości; ale kto wie, będę się tam musiał udać, co obiecuję zrobić, jak tylko kupię rzeczoną komórkę, bo nawet łączy internetowego w domu jeszcze nie mam; natomiast pracy nie mam, bo wczoraj

przeprowadziłem się do kraju i zajmie mi kilka tygodni, zanim jakąś znajdę.

Po czym zostałem uprzejmie wyproszony z salonu.

Stałem na ulicy, myśląc: jestem w Polsce i jestem nikim.

Jak za carskiej Rosji, kiedy człowiek składał się z ciała, duszy i paszportu. A, zaraz, paszport. Paszport przecież mam – uświadomiłem sobie w nagłym przeblysku geniuszu. Trzeba wrócić do salonu.

Nie miałem jednak ochoty stać znowu w półgodzinnej kolejce. W pobliżu mieścił się salon operatora konkurencyjnego. Tam kolejka była tylko dwudziestominutowa. Po czym, o dziwo, paszport zadziałał. Panienka przy stanowisku sprzedaży z fascynacją obejrzała rozliczne wizy z połowy krajów Azji Południowo-Wschodniej i serię imponujących stempelków – ostatni stwierdzający, że mam prawo pobytu w Japonii na kolejne trzy lata. Zawołała koleżankę. Obie były nadzwyczaj miłe. Powzdychały trochę nad paszportem i dały mi dobry telefon za złotówkę. Z dobrą taryfą. Na dobre słowo. I to wbrew ścisłej ponoć polityce niepodpisywania umów okresowych z bezrobotnymi. O bezrobotnych bez dowodu osobistego nie wspominając.

– Odkryłeś magiczną moc Japonii? – pyta, a może stwierdza Alicja, przewracając się na plecy. W polu widzenia nad miedzą śródlózkową czarna bransoletka znika, a wschodzi, jak miniaturowe słońce, złota obrączka paluchowa.

– Żebyś wiedziała. Czego nadal nie rozumiałem, to tego, skąd ta moc się bierze. Japonia. Kraj ciekawy, jak Polska. Z ludźmi przesympatycznymi i mądrymi oraz z totalnymi chamami i kretynami. Jak Polska. Z precudownymi zabytkami i śmietnikami przelewającymi się na ulicę. Jak Polska. Z...

– Zaraz podniesiesz palec.

– Jak Szerlok?

Śmiejemy się.

– OK, nie będę robił wykładów – obiecuję. – Czas na opowieść o Peslu.

– Nie zaschło ci w gardle?

– Trochę zaschło.

– Zaczekaj. – Alicja się podnosi ze swojego końca ogromnego łóżka. Siada, przytrzymując dłonią bordowe prześcieradło nad piersiami. Prześcieradło marszczy się artystycznie. Szkoda, że nie mam pod ręką czegoś z wbudowanym aparatem.

Alicja nalewa mi wody z zielonej butelki z ceramicznym kapsłem na drucie. Butelka pochodzi chyba z czasów oranżady landrynkowej w sklepiku za rogiem,

okres: wczesny Gierek.

Odstawia ją starannie na stolik nocny à la Ludwik Któryś tam i opada z powrotem na poduszki, równie bordowe i błyszczące (jedwab?) jak reszta pościeli. Wydaje z siebie ukontentowane westchnienie, co biorę za sygnał do wznowienia opowieści.

– Z Dalekiego Wschodu przywiozłem walizkę ubrań, cztery płyty, trzy książki, gałkę zmiany biegów i alergię.

Czekam, aż Alicja zapyta, po co mi była gałka zmiany biegów. Zamiast tego słyszę:

– Nie wiedziałam, że alergię można złapać.

– Nie tyle złapać, ile przywieźć z dłuższej podróży – wyjaśniam – podobnie jak kilka siwych włosów, parę zmarszczek i jeden centymetr mniej wzrostu, niż jest zapisane w dowodzie.

– Aha.

– Na alergię są szczepienia, ale trzeba je zrobić w zimie, przed sezonem pyłkowym. W Singapurze zima się skończyła około ostatniej epoki lodowcowej. Tam pyli przez cały rok. Więc nie można się zaszczepić. Do Polski wróciłem na początku lutego i miałem już mało czasu na zastrzyki. Pojechałem do pierwszej z brzegu przychodni alergologicznej, jaką znalazłem w sieci. Dowiedziałem się, że muszę opłacić ZUS.

Pojechałem do ZUS-u. Postąłem trochę w kolejce, kończąc drugą książkę i zastanawiając się, co zrobić, jak skończę trzecią, bo w bibliotece też pewnie będą wymagali jakiegoś dokumentu i dwóch zaświadczeń.

W końcu dotarłem do okienka. Przywitałem się z urzędniczką, nerwową, zadyszaną i tak anorektycznie chudą, że gdyby nie była solidnie dociążona lakierem do włosów i grubym makijażem, to pewnie musiałaby się przypiąć pasami do fotela, żeby nie odlecieć.

Wręczyłem jej wizytówkę. Uniosła wyskubaną artystycznie brew z urażonym zdziwieniem, przyjrzała się wizytówce z niesmakiem i zwróciła mi ją bez słowa, wywracając ze zniecierpliwieniem oczy do nieba, jakby wzywając bogów na świadków, jakich to dziwaków przychodzi jej obsługiwać.

Nie pamiętałem, żeby ktoś w życiu zwrócił mi wizytówkę. To tak, jakbym komuś dał chusteczkę jednorazową, a on wydmuchał w nią nos, po czym mi ją oddał. Miałem ochotę obrócić się na pięcie i wyjść, ale przypomniałem sobie, że wtedy nie dostanę moich zastrzyków antyalergicznym. Trudno. Odchrząknąłem, poszurałem nogami i przystąpiłem do wyjaśnień:

– Chciałbym zapłacić składkę ZUS. Żeby mogli mnie przyjąć w przychodni alergologicznej. Widzi pani, ja wróciłem zaledwie trzy dni temu z...

– Pesel? – przerwała.

– Nie, Brakat. Robert Brakat.

– Czy pan sobie ze mnie żarty robi?! – syknęła groźnie. – Pesel! Proszę mi podać swój PESEL.

– Ale ja nie mam pesla – bąknąłem zawstydzony.

– Znaczy pan nie pamięta. Przychodzi pan do urzędu bez dowodu i zajmuje czas urzędnikom, a jak mam pana znaleźć, skoro PESEL...

– Przepraszam – wtrąciłem już bardziej stanowczo. – Ale co to jest pesel?

Zapadła cisza. Urzędniczki przy pozostałych stanowiskach przerwały obsługę klientów i obróciły się na swoich fotelach, chłonąc darmowe przedstawienie. Nawet rozmowy w kolejce za mną ucichły. Petenci wyciągnęli szyje, żeby niczego nie uronić.

Patykowata urzędniczka nabrała powietrza w chuderławą pierś i otworzyła usta, po czym znowu je zamknęła. Zauważyłem, że na jej szyi pojawiły się czerwone plamy. Na twarzy też pewnie była czerwona, ale pod grubą warstwą makijażu nie dało się tego stwierdzić.

Jeszcze mi tutaj apopleksji dostanie – pomyślałem. – I wszystko o głupiego pesla, cokolwiek by to było. Dokument jakiś?

Urzędniczka wstała nagle, tak gwałtownie, że fotel odjechał, waląc z łomotem w metalową szafkę. Obróciła się i wyszła ostentacyjnie wielkimi krokami.

Stałem przy okienku, chyba sam bardzo czerwony.

Po chwili zostałem wezwany na zaplecze. Krzesło dla petentów stało z boku biurka pani kierownik, więc patrzyłem na jej surowy profil. Do obrócenia w moją stronę pani kierownik się nie zniżyła. Defensywnie skrzyżowane na piersiach ramiona też nie wróżyły niczego dobrego. Zaczęły się wyjaśnienia. Dopiero kiedy po raz trzeci zapewniłem, że nie uprawiałem Celowego Utrudniania Pracy Urzędnika i pokazałem swój paszport z magicznymi wizami, atmosfera się wreszcie rozrzedziła. Ale nie do końca, bo anorektyczka urzędniczka paliła papierosa za papierosem, stojąc przy oknie i dmuchając w lufcik, co nie dawało żadnego rezultatu i oczy zaczynały mi łzawić, kiedy pani kierownik z fascynacją studiowała wizy.

– To pan wyjechał w kwietniu osiemdziesiątego szóstego?

– Kilka miesięcy później – wyjaśniłem. – Tylko wizę odbierałem... tak,

dwudziestego ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Nigdy nie zapomnę tej daty – wybuch elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Wtedy jeszcze niczego nie wiedzieliśmy, dopiero następnego dnia zaczęli wydawać płyn Lugola na rogach ulic. Pani jest chyba za młoda, żeby pamiętać?

– Ależ pan miły – kierowniczką się wreszcie uśmiechnęła. – Ja nie jestem taka młoda, jak pan myśli! Oczywiście, że pamiętam Czarnobyl i płyn Lugola, harcerze rozstawiali stoliki na ulicach, byłam z mamą pić to filetowe...

Tak zjednoczeni historią, przeszliśmy do całkiem już przyjaznego wykładu pod tytułem „Co To Jest PESEL”.

– Ale ja nie mam PESELA – tłumaczyłem. – Kiedy je wydawano, mieszkałem w Japonii!

– Ma pan, ma – uspokajała pani kierownik, bo urzędniczka, chociaż nieco obłaskawiona, na wszelki wypadek się do mnie nie odzywała. – Zaczęto je wydawać, jeszcze zanim pan wyjechał. W siedemdziesiątym dziewiątym, dobrze mówię, Mariola? No właśnie. Ale rozumie pan, system nie był wtedy jeszcze szeroko stosowany. Przeciętny obywatel nic o nim nie wiedział. Nawet do dowodu na początku nie wpisywano. No nic, musi pan się zgłosić do urzędu dzielnicowego właściwego miejscu zameldowania. Wszystko tam panu wyjaśnią. A proszę powiedzieć: jak było w tej Japonii?

Tak się skończyła moja przygoda z peslem. Pewnie cię znudziłem? – Podnoszę się na łokciu i patrzę na drugi koniec łóżka, po przekątnej, gdzie powinna być głowa Alicji. Głowy nie znajduję – jest pod prześcieradłem i trzęsie się lekko.

– Alicja...?

– Przepraszam – dobiega zdławiony i nieco rozedrgany głos.

Opadam na plecy.

– Cieszę się, że udało mi się zapewnić ci nieco rozrywki – mówię wyniośle sufity. – Jeżeli moje szoczki kulturowe mogły się komuś przydać, to znakomicie. Bo trzeba ci wiedzieć, że dla mnie to nie było...

– Zamieszkaj tu – przerywa Alicja zduszonym głosem.

Podnoszę głowę. Wychynęła już spod prześcieradła i wyciera jego rogiem oczy.

– Po jednej nocy na waleta?

– Za mało? Możesz mi zrobić masaż.

– Skąd wiesz, że jestem masażystą? Aha, Hattori wykablował. No fakt, skończyłem szkołę masażu w Tōkyō. Miałem dwadzieścia lat.

– I dużo koleżanek?

– Potencjalnych koleżanek. Masaż zbliża. Nie, ja w ogóle zawsze chciałem się nauczyć masażu. W PRL-u nie było takich szkół. W Tōkyō były. Całkiem mnie to wciągnęło. Nie żebym kiedyś praktykował zawodowo, rozumiesz. Tylko dla przyjaciół. Ponoć mam do tego talent, a przynajmniej dryg, jak twierdził mój sensej.

– Na co czekasz?

– Zaraz. Masz jakąś oliwkę do masażu?

– Coś się znajdzie. – Alicja ściąga ze mnie prześcieradło i owija się nim w charakterze togi. Znika w łazience.

– Może być Bambino? – woła.

– Nie wiedziałem, że to jeszcze robią! – odkrzykuję. – Dla niemowląt, tak? Jasne, może być!

Wraca z butelką.

Kręcę nosem, że zimna, ale improwizować też trzeba umieć.

– Połóż się na brzuchu. O, świetnie. Zaczniemy od barków i kręgosłupa.

Wcieram energicznie kilka kropel oliwki w dłonie, żeby ją rozgrzać. Kładę jedną dłoń delikatnie między łopatkami pacjentki i liczę powoli do trzech – czas na oswojenie się z dotykiem masażysty. Albo przekazanie energii pacjentce, jakby powiedziała szkoła azjatycka. Różne koncepcje – ten sam efekt.

Zaczynam ruchy wcierająco-rozluźniające.

Tak. Dawno nie robiłem masażu. Będzie z pięć lat. Zapomniałem, jaka to dobra sprawa. Dla obu stron, jeśli masażysta rozumie i kocha swój fach.

Jeszcze trochę oliwki. Dziewczyna ma suchą skórę, pije tę oliwkę jak pustynia deszcz. Może Polki po prostu tak mają.

– Mmmm.

– Samo wcieranie oliwki jest bardzo ważne – wyjaśniam. – Służy rozluźnieniu mięśni i... jak to powiedzieć po polsku? Nawiązaniu kontaktu?

– Więzi. Ummm...

– A właśnie. Więzi. Komunikacji przez dotyk. Bez tego nie ma prawdziwie uzdrawiających efektów masażu. Dla ciała i duszy. Teraz boki... – mruczę – i wzdłuż kręgosłupa. Długie, powolne, delikatne ruchy. Przy okazji buduję sobie wstępną mapę twojego ciała. Gdzie są miejsca wymagające potem lżejszego czy mocniejszego nacisku. Mięśnie, którym nie udało się do końca rozluźnić po dłuższym napięciu. O – proszę. Mięśnie to ty masz... i są bardzo pospinane. Ale zaraz się nimi zajmiemy...

Przestaję liczyć tyknięcia. Zagłębiając się w inny świat – kontaktu dwóch ciał, uzdrawiającego dotyku, przekazywania energii.

– Nie przestrasz się teraz – mruczę – będę musiał nad tobą klęknąć okrakiem.

– Mmmmm...?

– Do długich mięśni kręgosłupa muszę użyć ciężaru mojego tułowia. Wspomóc się grawitacją. O, tak. Widzisz? To powinno być przyjemne.

– MMMMM.

Kończąc pierwszy długi, powolny przejazd dłońmi w kierunku szyi i zabieram się do rozluźniającego powrotu wzdłuż boków ciała. Coś przeszkadza w idealnej płynności ruchu – czuję odrobinę za duży opór. A. Za mało oliwki.

Sięgam po butelkę, zostawiając jedną dłoń na jej plecach, żeby nie przerwać kontaktu. Przerwanie kontaktu powoduje potem, przy ponownym dotyku, mały szok. Szoczek.

Otwieram na chwilę oczy, żeby trafić ręką w butelkę i widzę...

Gutnera.

Stojącego w otwartych drzwiach do sypialni i przyglądającego się z fascynacją, jak siedzę okrakiem na pupie Alicji.

Gutner uśmiecha się do mnie promiennie. Chrząka.

– To może ja później...? – sugeruje, mrugając bezczelnie.

Zamieram.

– Nie, nie, włącz – mruczy stłumiony głos Alicji, która ma twarz w materacu.

– Bo ja robię masaż właśnie... – zaczynam. – Tylko masaż. Jestem licencjonowanym...

– Masaż? Ha! No, jeśli tak to nazywacie...

– Nie, naprawdę, bo my w ogóle spaliśmy. Znaczący spaliśmy na waleta...

– Cicho – ofukuje mnie Alicja, przekręcając głowę w bok. – I nie przerywaj, na boga Azteków.

– Dobrze mówi mądra kobieta, słuchaj jej, a nie zbłądzisz. – Gutner podnosi palec wskazujący. – Czekaj. Naprawdę jesteś masażystą? Trzeba to jakoś wykorzystać. Masaże dla klientów? Genialne. Ge-nial-ne! No nic, nie przerywajcie sobie. Wpadłem tylko powiedzieć, że twoja łazienka będzie skończona we wtorek. Dzwonił do mnie majster z tej ekipy, co ci ją podesłałem. Wykończeniówka gratis, za spóźnienie. Aha, i kuzynostwo Alicji, które dziś śpi w kwaterze obok, chce od ciebie wynająć mieszkanie na Grójeckiej. Dobrze płaci. Ja bym się nie zastanawiał.

Mruga do mnie znowu i znika.

Wracam do masażu, z całej siły próbując się skupić.

Wiem, że za chwilę cała kamienica będzie dyskutowała o masażu Alicji.

Na waleta.

*

Opadam na prześcieradło, zmęczony i spocony.

Przyjemnie zmęczony.

Alicja cicho promienieje z zachwyty po drugiej stronie miedzy.

Zegar tyka.

Dwieście siedemdziesiąt trzy, dwieście siedemdziesiąt cztery...

*

– Alicja?

– Mmmm.

– Czy twój ojciec zawsze się tak wyraża?

– Mmmm?

– Mam na myśli... kwiecieście.

– Mmmm.

– Czyli zawsze. Zastanawiałem się dlaczego. Rozwazałem różne opcje. W tej chwili wygrywa teoria, że on po prostu tak ma.

– Mmmm.

– No widzisz, tak właśnie myślałem.

*

– Dotarło do ciebie, co proponował Szerlok?

Wracam powoli na ziemię, bo chyba na chwilę gdzieś odpłynąłem. Patrzę w prawo, ale widzę tylko tajemniczy kształt pod prześcieradłem; kształt słonia, którego połknął wąż. Obrączka i bransoletka poszły spać. Słońce też dało za wygraną i przeniosło się na ścianę, skrada się teraz w stronę drzwi. Pewnie chce iść obudzić Hattoriego.

Odchrząkuję.

– Masz na myśli, że kuzynka interesuje się wynajmem mojego mieszkania na

Grójeckiej? Ale dlaczego? Przecież ona nawet go nie widziała. Coś tu nie gra.

Tyk, tyk, tyk, cztery, pięć, sześć, siedem.

Podnoszę się na łokciu, żeby zajrzeć przez miedzę, ale Alicja leży do mnie plecami i nie widzę jej twarzy.

– Mam na myśli, że coś mi się wydaje, że od jakiegoś czasu chcecie mnie tutaj ściągnąć – tłumaczę.

– Dziękujemy, że mówicie do nas w królewskiej liczbie mnogiej – odpowiada stłumiony głos słonia w wężu.

– Mam na myśli ciebie, Gutnera, twoich rodziców, nawet czuję w tym rękę pana Mecenasa, którego nigdy nie spotkałem... Odnoszę coraz mocniejsze wrażenie, że macie wobec mnie jakieś zamiary. Sekretne plany. Nawet dwa tygodnie naprawy mojej łazienki przez fachowców Gutnera zaczynają mi się wydawać jakieś nieprzypadkowe...

Cisza.

Zegar dostaje arytmii.

Nie, to ktoś puka do drzwi sypialni.

– Proszę! – woła Alicja, zanim zdąży zawołać: „Chwileczkę!”, i znaleźć ubranie.

Wchodzi Hattori.

Stoi chwilę zmieszany, po czym robi zwrot wstecz.

– Chodź, Kōi, nie uciekaj, właśnie wstaję zrobić śniadanie! Siadaj. – Alicja wskazuje swoją połowę łóżka i wstaje, przewijając się mocno paskiem szlafroka. Czarnego.

– Bo ja nie miałem gdzie spać – tłumaczę szybko. – Kiedy byłeś w podróży służbowej, przyjechała kuzynka Alicji z mężem i dziećmi; zostali umieszczeni tymczasowo u nas... A na Grójeckiej robotnicy do wtorku... Więc Alicja mnie zaprosiła, a że nie ma żadnej sofy, spaliliśmy na waleta... To znaczy...

– ジャック

– Tak jest. Na waleta. To jest duże łóżko. Z miedzą.

Hattori rozgląda się, szukając dowodów zbrodni. Zatrzymuje wzrok na butelce oliwki Bambino.

– Czy mówiłem ci, że jestem masażystą? – pytam niewinnie.

Hattori robi grzeczne „Eeeee...”, wyrażające pełne podziwu zdumienie.

– Ale nie przejmuj się – kontynuuję, wkładając szybko spodnie. – Kuzynostwo

Alicji przeprowadza się do Warszawy. Ma już na oku kilka mieszkań do wynajęcia. Głównie nasze.

– Nasze...?

– Tak. Nie wiem dlaczego.

– Ja wiem – mówi Hattori.

Zamieniam się w słuch.

Hattori nic nie mówi, tylko idzie za Alicją do kuchni, żeby zaoferować pomoc przy śniadaniu.

*

Siedzę na brzegu łóżka i sprawdzam pocztę na laptopie.

O, nie:

Hej, Robert!

Łazienka naprawiona? Rodzina się nie może doczekać. Jak najbliższy weekend? Odezwij się...

Karol

To z wczoraj. No, trudno. Trzeba to wreszcie mieć za sobą. Pewnie niepotrzebnie się stresuję.

Hej, hej,

nie, naprawy ciągle trwają, a ja waletuję u znajomych. Ale to jeszcze tylko kilka dni. Może następny weekend? Sobota?

Do zobaczenia,

Robert

Podnoszę głowę i zamykam laptop, bo do sypialni wkraczają: Alicja, Hattori

i śniadanie.

Odruchowo wciągam brzuch – na kuchni Moździerzewskich tyję w zastraszającym tempie. Dwa kilo w dwa tygodnie oznaczają, że albo po powrocie na Grójecką przechodzę na ostrą dietę, albo tutejsza waga łazienkowa jest pesymistką.

Sadowimy się na łóżku Alicji.

– Dlaczego nie masz w mieszkaniu żadnej kanapy ani foteli? – pytam między widelcami jajeczniczy z wiosennym szczypiorkiem i porem.

– Ani meblościanki i palmy? Ratunku – odpowiada Alicja. – A co, źle ci w moim łóżku?

Patrzę na plac boju. W sumie nie jest źle, chociaż Hattori próbował usiąść dyplomatycznie w strefie międzygranicznej i odkrył, że miedza jest dość twardą deską oddzielającą dwa materace. Następnie próbował usiąść raz z tej strony, raz z tamtej, w końcu zaparkował pupę po jednej stronie, a nogi po drugiej. Wzorowa neutralność.

Właśnie kończy jeść i obraca się w moją stronę:

– Czy Robert-*san* naprawił już samochód?

– Ma być w poniedziałek – odpowiadam.

– Ktoś mi wbił zamek w drzwiach, żeby ukraść radio – wyjaśniam Alicji.

– Znowu?

– Nie znowu, bo zamek jeszcze nie był wbity. Do tej pory tłukli szybę. Zamek w drzwiach to nowość. Na szczęście wstawienie nowego długo nie trwa. Gorzej z radiem. Nie wiem, czy kupić trzecie. Znowu mi je ukradną. Bez radia można żyć. Ale co to za życie?

Odstawiam talerz.

– W Japonii też obecnie kradną z samochodów – pociesza Hattori.

– No coś ty? Za moich czasów nawet autoalarmu nie można było tam kupić – protestuję. – Wiem, bo mnie znajomi z Polski prosili o jakiś egzotyczny, którego rodzimi złodzieje jeszcze nie rozpracowali. Jeździłem po sklepach motoryzacyjnych – nic. W jednym wiedzieli, że coś takiego się montuje do wersji eksportowych samochodów japońskich, ale na rynku krajowym? Po co?

– Robert-*san* wyjechał pięć lat temu – kiwa głową Hattori. – Teraz jest inaczej. Jest dużo cudzoziemców... – zatrzymuje się nagle zmieszany, bo popełnił *faux pas*. Wbija wzrok w okno.

Postanawiam nie komentować odwiecznej japońskiej wiary w to, że wszystko, co

złe, przywlekli cudzoziemcy. Nieczyste gajdziństwo, rozpełzające się po Wyspach jak zaraza.

Alicja patrzy na nas, szybko przerzucając wzrok z jednej twarzy na drugą. Chyba rozumie albo wyczuwa wpadkę Hattoriego i stara się mu pomóc, zmieniając temat:

– Nie możesz trzymać mazdy na strzeżonym? – pyta.

– Nie ma ani jednego w okolicy – wyjaśniam. – To stara Ochota. Sto lat temu miejsca na parkingi nie przewidziano.

– Tak jak tutaj, na Mokotowie – kiwa ze zrozumieniem głową moja chwilowa współlokatorka. – Ale my mamy Bramę – unosi znacząco lewą brew.

Hattori przejmuję pałeczkę:

– Jakby Robert-san zamieszkał w kamienicy państwa Moździerzewskich, samochód byłby bezpieczny. Zamknięty w bramie.

– Moździerzewskich – poprawiam, bo zaplątał się w serię spółgłosek i wyszło mu coś w rodzaju: modzidziedzuebusukifu. Czyli w sumie całkiem nieźle.

– Hattori, a ty chciałbyś tutaj mieszkać?

– No pewnie. Blisko do pracy. Ja pomagam Gutner-san przy eksporcie antyków...

– Tak, tak, wiem. Ale ja miałbym dalej do pracy...

– Nie – przerywa Alicja – gdybyś pracował tutaj.

Przetrawiam to. I jajecnicę. Kawa by pomogła, ale się skończyła.

– Czy właśnie dostałem ofertę zatrudnienia? – pytam, usiłując brzmieć humorystycznie.

– Dostałeś ją w momencie, kiedy tata cię wpuścił do Antykowni – odpowiada Alicja, jakby to było coś najbardziej naturalnego w świecie.

Zeskakuje z łóżka. Zabiera tacę i znika w kuchni. Hattori patrzy w okno, gdzie firanki już rozsunięte i słońce, zamiast dyskretnie zaglądać, wchodzi bezczelnie do pokoju, rozpychając się po drodze łokciami.

– Wiedziałeś o tym, Hattori-san?

– Eeeto.

Okno nie przestaje fascynować Hattoriego.

– Aha, czyli wiedziałeś – decyduję. – Dlaczego ja zawsze ostatni się dowiaduję o sprawach mnie dotyczących? – Podrywam się i zaczynam chodzić wokół łóżka, które stoi idealnie w środku pokoju. – Jeszcze rozumiem w Japonii. OK, nawet w Singapurze. Nikt ci niczego nie powie wprost. No dobrze, nawet w Stanach. Ale tu? Po co tu wróciłem, do jądra słowiańskiej szczerości, otwartości i braterstwa dusz? –

wycelowuję oskarżycielski palec w Hattoriego.

– Co mi brata napadasz?! – Alicja wygląda groźnie w czarnym szlafroku uzbrojona w dzbanek parującej kawy.

– Nie napadam, tylko wygłaszam Płomienną Przemowę – zatrzymuję się, biorę głęboki oddech i siadam na brzegu łóżka, bo razem z oddechem wyleciała ze mnie cała pewność siebie.

– Bez palca na sztorc? – pyta Alicja.

– Nie jestem Gutner – odpowiadam.

Śmiejemy się. Nawet Hattori.

– Ale tak poważnie: co ja miałbym u was robić? – pytam, kiedy kawa już rozlana, a żołądki i nastroje uspokojone. – Mam wrażenie, że twój tata uważa mnie za jakiegoś specjalistę od ergonomii, którym nie jestem. Albo inżyniera elektronika, którym też nie jestem. Albo informatyka, którym jestem tylko troszeczkę. Tak naprawdę jestem po prostu inżynierem, specjalizacja: interfejsy ludzkie. Więc powtarzam: co ja miałbym tu robić?

– A co lubisz robić? – pyta Alicja, kładąc się na plecach i wpatrując z zaciekawieniem w sufit.

Zamyślam się. Chyba za długo, bo Hattori czuje, że musi przerwać niezręczność ciszy i podpowiada:

– Robert-san lubi jeździć za szybko starymi samochodami, czytać książki, słuchać muzyki na starych hi-fi i oglądać dobranoce.

– Dobranocki. No, ładnie mnie podsumowałaś, przyjacielu. Wszystko to prawda, ale zawodowo? – Znowu się zamyślam. Tylko na pięć tyknięć. – Ja lubię projektować. Wymyślać urządzenia, które przyniosą pożytek ludziom. Będą lubiane i doceniane. Praktyczne. Użyteczne. Przydatne...

– Tak, tak, zrozumiano. Tezaurusu nie potrzeba. – Alicja przewraca się na bok, w naszą stronę. – Lubisz robić rzeczy dla ludzi.

– No...

– Czyli sprawdzisz się w Antykowni. Jeśli to cię interesuje. Mnie nie bardzo. – Wraca do pozycji: „patrzę w sufit – najmniej nudny element krajobrazu”.

Odbieram to jako sygnał, że audycja się skończyła. Niosę swoje naczynia do kuchni.

Kiedy wracam, Alicja gra z Hattorim w jakąś nieznaną mi grę planszową. Zapraszają. Odmawiam grzecznie w dwóch językach. Postanawiam się przejść.

Nie wiedzieć czemu, trafiaam do piwnic. Idę korytarzem, zastanawiając się, czy w Antykowni ktoś będzie w sobotę rano, a właściwie nie tak rano, bo spędziłem w łóżku i jego okolicach dobre pół dnia.

Zakręcam w długi korytarz prowadzący pod następną kamienicę i słyszę dźwięki. Jakis koncert klawesynowy. *Piąty brandenburski* Bacha? Chyba tak. Minus orkiestra.

Klienci w Antykowni i muzyka z głośników pod sufitem?

Z każdym cichym krokiem po miękkim niebieskim dywanie staje się bardziej oczywiste, że to nie płyta, tylko ktoś gra na instrumencie. Zatrzymuję się przed czerwoną kotarą i słucham muzyki, czekając na koniec.

Nie wiem, jak długo siedzę na dywanie oparty plecami o szarą wykładzinę. Koncert kończy się... już. Liczę jeszcze do trzynastu i napieram ramieniem na ciężkie drzwi schronu. Śmieszne – byłem tu już kilka razy, a nadal podświadomie oczekuję, że zaskrzypią.

W środku jest ciemno, ale nie całkiem – pali się kilka punktowych lampek pod sufitem, wyciągając z mroku dziwne kształty, meble przykryte materiałem, jak śpiące dinozaury.

Nikogo nie ma. Klawesyn też śpi.

Sięgam do włącznika i cofam rękę. Nie będę ich budził.

Idę ostrożnie do mojego stolika. Mijam klawesyn i muskam palcem klawę, potem czarne klawisze – są chyba lekko cieplejsze, jakby ktoś właśnie na nich grał. Trudno powiedzieć. Układam palce w pierwszy z brzegu akord, jaki pamiętam z lekcji w dzieciństwie. Nie – narobię hałasu. Na klawesynie nie da się zagrać cichutko, to nie fortepian.

Centrala telefoniczna leży na zielonym filcu, nieruszana od czasu kiedy ją skrzyłem. Fajnie by było dać jej drugie życie – myślę. Naciskam przełącznik. Przyjemny dotyk ebonitu, nie to co współczesne plastiki. Przełącznik zaskakuje z solidnym, budzącym zaufanie kliknięciem. Brzmi głośno w pustym pomieszczeniu. Oglądam się za siebie. Błyska światło, kiedy porusza się kotara jednego z zapleczy. Ktoś wychodzi, ale kotara zdążyła już opaść – nie widzę, kto wyszedł.

Nie widzę, ale słyszę:

– Witam serdecznie, wielce szanowny panie Robercie! Rozumiem, że stęsknił się pan za swoją centralą. Nie, nie, proszę nie protestować. Otóż trzeba panu wiedzieć, że ja to rozumiem. Doskonale rozumiem. Przeszłość przemawia do nas przez swoje artefakty. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile ludzkich emocji przepłynęło przez to

pudło? Miłosne wyznania? Bezwzględność rozstań? Argumenty i kłótnie? Życiowe decyzje?

– Właśnie o tym myślałem – mówię, nie do końca zgodnie z prawdą. Czekam, aż pan Stanisław się do mnie zbliży.

Jest ubrany w obszerny fartuch z masą kieszeni, a jego czoło świeci się od potu. Pachnie lakierem do drewna.

– Znakomicie, że pan przyszedł! To mi da doskonale usprawiedliwienie, żeby przestać pracować w weekend i zabrać pana na górę celem oferowania czegoś na ząbek. Bo nie wątpię, że jest pan głodny?

Wbrew samemu sobie mówię:

– Tak. Będzie mi bardzo miło.

I wcale się nie kłaniam.

*

Miękkie siedzenie na samym końcu, nad grzejącym miło silnikiem, jest najlepszym, a w każdym razie najcieplejszym miejscem w autokarze. Chyba przysnąłem, tak mi błogo. Jedyne pożytek ze stanu wojennego: autokary wycieczkowe rzucone na trasy autobusowe, w miejsce unieruchomionych przez zimę stulecia ikarusów.

Przeciągam się, przecieram oczy i próbuję zobaczyć przez zaszczone szyby, gdzie jesteśmy, ile jeszcze do końca trasy pod Pałacem Kultury, skąd będę już miał blisko na Emilii Plater. Widzę tylko migające w szarości zarysy zasp i padający śnieg. Zdążę na dziewiątą? Nie mam zegarka. Coś jest nie tak. Sięgam po plecak, a natrafiam ręką na śpiwór. Po co mi śpiwór do szkoły?

Rozglądam się po autokarze z rosnącym niepokojem.

Na siedzeniach – same znajome fryzury. Nasza klasa. Odkąd wszyscy mieszkają na Ursynowie? Przede mną – Adaś Górnicki, ten, który ma niesamowite stereo w domu. Gramofon Daniel, magnetofon kasetowy Aria, wzmacniacz Kleopatra i największe Altusy z głośnikami tubowymi. Można zejść z zazdrości. Chcę go puknąć w ramię i zapytać, gdzie jesteśmy, gdzie jedziemy i o co chodzi, ale w ostatniej chwili widzę, że poświęca całą uwagę Gosi. Zajmują się sobą z dużą dozą oddania i zapamiętania. No trudno.

Głośniki w suficie autokaru grają *Iść, ciągle iść w stronę słońca*. W sam raz muzyka na zimę stulecia. Ale luksus. Zwykłe autobusy nie mają muzyki. Ani białych pokrowców na nagłówkach siedzeń. Mam plan na życie: spędzać je w cieple,

miękkim luksusie i z muzyką sączącą się z głośników pod sufitem.

Wysiadamy. Idziemy po peronie dworca kolejowego Kraków Główny. Plecak na plecach, a śpiwór pod ramieniem. Przede mną – Adam z Goską. Trzymają się za ręce. Nagle zdaję sobie sprawę, że Gośka mi się podoba. Co jest o tyle dziwne, że w zeszłym tygodniu podobała mi się jeszcze Inka. Muszę się z kimś podzielić tą myślą i zasięgnąć fachowej opinii. Obracam się do Pawła. Paweł jest człowiekiem światowym i kobiety się nim interesują bardziej niż mną. Zanim udaje mi się coś powiedzieć, czuję, że śpiwór ucieka mi spod ramienia. Ściskam mocniej śliski nylon, nie pomaga, nie mogę go opanować; śpiwór zaczyna żyć własnym życiem, wije się w konwulsjach i nagle widzę, że puszczają mu sznurkowe szwy i zaczyna rodzić.

Butelkę.

Butelka rozbija się z hukiem na peronie.

Patrzę z przerażeniem, jak dyrektor staje na szczycie kolumny uczniów i szuka wzrokiem winnych. Wiem, że zaraz mnie znajdzie.

Mruczę coś o butelce wody mineralnej. Wody. Wody mineralnej. Zaczynam się płatać w zeznaniach. Podnoszące się z peronu opary nie kolaborują z żadnym z moich wytłumaczeń.

Znalazł. Wzrok dyrektora wwierca mi się w czaszkę. Kurczę się, maleję i chowam za Adama. Wojtek szybko stawia swój plecak na samym środku plamy po rozbitej flasce, kryjąc ślady zbrodni. Mam nadzieję, że plecak wywietrzeje, zanim dojdziemy do schroniska młodzieżowego.

Łacinniczka i pan od wufu, którzy, jak podejrzewa klasa, mają ze sobą romans, zachęcają dyrektora do dalszej drogi, bo zapada zmrok, a mieliśmy być w schronisku przed siódmą. Kolumna rusza. Na peronie zostają smutne ślady po niedosłej balandze. Przypominam sobie, że nie była to na szczęście jedyna butelka.

Przede mną Adam i Gosia trzymają się już w pasie. Co ona w nim widzi? Nie goli się, a już powinien, i ma pryszcze. Pewnie dlatego, że się za rzadko myje. Jak ona może się z nim całować?

Ściskam mocniej śpiwór, który zaczyna kolejny poród.

Druga butelka pcha się na świat. Nie zawiązałem sznurków po pierwszym wypadku??? Porażka... Nie, tym razem nie dam jej wypaść!

Stłumiony trask, mokry wybuch i odłamki szkła na końcu peronu, kiedy większość klasy jest już na schodach. Wszyscy znowu stają i patrzą na mnie. Już nie z rozbawieniem, ale z wyrzutem. Tym razem Robert przesadził. Nie zintegrował się. Jest inny. Jest obcy. Jest gajdzinem.

Nabieram powietrza w płuca i odlatuję.

Patrzę z rosnącej płynnie wysokości, jak kolumna nieporadnie sunie przez miasto.

Boję się, czy ktoś nie zauważył, że posiadam tę umiejętność. Spinam lekko mięśnie w ten specjalny sposób, który powoduje, że latam. Kraków pode mną jest ciemny i poznaczony rusztowaniami; wpadam w zimniejszą i gęstszą warstwę powietrza, odbijam się od granicy prądów, jeszcze jedno lekkie spięcie mięśni i ląduję na gzymsie schroniska. Przykucam pod murem jak gargulec.

Zaczynam marznąć.

Przesuwam się ostrożnie do rozświetlonego na żółto okna. Za szybą jest ciepło i przytulnie. Wszyscy śpią po dwoje na łóżko, na waleta, widać nie było dość miejsc; nie, nie wszyscy, dyrektor siedzi przy oknie i wróży z ręki przejętej Adze, nad nimi grupka chichoczących dziewczyn, a mnie jest zimno, siadam po turecku na gzymsie i czekam na odpowiedni moment, żeby zapukać i wejść. Co zrobią, jak pojawi się obcy? Trzeba się będzie przedstawić. Szukam wizytówek, wyciągam, obracam w świetle zza szyby, na białym kartoniku zamiast mojego nazwiska napisane jest tylko:

外人

Zaglądam znowu do środka, ale tym razem nie rozpoznaję nikogo. Co się z nimi stało? Pokój jest pełen ludzi w wieku moich rodziców albo i starszych, brzuszki, łysinki, nie mam pojęcia, skąd się wzięli. Gdzie jest moja klasa? Zaczynam się bać upadku z gzymsu, nie wiem, czy uda mi się znowu polecieć; pukam w okno. Nikt nie reaguje.

Pukam głośniej, walę pięścią i wołam:

すみません！

I głośniej:

聞かせてください！お願いします！

Nie reagują. Chyba mnie nie słyszą.

Robię jeszcze większy zamach, żeby naprawdę przywalić w tę framugę, i czuję, jak nogi ześlizgują mi się z gzymsu. W panice próbuję chwycić się starych cegieł wokół okna, ale kruszą się, stają się śliskie i im mocniej je ściskam, tym bardziej się wyślizgują, wiem, że spadnę, przygotowuję mięśnie do lotu, nie słuchają; lecę, spadam przez chwilę, nabieram powietrza w płuca do krzyku, ale nie zdążam – ląduję, szczęśliwie, na jakimś pomarańczowym namiocie, w cieniu przęsła ogromnego czarnego mostu. Jest zimno.

Bardzo zimno.

Dookoła delikatnie chrupie zamarzające błoto.

ここはどこ？

私はだれ？

[5] Jap.: いいえおかげで、私は歩けないだろう,
mal.: *Tidak, saya akanberjalankaki*, ang.: *Thanks, I'll walk* (przyp. tłum.).

Rozdział 9

Koko wa doko

Sobota, 7 maja 2005

いい日だろうと思った^[6]. Dobry na odpoczęcie po podróży i napisanie listu do rodziców. Oni nie używają internetu. Nie dlatego, że nie umieją, tylko są trochę tradycyjni. Z tego powodu zawsze piszę listy na laptopie Roberta i wysyłam sąsiadowi. Sąsiad wydrukuję list i przyniesie rodzicom. On to robi, bo mama zawsze zaprasza go na herbatę. Mam wrażenie, że sąsiad kiedyś lubił moją mamę, ale to było, zanim moi rodzice się poznali.

Robert pytał, dlaczego nie wyślę listu pocztą. Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Ja nie lubię chodzić na pocztę. Panie w okienkach są bardzo nieuprzejme i obrażone, że muszą mi służyć. Brak im dumy z dobrze wykonywanej pracy.

Poczta jest dla starszych ludzi, którzy zawsze są tam zrezygnowani albo zirytowani. Ja rozumiem, że to są ludzie samotni i nie mają z kim porozmawiać. Więc rozmawiają z panią na poczcie, która się na nich irytuje. Ale wtedy reszta kolejki się jeszcze bardziej irytuje i negatywne emocje zatrują powietrze.

Niestety dziś nie napiszę listu, bo wprowadziła się kuzynka Alicji. Dlatego nie wiem, gdzie będę spał. Kiedy nie wiem, gdzie będę spał, czuję się jak w podróży. Czasami zapominam, że ciągle jestem w podróży, ale dobrze sobie o tym przypomnieć. Wydaje mi się niebezpieczne, kiedy przestanie się to zauważać. Zostaje się wtedy drzewkiem wyrwanym z korzeniami i miotanym po świecie przez tajfun.

Postanowiłem zapytać Roberta, gdzie w tej sytuacji będziemy nocować. Moglibyśmy wykąpać się u Gutnera i pojechać na Grójecką.

W kuchni Alicji go nie zastałem i w salonie też. Zapukałem do sypialni, ponieważ było już po jedenastej. Chyba ktoś powiedział: „Proszę!”, ale trudno jest zrozumieć język polski przez zamknięte drzwi. Wszedłem.

Robert i Alicja byli zajęci seksem.

Robili to w jakiś wyszukany, perwersyjny, może polski sposób, bo ona leżała na brzuchu, z twarzą w poduszce, a on siedział na jej na pupie. W rękę trzymał plastikową zabawkę seksualną w kształcie butelki, której przeznaczenia starałem się nie zgadywać.

Chciałem od razu uciec. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem. Stałem jak brama

świątynna i próbowałem nie patrzeć. Nie mogłem się jednak powstrzymać. Najgorsze, że Robert był w tej pozycji zwrócony twarzą do mnie i też na mnie patrzył, ale tak, jakby mnie nie rozpoznawał. Potem zrobił się bardzo czerwony. On się często rumieni, co jest zwykle dość urocze. Teraz to nie było ani trochę urocze. Poza tym on ma włochatą klatkę piersiową, jak małpa. To jest z kolei nieestetyczne i niehigieniczne.

Robert odstawił plastikową zabawkę i powiedział:

– Proszę nie uciekać, Hattori-san, ja tylko robię masaż Alicji. Właśnie kończyłem i będę teraz przygotowywał śniadanie. Czy mówiłem ci, że jestem masażystą? Tak jest. Po szkole masażu w Tōkyō. Akihabara. Właściwie w Kanda-Izumichō. Na pewno ją znasz. Otóż trzeba ci wiedzieć, że...

Robert mówił bardzo szybko i wyjaśniał coś o szkole masażu. Ja już to wiedziałem, ponieważ mi o tym mówił około trzech razy. Ale słuchałem grzecznie, nie przerywając. Pozwalało mi to udawać, że niczego nie widziałem.

Potem wyjaśniał o kuzynce Alicji, która chwilowo zajmuje mieszkanie obok. To też wiedziałem.

Bardzo chciałem wyjść i spróbować zapomnieć wszystko, co widziałem, ale trudno to było zrobić, kiedy Robert nie przestawał mówić. Coś o talii kart. Nie rozumiałem do końca. Być może trochę bredził z zażenowania.

Na szczęście Alicja ubrała się w szlafrok plecami do nas i wyszła do kuchni. Robert też się szybko ubrał. A ja, skoro już zostałem w tej niezręcznej sytuacji, zdecydowałem zostać na śniadaniu. Mogę przecież równie dobrze udawać, że niczego nie widziałem, jedząc śniadanie. W tym domu wszyscy lubią jeść, więc bardzo dobrze gotują.

Robert i Alicja cały czas o czymś rozmawiali. Ja jadłem jajecznicę na oleju truflowym i znowu myślałem o tym, gdzie spędzimy noc. Raczej gdzie ja ją spędzę, bo Robert już chyba rozwiązał ten problem. Chociaż Alicja jest jak wszystkie Polki: bardzo silna, bardzo niezależna i bardzo bezpośrednia. Więc może go wyrzucić, jeśli tak się jej spodoba. A ja zamieszkam w hotelu. Teraz dobrze zarabiam i mogę sobie na to pozwolić.

Tak sobie myślałem i dlatego przegapiłem, kiedy mnie o coś pytali. Robert powtórzył:

– Czy wiesz, że Moździerzewscy chcą, żebym tu mieszkał i dla nich pracował?

– Tak, wiem – odpowiedziałem. Robert czasem niepotrzebnie się martwi, że ja niczego nie wiem i nie rozumiem. To nieprawda, ponieważ ja wszystko rozumiem po

polsku.

*

Czwartek, 12 maja 2005

Dzisiaj wyprowadziłem się od Gutnera i wprowadziłem z powrotem na drugie piętro, do mieszkania wynajmowanego teraz oficjalnie przez Roberta i przeze mnie, bo ja też płacę.

Kiedy jest się w podróży, trzeba być gotowym na częste przeprowadzki. Dlatego trzymam moje rzeczy w plecaku.

Właściwie u Gutnera było wygodniej, bo on ma bardzo duże mieszkanie, większe niż dom moich rodziców i dom sąsiada razem wzięte. Urządzone w bardzo piękny i dystyngowany sposób, z prawdziwą dbałością o detale. Wszystko jest eleganckie, jak w luksusowym hotelu. I przyjemne w dotyku. Gdyby jego mieszkanie było samochodem, w broszurze byłoby napisane: „We wnętrzu użyto materiałów najwyższej jakości”.

Nikt nie wie, po co Gutnerowi tyle miejsca. Musi być samotnie mieszkać w wielkim, pustym hotelu.

Niestety, on jest moim szefem i współnikiem handlowym, więc mieszkając u niego, czułbym się trochę skrępowany. Nie trzeba łączyć pracy z życiem prywatnym. To prowadzi do różnych komplikacji.

Robert pojechał do biura świeżo naprawioną mazdą. Widziałem, jaki jest zadowolony, że nie musi już chować na noc wycieraczek i martwić się o samochód, odkąd parkuje w zamkniętej bramie kamienicy. Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego wycieraczki ciągle były kradzione na Grójeckiej. Ostatnio wracałem nocą przez duży parking w Łodzi i z ciekawości sprawdziłem wszystkie auta. Wzbudziło to podejrzenie strażnika, ale wytłumaczyłem mu po angielsku, że szukam samochodu – wtedy przeprosił i wrócił do swojej budki. To zawsze działa. Kiedy mówię po angielsku, wszyscy wiedzą, że nie jestem Wietnamczykiem, i traktują mnie z szacunkiem, jak cudzoziemca z Zachodu, a nie z biednych krajów Azji. Dlatego czasem muszę mówić po angielsku, chociaż znam go bardzo słabo. Angielski jest dla nas Japończyków trudniejszym językiem od polskiego.

Co odkryłem na parkingu? Żadnemu samochodowi nie brakowało wycieraczek. Więc to chyba nie jest powszechny problem.

Pomyślałbym, że ktoś się na Roberta wziął. Jakiś wredny sąsiad na Grójeckiej?

Wszędzie trafiają się ludzie pełni złości i zawiści. Mieliśmy taką sąsiadkę w Izumi. Nienawidziła mojej mamy za wystawianie czarnej torby ze śmieciami za blisko muru jej domu. Czasem złośliwie robiła w torbie dziury szpikulcem parasolki, żeby śmieci się wysypywały i sąsiedzi myśleli, że moja mama jest nieporządna i niedbająca o swój odcinek ulicy. Dla mamy był to tak wielki wstyd i stres, że przez tydzień nie wychodziła potem z domu. Przez co ja musiałem robić zakupy, narażając się z kolei na wstyd przed kolegami ze szkoły.

Ale tutaj trudno mi było uwierzyć w podobny przypadek. Robert jest zbyt dobrym, skromnym i nieszkodliwym człowiekiem. Chociaż tacy ludzie też bywają ofiarami złości innych; tak jak co bardziej ciche i wrażliwe dzieci stają się często ofiarami rówieśników.

Moje rozmyślenia przerwał telefon. Dzwonił Robert.

– Hattori-san!

– Robert-san.

– Dzwonię, żeby powiedzieć, że będę dziś późno w domu. Muszę skończyć prezentację. Masz co zjeść?

– Tak, Robert-san. Nie martw się.

– Mamy pełną lodówkę. Albo skocz coś zjeść na Puławską, wiesz, zaraz za rogiem Narbutta, otworzyli tam nową knajpę, kuchnia gruzińska. Powiesz mi, czy warta grzechu. Moglibyśmy wtedy iść w weekend, nawet zaprosić Alicję. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chętnie ją lepiej poznam.

– Dobrze, Robert-san.

Rozłączył się. On zawsze próbuje się mną opiekować. W pewnym sensie jest to bardzo miłe, jak wtedy kiedy mnie spotkał pierwszy raz, nad Wisłą. Akurat testowałem namiot i śpiwór przed wycieczką w Tatry. Fakt, byłem chwilowo między pracami i mieszkaniem, ale mógłbym się przecież zatrzymać w hotelu. Jednak Robert tak się przejął, że nie miałem serca mu wyjaśniać i po prostu zaakceptowałem jego wielkie słowiańskie serce. Dla takich ludzi warto znosić pewne uciążliwości tymczasowego przebywania w Polsce.

Przecież właśnie celem poznania owego serca, trudnego do zrozumienia dla nas, Japończyków, zdecydowałem się studiować ten kraj i jego kulturę.

W ramach poznawania Polski poszedłem do poleconej przez Roberta restauracji gruzińskiej na ulicy Puławskiej, gdzie pani za ladą powiedziała mi, że nie potrzebują pracowników i nie są barem azjatyckim. Udało mi się jednak wytłumaczyć, że nie szukam pracy, tylko chciałbym zjeść chaczapuri, cokolwiek by to było, dziękuję

bardzo uprzejmie. I zjadłem. Nie byłem zachwycony. Chyba tęsknię za kuchnią japońską. W Warszawie jest kilka restauracji japońskich, ale to nie to samo co w domu. Dla dobrej kuchni japońskiej jest bardzo ważne, żeby była blisko oceanu.

Potem zaczynała się moja wieczorna zmiana w Antykowni. Dzisiaj było bardzo ciekawie. Najpierw przyszedł pan ubrany w bluzę z kapturem i spodnie sportowe. Był całkiem uprzejmy, nawet nieśmiały, a wyglądał sympatycznie i młodziej niż większość klientów. Chciał nam sprzedać skrzypce, które wyciągnął z worka na plecach. Trzymał je śmiesznie, w pięści, do góry nogami, jak rakietę tenisową. Z tego, jak również z jęgo stroju, domyśliłem się, że jest sportowcem.

Klient przedstawił nam swój instrument jako włoskie skrzypce renesansowe zrobione przez pana Stradivarię. Miał co prawda drobne problemy z wymówieniem „renesansowe” i „Stradivari”, a nawet „skrzypce”, ale przyszedł dobrze przygotowany, bo wszystko czytał z karteczki. Spodobało mi się to, bo ja też tak robię, kiedy muszę załatwić w urzędzie sprawę wymagającą długich i skomplikowanych polskich słów.

Pan Moździerzewski niezwykle się podniecił. Wołał:

– Stradivardius! Niesamowite, wielce szanowny panie Waldku, niesamowite! Mistrzostwo świata i okolic zawitało w nasze skromne progi! Gutner! Szybko!

Gutner-san wyszedł zza swojej kotary powoli, całym ciałem wyrażając sceptycyzm i brak entuzjazmu. On tak się zachowuje, ale tylko w pracy.

– Gdzie Alicja? – syknął do pana Moździerzewskiego. – Przecież ona jest od instrumentów smyczkowych!

Pan Moździerzewski rozłożył ramiona i wzniosł oczy do sufitu, co przypomniało mi mojego ojca, kiedy mama pytała go, gdzie jest moja młodsza siostra i dlaczego nie w kuchni, żeby pomagać przy kolacji.

Gutner westchnął, pokręcił głową i odwrócił się do Klienta. Obejrzał go starannie przez lupę zegarmistrzowską, a potem bez niej. Następnie przystąpił do oględzin skrzypiec. Położył je na zielonym filcu na ladzie.

– Czy to już tak było, czy się w transporcie uszkodziło? – zapytał, wskazując swoim długim, szczupłym palcem na jakieś pęknięcie, a nawet spore wgniecenie, z którego sterczały drzazgi. Klient odpowiedział coś, czego nie zrozumiałem, ponieważ on mówił Dialektem Lokalnym z Warszawy Prawobrzeżnej. Gwar i dialektów niestety nie rozumiem, jest to następny stopień wtajemniczenia językowego, do którego mi jeszcze daleko.

Gutner uniósł jedną brew i wziął skrzypce do ręki. Następnie wyciągnął

z kieszeni małą latarkę i zaczął oglądać wnętrze pudła rezonansowego przez otwory zwane, jak mi wyjaśnił, efami.

– Cieeeekawe – mrucał – baaardzo ciekawe. Sklejka. Czy w XVII wieku budowano instrumenty ze sklejk? Czy łączono je klejem marki Butapren? Czy kartki były drukowane na drukarce atramentowej, i to z błędami wskazującymi na użycie translatora internetowego? Ach, te tajemnice historii.

Pan Moździerzewski załamywał ręce ze zmartwienia. Wiedziałem, że to dla niego rodzaj gry, przedstawienia teatralnego; wszyscy dobrzy sprzedawcy muszą być trochę aktorami. Ale pan Moździerzewski był dzisiaj wyjątkowo przekonujący, aż zrobiło mi się go żal.

– Jakież to musi być rozczarowanie dla wielce szanownego pana Waldka – biadolił. – I, proszę mi wierzyć, ja rozumiem. Rozumiem lepiej, niż wielce szanowny pan Waldek jest w stanie się domyślić!

Zazwyczaj w takich momentach Klient godzi się jakoś z myślą, że jego ogromny brylant po babci jest kawałkiem szkła, a nieznaną obraz Leonarda da Vinci przedstawiający jelenia ryczącego na polanie – autorstwa fabryki ozdób dla domów wczasowych, zgodnie ze wskazaniem pieczętki na rewersie. Tak mnie uczył Gutner.

Ale tym razem Klient bardzo się wzburzył i zaczął walić pięścią w ładę, a potem wyciągnął z worka kij do bejsbolu. Ucieszyłem się, że prawidłowo zidentyfikowałem pana Waldka jako sportowca. Co lepsze, sam grałem w lidze szkolnej i mogę się w miarę autorytatywnie wypowiedzieć o wartości klasycznych kijów bejsbolowych – jeśli byłyby na nim jakieś rozpoznawalne autografy, mógłby być bardzo cenny dla naszej Antykowni, daleko cenniejszy niż fałszywy stradivarius ze sklejk. Niestety Gutner nie pozwolił mi zbadać sprzętu, tylko jednym susem wyskoczył zza lady, zatrzymał mnie i wezwał naszą Broń Ostateczną. Tak Gutner nazywa pana Kozaka.

Pan Kozak wyszedł natychmiast z zaplecza, ubrany w swój mundur wojskowy; stary, piękny, ze sztywnym kołnierzykiem-stójką i szerokimi szarymi epoletami z czerwoną obwódką, trochę podobny do starych mundurów armii japońskiej. Ale z futrzaną czapą zamiast płaskiej czapki wojskowej i z szablą u pasa zamiast miecza.

Podszedł do Klienta, nad którym górował o głowę, podniósł go na dziesięć centymetrów nad podłogę, jednym szybkim ruchem kościstej dłoni wyjął mu z ręki kij bejsbolowy i wskazując na drzwi, ryknął:

– *PASZOE WON, SWOŁOCZ ZAKAZANA!*

Klient bardzo szybko opuścił Antykownię i zostawił nawet swój kij bejsbolowy. Niestety, tani model nieznanego firmy i zupełnie bez wartości kolekcjonerskiej, jak

szybko ustaliłem. Chciałem pobiec za Klientem i zwrócić mu zapomniany sprzęt sportowy, ale Gutner mi nie pozwolił. Był bardzo wzburzony.

– Kto tutaj wpuścił to coś?! – krzyczał. – Hę? Nie taki mamy system, Staszku! Kto ma dziś dyżur przy drzwiach, w ogóle?

– Ależ to wypadek jednorazowy, drogi przyjacielu; wypadek, przed którym nie sposób się zupełnie ochronić... – bronił się pan Moździerzewski.

Gutner kręcił głową i narzekał:

– Do czego doszliśmy, do czego? Sukienki na salonach?!

Tak mi się przynajmniej wydawało, że powiedział, chociaż nie miało to większego sensu. Chyba że „dres” nie znaczy po polsku „sukienka” – będę musiał sprawdzić w słowniku. Potem obaj ściszyli głosy i wyszli z Antykowni rozmawiać dalej na górze, chyba skrupowani, że się pokłócili w mojej obecności.

Zostałem sam. Postanowiłem spisać zaobserwowane wydarzenia, a potem nadrobić dokumentację eksportową.

Długo nie pracowałem, bo znowu przyszedł Klient. Na szczęście inny Klient tym razem. Wiedziałem, że powinienem od razu zadzwonić po Gutnera, ale coś sprawiło, że postanowiłem spróbować własnych sił. Bo to był dokładnie taki Klient, jakiego lubi pan Moździerzewski. Po kilku miesiącach uważnego obserwowania go przy pracy wydawało mi się, że zrozumiałem jego preferencje biznesowe.

Klient był starszym panem, ubranym ubogo, ale starannie i ze smakiem. Znoszony, nie pierwszej mody garnitur, z pasującą do krawata chusteczką w kieszonce i spinkami u mankietów koszuli. Niestety plastikowymi, jednak doceniłem jego starania.

Odchrząknął i patrzył na mnie jakby przepraszająco. Postanowiłem nie mówić do niego po angielsku. Czułem, że będzie mnie traktował kulturalnie, nawet nie wiedząc, że jestem Japończykiem.

– Czym mogę służyć? – zapytałem.

Klient rozejrzał się niepewnie dookoła, zatrzymując wzrok na oszklonej witrynie z zastawami stołowymi i innymi drobiazgami.

– Słyszałem – powiedział cicho – że prowadzą państwo lombard.

– Nie, to pracownia naprawy antyków – wyrecytowałem, dokładnie tak, jak nauczył mnie Gutner. – Właściciel jest kolekcjonerem, który nieraz kupuje i sprzedaje interesujące go przedmioty. Istnieje też możliwość ich późniejszego odkupienia, trzeba tylko spisać stosowną notatkę, żeby potem nie było wątpliwości.

Jest również drobna opłata...

Starszy pan uśmiechnął się.

– Faktycznie, to zupełnie nie lombard.

Zrobiło mi się trochę głupio. Przedstawiłem się, ukloniłem i wręczyłem mu wizytówkę. Przystąpiliśmy do oględzin przedmiotu, który przyniósł.

Była to nieregularna, lekko owalna, spłaszczona bryłka metalu z przylepionym do niej kawałkiem czarnej skóry, jakby z portfela albo rękawiczek. Domyśliłem się od razu, że przedmiot należał do kategorii wielu pojawiających się u nas artefaktów o zerowej wartości praktycznej, ale wysokiej emocjonalnej – niestety zazwyczaj tylko dla właściciela. Chociaż pan Moździerzewski nieraz kupuje takie ciekawostki, oferując zadziwiająco wysoką cenę, za co szanuję go jako geniusza handlowego. Nie wiem, jakim cudem odsprzedaje je potem z zyskiem, ale jestem zbyt młody i początkujący w tym fachu, żeby móc liczyć na zrozumienie wszystkich tajemnic zawodu.

Wtedy starszy pan opowiedział mi zdumiewającą historię:

– Pod koniec wojny miałem zaledwie osiemnaście lat. Pracowałem jako pomocnik i praktykant w poselstwie Bułgarii. To była jedna z nielicznych ambasad, która nie ewakuowała się w trzydziestym dziewiątym i nawet nie zmieniła miejsca – została tam, gdzie jest dziś, w pałacyku Dziewulskich w Alejach Ujazdowskich.

Czasami musiałem brać pracę do domu i kończyć nocami przy świeczce, bo z prądem było różnie. Pewnego poranka zbierałem dokumenty do teczki, kiedy na ulicy zaczęła się strzelanina. Robiło się coraz głośniejsze, więc schowałem się pod stół. Po chwili wszystko przycichło. Kiedy już miałem się wygrzebać spod stołu, łupnęło tak, że zatrzęsała się podłoga. Prawie ogłuchłem od eksplozji. Siedziałem jeszcze długo pod stołem. Od pyłu i kurzu zrobiło się ciemno jak w nocy. Bałem się, że coś trafiło w budynek i zacznie się szukanie nowego mieszkania. Pył powoli opadał, a ja z kolei zacząłem się martwić, że spóźnię się do pracy, i czy atrament zdążył wyschnąć na moich papierach. Jeśli przylepił się do nich pył, byłbym pogrążony – musiałbym wszystko pisać od nowa.

W końcu ostrożnie wypętlłem spod stołu – kontynuował, łyknąwszy herbaty, którą mu zrobiłem, cały czas słuchając z wielką fascynacją. – Pokój wyglądał jak po wybuchu Wezuwiusza, a w szybie okiennej pojawiły się dwa nowe pęknięcia, mimo przyklejonych pasków papieru dla ochrony przed eksplozjami. Dokumenty na szczęście udało się odratować, ale kiedy pakowałem je do teczki, zobaczyłem, że trafił w nią odłamek granatu. Gorący kawałek metalu przylepił się do skóry. Byłem

wściekły, bo zniszczył moją jedyną elegancką teczkę, a czym jest urzędnik bez teczek? Wtedy jeszcze nie pomyślałem, że teczka stała na krześle i gdybym ja tam siedział, a nie myknął pod stół, ten odłamek byłby w moim brzuchu...

Upił łyk herbaty.

– I to jest ten odłamek? – zapytałem bardzo przejęty.

– Ten sam. Proszę, tutaj jest kawałek skóry. Nawet dziś widać, że to była teczka pierwszej klasy. Wydałem na nią całą pierwszą wypłatę. Tak. Myślałem, że może ta drobna pamiątka zainteresowałaby właściciela ze względów... historycznych.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Patrzałem w bladoniebieskie oczy otoczone mapą zmarszczek i myślałem: ten bohaterski człowiek naprawdę przeżył to, co ja znam tylko z filmu *Kanał* wielkiego polskiego reżysera Wajdy. I on zdaje się na mnie, cudzoziemca, Japończyka. Ja mam mu pomóc. Musi potrzebować pieniędzy na życie, skoro przyniósł tak ważną pamiątkę. Jak mogę mu powiedzieć to, co teraz powiem? A przecież muszę, bo tego wymagają niepodważalne zasady biznesu. Czułem się bardzo zagubiony i zestresowany. Żałowałem, że nie wezwałem od razu Gutnera. Ale na to było już za późno. Musiałem kontynuować:

– Czy ma pan jakieś dokumenty powiązane z artefaktem? Chociażby te papiery pokryte pyłem ceglany – dodałem w nadziei, że skieruję go na właściwy trop. Niestety, na rynku pamiątek historycznych, *provenance* – dokumentacja pochodzenia i historii przedmiotu – jest wszystkim. To ważniejsze niż sam przedmiot.

– Nie – odpowiedział, spuszczać wzrok. – Niewiele zostało. Pracowałem w podziemiu i na koniec nawet moją dziurawą teczkę musiałem... sprzedać przed opuszczeniem Warszawy. – Zaśmiał się, nagle skrępowany. – Takie były czasy. Rozumiem, że ten odłamek może mieć większą wartość dla mnie niż dla jakiegokolwiek kolekcjonera, ale może da się potwierdzić, że to metal z granatu...

– A jaką wartość przedmiotu miał pan na myśli? – zapytałem, próbując zmienić temat. Badanie metalurgiczne byłoby na pewno droższe niż wartość artefaktu.

Starszy pan speszył się, zaczął coś mówić i przerwał w połowie słowa, w końcu spróbował:

– Może dwieście... dwieście pięćdziesiąt złotych?

Z bardzo ciężkim sercem pokręciłem głową i powiedziałem:

– Obawiam się, że bez żadnej dokumentacji pięćdziesiąt złotych to wszystko, co mogę zaoferować.

Nie dodałem: „I to pięćdziesiąt złotych z mojej kieszeni, bo Gutner nigdy nie kupiłby kawałka metalu bez żadnej dokumentacji”.

Starszy pan był chyba gotów zgodzić się na tę cenę. Stał i obracał w palcach odłamek granatu, jakby się z nim żegnając. Wtedy usłyszałem za swoimi plecami gromki głos:

– Wielce szanowny panie Hattori, czy mogę prosić na zaplecze?

Czułem się jak uczeń złapany na gorącym uczynku. Przeprosiłem Klienta i ze spuszczoną głową poszedłem na zaplecze za panem Moździerzewskim. Zostałem poproszony o streszczenie opowieści. Moja znajomość polskiego cofnęła się ze stresu i nie wiem, na ile zostałem zrozumiany. Jednak pan Moździerzewski kiwał głową z wielką powagą, a potem zupełnie niepotrzebnie przeprosił mnie za przejęcie moich negocjacji i mojego klienta.

Wyszliśmy razem z zaplecza.

– Ogromnie mi przykro za to drobne nieporozumienie! – zawołał pan Moździerzewski, podchodząc do Klienta i chwytając jego rękę w obie dłonie. – Jest ogromnym dla mnie zaszczytem powitać szanownego pana w naszych skromnych progach. Pan Hattori jest utalentowanym i doświadczonym specjalistą, ale właśnie z racji swojej specjalizacji, a także szczególnych doświadczeń kulturowych mógł nie do końca prawidłowo ocenić rangę tego wyjątkowego znaleziska. Rozmawiałem właśnie z właścicielem i jest on zdecydowany zaprezentować panu atrakcyjną ofertę. Czy suma czterech tysięcy pięciuset złotych byłaby zadowalająca?

Skloniłem głowę jeszcze niżej. Zrozumiałem, że popełniłem wielki błąd, nieprawidłowo wyceniając artefakt na ułamek jego wartości, mimo braku dokumentacji.

– Ależ coś ty! – zagrmiał nad moim uchem głos Gutnera jak wybuch granatu. – Stasiu! Jak możesz tak obrażać klienta, no jak? Kupowanie poniżej ceny rynkowej – uniósł przy tym palec wskazujący – jest niegodne standardów firmy! Bardzo pana przepraszam – zwrócił się do Klienta, który stał bez ruchu, z przepaszającym półuśmiechem zastygłym na ustach i szeroko otwartymi oczami. Myślę, że zastanawiał się, czy ci nagle pojawiający się na scenie panowie robią sobie dowcipy jego kosztem. Przyciskał teraz swoją aktówkę oburącz do piersi, jak tarczę.

– Ja – Gutner-san uniósł znowu palec znacząco – złożę panu ofertę nie do odrzucenia. Pięć tysięcy osiemset złotych! Co nie znaczy, że nie byłbym skłonny iść na drobne ustępstwa...

– Ależ rynek i dzisiejsza ekonomia... – protestował słabo pan Moździerzewski!

– Rynek? Jaki rynek? Rynek to jest na węgiel i pietruszkę! – oburzał się Gutner. – Tutaj mamy do czynienia z bezcennym Artefaktem! Pięć tysięcy

dziewięćset mówię, i ani złotówki więcej!

Po tych dość dziwnych i nie do końca dla mnie zrozumiałych negocjacjach pan Klient został odeskortowany do drzwi, zamożniejszy o sześć tysięcy złotych i z prezentem w postaci eleganckiej urzędniczej teczki skórzanej z lat pięćdziesiątych, ręcznej roboty, sygnowanej, w stanie bardzo dobrym. Wartej, według mnie, co najmniej następny tysiąc. Gutner twierdził, że nikt jej chciał kupić od dwóch lat i zajmuje tylko miejsce w magazynie.

Czułem się bardzo zawstydzony, więc nie poprosiłem o wyjaśnienia. Ale znam się na handlu międzynarodowym na tyle, żeby zrozumieć, że Gutner próbował ustanowić dobre relacje biznesowe ze starszym panem i dlatego straciliśmy właśnie siedem tysięcy złotych, pozyskując kawałek metalu.

Nie da się wszystkiego zrozumieć od razu. Tak jak nie da się szybko zrozumieć Polaków.

Kiedys, być może, zrozumiem.

*

Poniedziałek, 9 maja 2005

Robert wrócił dzisiaj późno z pracy. Zrobiłem mu niespodziankę na powitanie – przyniosłem z Grójeckiej, gdzie pomagałem się przeprowadzić kuzynce Alicji, stojak na kapcie. Postawiłem go przy wejściu do kamienicy, bo mamy na schodach dywan. Robert i ja nie lubimy chodzić po nim w butach. Gutner nazywa to fetyszem kapciowym, ale to on zasugerował, żebym przyniósł stojak.

Ciekawe, że Gutner i Alicja też zaczęli ostatnio zdejmować buty przed wejściem na dywan. To dowodzi, że Robert ma dobry wpływ na swoich rodaków, którzy, miotani bezlitosnym tajfunem historii, nie mieli szansy, aby wyjechać za granicę i poznać zwyczaje cywilizowanego świata.

Robert podziękował za stojak i mruknął:

– Mam nadzieję, że nikt go nie ukradnie.

– Ale tu są sami swoi, Robert-san.

– Sami swoi plus goście, Hattori-san. A z gośćmi nigdy nic nie wiadomo – odpowiedział.

Odniosłem wrażenie, że po nieprzyjemnych przygodach z samochodem Robert zrobił się podejrzliwy i nieufny w stosunku do swojego własnego kraju. Wydało mi się to zjawiskiem negatywnym. Postanowiłem pomóc mu zaprzyjaźnić się na nowo

z Polską.

Przeprosiłem, włożyłem kapcie wyjściowe i poszedłem do Antykowni po swoje notatki. Kiedy wróciłem, Robert zawołał z głębi mieszkania:

– お疲れ様でした!

Przez dłuższą chwilę próbowałem to zrozumieć, aż nagle dotarło do mnie, że mówił po japońsku. Roześmiałem się uprzejmie, jak zwykle kiedy Robert próbuje mówić do mnie po japońsku. Jest to miłe, ale również nieco irytujące – mój polski wcale nie jest taki zły po wielu latach nauki i roku praktyki.

Co gorsza, nagła zmiana języka zbija z tropu i konfuduje. Ja bardzo nie lubię być skonfundowany.

– Dziękuję, ale nie byłem w pracy – odkrzyknąłem po polsku – tylko poszedłem po notatki!

Zajrzałem do kuchni.

Robert siedział na stołku zgarbiony, z rozluźnionym krawatem, patrząc w ogień podgrzewający czajnik. Wyglądał nie tylko na zmęczonego pracą, ale też jakby zrezygnowanego.

I płakał. Z oczu ciekły mu grube łzy i spadały na mokry kołnierzyk koszuli. W ręce trzymał kłęb zmiętych chusteczek jednorazowych.

– Robert-san...?

– Hattori-san. Przepraszam, zapuściłem krople do oczu i chwilowo nic nie widzę. Sezon pyłkowy się zaczyna. Zastrzyki mało pomogły. Nie przejmuj się, zaraz przestanę płakać.

Odetchnąłem z ulgą i powiedziałem:

– Tak, oczywiście, rozumiem. Chłopaki nie płaczą.

– Dlaczego nie płaczą?

– Tak się mówi.

– Naprawdę?

– To jest tytuł piosenki zespołu T. Love oraz filmu w reżyserii Olafa Lubaszenki. Tego, który grał w musicalu *Metro*.

Robert obrócił się do mnie. Mrugał oczami i nie wyglądał zbyt mądrze. Nie wiem, czy z powodu kropli do oczu, czy braku zrozumienia. Chyba to drugie.

– Jeśli nie znasz – kontynuowałem szybko – możemy pożyczyć. A na razie pokażę ci moje notatki. Ja zapisuję, co w Polsce jest ważne i o czym wszyscy mówią.

Żeby być na czasie i w nurcie.

– Myślałem, że do tego służy internet – zażartował Robert, ale wziął mój zeszyt, wytarł jeszcze raz oczy chusteczką i otworzył na pierwszej stronie. Zaczął czytać.

Jego twarz powoli przechodziła od zmęczenia i lekkiego zirygowania przez zainteresowanie do autentycznego zaciekawienia. Nawet nabrał rumieńców.

Nagle zaczął się śmiać i podniósł wzrok.

– Hattori, to jest prawie dokładnie jak mój notes! Tylko ja mam alfabetycznie, jak w słowniku. Czekaaj, pokażę ci.

Wyciągnął z teczki mały notes telefoniczny. Bardzo zużyty, ale sławnej w Japonii firmy Moleskine. W Polsce chyba nie jest popularny. Może powinienem się tym zainteresować handlowo.

Otworzyłem na chybił trafił. Jak się okazało, na literze „K”:

K

Komisja śledcza

Politycy bawiący się w sąd z okazji jakiejś afery. Zajmuje dużo czasu w radiu i wszyscy się ekscytują, nie do końca wiadomo czym

Kamień milowy

Milestone (ważna data w projekcie)

Kasa

Forsa, szmal, mamona. „Kasa” całkowicie wyparła te słowa.

Kasa fiskalna

Kiedyś: kasa

Kiler

Jakiś kultowy film, trzeba będzie obejrzeć

– Czyli Robert-san zapisuje tutaj nowe słowa, których kiedyś nie używano po polsku? – zapytałem, podnosząc głowę.

– Nie tylko nowe słowa, również pojęcia, nazwiska osób publicznych, tytuły

filmów i seriali – wszystko, co nowe i trzeba coś o tym wiedzieć, żeby nie siedzieć w dziurze kulturowej.

– Dziurze...? – Nie do końca rozumiałem.

Ale Robert wziął się do szykowania herbaty i chyba nie chciał zagłębić się w temat. Postanowiłem zastosować Rozwiązywacz Języka Polaków.

Polacy są z natury zamknięci i nieśmiali, więc potrzebują pomocy w otworzeniu swoich umysłów i serc przed innymi, a nawet przed samymi sobą. Na szczęście produkują bardzo dobre środki w tym celu. Nierozpoczęta butelka takiego środka znalazła się w szafce nad lodówką. Nalałem mu sporo do kubka z herbatą. Sobie też nalałem, ale mniej, bo Japończycy nie mają takich problemów i jeśli już się z kimś przyjaźnią, mówią z łatwością o swoich uczuciach i ważnych sprawach.

Po pierwszej dolewce zapytałem znowu o Dziurę.

– Widzisz – tłumaczył Robert, już nieco żywiej i łatwiej – jak się nie było w kraju przez osiemnaście lat, powstaje Dziura Kulturowa. Przez te osiemnaście lat cały czas coś się działo, rozumiesz? Wychodziły kultowe filmy, o których wszyscy mówili, a teraz wszyscy cytują z nich teksty. Grano w radiu nowe przeboje, których wszyscy słuchali, kolejne afery polityczne zajmowały pierwsze strony gazet, nowi artyści i pisarze stawali się sławni, męska część narodu wzdychała do nowej prezenterki w TV, a żeńska – do nowego gitarzysty rockowego. Setki, tysiące nazw, nazwisk, pojęć, cytatów i dowcipów, które wypada znać. A się nie zna.

Problem w tym – kontynuował, podstawiając mi kubek pod dolewkę – że tego wszystkiego nie idzie nadrobić. Mogę prowadzić swój notes, ten słownik peerelowsko-trzeciorzeczpospolicki, mogę oglądać codziennie filmy i czytać książki z tego okresu, ale na próżno: cały czas wychodzą NOWE filmy, książki i piosenki, nowe wydarzenia i wiadomości wstrząsają zbiorowym umysłem narodu, dzieci oglądają nowe kreskówki, a dorośli nowe seriale. Nie sposób ogarnąć tamtego i tego – nigdy nie da się tej dziury całkiem załatać. Wlecze się za nami jak mokry ogon.

Zamyślił się, jakby przygnieciony ciężarem mokrego ogona.

– To bardzo ciekawa i oryginalna myśl, Robert-san – pocieszyłem.

– Oryginalna? Nie, nie. To już zauważył Mroźek. Ja nigdy nie wymyślam niczego oryginalnego. Ja tylko żyję, doświadczam i stwierdzam, że ci przede mną mieli rację.

Dolałem mu do kubka herbaty, i nie tylko. Znaczący „nie tylko” już w kubku było, a ja dopełniłem herbatą.

– Ale czy to jest taki duży problem, że Robert-san nie zna każdej gwiazdy

telewizji, internetu i innych zjawisk? – próbowałem go podnieść na duchu. – Ja też wielu nie znam. Nikt wszystkiego nie ogarnia. Jest za dużo popkultury. Wystarczy znać te najważniejsze, o których mówią koledzy.

– Ty nie... – zaczął Robert i ugryzł się w język.

Domyśliłem się, że chciał powiedzieć: „Ty nie jesteś Polakiem”. Dałem mu chwilę przemyśleć to *faux pas*.

Ale wydaje mi się, że go zrozumiałem. Jest bardzo trudno istnieć wśród ludzi, kiedy się nie ma tego sekretnego, wspólnego porozumienia płynącego z jakiejś wspólnej wiedzy. Pamiętam wycieczkę szkolną do Londynu, wiele lat temu. Po godzinach obowiązkowego zwiedzania poszliśmy z kolegami do pubu. Nielegalnie, bo żaden z nas nie miał skończonych osiemnastu lat. Spotkaliśmy tam młodych ludzi w naszym wieku z różnych krajów. Najwięcej z Hiszpanii, Włoch i Pakistanu, kilku Chińczyków, najmniej Anglików chyba. Nikt nie mówił biegle językiem drugiego. Rozmowa zesła więc szybko na znanych sportowców i drużyny sportowe. Tak mogliśmy się porozumieć i cieszyć komraderią młodości, znając tylko kilka słów. Być może te wspólne punkty zaczepienia – nazwiska, nazwy drużyn, filmów, piosenek – są ważniejsze niż biegłość językowa?

– Wydaje mi się jednak, Robert-san – powiedziałem – że mimo wszystko za bardzo się starasz być takim Polakiem, który nigdy nie wyjechał z kraju.

– Mówisz, że próbuję być kimś, kim nie jestem? – mruknął znad kubka.

– Nie wiem, Robert-san. Ty najlepiej wiesz, kim jesteś.

Zapadła cisza.

Poczułem, że to czas na wyjście i zostawienie Roberta z samym sobą, żeby mogli się lepiej poznać.

*

Lubię spacerować ulicą Puławską, gdzie nowoczesność konkuruje z tradycją. To jest takie bardzo polskie.

Zawsze odwiedzam ciastkarnię w bramie domu numer trzydzieści pięć. Pan Moździerzewski nazywa ten sklep z ciastkami „Dziurka”, bo jest to rodzaj dziury w ścianie bramy. On kupuje tam ciastka w każdą niedzielę, ponieważ pani za ladą jest bardzo nieuprzejma. Dla niego jest to miłe wspomnienie dawnych czasów.

– Za mojego młodu – powiedział mi kiedyś – wszyscy byliśmy, proszę mi wybaczyć język, drogi przyjacielu, opieprzani. Jeszcze przed moim młodem, że tak

powiem, byliśmy opieprzani przez zaborcę, potem przez okupanta. Wreszcie przez komunistów. Opieprz na dzień dobry i opieprz na do widzenia. I – muszę się tutaj przyznać, ale bardzo proszę zachować to między nami – czasem mi tego brak... – tutaj otarł łzę, bo Polacy są bardzo emocjonalni.

Dlatego – kontynuował – zamiast do hipermarketu, idziemy czasem z Lusienką do starego, małego sklepiku na Madalińskiego. Ach, jak tam cudownie opieprzają... – rozmarzył się.

Tak, tradycja jest dla Polaków bardzo ważna.

Ciastkarnie są w ogóle wyjątkowo polskie, nie ma czegoś dokładnie takiego w Japonii ani żadnym innym kraju, który odwiedziłem. Na moim blogu są zdjęcia wszystkich popularnych ciastek z opisami: pączków, babeczek śmietankowych, serników, rożków, bajaderek, bez, sokołów, ponczówek, kremówek, tortowych, szarlotek, napoleonek i eklerów. Pan Moździerzewski nazywa eklery „trumienkami”, dlatego ich nie jem. Wszystkie inne są znakomite. Koledzy z Japonii napisali, że wyglądają bardzo apetycznie, chociaż trochę prymitywnie. Oni są przyzwyczajeni do eleganckich kawiarni w Ōsaka, gdzie ciastka lepiej wyglądają, niż smakują. Trudno im ocenić element obcej kultury na odległość.

Teraz do ciastkarni przychodzą głównie starsi ludzie, chociaż nie tylko. Ja zwykle kupuję babeczkę śmietankową, bo wszystkie polskie wypieki, chleb, bułki i ciastka, smakują mi ogromnie. Będzie mi ich w domu bardzo brakowało.

Czasem kupuję też napoleonkę, której nazwa pochodzi od imienia Napoleona Bonaparte, według miejscowej tradycji bardzo lubiącego polskie ciastka. Poznał je dzięki romansowi z piękną Polką, Marią Walewską, o czym dowiedziałem się jeszcze na studiach z filmu *Marysia i Napoleon* w reżyserii Leonarda Buczkowskiego. Ojciec miał ten film na kasecie VHS, z japońskimi napisami.

W Polsce jest tak wiele historii i tradycji. Zanurzanie się w niej jest niezwykłym doznaniem. Pomaga mi to zrozumieć, kim są i jacy są Polacy. To daje dużą satysfakcję, poczucie porządku i prawidłowości specyficznych zasad rządzących każdym narodem.

Po ciastkarni zawsze przechodzę koło Teatru Nowego i oglądam plakaty. Polska szkoła plakatu jest sławna również w Japonii. Teatry nie są już tak znane. A szkoda, bo to wielki skarb kultury polskiej. W Ōsaka, mieście dużo większym od Warszawy, nie ma nawet połowy tej liczby teatrów co tutaj.

Dzisiaj w Teatrze Nowym odbywała się jakaś uroczystość. Podjeżdżały eleganckie limuzyny i wysiadali jeszcze bardziej elegancko ubrani ludzie. Limuzyny

nie były idealnie czyste i przydałoby im się odkurzenie karoserii oraz nawoskowanie opon. Na szczęście wysiadający z nich ludzie wyglądali na świeżo umytych.

Może była to premiera nowego przedstawienia. Stałem w bramie i kończyłem napoleonkę. W Japonii nigdy bym nie wyszedł z jedzeniem na ulicę, bo tak nie wypada. Kiedy przyjechałem do Polski, byłem bardzo zaszokowany tym, jak ludzie jedzą hamburgera, idąc po ulicy. Ale po roku moje nawyki się zmieniały i już odważałem się zjeść ciastko w bramie. Myślałem przy tym o historii, kulturze i trochę o domu; o tym, że czasami za nim tęsknię.

Kolejna limuzyna zatrzymała się przed teatrem i wysiadły trzy dziewczyny w... kimonach.

Nie kolorowych yukatach za dwa tysiące yenów ze sklepu dla amerykańskich turystów na lotnisku Kansai, tylko prawdziwych, tradycyjnych kimonach.

Nienagannie, po prostu idealnie włożonych.

Tylko że... to były Polki. Bardzo piękne, jak Claudia Schiffer. I mówiły po polsku.

Czułem się tak nieswojo, że schowałem się w cieniu bramy ciastkarni.

Swobodne polskie zachowanie tych dziewczyn było tak szokującym kontrastem z subtelnym japońskim makijażem i perfekcyjnym ułożeniem kimon, że odczułem to jako coś nieprzyzwoitego, złego i niewłaściwego.

Nagle usłyszałem z prawej:

どうぞお入り下さい!

– Ja przepraszam...? – Nie rozumiałem. Po chwili dotarło do mnie, że to było po japońsku.

Czwarta dziewczyna, znowu w kimonie. I znowu Polka. Która nie powinna znać tak uprzejmych zwrotów.

Kłaniała się, zapraszała do teatru.

Byłem zły i zmieszany, ale nie wiedziałem, co zrobić ani co powiedzieć, więc poszedłem za nią.

Przyjrzałem się z bliska jej *obi*. Ładny wzór. Dopasowany do pory roku, co tutaj jest niespotykane. Prawidłowe zawiązanie *obi* tak, żeby wyglądało porządnie, jest bardzo trudną sztuką. Nawet jeśli to standardowy węzeł *taiko*. Wiem, bo moja młodsza siostra skończyła szkołę dla pań Maiko – takie miała hobby w gimnazjum.

Zanudzała mnie potem detalami wkładania kimona i technik makijażu, a ja prosiłem mamę, żeby jej urodziła młodszą siostrę, która też by się tym interesowała.

Ale to były Polki.

Szedłem za nią, patrzyłem na kołnierz kimona odsłaniający smukły, delikatnie blady kark. Nie za bardzo odsłonięty, jak w kimonach Maiko, tylko skromniej i bez przesady. Czułem, że robię się czerwony, i patrzyłem gdzie indziej, a potem zgodziłem się być usadzonym na brzegu sceny, zamiast powiedzieć, że to jakaś pomyłka, że ja jestem na wyjeździe służbowym i tylko wyszedłem na ciastko.

W teatrze zaczynała się ceremonia herbaciana.

Dziewczyny robiły to bardzo, bardzo dobrze. Za dobrze.

Gdzie ja jestem...?

*

Jestem gdzieś i idę dokądś.

Tyle wiem.

Istnieje możliwość, że wracam do domu po pracy.

Idę niezbyt zatłoczonym chodnikiem, zerkam w zachmurzone niebo, wciskam ręce w kieszenie płaszcza, a potem patrzę już tylko w kałuże i idę, idę wytrwale, zawsze przed siebie.

Mijam wielu przechodniów w szarych płaszcach, a jednak wiem, że jestem sam. Jestem doskonale samotny.

Ktoś mnie potrąca. Zanim zdążę przeprosić, sam wpadam z kolei na kogoś innego. Tym razem zatrzymuję się i przepaszam. I zdaje sobie sprawę, że mówię językiem, którego sam nie rozumiem. Powtarzam głośnie, ale to, jak zwykle, nie pomaga.

Człowiek, na którego wpadłem, jest bez twarzy. Tam gdzie powinien mieć twarz, widzę błądy, gładki owal o nieco rozmytych konturach. Rozglądam się – wszyscy przechodnie gdzieś się spieszą, każdy w inną stronę, i wszyscy nie mają twarzy.

Próbuję iść dalej. Wpada na mnie coraz więcej osób; nie wiem, czy to ja je potrąciłem czy one mnie, a z moich ust cały czas wypadają niezrozumiałe słowa. Zdaje sobie sprawę, że one nie mówią nawet do mnie, tylko do siebie nawzajem, a może do nikogo.

Dlaczego?

Bo jestem niewidzialny.

Tłum gęstnieje. Każdy idzie w innym kierunku, ale żaden w tym co ja. Wszyscy

objijają o siebie i kłaniając pustym przestrzeniom, idą dalej. Robi się coraz głośniejsze.

嵐吹くこの街がお前を抱く
吹き抜ける風にさえ目を閉じる
お前は走りだす何かに追われるよう
俺が見えないのかすぐそばにいるのに
人波に消えて行く記憶の吐息

Atakują mnie setki słów, irytacja nie jest skierowana na mnie, to irytacja bezosobowa, bezduszna i zatruwająca powietrze – robi się ciężkie i zaczyna na mnie naciskać, wciągać mnie pod powierzchnię ogromnej kałuży, na której brzegach rosną trzciny i pałki wodne.

Wokół jeziora brodzą białe żurawie. Są chyba niewidome, bo wpadają na siebie i przepraszają, kłaniając się dziobami do ziemi.

Próbuję robić ruchy pływackie i wyswobodzić się. Staram się też roześmiać, co kiedyś pomagało; uśmiech potrafi uspokoić innych albo uruchomić agresję, ale zawsze wywołuje jakąś reakcję. Mur ciał się kruszy i rozpada, odwraca się do mnie staruszek z teczką, trzyma ją kurczowo, chociaż jest zniszczona, nie ma już żadnej wartości – ziele w niej dziura po kuli. Z ogromnym wysiłkiem zmuszam usta do wypowiedzenia czegoś w jakimś normalnym, zrozumiałym języku, ale zanim słowa wyleją się ze mnie, gęste jak melasa, staruszek znika, obracam się, żeby go szukać i stoję przed Maćkiem Chełmickim.

Maciek nosi ciemne okulary w grubej oprawce i patrzy prosto przeze mnie, z roztargnieniem, jakby mnie nie do końca postrzegał.

Mówi coś za cicho albo niewyraźnie, bo nie rozumiem.

– Nie wypijesz ze mną...? – powtarza. Ujmuje w dwa palce szklaneczkę, wyciąga ją krótkim, szybkim gestem w moją stronę, jakby gestem próbował przekazać to, czego nie rozumiem powiedzianego słowami.

Szukam jakiejś odpowiedzi, ale on patrzy za wysoko, gdzieś na czubek mojej głowy. Odwracam się i widzę Krystynę za ladą i już wiem, że mnie nie ma i nie ma szansy, żeby Maciek mnie dostrzegł.

Zajmują się sobą i świat kurczy się do rozmiarów dwóch osób.

Postanawiam być nikim. Umiem to bardzo dobrze. Zostaję duchem, za którego będą zaraz pić toast.

Maciek zapala kieliszek spirytusu i z powagą skłania głowę. Teraz rozumiem, że zapala go dla siebie, że jest już po drugiej stronie, ale nie mogę nic powiedzieć, słowa zatrzymują mi się w gardle i umierają, szukając wyjścia.

Miniaturowa pochodnia kieliszka oświeśla twarz: japońską, irlandzką i polską. Irlandczyk krzyczy: „Na zdrrrrowie!”.

Śmieją się, klepią po plecach, a japońska mama barowa z kwaśną miną napełnia znowu kieliszki.

To nie jest mój sen.

Ta świadomość powinna jak zwykle doprowadzić mnie do wybudzenia, ale nie tym razem. Nie do końca wiem, co się dzieje i co mam teraz zrobić; wiem tylko, że nie mogę się obudzić, a może po prostu nie śpię albo moje życie jest jakimś dziwnym, niekończącym się snem?

夢を求めて狂っても
オレは夢を捨てられない
自分自身を止められない
自分自身が解らない
どの嘘が真実で
どの真実が嘘なのか...

Tak, to nie jest mój sen.

Gdzie jestem?

Kim jestem?

[6] (jap.) „To miał być dobry dzień”. Reszta pamiętnika Hattoriego została przełożona na język polski dla wygody czytelnika (przyp. tłum.).

Rozdział 10

Nasza klasa

Wtorek, 10 maja 2005

AutoBUS, czerwony, ulicami mego miasta MKNIE – gra mi w głowie. I zupełnie nie chce się wyłączyć.

Jazda autobusem jest najlepszym pomysłem od dnia powrotu. Może nie powinienem był zaczynać od kupna samochodu. W autobusie mogę spokojnie obserwować ludzi i miasto, zamiast wlepić wzrok w światła jadącego przede mną samochodu, który w każdej chwili może gwałtownie zahamować, bo do spokojnych kierowców rodacy nie należą.

Prawdziwa motywacja była jednak inna: mam serdecznie dość nieustannych napraw mazdy. Włącznie z czekaniem na sprowadzenie części z zagranicy. Nie będę parkował pod biurem i zastanawiał się przez osiem godzin, czy kradnąc trzecie radio, stłukli mi szybę, czy tylko wbili wkładkę zamka. Skrytym radiożercom mówimy NIE.

AutoBUS, czerwony...

O, dziewczyna na siedzeniu obok czyta książkę i właśnie parsknęła śmiechem. Robią jej się dołeczki, kiedy się śmieje. Patrzę dyskretnie na książkę. Coś z Tōkyō w tytule. Pewnie stek bzdur z samurajami, gejszami oraz superszybkimi pociągami w roli głównej. I z obowiązkowymi hotelami kapsułkowymi, oczywiście. Nie żeby ich w Japonii nie było, ale są równie wszechobecnym elementem japońskiego krajobrazu co zakuci w zbroje rycerze u nas. W końcu można ich spotkać – na przykład raz do roku pod Grunwaldem. Hattori ma tam jechać w lipcu robić zdjęcia.

Co autorom przeszkadza pisać o japońskich zjawiskach codziennych, normalnych i przeciętnych? Przecież one też są ciekawe. A jak nie są, zawsze można dodać kilka wampirów.

Dyskretnie zaglądam dziewczynie do książki. Pełno dialogów. Coś o jakimś Irlandczyku i Polaku. I dobrze. Założę się, że w Japonii jest więcej Irlandczyków niż gejsz. A na pewno więcej Polaków niż samurajów.

Dziewczyna, w wieku chyba studenckim, wyczuwa, że ktoś jej czyta przez ramię, i podnosi głowę. Uśmiecham się.

– Ciekawe? – pytam.

– Bardzo! Powinien pan przeczytać. – Pokazuje mi okładkę. – Dowie się pan czegoś o Japonii!

Otwieram już usta, żeby wyrazić nieodpartą ochotę dowiedzenia się czegoś o Japonii, ale dziewczyna wstaje, przeprasza i wyskakuje na swoim przystanku. Patrzę przez okno, jak wciska książkę do torby i wbiega po schodkach wielkiego, ciężkiego budynku na Woli. Włosy podskakują jej na plecach z każdym krokiem. Jest w tym jakaś wiosenna lekkość, której nawet bym nie poczuł, gdybym był teraz w samochodzie.

Autobus rusza z przystanku. Nawet nie zdążyliśmy przejść na ty. Nie mogę się przyzwyczaić, że osoby w moim wieku mówią do mnie „pan”.

Osiemnaście lat temu nazywałem się „ty”, a nie „pan”.

Może lepiej przyglądać się ludziom anonimowo i nie wszczynać żadnych konwersacji. Taka chyba teraz moda, bo za moich czasów ktoś by coś powiedział temu młodemu człowiekowi na siedzeniu przy drzwiach, koło którego stoi starsza pani. Pół autobusu by się zjednoczyło w akcji narobienia mu wstydu, aż ustąpiłby miejsca. A teraz – cisza. Wszyscy zdają się nie zauważać.

Czyli: udało się! Zbudowaliśmy drugą Japonię.

Pytanie, czy powinienem być rozbijającą staroświecki i nagadać młodemu, czy sam ustąpić starszej pani, czy też zgodnie z nową modą nie reagować.

Dylemat rozwiązuje się sam, bo starsza pani wysiada, a z nią i ja, bo to mój przystanek.

Idę do biura, z dużo mniejszą lekkością kroku i entuzjazmem niż dziewczyna z autobusu.

Dziś ważny dzień. Prezes ma wyrazić opinię o naszym projekcie nowego portalu. Będzie wóz albo przewóz.

*

– Co tak wszystkie nosy na kwintę, rybionki? – woła Tonia od drzwi. – Chyba nie było aż tak źle?

– Było GORZEJ – mruczy basem Puchacz, nastroszony za stołem papierów, z których zbudował na biurku mur, odgradzając się od wredności świata.

Młody przestaje dziabnąć w klawisze Ctrl, Alt i Del, podnosi głowę i wyjaśnia:

– Robusan dostał opieprz, bo ukrył gdzieś na ekranie przycisk do logowania. Aha, i jeszcze nie dał napisu na środku. A prezes chciał na środku. – Komputer mi znowu wisi – dodaje tak ponuro i oskarżycielsko, jakby to on wisiał, a ja go powiesiłem.

Atmosfera gęstnieje. Wszyscy na mnie patrzą, oczekując Bardzo Dobrej Przyczyny, dlatego doprowadziłem do odrzucenia projektu, nad którym zespół pracował od trzech miesięcy.

– To nie do końca tak, Toni – tłumaczę. – Przede wszystkim pan Prezes wyraził zadowolenie z ogólnej koncepcji portalu. Miał tylko kilka zastrzeżeń. I faktycznie, zrobił się na ich punkcie odrobinę emocjonalny i użył kilku niecenzuralnych słów. Ale chodziło tylko o to, że nie mógł w pierwszej chwili znaleźć niektórych elementów strony, na przykład przycisku „Zaloguj”.

– To trzeba przycisk przenieść tam, gdzie go prezesisko dostrzeże! – wzrusza ramionami Tonia. – Wielki mi problem.

– Ale Toni – oponuję, masując ukradkiem brzuch pod stołem – ten portal ma być dla klientów, a nie dla pana Prezesa... Pan Prezes nie jest reprezentatywną próbką klientów. Naszym celem powinno być zauważenie tego przycisku przez znakomitą większość użytkowników, a nie akurat pana Prezesa. Nigdy nie zrobimy tak, żeby sto procent osób od razu znajdowało dany element strony, bo każdy ma inne postrzeganie świata, przyzwyczajenia wzrokowe, oczekiwania i doświadczenia, które też wpływają na to, co widzimy i dostrzegamy. No, chyba że będzie to jedyny element na stronie, tylko że w specyfikacji mamy jak wół... – przerywam, bo po pokoju wieje mrozem. Trzy pary oczu mówią:

– Dziękujemy za oczekiwanie, pana UFO jest gotowe do odlotu.

Przepraszam wszystkich i wychodzę pod pozorem szukania nowego ołówka, bo stary się złamał.

Misja znalezienia ołówka zapędza mnie po kolei do magazynku, pokoju z kopiarkami, kafeterii (gdzie łykam ostatnie dwa seirogany), recepcji i kanciapy sprzątaczkii, w końcu do sekretariatu dyrektora administracji. Sekretarka, efektowna blondynka z rzęsami długości ekstremalnej, ma do mnie stosunek ambiwalentny: w dni parzyste mnie lubi, a w nieparzyste ją irytuję. Dziś dziesiąty, więc mam pewne szanse.

– Przepraszam – mówię – czy wiesz może, gdzie mógłbym znaleźć ołówkę? Złamał mi się rano – wyjaśniam, demonstrując *corpus delicti* w ramach uwiarygodnienia mojej historii.

– Słyszałam, że prezes cię przeciągnął przez magiel? – mówi sekretarka ze współczuciem, pod którym czai się nieopisana satysfakcja. – Tam, trzecia szuflada od góry. – Wskazuje na szafkę, nie czekając na odpowiedź.

Idę i otwieram posłusznie.

– Ale tu nie ma ołówków, tylko jakieś formularze... Dobrze usłyszałem, że w trzeciej szufladzie od góry...?

– No, toż mówię. – Sekretarka zaczyna się irytować, mimo dnia parzystego. – Tam masz formularze zapotrzebowań na materiały biurowe. Rekuizisjon formsy – dodaje w języku obcym, bo jak ktoś głupi i po polsku nie rozumie, to może po angielsku załapie.

Siadam i zaczynam wypełniać formularz. Zatrzymuję się na polu „Wyjaśnij potrzebę biznesową” i pytam:

– A ile będzie trwało zamówienie tego ołówka? Bo ja muszę naszkicować dziś kilka poprawek do portalu, robię to na papierze, bo tak szybciej...

– Skąd ja mam wiedzieć? Przyszły tydzień. Poniedziałek. Albo wtorek. Albo środa.

– A nie dałoby się pożyczyć skądś...?

Sekretarka wzdycha i wyciąga ogryzek z szuflady swojego biurka.

– Tylko zwróć. Wszyscy ode mnie pożyczają i nie oddają. Ołówki leżały kiedyś w kuchni, razem z długopisami, zszywaczami i innymi zasobami biurowymi. I co? Kradli. Do domu sobie brali! Odkąd mój dyrektor wziął te sprawy na siebie, problem się skończył – wyjaśnia z satysfakcją.

– Tak, rozumiem. Faktycznie, problemów już nie ma – mówię, dochodząc w formularzu do pola: „Zgoda Przełożonego”.

Chowam do kieszeni pożyczony ogryzek i maszeruję do szefowej poprosić o zgodę na zamówienie ołówka. Nie ma jej w pokoju. Wracam do naszego. Próbuję naszkicować mapę portalu z poprawkami. Rozprasza mnie Tonia, bo kłóci się głośno przez telefon z budowlancami. Niedawno kupiła dom na przedmieściach i teraz zarządza dwoma projektami – firmowym oraz wykańczaniem swojego domu. Co wykańcza przy okazji mnie.

Zastanawiam się, czy nie uciec do kafeterii, gdzie w godzinach południowych powinno być już pusto i cicho. Może później, bo przychodzi szefowa. Zaprasza mnie do siebie, jak zwykle nieśmiała i zakłopotana swoją rolą w pracy i we wszechświecie.

– Robert... Pracujesz już u nas od... czterech tygodni, tak?

– Tak. Prawie czterech.

– Tak. To dopiero początek, ale... cały zespół jest pod dużym wrażeniem twojej wiedzy i umiejętności, Robert. Chociaż jesteś dopiero na okresie próbnym, który kończy się... kiedy? Zaraz... – sprawdza papiery w teczce.

Dziękuję szefowej, starając się nie kłaniać, i myślę: oho, było głaskanie, teraz zaczną się razy, zgodnie z korporacyjnymi zasadami udzielania informacji zwrotnej, bo już wiem, że tak się po polsku nazywa *feedback*.

– No właśnie. Chciałabym... zrozumieć, tak? Skąd powstał ten problem z tekstem na środku strony, tak...?

– A, to proste – wkraczam na pewniejszy grunt. – Oko ludzkie ma taką dziwną właściwość, że element umieszczony idealnie, matematycznie na środku – czy to zwykłej kartki papieru, czy strony internetowej – nie wygląda centralnie. Wydaje się odrobinę za nisko. Natomiast element umieszczony ciut wyżej jest postrzegany jako coś... na właściwym w miejscu w przestrzeni. Nie wiem, czy to dobrze tłumaczę...

– Tak, oczywiście! Tak. – Szefowa przemieszcza papiery na swoim biurku. Odchrząkuje. – Ale prezes chciał, żeby było na środku, tak...?

– Ale portal nie jest dla prezesa, tylko dla użytkowników, którzy w przeciwieństwie do niego nie mierzą pozycji elementów linijką. Wizualnie ten element jest centralny, zbalansowany i psychicznie odbierany jako najważniejszy, kluczowy dla tej strony. Naprawdę. Przetestowałem na szesnastu pracownikach pionu obsługi klienta.

– A, tak. Tak. Na pracownikach. No, ale prezes...

Przerywa i znowu przekłada papiery na biurku. Wzdycha. Nagle podnosi głowę.

– No dobrze, to będziesz robił poprawki do projektu?

– Już zacząłem i właśnie chciałem poprosić o podpis na formularzu zamówienia materiałów biurowych.

– Tak? Świetnie! Już, już. – Tym razem szefowa wkracza na pewniejszy grunt, podpisuje świstek, wręcza mi i wyprasza z biura, bo zaraz zaczyna telekonferencję z Francuzami.

Wracam do pokoju, który jest na szczęście pusty.

Siadam przy swoim biurku. Nie mam sił, żeby teraz poprawiać projekt. Obracam się na siedzeniu i rozchylam liście dżungli porastającej stół Toni.

Rybek nie widać.

Powoli zbliżam oczy do szklanej kuli.

Na drobnym piasku pokrywającym dno akwarium leży mały biały szkielecik.

*

Dziesiąta rano, a ja w szlafroku i dopiero po pierwszej kawie. Jak to bezrobotny.

Siadam do komputera, bo postanowiłem twórczo wykorzystać okres przejściowy między pracami. Będę szukał znajomych z młodości. Pomysł Hattoriego zresztą. Od dobrego miesiąca namawiał mnie na grzebnienie w internecie i poszukiwanie starych znajomości szkolnych. Teraz wreszcie mam na to czas. I nie zmarnuję go. O, nie.

Pierwszych chłopaków, tych z rzadkimi nazwiskami, znajduję już po piętnastu minutach. Z dziewczynami idzie gorzej, bo pozmieniały nazwiska. Ktoś powinien wymyślić funkcjonalność wyszukiwania po panińskim. No nic, kiedy namierzę panów, któryś z nich będzie wiedział, jak się teraz nazywają panie. Zaczynam wysyłać zaproszenia i wiadomości. Proponuję spotkanie klasowe z okazji dwudziestej rocznicy matury. Technicznie rzecz biorąc – dwudziestej pierwszej, ale wątpię, żeby rok temu odbył się jakiś zlot. Wygląda na to, że to ja będę katalizatorem, animatorem i agentem zmiany, który zbierze do kupy starą bandę. Hurra.

Przerywam pracę – wraca Hattori z kolejnej wyprawy w teren. Pewnie do Łodzi. Będę go kiedyś musiał przycisnąć o tę Łódź i co on tak naprawdę tam robi.

Idę do przedpokoju.

– Hattori-san!

– Robert-san. Witam z powrotem. Dlaczego nie w pracy? Na urlopie?

– Aaa, bo ty nie wiesz. Złożyłem wypowiedzenie.

– Wymówkę?

– Nie, wypowiedzenie. W pracy. Chodź do kuchni, to zdam ci raport sytuacyjny.

– Dobrze, ale ja muszę najpierw na dachu, a potem przyjdę do kuchni, OK?

– Musisz na dachu. Rozumiem. I będziesz tam...?

– Robić zdjęcia. Obiecałem koledze z Ōsaka. On zbiera foto panoram dachów miast.

– Nie ma sprawy, wdrapiemy się tam razem jak dwa dachówkowce pospolite!

Hattori patrzy na mnie z niepokojem i szuka słów, żeby zaprotestować. Chyba ich nie znajduje, bo zgadza się. Zabieramy lustrzanekę, dwa statywy oraz kolekcję obiektów, włącznie z półmetrowym monstrem do podglądania sąsiadek.

Mocno obciążeni idziemy na strych.

Kłódka pamięta czasy Piastów, ale zamek jest naoliwiony.

Strych pachnie starym, rozgrzanym kurzem, niewidzialnymi gryzoniami i duchami ubranymi w prześcieradła. Podstawiamy starożytną dębową drabinę

malarską, ozdobioną zaschłymi plamami tynku w kolorze czekoladowym. Podciągam się i siadam ostrożnie na brzegu. Wysokości nie są czymś, co ten tygrys lubi najbardziej.

Na szczęście dach nie jest zbyt stromy i udaje nam się znaleźć bezpieczne miejsce za kominem.

Ogarnia mnie ciepła poducha rozedrganego powietrza, pachnącego słońcem i smołą.

Rozglądam się.

Nie jestem fanem Warszawy widzianej z wysoka. Są miasta, których widok z wież i wieżowców zapiera dech w piersiach. Należy do nich Tōkyō. Z Tokyo Tower albo Sunshine 360 w Ikebukuro można napawać się fantastyczną mozaiką malutkich kolorowych dachów: czarnych, szarych, czerwonych i błękitnych, z akcentami wznoszących się nad krajobraz wieżowców oraz nieregularnymi plamami zieleni ogrodów świątynnych i parków.

Warszawa z wysokości jest równie chaotyczna, niedomyta, roztargniona i nieporządna co z poziomu ulicy.

Co innego, kiedy zbliża się zachód słońca. Wszystko nabiera czwartego wymiaru, technikolorowej bajkowości i uwodzicielskiej magii pocztówek z tropików.

Hattori coś mówi o mocowaniu trójnogu, ale nie słucham, bo siedzę i podziwiam.

W końcu odwracam się do niego ostrożnie i widzę, że też nie jest fanem dachów. Usiłuje rozstawić statyw jedną ręką, drugą obejmując dla bezpieczeństwa komin. Pomagam mu, też jedną ręką. Statyw się zaciął. Po kilku minut zmagania z technologią, zaprojektowaną ponoć dla człowieka, obiektów zostaje wycelowany w dachy Mokotowa, a Hattori bierze się do uwieczniania Warszawy.

Ja kontynuuję raport sytuacyjny:

– Pytałeś o moją pracę. No więc zaczęło się od tego, że dostałem niezbyt pozytywną ocenę za pierwszy miesiąc. Bardzo niezbyt. Szefowa nie powiedziała mi tego wprost, bo jest na to zbyt nieśmiała, tylko przekazała Informację Zwrotną odpowiednim Formularzem Oceny Pracownika.

Hattori odrywa wzrok od wizjera, opiera statyw o komin i obraca się do mnie ostrożnie. Widzę, że jest poważnie zmartwiony i zakłopotany. Problemy z pracą są w Japonii czymś raczej wstydliwym, a nie tematem do swojskiego bratania się w narzekaniu przy piwie.

Śpieszę go uspokoić:

– Nawet nie wiesz, jak mnie to ucieszyło!

Gdyby mój lokator wytrzeszczył oczy jeszcze ciut bardziej, zostałaby Europejczykiem.

– Nie, naprawdę! – zapewniam. – Widzisz, ja chyba zacząłem rozumieć, że to nie jest praca dla mnie. Ciągły stres. Agresja. Nikt nie rozumie, co tak naprawdę robię. Wieczne konflikty. Opieprzanie. Dostaję od tego bólu brzucha, a seirogan się skończył.

Hattori obejmuje mocniej komin. Obiektyw, długi jak lufa, celuje w anonimowe dachy miasta.

– Stres jest normalny w pracy... – sugeruje niepewnie.

– Trochę stresu, jasne, to nawet zdrowe. Motywujące. Ale bez przesady. Praca to nie wojna, a biuro nie pole bitwy. Naprawdę miałem dość. Na ostatniej prezentacji portalu jeden z dyrektorów opieprzał moją koleżankę z zespołu przez bite dwadzieścia minut. Zjechał ją na czym świat stoi, aż się zrobiła taka malutka, o taka. – Pokazuję na palcach. – Po czym wiesz, co powiedział na koniec? Żeby pamiętała, że on krytykuje problem, a nie osobę... Dlatego kiepskawa ocena po pierwszym miesiącu – kontynuuję, wciskając się dla bezpieczeństwa między dwa wywietrzniki – spadła po prostu z nieba.

Hattori na słowo „spadła” okazuje oznaki alarmu i zmienia pozycję, żeby być nad kominem, a nie z boku. Pomagam mu przestawić statyw. Mocujemy go na samym szczycie dachu – dwie nogi po naszej stronie, jedna po przeciwnej. Hattori wcelowuje obiektyw w odległą kamienicę przy skwerku, chowa się za wizjerem i strzela:

– Robert-san będzie teraz pracował w Antykowni?

Rozglądam się po okolicy, szukając pomysłu na odpowiedź. A może na życie. Powinienem był przewidzieć, że mój lokator o to zapyta. Problem w tym, że ja tego jeszcze nie przemyślałem i nie wiem, czy spadzisty dach jest dobrym miejscem na planowanie przyszłości.

Postanawiam podziwiać przez chwilę pejzaż.

– Popatrz – pokazuję palcem – widzisz te okna z zielonymi firankami? Tam mieszkała moja koleżanka ze szkoły. Zawsze lubiła wszystko, co zielone, więc kto wie, może nadal tu mieszka?

Hattori przemieszcza obiektyw i robi zdjęcie.

– Hej, jeszcze nas ktoś zauważy! – protestuję.

Mój lokator chichocze. Zdejmuje aparat ze statywu, przygląda się wyświetlaczowi i mówi:

– Tam są dwoje starsi państwo.

– Pokaż... no faktycznie. Nie... nie, to chyba nie są jej rodzice, aż tak się nie mogli postarzeć. Wow, niesamowity masz ten obiektyw! Ale nie rób już takich zbliżeń, ktoś nas zauważy i będzie kłopot. Albo nie, czekaj, jeszcze tylko jedno zdjęcie. Widzisz to okno po przeciwnej stronie skweru? Tam mieszkał Wojtek. Znałem go, bo obaj się interesowaliśmy elektroniką i sprzętem grającym. Zrobisz zbliżenie?

Hattori upewnia się, o który budynek chodzi, po czym z wprawą snajpera namierza wskazane okno.

– Jeszcze ktoś znajomy Roberta tu mieszka? – pyta po kilku naciśnięciach migawki. Znowu pokazuje mi wyświetlacz, powiększa zdjęcie. Na parapetach stoją paprotki czy inne drzewka szczęścia. Wojtek miał awersję do wszystkiego, co zielone i w czym nie płynie prąd.

Patrzę po okolicznych domach.

– Tak, kilku kolegów z podstawówki, ale takich, z którymi nie miałem bliższych kontaktów, więc nie jestem pewien, gdzie dokładnie. Trochę czasu minęło... Ale wiesz, znalazłem prawie połowę klasy licealnej w internecie! Nawet próbuję zorganizować spotkanie na najbliższy weekend. Jak zejdziemy z dachu, powinni być już jakieś odpowiedzi. A zejść warto – dodaję – bo słońce zaszło. Zaraz zrobi się ciemno.

Okazuje się, że Hattori potrzebuje ujęcia w świetle wczesnowieczornym, kiedy zapalają się pierwsze lampy uliczne. Znajdujemy bezpieczną deskę, zaklinowaną między dwoma kominami, i siadamy na niej, machając nogami. Przypominają mi się pierwsze dni na Grójeckiej i nasz elegancki mebel z dwóch drabin malarskich oraz skarbów literatury narodowej, znalezionych na pawlaczu.

Pokazuję Hattoriemu kilka znajomych miejsc z drogi do szkoły.

– Robert-san też wspinał się z kolegami na dachy podziwiać widok? – pyta.

– Dachy? Nie, raczej nie. Po dachach nie łąziliśmy. Strychy były zresztą zawsze pozamykane na solidne kłódki, żeby nikt nie kradł ubrań schnących tam na sznurach. Nas wtedy w ogóle chyba bardziej interesowały podziemia. Przejścia między piwnicami, pralnio-suszarnie, gdzie można było robić dyskotekę, i schrony, czasem otwarte, bo z przedziewiałą kłódką. W schronach znajdowało się różne ciekawe artefakty w rodzaju masek gazowych. Tak, moje pokolenie bawiło się w podziemiu – konkluduję.

Hattori strzela jeszcze kilka pejzaży szerokim kątem. Zachęcam go do końca sesji, bo zaczynam tęsknić za twardą i płaską ziemią kilka pięter niżej. I nie mogę się doczekać, czy są jakieś odpowiedzi od ludzi, których nie widziałem od dwudziestu lat.

*

Są! Odzew od... szesnastu osób! Biorę się do czytania. O, Wojtek mieszka w Pforzheim, na południu Niemiec, i nawet by przyjechał, ale właśnie urodziło mu się dziecko.

Andrzej natomiast osiadł już na stałe w Kanadzie.

Czytam dalej. Może Aga? Przynajmniej nie zmieniła nazwiska. No proszę, Japonia! Niestety, już po moich latach tokijskich – inaczej na pewno byśmy się spotkali.

Dalej...

Co za niespodzianka!!! Fajnie ze się odezwales! Ja od dziewięciu lat mieszkam w mieście Levin New Zealand. Wiec nie moge przyjsc na spotkanie ale bede duchem z wami!

Czwarty odzew z końca świata i czwarty bez polskich znaków, o przecinkach nie wspominając. Aż tak się wyobcowali, że nie mogą sobie ustawić polskiej klawiatury?

Wygląda na to, że połowa mojej klasy wyjechała z kraju, kiedy już było można albo jeszcze wcześniej – kiedy się dało, jak się postarało.

Tak jak ja.

Zaraz – Ula odpisała i mieszka w Warszawie. Nazwisko ma teraz długie i skomplikowane, ale jest i przyjdzie w piątek. Janek Winnicki też zgłasza obecność. Po spisaniu wszystkich zgłoszeń wychodzi mi, że z dwudziestosiedmioosobowej klasy licealnej przyjdzie dziesięć, góra dwanaście osób. Czyli nie jest źle. Zabieram się do ustalania szczegółów.

Z podstawówki jest jeden odzew. Za mało na spotkanie klasowe. Znajomości się pourywały, nie pamiętam nawet części nazwisk. Kontakty utrzymywałem tylko z Adasiem, no, ale my poszliśmy do tego samego liceum.

Adaś zmarł w Stanach, ile to już...? Dziesięć miesięcy. Niecały rok temu.

*

– Alicja?

– No?

– Wychodzę na wieczór i potrzebuję się ubrać w stylu lat osiemdziesiątych. Pomożesz?

– Nareszcie masz jakąś sensowną potrzebę życiową – odpowiada Alicja, zamiast zapytać, dlaczego, na co liczyłem. Cóż, różne rzeczy można powiedzieć o Alicji, tylko nie to, że jest przewidywalna. A może nie o Alicji, tylko o wszystkich kobietach świata. A może nie o kobietach, tylko ludziach.

– Przepraszam? – pytam, bo coś powiedziała, ale zasłuchałem się we własny tok myślowy.

– Mówię, co byś usłyszał, gdybyś mnie słuchał, że w mojej sypialni ci nie pomogę. Muszę zobaczyć, co masz w szafie. A czego nie masz i trzeba będzie skombinować.

Idziemy do mnie.

Zaczyna się przymierzanie (ja) i wybrzydzenie (Alicja).

Stoję w samych szortach przed ciemnym ze starości lustrem wielkiej orzechowej szafy i patrzę na odbicie Alicji, kręcącej głową nad kolejną koszulą z niewłaściwym kołnierzykiem.

Nagle ożywia się i zdejmuje z wieszaka zwykłą białą biznesową koszulę. Tyle że starą, japońską, z moich lat salarymańskich w Tōkyō.

– Ale ona ma za krótkie rękawy! – protestuję. – Na moje łapska w Japonii nie szło kupić...

– To nie ma znaczenia, bo i tak je podwiniesz. Wkładaj.

Pomaga mi i krytycznie zapina guziki, stojąc przede mną. Czuję jej zapach. Mam jakąś dziwną wizję, fantazję albo sen na jawie, w którym to ja jej zapinam guziki koszuli. Powoli. Poza koszulą Alicja nic na sobie nie ma. Dochodzę właśnie do pępka, kiedy czar pryska, bo Alicja woła:

– Nie, nie, NIE! Nigdy nie wkładaj koszuli do spodni! Wyjmij to natychmiast.

– No coś ty... Przecież to jest koszula do garnituru. Na zewnątrz? Rozumiem jeszcze kolorową koszulę, powiedzmy, hawajską – naprawdę nie rozważysz tamtej z Tajlandii, w słońce? Tak, tak, przepraszam, już się o niej wypowiadałaś. Czy ten krawat, nie dość, że za cienki, naprawdę musi mieć jeszcze taki szczupły węzeł? I być za luźny o całe pięć centymetrów? No popatrz. Wyglądam jak ostatni obwieś.

– Wyglądasz nie najgorzej – stwierdza Alicja i całuje mnie błyskawicznie, po

czym, jak zwykle, znika, zanim zdążę wyciągnąć z tego pocałunku właściwe konsekwencje.

Zza drzwi dobiega resztką jej głosu:

– Wracaj szybko...

*

Rozglądam się po wnętrzu ogromnego namiotu na Polach Mokotowskich i próbuję zidentyfikować naszą klasę.

Wszystkie miejsca zajęte, średnia wieku mój minus dziesięć, a średnia liczba kufla na stół – dwanaście i pół. Tak na oko.

Przeciskam się między rozgadanyimi grupami i dochodzę do wniosku, że to nie ja się spóźniłem, tylko oni, i to o prawie godzinę. Albo wszyscy olali spotkanie.

Trudno. Kieruję się do wyjścia. Odbieram z szatni kurtkę, kiedy ktoś mnie zatrzymuje.

– Robert? Robert Brakat? Nic się nie zmieniłeś, człowieku!

Patrzę na korpulentnego pana w średnim wieku, z postępującą łysinką, i usiłuję uwierzyć, że to Marek.

– Znalazłeś naszych? – pyta, szczerząc zęby.

Poznaję go dopiero po pokaźnej szczelinie między jedynkami, która dała mu w pierwszej klasie przydomek Szczęzuja.

Otwieram usta, żeby powiedzieć, że nie, że chyba jesteśmy pierwsi, kiedy Marek zaczyna machać ręką i wykrzykiwać radośnie w stronę jednego ze stołów. Idzie pierwszy. Ja wolniej.

Patrzę, jak wita się z towarzystwem. Czuję narastającą panikę i zaczynam mamrotać o konieczności odwiedzenia toalety, kiedy coś chwyta mnie za ramię i ciągnie w dół, na ławę. Ktoś z impetem stawia przede mną ociekający pianą kufel. Nurkuję w tę pianę dla dodania sobie czasu i pijąc, próbuję błyskawicznie zidentyfikować, kto jest kim.

Zanim się wyda, że nie poznaję większości twarzy.

Twarzy, łysin, siwizn, zmarszczek, obwisłych policzków, nadmiernych makijaży, brzuchów oraz podwójnych podbródków.

Na szczęście nikt nie zwraca specjalnej uwagi na mnie zanurzonego w kuflu. Trwa radosne witanie Marka, który był bardzo popularny w klasie, jako wyższy, głośniejszy, lepiej zbudowany i przystojniejszy od takiego na przykład Roberta B.

Słucham głosów, patrzę na mimikę, zachowanie, sposób mówienia. Zaczynam rozpoznawać, a przynajmniej się domyślać. Marta Rosińska. Pół klasy się w niej kochało. W sumie nadal ma ten urok, tylko wygląda... inaczej. Już się tak lekko i łatwo nie uśmiecha. Wiola Mielech. Jej bym nie poznał, gdyby Jarek do niej nie zawołał po imieniu. Widzę, że walczy o utrzymanie licealnej figury. I przegrywa. A właśnie, Jarek. Prawie łysy. A Konrad siwy. Fakt, zaczął siwieć już na pierwszym roku studiów, ale żeby aż tak?

W ogóle wszyscy panowie są siwi, łysi albo siwi i łysiejący. Łapię w powierzchni dzbanka własne odbicie i czuję się nie na miejscu, bo włosy mam chyba jak dawniej.

Piwo się skończyło, więc muszę wyjść z kufła.

– Robert! Twoja kolej. Opowiadaj!

– No, jak wiecie, byłem za granicą. Trzyście lat w Japonii, potem pięć w Singapurze. Wróciłem trzy miesiące temu. Trzy miesiące z kawałkiem...

– Robert w Japonii! Nie może być. Przecież ty zdawałeś na polibudę, a nie na japonistykę? Tak myślałem, zawsze byłeś dziwak, ha, ha, ha! Ale nas po świecie rozniosło... Hej, wiecie, że Andrzej mieszka w Kanadzie? Na stałe już chyba. Czekać, Ula, a nie wiesz, co się stało z Adamem? Chyba wyjechał do Stanów czy gdzieś?

Chowam się w drugim kufle i jakoś zupełnie nie czuję potrzeby uświadomienia im, co się stało z Adasiem. Przechodzę w tryb bierno-obszaryjny. Zawsze mi to dobrze szło. Marek nadal porykuje i trzęsie brzuchem, kiedy się śmieje, ale teraz ma czym trząść. I jego żarty są jakieś mniej śmieszne niż kiedyś. Ula rozmawia tylko z Kaśką, chociaż w szkolnych czasach raczej się zwalczały. Marta się zrobiła małowówna i w ogóle się mało śmieje. Konrad opowiada właśnie jakąś historię z lat pomaturalnych, coś o spotkaniu nauczycielki od rosyjskiego na wakacjach. Nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi i jaki jest sens tej opowieści. Czekam na pointę. Ta nie nadchodzi, zamiast tego Konrad zatrzymuje się w pół zdania i uśmiecha w oczekiwaniu aplauzu. Wszyscy się posłusznie cieszą. Nawet ja.

Konrad jako jedyny ubrał się zgodnie z moją koncepcją: à la lata osiemdziesiąte. Kolorowa koszula z szerokim kołnierzykiem i wąski krawat, ciemne okulary – lusterka. Efekt psuje skórzana kurtka ze ściągaczami, która przypomina mi pierwszego rodaka, z jakim rozmawiałem po wylądowaniu w kraju – rekina taksówkowego na Okęciu.

Po trzecim piwie przysiadam się do Zużki, bo z nią się zawsze dobrze rozmawiało, miała abstrakcyjne poczucie humoru i błyskawicznie kojarzyła fakty, wszystko chwytła w mig, naprawdę błyskotliwa osoba. Zaczynamy rozmowę, ale niezbyt się

klei. Zużka jest po rozwodzie, mieszka z córką, już nastolatką. Pracuje w wielkiej korporacji i sądząc po kluczykach z gwiazdką Mercedesa, dobrze jej idzie.

Próbuję znaleźć wspólne tematy, przypominam nawet naszą długą dyskusję o czwartej rano na jakiejś balandze u Andrzeja, spieraliśmy się o życie na innych planetach i program SETI.

Zużka nie może sobie przypomnieć tej rozmowy, a temat też już jej chyba nie interesuje.

Zaczyna się pokazywanie zdjęć. Rodzin i dzieci.

Ja oczywiście przyłączyć się nie mogę.

Żegnamy się dwa piwa później, obiecując sobie powtórzenie wypadu do knajpy, może nawet już w czerwcu.

Nie wiem, czy będę miał wtedy czas, żeby przyjść.

*

Kiedy docieram do kamienicy, czuję się trochę lepiej. Spacer zaczął się od Pól Mokotowskich. Nie rosną tu już zapuszczone chaszcze, które trzeba było omijać szerokim łukiem, żeby nie nadepnąć na jakiś kawałek zakochanej pary i słuchać ich przekleństw, kiedy się uciekało. Nadeptując po drodze na dwie kolejne pary, płci różnej, albo i nie.

Teraz to piękny park. Szkoda, że nie wiedziałem, mieszkając niedaleko przez dwa miesiące. Może powinienem kupić sobie rower? Przecież ja tutaj już naprawdę mieszkam na stałe.

Potem Rakowiecka, wzdłuż muru więzienia. Przystanąłem przed tablicą ku pamięci Kazia Moczarskiego. Przyjaciół dziadka jeszcze sprzed wojny. W domu mojego dzieciństwa mówiło się o nim szeptem i upominało mnie zawsze, żebym nie dyskutował o tym z kolegami w szkole. Strasznie mnie to przypominało. Przecież jako odpowiedzialny nastolatek z bogatym doświadczeniem w podziemiu ja takie rzeczy WIEDZIAŁEM. Dlaczego rodzice specjalizują się w traktowaniu swoich dzieci jak niedorozwiniętych ćwierglówków?

Teraz wmurowali mu tablicę. No proszę.

W końcu docieram przed dom. Po półgodzinnym spacerze efekty pięciu kufli piwa w większości wyparowały, ale jeszcze nie całkiem. Postanawiam wkraść się od tyłu. Tak dla odmiany i dla zabawy.

Mam już własne klucze do bramy, bo tam parkuje moja stara mazda. Bezpieczna

i zadowolona z życia.

Z bramy na podwórko. Już dobrze po północy i w oknach ciemno, czyli w sam raz pora na poćwiczenie salt na trzepaku. Krawat przeszkadza, więc go chowam do kieszeni. Trochę mi się kręci w głowie od tych salt. I spociłem się, bo dziś wyjątkowo ciepła noc jak na maj.

Pora wracać.

Z podwórka do windy. Też otwieranej na klucz, ale nie taki jak za dawnych czasów, który pasował do wszystkich wind Warszawy i można go było kupić w żelaźniaku na Puławskiej, żeby sobie nielegalnie pojeździć windą w bloku mieszkań dla dyplomatów przy parku Morskie Oko. Nie, to jest skomplikowany klucz antywłamaniowy, ponieważ ten, kto się dostanie do windy, zyskuje prosty wstęp do wszystkich naszych mieszkań.

Klucz ma problem z trafieniem w dziurkę, bo jest to wyjątkowo wąska dziurka.

Potem trzeba jeszcze przyłożyć elektroniczną kartę do czytnika, żeby dojechać na pożądane piętro. I jestem w domu. A właściwie na domowym balkonie oświetlonym prostokątem światła z windy.

W środku tego prostokąta siedzi Alicja.

I mówi:

– Masaż.

Podchodzę o trzy kroki. Stwierdzam, że to za blisko i za poufale, więc cofam się o krok.

– Wybacz, nie dzisiaj... Nie mogę.

– Bo pachniesz jak browar?

– Nie bo pachnę, tylko bo go mam. W żołądku. A masażysta musi być w nienagannej formie. Inaczej przekazuje swój nie najlepszy stan pacjentowi. Złe wibracje i tak dalej.

– To ja jestem pacjent?

– Nie, pacjentka.

Śmiejemy się.

Siadam na balkonowym fotelu naprzeciwko niej.

– Teraz będziesz mi się zwierzał, jak bardzo się nie udało – stwierdza Alicja, wręczając mi pomarańczę.

– A skąd wiesz... – zaczynam. Obierać pomarańczę.

– Bo jakby się udało, to byście siedzieli do dużo późniejszej godziny, a potem

byłbyś zmęczony i wziął taksówkę.

Dedukcja jest trafna, więc nic już nie mówię i wsysam się w ćwiartkę pomarańczy.

Alicja też nic nie mówi i daje mi się podziwiać. Ma ciekawie umalowane brwi, w czarno-szare prążki, co sprawia, że kojarzy mi się ze zwierzyną z rodziny kotowatych, rząd drapieżne.

– No to jak? – pyta.

– Jak... aha, spotkanie klasowe! No więc...

– Nie mów tak głośno.

– Oj, przepraszam. No więc – ściszam głos – są dwa rodzaje ludzi. Tacy, których spotykamy po latach, i nie wiemy, o czym z nimi rozmawiać. Niby ci sami ludzie i tak samo reagują, tylko każdy temat urywa się po minucie i nie wiesz, co powiedzieć. Nerwowo szukasz tego wspólnego czegoś, tej nici porozumienia, która sprawiała, że gadało się na balangach, przepraszam, to się teraz nazywa „imprezach”, do czwartej rano. Jest też drugi rodzaj ludzi...

– Ale o drugim opowiesz mi gdzie indziej, bo znowu podkreśliłeś głośność – przerywa zdecydowanie Alicja.

– Ojej. Przepraszam. Do mnie? Nie, Hattori śpi, a jutro ma rano pociąg. Pewnie do Łodzi. Ciekawe, co on... to może do ciebie? Albo na dach.

Alicja unosi prążkowaną brew. Zauważam, że ma też umalowane na czarno oczy, bardzo przedłużone, jak przystało na rodzinę kotowatych. I srebrną bluzkę pod czarnym żakietem. Co wygląda dziwnie na... lata osiemdziesiąte. Tylko lustrzanej kuli pod sufitem brakuje. Nie wiem dlaczego, ale czuję się dziwnie zaniepokojony.

Alicja zaniepokojona nie jest bynajmniej. Zaciekawiona raczej.

– Dach?

– Tak mi się pomyślało... że stamtąd odgłosy naszej rozmowy nie będą słyszane nawet na piętrze Gutnera. Świeżo byliśmy na dachu z Hattorim, bo on robił zdjęcia i... – przerywam, bo Alicja swoim zwyczajem już znikła. Po chwili wychyla się z okna swojego mieszkania i pyta:

– Idziesz czy nie?

Idziemy.

Na strychu próbuję być gentlemanem i pomóc Alicji wejść po drabinie, za co dostaję syk złej kocicy i pacnięcie łapą, na szczęście ze schowanymi pazurami.

Dalej podziwiam już tylko dżinsy o kroju retro, a potem czarny kwadrat nieba z wyjątkowo jak na Warszawę ostrymi gwiazdami. W który nurkuję i starając się nie

patrzeć w dół, docieram do mojej deski wciśniętej w bezpieczne miejsce za kominami. Rozglądam się, szukając Alicji.

Jest – na najwyższym ceglanym kominie. Stoi, niczego się nie trzymając, i z zadartą głową patrzy na gwiazdy.

Tak, są dwa typy ludzi – ci, którzy na dachu wchodzi jeszcze na komin, żeby było wyżej, i ci, którzy się kulą na desce w kącie za kominem. Ale też patrzą na gwiazdy.

Alicja schodzi. Siada naprzeciwko mnie. Nie tak, jak ja zawsze siadałem z Hattorim na Grójeckiej. Okrakiem, a że dach jest spadzisty, podnosi jedną stopę i stawia na desce. Splata na kolanie dłonie, na nich opiera brodę. Zamienia się w słuch.

– No więc, co to ja. Aha. Że są dwa typy ludzi. Ten, z którym po latach nie da się gadać, i ten drugi. Czyli teraz o tym drugim. To są ludzie, z którymi skończyliśmy rozmowę w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, po czym dziś ją kontynuujemy, jakby minęło osiemnaście sekund, a nie osiemnaście lat.

Zapada cisza. Czekam, aż Alicja zada jakieś pytanie prowadzące. Czego oczywiście złośliwie nie robi. Zamiast tego zeskakuje z deski, przeciąga się, pręży koci grzbiet, po czym wskakuje na komin i wykonuje stójkę na rękach. Zamiera w bezruchu idealnym. Dopiero po dwóch–trzech wiecznościach posąg na kominie płynnie zgina się w pasie jak scyzoryk, opuszcza nogi i wraca do pozycji stojącej.

Stwierdzam, że trzymam się mocno oburącz mojej deski. Sporym wysiłkiem woli rozluźniam uchwyt.

Alicja wraca susem na deskę i siada okrakiem na drugim końcu, twarzą do mnie. Deska wpada w vibracje, więc na chwilę zaprzyjaźniam się z kominem, przytulając go na dobranoc. Zamykam oczy, żeby uspokoić nerwy, i pytam:

– Rozumiem, że trenowałaś akrobatykę?

– Wu shu – odpowiada Alicja. – Nie przejmuj się. Chciałam tylko zobaczyć, jak będą wyglądały gwiazdy do góry nogami. To jak? Ilu przyszło ludzi typu drugiego? Co to po osiemnastu latach upływa osiemnaście sekund?

– Zero. Stuprocentowa reprezentacja populacji typu pierwszego.

– Gdzie spotkałeś typ drugi? Bo inaczej byś nie wiedział, że są dwa typy – wyjaśnia niepotrzebnie.

– Raz w Japonii, raz w Singapurze. Adaś z podstawówki i Andrzej z liceum.

– Masz z nimi kontakt?

Instynktownie chcę odpowiedzieć, że mam, ale słowa gubią drogę gdzieś na

odcinku mózg–krtań.

Gwiazdy wołają do mnie wysokimi, zimnymi głosami. Chwytam się mocniej komina i przekręcam głowę, próbując też je zobaczyć do góry nogami. Może wtedy powiedzą mi coś dla dodania otuchy.

Nie mówią nic.

Alicja nagle wychyla się w moją stronę, mruży oczy, po czym nie zmieniając pozycji górnej połowy ciała, przesuwa biodra do przodu, aż znajduje się znowu w pionie, teraz w połowie deski, na wyciągnięcie ręki ode mnie. Albo nawet bliżej.

– Co się stało?

– Z Andrzejem? Wyemigrował do Kanady. Mieszka tam już na stałe. Nie mam z nim kontaktu. Leciał kiedyś do Australii przez Singapur i spędziłem z nim pół dnia. Super się rozmawiało – nic się nie zmienił. Albo ja się nie zmieniłem dla niego. Ale to było na żywo. Pisać nie lubi, na portalach się nie udziela. Więc brak kontaktu. Kiedyś zapraszał mnie do siebie, ale ja się za dużo napodróżowałem, wiesz, teraz chciałem po prostu pomieszkać i...

– Nie pytałam o Andrzeja. – Alicja wwierca się we mnie oczami jak kot wpatrujący się w złotą rybkę w akwariium.

– Adaś zmarł w Stanach. Został zastrzelony w czasie włamania. Włamywacze myśleli, że mieszkanie stoi puste.

Mam nadzieję, że Alicja nie zacznie pytać o dalsze szczegóły. Alicja doskonale wie, że ma tego nie robić. Przesuwa się na desce o kolejne kilka centymetrów w moją stronę.

– Niedawno, tak? – pyta.

– Niedawno. Dziewięć... nie, już dziesięć miesięcy.

– I wtedy zdecydowałeś się wrócić do Polski?

– Nie, nie, to zupełny przypadek, chociaż...

Przerywam, bo Alicja unosi obie nogi, robi wolny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni na kości ogonowej i siada do mnie plecami. Po czym, bardzo powoli, odchyła się do tyłu, kładąc głowę na moich kolanach.

Zaczynam się śmiać.

– Mogę, o pani, leć na twym łonie? – pytam.

– Nie, mości książę – odpowiada natychmiast Alicja.

– To jest na twym łonie głowę wsparłszy – sugeruję.

Alicja odpowiada, podnosząc się o kilkadziesiąt centymetrów. Ależ ona ma

wyćwiczone mięśnie brzucha.

Spotykam ją w połowie drogi.

*

– Trochę zimno – sugeruję.

– Przeprowadziłeś się pod krąg polarny i narzekasz. Ratunku. Zresztą na dachu było zimniej.

– No, w sumie tak. Czekać, może jak zrobię tak – o, tak – to będzie cieplej. I...?

– Jeszcze raz poproszę, bo nie jestem pewna.

*

– Mrrrrr.

*

Deszcz leje kubłami. Przerzucam nogi nad poręczą balkonu i zeskakuję płynnie na śliskie kafelki. Zamieram w bezruchu, czekając. Słuchając.

Okna są ciemne. To dobrze. Ostrożnie ściągam mokrą pelerynę, strząsam krople i składam w kostkę. Chowam do plecaka, czarnego, z miękkiego materiału i idealnie skrojonego do moich pleców. Sprzęt to podstawa. Następnie zmieniam buty na czyste, suche i niezostawiające żadnych śladów. Poprawiam marynarkę, wciągam rękawiczki i wkładam kapelusz.

Wyjmuję czarny futerał. Otwieram biegnący wokół krawędzi suwak, krzywiąc się na ostry dźwięk zamka, słyszalny nawet przez szum deszczu. Muszę być ostrożniejszy.

Po chwili namysłu wybieram wytrychy karbonowe. Mniej wygodne od metalowych, ale nie zostawiają zadrapań wewnątrz zamka i nikt potem nie wie, co się właściwie stało i jak on wszedł...

Nie będzie natomiast żadną zagadką, KTO wszedł. Gentleman zawsze zostawia swoją wizytówkę.

Pierwszy wytrych jest za gruby, próbuję innego. OK. I jeszcze drugi, cieńszy. Super.

Jeden napina wkładkę, drugi powoli, systematycznie blokuje zapadki. Grunt to spokój i pewność siebie. Jest. Całość zajęła – sprawdzam na chronometrze –

dwanaście i pół sekundy. Długo. Trzeba będzie poćwiczyć tymi karbonowymi świństwami w domu. Za giętkie i nie dają takiego wyczucia jak stary poczcziwy metal.

Wyciągam czarną latarkę paluszek ze zmodyfikowaną soczewką, żeby rzucała wąski, płaski strumień światła. Omiotam pokój. Pełno antyków. To dobrze. Kasetek z biżuterią nie widać, ale te stare sekretarzyki zawsze miały ukryte kompartymenty. Spokojnie, dobierzemy się do nich. Na razie lustracja ogólna.

Karafka whisky. Płyty jazzowe – big-band. *Rich versus Roach*. Stare amerykańskie standardy lat pięćdziesiątych.

Na ścianach kilka oryginalnych obrazów. Robi się ciekawie. Konie... Kossak. A to... Fałat? Tak. Akwarela, kiedyś przedarta na pół. Może jakiś szabrownik za okupacji. Bestialstwo.

Dalej... Gauguin. Dobrze mi znany pejzaż z okresu polinezyjskiego, z czarną świnką, która ma sześć nóg. To nie może być oryginał, przecież on wisi u nas w Paryżu, w... nie. NIE! A jednak. To JEST oryginalny Paul Gauguin. Jestem w niebie.

Jestem we właściwym miejscu.

I we właściwym czasie.

Chociaż to trzeba jeszcze sprawdzić. Wszystko trzeba sprawdzić i nigdy, przenigdy nie zakładać. Połowa historii więziennych zaczyna się od słów: „Założyłem, że...”.

Salon i kuchnia puste. Mieszkanie śpi. Cały świat śpi.

Tylko ja nigdy nie śpię.

Teraz sypialnia. Ucho do dziurki od klucza, nic, potem otwieranie drzwi z szybkością milimetra na sekundę. Mając odpowiedni trening można wyczuć samymi opuszkami palców, że drzwi mają zamiar zaskrzypieć, i zatrzymać je, zanim zawiasy zaczną piskliwe protesty. Kwestia rozpoznania tego minimalnego oporu. Tutaj wszystko idzie jak po maśle. A raczej jak po dobrym smarze. Aż za łatwo...

Za drzwiami jest noc.

Niebo gwiazdziste nade mną i żadnego pokoju pode mną.

Robię zdecydowany krok w najeżoną gwiazdami otchłań, gwiazdami wyglądającymi dziś tak bardzo INACZEJ, i nawet nie spadam, nie lecę, tylko płynę, płynę w bardzo dziwny sposób, a może nie płynę, tylko istnieję, zastygam, trwam. Kim jestem? Jestem Major Tom.

Ground control to Major Tom

Your circuit's dead, there's something wrong

Can you hear me, Major Tom?

Can you hear me, Major Tom?

Świat nadpęknięty na brzegach rozpada się cicho i powoli, kruszy się na drobne płatki starej politory, traci substancję i znaczenie.

Zostaje tylko zapach perfum.

Coś łaskocze mnie w nos. Włosy.

Kicham.

– *Bless you.*

Rozdział 11

Przekręty

Wtorek, 31 maja 2005

– Robert-san znowu będzie mył samochód?

– Tak, jeśli Hattori-san mu pomoże.

– Jak można pomóc?

– Jak zwykle, skoczyć do piwnicy po szlauch i wodę odkręcić. Oczywiście mogę sam, jeśli jesteś zajęty...

Hattori już biegnie do piwnicy, a po minucie otwiera od środka okienko wychodzące na podwórko i podaje mi gumowy wąż, zakończony uchwytem do różnych pożytecznych końcówek. Zakup ostatniego weekendu i moja pierwsza kontrybucja. (Czy tak się mówi? Chyba nie. Wkład?) Wkład w wyposażenie kamienicy. Nie można być wiecznym pasożytem.

Czekam, aż Hattori wróci. Ja po wyrzuceniu węża zawsze wdrapuję się z powrotem na podwórko przez okienko, bo nie chce mi się wracać dookoła domu. On tak nie robi, bo nie wypada i można się pobrudzić.

Bierzemy się do szorowania mojego zabytku techniki japońskiej. Co prawda był kąpany w sobotę, ale się zachlapał błotem przy okazji niedzielnej wyprawy do Kampinosu. Jego plecy tęsknią teraz za moją delikatną dłonią, a wewnątrz – za lekko wilgotną irchą.

Tak, dobrze będzie wyczyścić wewnątrz.

Stara, ale kochana mazda – myślę, głaszcząc delikatnie pianą obłóść reflektora. Powinienem jej dać jakieś imię. Żeńskie, oczywiście. Adela? Albina?

– Miałem sen – oznajmia Hattori, rozmazując pianę w artystyczne esy-floresy na tylnym zderzaku.

– To niezwykle – odpowiadam w zamyśleniu, wyciągając gałązki i z mumifikowane liście z wlotu wentylacji na brzegu maski. Czy one przetrwały tu od zeszłego stulecia? – O czym ten sen?

– O Maćku Chełmickim.

– Naprawdę? Nie znam. Twój znajomy?

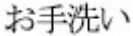
– Nie! On jest postacią z filmu wielkiego polskiego reżysera Andrzeja Wajdy. Pod tytułem *Popiół i diament*. Bardzo polecam obejrzeć na rowerze stacjonarnym.

– A. Ciekawe. Ja oczywiście ten film widziałem, drogi Hattori-san. Co prawda nie widziałem go na rowerze stacjonarnym, ale wierzę, że to bardzo wzbogaciłoby odbiór. Znakomity film, oczywiście, chociaż takim fanem, żeby pamiętać po dwudziestu latach imiona i nazwiska bohaterów, chyba nie jestem.

Hattori lustruje krytycznie grafikę z piany i przechodzi do rytmicznego smyrania szczotką części tylnych.

– Ja oglądałem... z Alicją... na rowerach stacjonarnych. Ona ma w klozecie.

– Alicja ma w klozecie. Ciekawe. Aaa, masz na myśli taki mały pokój za jej sypialnią? To się nazywa „służbówka” Hattori. Klozet znaczy po polsku ubikacja –

, rozumiesz. A służbówka – mały pokój, który przed wojną zamieszkiwała służba. O.

Ruszam z furią do szorowania maski. Okazja do zrobienia Hattoriemu wykładu z języka polskiego sprawiła mi dziwną satysfakcję. Ostatnio on mnie częściej poprawia niż ja jego. Szczególnie w kwestiach obyczajowo-kulturowych. Ratunku, jak by powiedziała Alicja.

Hattori z równą pasją atakuje spojler na tylnej klapie i już nic nie mówi. Chyba byłem w stosunku do niego za surowy. Za... głośny? Mocny? Przemocny? Szukam tłumaczenia z japońskiego, ale głupi mózg odmawia współpracy.

Wyżymam gąbkę – też za mocno, bo się naddziera. Przechodzę do przedniej szyby. Pracujemy przez jakiś czas w milczeniu. Nie jest to specjalnie pokojowe milczenie.

Kończymy szyby i zaczynamy dach.

– Popatrz, co znalazłem w wentylacji – oferuję gałązkę oliwną. – A w ogóle to nigdy nie byłem w służbówce Alicji. Tam są rowery do ćwiczenia?

– Tak, są. – Hattori przerywa pracę i ociera pot z czoła. – I płaski telewizor na ścianie. Można oglądać film i ćwiczyć. Bardzo zdrowo.

– Na pewno – dyszę zasapany po szybie. – I co tam robiliście? Mam na myśli – poprawiam się szybko – co tam oglądaliście?

– Klasyczne filmy – sapie Hattori. – Tylko filmy. My jesteśmy przyjaciele.

Prostuję się i przeciągam, aż chrupią stawy. Uff. Teraz idzie lżej, bo dach nie jest specjalnie brudny. Powoli zbliżamy się do siebie z jego dwóch końców.

Hattori posuwa się szybciej, mnie zatrzymuje jakaś plamka. Zabieram się do niej ostrożnie, żeby nie uszkodzić wiekowej karoserii.

– Przyjaciele tylko, powiadasz? A ta dziewczyna z Łodzi?
– Która? – pyta Hattori, myjąc plecy mazdy łagodnie i czule, powolnymi, szerokimi ruchami.

– Czekaj... Bogna?

– A, Bogu-*chan*. No wiesz. Ona jest nie tylko.

– Rozumiem – odpowiadam na wszelki wypadek.

Plamka się poddaje. Prawie, bo zostaje minimalny ślad. Trudno. Zawsze zostaje jakiś ślad. Ruszam dalej, naśladowując poezję ruchu Hattoriego. Powoli, delikatnie i z namaszczeniem.

Zaraz się spotkamy w połowie dachu. Teraz albo nigdy:

– Hattori-*san*?

– Robert-*san*?

– Dlaczego miesiąc temu powiedziałaś, że jesteś w Łodzi, a widziałem cię przed kamienicą? Ładowałeś coś z Moździerzewskim do ciężarówki.

– Bo wróciłem wcześniej – odpowiada Hattori beztrąsko, nie przerywając mycia dachu. – Był duży transport do kolekcjonera w Kumamoto.

Siadam na odwróconym wiaderku.

– Nie mogłeś mi powiedzieć?

– Ale Robert-*san* nie pytał.

– No fakt. Hattori... przepraszam.

Teraz dopiero mój lokator przerywa mycie i obchodzi samochód – staje przede mną ewidentnie zaniepokojony.

– Nie, nie... za co przepraszać?

– Słuchaj: odkąd wróciłem, coś mi odbiło. Ciągłe mam wrażenie, że wszyscy knują, spiskują i coś przede mną ukrywają. Nie wiem, to chyba stres z pola bitwy, które w tym kraju nazywają pracą, może stres przeprowadzki, powszechne narzekactwo, ciągłe opieprzanie, może czegoś innego oczekiwałem po starej ojczyźnie. Nigdy nie byłem taki nieufny i podejrzliwy. To jakby nie ja. Wiesz, czasem tęsknię za Japonią. Tam byłem bardziej zaganiany, ale zdecydowanie mniej zestresowany...

– Ja też czasami tęsknię za Japonią – stwierdza Hattori i wraca na swój koniec dachu. Kończy mycie kilkoma precyzyjnymi ruchami.

Wstaję z wiaderka i chwytam zwoje węża, żeby przenieść go na drugą stronę auta i zacząć splukiwanie piany. Wąż jest dziwnie lekki. Może to mnie jest lekko. Jakiś

ciężar spadł ze mnie i spłynął do kratki w bramie.

Po opłukaniu stara mazda błyszczy jak w czasach swojej młodości na Wyspach Japońskich.

– Dobra robota, Robert-san!

– Dobra robota, Hattori-san.

– Co teraz?

– Plwamy na tę skorupę i zstępujemy do głębi?

– Robert-san ma na myśli do Antykowni?

– Chwilowo tylko do kokpitu. Trzeba dokończyć czyszczenie wnętrza.

Hattori nurkuje do wnętrza.

– Tu jest czysto dosyć – mówi, wychylając głowę przez okno. – Tylko przetrę szybę. Żeby było dobrze widać do przodu.

Idę zrzucić węża do piwnicy.

Wracam i zaglądam do kokpitu.

– Faktycznie, wnętrze jest czyste. I widać do przodu. Dzięki, Hattori. Idziemy na drinka do Alicji?

– Idziemy!

*

Po jasno oświetlonym korytarzu Antykownia wydaje się ciemna i pełna tajemniczych cieni śpiących dinozaurów.

Ale gra muzyka. Może ktoś zapomniał wyłączyć. *Sing, sing, sing* (pa PAM!). Mimowolnie pstrykam do rytmu palcami lewej ręki, a prawą macam po ścianie, szukając włączników. Kiedy już na nie natrafiam, zatrzymuję się – nie, jednak coś tam się świeci. Pojedyncza lampa, jeden z tych emaliowanych przemysłowych kloszy rodem z fabryk PRL-u, które Hattori przywozi dla Moździerzewskiego ze Śląska. Wisi nad stołem w głębi pokoju, za rzędem szklanych witryn. Wokół stołu – trzy lekko zniekształcone przez szkło postacie: pan Stanisław, Gutner i Kozak. Ostrożnie podchodzę cztery kroki.

Grają w karty. Wszyscy mają rozpięte pod szyjami koszule i podwinięte rękawy. Gutner i Kozak są w kamizelkach. Bardzo retro. Siedzący tyłem do mnie pan Stanisław w samej koszuli, ale za to w eleganckich, prążkowanych spodniach i czarno-białych lakierkach.

Na wyłożonym zielonym filcem kwadratowym stoliku, tym, na którym

diagnozowałem centralę telefoniczną: karty, stosiki monet i cztery kryształowe szklaneczki. Jedna czysta, trzy z resztkami czegoś przeżręczystego na dnie.

Chrząkam.

Obracają się.

Pan Stanisław rozpromienia się w uśmiechu i szerokim gestem wskazuje na puste miejsce.

– Nie, ja tylko miałem... – zaczynam, ale nie kończę, bo nie mogę sobie przypomnieć, co takiego miałem.

Panowie wymieniają spojrzenia, po czym Kozak powoli odsuwa krzesło i wstaje. Kładzie mi ręce na ramionach. Co może nawet byłoby gestem przyjaznym, gdyby nie był ode mnie o głowę wyższy i szerszy w barach, mimo starszego wieku oraz charakterystycznej kościstości, sprawiającej, że wygląda jak szkielet na sterydach.

Naciska stopniowo, aż poddaję się, kolana same mi się uginają i lądują na krześle.

Bez najmniejszego wysiłku przysuwa mnie razem z krzesłem do stołu. Zostaje za mną.

„Sing, sing, sing, sing... Everybody start to sing...”

Moździerzewski kończy tasować karty. Nie rozdaje – chowa je do drewnianej szkatułki. Nalewa wszystkim z karafki. Wychylam posłusznie. Śliwowica. Marki diabelnie mocna.

Ze strunami głosowymi w ten sposób skutecznie unieruchomionymi siedzę, powstrzymuję łzy, łapię oddech i słucham pana Stanisława. Ten splata dłonie na szkatułce, odkasłuje w piść, poprawia wąsy i zaczyna:

– Wielce szanowny panie Robercie! W życiu każdego człowieka nadchodzi moment przełomowy. Moment PRÓBY. – Tu podnosi wzrok na Gutnera, który poważnie potakuje. I na Kozaka – wykręcam głowę i też patrzę w górę – Kozak szczerzy nierówne i nie najbielsze kły w złowieszczym uśmiechu. Dłonie, trudno wyjaśnić dlaczego, nie opuszczają moich ramion. Spoczywają na nich lekko, ale mam wrażenie, że gdybym spróbował wstać, piórka stałyby się betonem.

Młody Gene Krupa przechodzi do afrykańskiego solo na bębnach. Moje tętno stara mu się dorównać.

Moździerzewski, nie śpiesząc się, dopełnia szklaneczki, wyjmuje karty ze szkatułki i ponownie zaczyna tasować.

– Dlatego właśnie, jak pan Robert doskonale rozumie, musimy zacząć od małej

lekcji. Dobrze mówię, panie Kozak?

– Tak jest, panie Stanisławie! – wykrzykuje służbiście ochrypły głos nad moją głową.

– A. Właśnie. Zaczniemy więc... – Moździerzewski namyśla się teatralnie – od... tego pudełka. – Odkłada karty i stuka paznokciem w szkatułkę. – Czy wielce szanowny pan Robert byłby tak łaskawy objaśnić nam, co to takiego?

– Drewniana szkatułka do kart? – ryzykuję.

– Bardzo dobrze! Jest dokładnie tak, jak pan mówi! – Moździerzewski promienieje i rozgląda się po kolegach, jakby oczekując wyrazów uznania dla mojego geniuszu.

Gutner wywraca oczami do sufitu, bardzo w stylu Alicji. Co, kto wie, może i jest wyrazem uznania.

– Mój dziadek zawsze stawiał pasjansa po obiedzie. Miał bardzo podobną szkatułkę. Powiedziałbym nawet...

– Widzicie? – mówi dumnie Moździerzewski. – Już dziadek Brakat...

– Cisowski – poprawiam. – To od strony mamy...

Moździerzewski patrzy triumfalnie na Gutnera. Czy ten jakby minimalnie skinął twierdząco głową, czy tylko mi się wydawało?

Próbuję się odwrócić w nadziei, że moja próba ognia się skończyła, ale potężne dłonie Kozaka nie pozostawiają wątpliwości: jestem w błędzie.

Pan Stanisław wraca do tasowania kart. Robi to bardzo zręcznie, chociaż staroświecko – zamiast efektownego Riffle Shuffle stosuje Przeplot: wmasowuje jedną połowę talii w drugą, pionowo, wykorzystując siłę ciężenia, wspomaganą lekkim potrząsaniem i upychaniem.

Pozornie skupiony na tej czynności pyta:

– A – jeśli można być tak dociekliwym – Z CZEGO jest to pudełko?

Biorę je do ręki. Na meblach i innych antycznych bibelotach nie znam się zupełnie. Wpadłem.

– To jest... drewno? Ciemne... orzech? Róża? Na zewnątrz inkrustowane...

– INTARSJOWANE – przerywa Gutner. Podnosi znacząco palec. – Inkrustacja to wpuszczanie w powierzchnię drewna wszystkiego poza drewnem. Metalu, kości słoniowej, masy perłowej. Natomiast wzory z jednego drewna wpuszczonego w inne to in-tar-sja!

– Intrasjowane – powtarzam posłusznie. – Ale jeśli myślicie, że mnie dzisiaj

wieczorem zrobicie ekspertem od...

Pan Stanisław uśmiecha się i robi poziomy, krótki gest dłonią w powietrzu. Nie wiem, co to ma znaczyć, ale przerywam. O co mu pewnie chodziło.

– A teraz – podejmuje pan Stanisław – kluczowe pytanie. Ile to pudełko jest WARTO?

Biorę je znowu do ręki. Co prawda przy pracy Antykowni asystuję już od dobrych paru tygodni, ale do wiedzy fachowej mi daleko. Postanawiam użyć zdrowego, chłopskiego rozsądku. Ile bym za taką szkatułkę dał na Znanym Portalu Aukcyjnym, szukając dla kogoś prezentu? A właśnie – dla kogo. Oto jest pytanie. Dla rodziców, gdyby mi się wydawało, że coś takiego im się szczególnie spodoba, na pewno zaliczytowałbym wyżej niż dla kolegi z pracy na urodziny.

– To zależy, dla kogo... – zaczynam.

Bang, bang, ba-bang, CRASH! „La dee da, ho, ho, ho, now you’re singing with a swing...”

– Brawo, panie Robercie! – grzmi Moździerzewski. – Znakomita, celna, doskonała odpowiedź! Panowie. Czy uważacie, że pan Robert pozytywnie przeszedł swoją Próbę i można mu powierzyć Nocną Zmianę?

Gutner wygląda na umiarkowanie przekonanego, ale potakuje. Kozak z radości tak mocno ściska mi ramiona, że nie mogę się nawet obrócić, żeby zobaczyć, czy też kiwa głową. Słyszę tylko:

– Brawo, *mołodiec!*

Wszyscy wstają i już na stojąco wychylają ostatnią szklaneczkę śliwowicy. Ja, niestety, też.

Pozbawiony oddechu patrzę, jak towarzystwo wychodzi, zostawiając mnie samego na straży pokoju z zawartością wartą pewnie więcej niż cała kamienica. Ze mną włącznie.

Nigdy nie byłem zwolennikiem metody nauki pływania przez rzucanie ludzi na głęboki koniec basenu. No nic. Idę do kasy szukać jakichś wskazówek. Spisu towaru? Cen?

Mam do wyboru grzebanie w komputerze albo szukanie w papierach. Wybieram to drugie, jako bardziej pasujące do Antykowni.

Faktycznie, coś tu jest. Lista mebli z różnymi kolumnami, z których jedna zawiera chyba ceny zakupu. O ile zakres liczb od pięciu do kilkuset tysięcy, czasami opatrzonych jeszcze jakąś literką, może być ceną. Są też notatki, niestety w języku, którym nie władam. Żadna pomoc.

Zamykam stary, gruby zeszyt formatu A4, z okładką w kratkę i brzegami wzmocnionymi materiałem, zupełnie jak dziennik lekcyjny w szkole, i siadam do komputera w nadziei znalezienia innych wskazówek. Znajduję otwartą grę *Tetris* i kalendarz. Aha! Tutaj ewidentnie wpisuje się umówione wizyty klientów. Świetnie. Co na dzisiaj? Żadnych nazwisk, mam nadzieję? Niestety. Najpierw jakaś pani...

– Anna Kanisiewska – słyszę. – Byłam umówiona z panem Gutnerem.

Podnoszę wzrok znad ekranu i próbuję go przestroić na umiarkowanie wysoką i umiarkowanie urodziwą trzydziestoletnią mniej więcej blondynkę z równiutko przystryżoną grzywką, w asymetrycznej szmaragdowej bluzce z jednym ramiączkiem i wysypem kryształków na lewej piersi.

Klepię się po kieszeniach w poszukiwaniu wizytówek.

Z przerażeniem stwierdzam, że zostawiłem je na górze.

– Przepraszam... Bardzo mi miło... Robert. Robert Brakat.

Brak wizytówki na tyle wytrąca mnie z równowagi, że popadam w stare nawyki i kłaniam się, zamiast podać jej rękę.

– Pani Kanisiewicz...

– Panna.

– Przepraszam najmocniej. Czy Panna Kanisiewicz...

– Anna.

– Robert. Chciałem zapytać, czy panna Anna chce rozejrzeć się po salonie, to znaczy wystawie, czy może ma coś do pokazania...?

– Rozejrzę się. – Panna Anna zaczyna rozglądanie się od mojej osoby.

Potem przechodzi do gablot. Zdaję sobie sprawę, że powinienem jej towarzyszyć i oferować pomocne podpowiedzi na temat zgromadzonych tam artefaktów. Nie – to mogłoby ją zdopingować do zadawania pytań. Postanawiam pozostać za ladą i wyglądać z za niej mądrze oraz autorytatywnie.

Klientka przechadza się wśród alejek z mebli i witryn, a ja modlę się, żeby się nie zatrzymała przy czymś, o czym nie mam pojęcia. Postanawiam sprowadzić pomoc. Wybieram numer Gutnera. Oczywiście nie ma tu zasięgu. Piszę mu maila – może przeczyta i przyjdzie.

– Czy to biurko do pracy przy komputerze? – dobiega z głębi pomieszczenia.

Wciskam szybko „Enter” i śpieszę asystować Klientce. Pół roku temu nie uwierzyłbym, że zostanę w ojczyźnie ekspedientem. Jak to się losy toczą.

– To jest – wchodzę na w miarę pewny grunt bogatszy o kilka wykładów

Moździerzewskiego – sekretarzyk. Sto lat temu służył do pisania listów. Jak pani widzi, jest pięknie ink... intarsjowany.

– A ile kosztuje ten inkintarsjowany sekretariat?

– Proszę chwileczkę zaczekać! – Idę za ladę. Nie dlatego, żebym spodziewał się tam znaleźć jakąś pomoc, ale potrzebuję czasu do namysłu. Najpierw sprawdzam w zeszycie. Sekretarzyk ma w czwartej kolumnie liczbę 2t, co może oznaczać dwa tysiące, ale może też dwie tony, jeśli jest na przykład wypełniony sztabkami złota. Będę musiał odbyć poważną rozmowę z Gutnerem.

– Siedemnaście tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt osiem złotych i dwadzieścia groszy! – wołam w głąb sklepu w nadziei, że suma ją zniechęci. – Plus VAT!

Panna Anna nie wie, że są to cyfry mojego ostatniego adresu w Tōkyō. Ale i tak rzuca mi spojrzenie pod tytułem: „Chyba pan z drzewa spadł”. Kontynuuje jeszcze chwilę oględziny.

Wraca do lady.

– Chyba dzisiaj niczego nie wybiorę. Zaraz... a może zaciekawi pana ten zabytkowy pierścień z rubinem? Pamiątka po babci.

Ściga go z palca ze sporym trudem. Kątem oka widzę lupę zegarmistrzowską Gutnera zostawioną koło kasy. Stanowczym ruchem wkładam ją sobie w oczodół. Niestety, lewego, czyli mocniejszego oka, bo prawe mam słabe – przestaję więc wiele widzieć dookoła. Próbuję skupić się na pierścionku.

Ciekawe, ile brudu widać przez tę lupę. A z odległości metra wyglądał jak nowy. OK. Więc mamy tutaj złotą obrączkę z osadzonym w niej gładkim, owalnym czerwonym kamieniem. Niewątpliwie półszlachetnym, bo gdyby to był rubin, byłby czerwony i pewnie kanciasty, a to jest gładkie i ciemnoróżowe z nutką fioleto. Koniec analizy zdrowo-chłopsko-rozumowej. Pomocy!

Jak w każdym dobrym filmie, w tym momencie wjeżdża kawaleria.

– Daj to – mówi Gutner, wyciągając długie, szczupłe palce po pierścionek. Po zerknięciu na Klientkę dodaje: – Proszę.

Włącza mocną lampę na ladzie, co jest pierwszą rzeczą, jaką powinienem był zrobić. Zabiera się do lustracji pierścionka. Pięć sekund później przystępuje do lustracji Klientki.

– Rozumiem, że to biżuteria rodzinna? – pyta.

– Tak, po babci. Dostała go na osiemnaste urodziny, prababcia specjalnie zamówiła u najlepszego jubilera w Warszawie...

– Taaak. Jasne. Czy zechciałyby pani go zostawić na jeden dzień do wyceny i konsultacji? Na koszt firmy. Wpiszę potwierdzenie przyjęcia.

Klientka godzi się z pewną dozą nieśmiałości, ale przekonana dwiema pieczętkami i zamaszystym podpisem Gutnera, wrzuca pierścionek do małej pergaminowej torebki, która następnie trafia do sejfu pod ladą.

Kiedy zostajemy sami, Gutner wzdycha i mówi:

– Mała lekcja. Czego generalnie nie lubię, ale kolegę R. lubię, więc niech będzie. To jest rubin.

– Takiego koloru? Myślałem, że jakiś kamień półszlachetny, bo...

– Dokładnie takiego koloru. I szlifu owalnego, typowego dla przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Jeden problem. Dziewoja kłamie.

– Kłamie? Jakoś się nie dziwię.

– Brawo intelekt. Chociaż pewnie nie wiesz, dlaczego kłamie. Otóż to jest pierścionek MĘSKI. Czyli na pewno nie zrobiony na osiemnastkę szanownej babci.

Przetrawiam informację.

– A jakie to ma znaczenie?

– Fundamentalne! – Palec staje na sztorc. – Nieważne CO, tylko KTO przynosi. Tej pani już bym podziękował albo jej zaoferował pięć złotych, ale chciałem wykorzystać okazję i paru rzeczy cię nauczyć. Chwytaj lupe. Czekał.

Wyciąga z szuflady atlas kamieni szlachetnych i otwiera na pamięć, trafiając idealnie w początek rozdziału o odmianach korundu.

Zaczyna się lekcja.

Po półgodzinie Gutner zatrząskuje podręcznik, chowa do sejfu tackę z materiałami poglądowymi i patrzy na zegarek. Ja, bogatszy o trochę wiedzy jubilerskiej i z czerwonym odciskiem wokół lewego oka, proponuję zrobienie kawy.

– Tego? – pyta Gutner, wskazując palcem na ekspres. – Po moim trupie. Zmykam na górę. Czekał, ściągnę ci Alicję, bo samego cię tu strach zostawić. A kogoś jeszcze dziś masz, o ile pamiętam grafik.

Klika szybko myszą. Mam głupią myśl, że gdybyśmy żyli w hollywoodzkim filmie, Gutner nie użyłby myszy, tylko wykonał krótką, efektowną tremolo stuknięć w klawiaturę.

Komputer zaczyna wydawać z siebie sygnał jak dzwoniący telefon.

– Gdzie ten dzieciak się włóczy? – niecierpliwi się Gutner. Przecież jest dopiero dwudziesta druga. Środek dnia.

Alicja nie odpowiada, więc Gutner, mrużąc pod nosem skomplikowane obelgi w językach obcych, znika za kotarą wejściową. Po sekundzie wraca.

– Starzeję się, kolego. Miałem ci przecież pokazać, jak się woła przez komputer. Póki nas nie ztelefonizujesz. Klikasz tutaj – demonstruje. – Czekasz, aż ktoś się zgłosi. Jak się nie zgłasza, klniesz. Wszystko jasne? Będę na górze. Wołaj jakby co. Powinienem właściwie zostać i cię dopilnować, ale... głęboka woda. – Szczerzy zęby.

Wychodzi.

I dobrze. Bo do następnego klienta akurat nie potrzebuję asysty. To mój znajomy od zapiekania rezystorów w cieście.

Chyba właśnie dotarł. Biegnę do wejścia.

Niestety. Przypominam sobie, że w kalendarzu faktycznie było przed nim jeszcze nieznanе nazwisko na dwudziestą drugą.

– Mam dla pana coś niezwykłego – zaczyna od progu modnie nieogolony łysiejący blondyn w średnim wieku, w znoszonym golfie, niegdyś czarnym, a dziś szaroburym, i zielonkawej kamizelce wędkarskiej, kojarzącej mi się nieprzyjemnie z panem Heniem z administracji. – Otóż mam dziś... Zaraz. – Przygląda mi się nagle – A gdzie ten pan, co tu zwykle?

– Ja dziś zastępuję tego pana co tu zwykle – wyjaśniam. – Jak mogę pomóc? Znaczy... w czym mogę panu pomóc?

– A. No, dobra. Walicki jestem. Pewnie mówili. No, niech usiądzie. Bo się przewróci – rechocze. – Uwaga... TA-DA! No...? Chyba nie muszę mówić, co to jest?

– Książka? – ryzykuję, biorąc do ręki czarny tom w twardej materiałowej oprawie. Przednia okładka jest mocno zniszczona, ale na grzbiecie odczytuję wytłoczone szare litery: „Feliks Choynowski – Wędkarstwo Na Wodach Polskich”.

Podnoszę wzrok na klienta. Ten przygląda mi się z napięciem, czekając, aż zemdleję albo przynajmniej przewrócę się z wrażenia.

Otwieram na pierwszej stronie.

– No! – podpowiada Walicki. – Dobrze się domyśla! PIERWSZE wydanie! Rok 1939! Biały, że tak powiem, kruk! Biblia, kochany, BIBLIA! Żaden wędkarz nie może się bez tego...

– Przepraszam, czy Gutner się umawiał na zakup albo... na coś się umawiał? Pozwoli pan, że sprawdzę – przerywam rwącą rzekę zachwytów. Pełną szczupaków, niewątpliwie.

Otwieram kalendarz. Klient faktycznie wpisany, jest też notatka o książce. Chyba do mnie skierowana. Otwieram. Mam porównać w internecie, sprawdzić, czy autentyk. Na koniec coś o okupacji i AK. I słowo: „Wiaryg.?”.

– Czy ta książka jest jakoś związana z wojną, okupacją? – pytam, czytając jeszcze raz notatkę.

– Noo, widzę, że jest, że tak powiem, wprowadzony w temat! Czyli wie, skąd znam szefunia – właściciela waszego sklepu, he, he... Tak, ojciec w czasie powstania pracował z szefuniem... – Walicki zniża głos do szeptu – w KONSPIRACJI. I się rozumie – jako zapalony wędkarz, w tej książce – tej właśnie! – trzymał listę kontaktów. Chyba wie, co by się stało, gdyby faszysti znaleźli? No nie? Więc tutaj trzymał. W grzbiecie książki. O, tu – wskazuje długim paznokciem, na wypadek gdyby mało rozgarnięty pomocnik szefunia nie wiedział, co to jest grzbiet.

Posłusznie biorę znowu tom do ręki i badam przestrzeń w grzbiecie. Zaglądam do niej pod światło, raz z góry, raz z dołu. Czy tam można było coś schować? Bardzo chciałbym uwierzyć w tę historię, ale...

Na szklaną ladę wypada wąska, bardzo żółkła kartka. Właściwie pasek papieru złożony na pół.

Otwieram już usta, żeby powiedzieć, co myślę o robieniu mnie w balona i tanich przedstawieniach dla naiwnych, ale kiedy podnoszę wzrok na Klienta, zatrzymuję się w pół słowa.

Facet jest w szoku. Nie znam aktora, który umie zblednąć na komendę.

Nabożnie dotyka kartki i otwiera ją drżącymi rękami.

W środku widzę całą kolumnę tekstu napisanego czymś niebieskawym – może ołówkiem... Jak się nazywał taki, który trzeba było najpierw polizać? Kopiowy?

Imiona i liczby. Stare, eleganckie, pochylone, równe pismo ręczne.

Wykorzystuję przedłużające się milczenie i szybko wzywam Gutnera przez komputer.

„Co jest?” – wyświetla się na ekranie.

„Weryfikacja pozytywna” – odpisuję.

„100%?”

„Tak. Znalazłem kartkę z powstania. Gość jest błydy jak papier i właśnie zaczął płakać. Albo Holoubek 2.0, albo autentyk”.

„7500”.

„???”

„PLN. Kasa w sejfie pod ladą”.

Odrywam się od komputera, odchrząkuję i pytam:

– Czy można zrobić panu coś do picia? Kawy, herbaty...?

– Nie, nie... niech się nie trudzi... – wydaje Walicki z siebie trzęsącym się głosem. – To ja już... – sięga po książkę.

– Ależ oczywiście. – Wręczam mu ją z szacunkiem. – Moi pracodawcy upoważnili mnie jednak do złożenia panu oferty. W wysokości, errr... siedmiu tysięcy pięciuset złotych. Zaraz, tutaj mam gdzieś przygotowane...

Po pięciu minutach pan Walicki się żegna i trochę chwiejnie wychodzi dziwnie cichy i zamyślony.

A ja piję kawę, którą zrobiłem dla niego, ale obaj o tym zapomnieliśmy.

Dotykam książki i jeszcze raz otwieram kartkę. Cofam rękę – kawałeczek rogu suchego papieru już się ukruszył. Niedobrze. Nie umiem się obchodzić ze starymi dokumentami. Przypominam sobie, że Gutner czasem ma na dłoniach rękawiczki, kiedy bada coś przez tę swoją lupę. Są – pod ladą. Wkładam i ostrożnie wsuwam z powrotem papier do grzbietu książki.

Zamykam ją w sejfie.

Pierwsza nocna zmiana. Czy tu co dzień zdarzają się takie historie, czy jednak ktoś robi mnie w balona?

Siadam na starym, rozłożystym fotelu w kącie za szafami, żeby skończyć w spokoju kawę.

Podrywam się natychmiast, bo jakiś mężczyzna właśnie podchodzi do lady. Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł do schronu. Muszę być ostrożniejszy. Przecież tu są grube setki tysięcy...

– Pan Robert?

– Witam serdecznie panie Grzegorzu! – wołam, zdając sobie sprawę, że zaczynam brzmieć jak Moździerzewski. To miejsce chyba ma na mnie zły wpływ.

Witamy się i przystępujemy do oględzin starej centrali telefonicznej.

– W świetnym stanie jak na swój wiek – mruczy pan Grzegorz. – Te przekaźniki mogą być do wymiany, ale takie łatwo znaleźć, standardowy komponent... A co wy chcecie z tym zrobić?

Rozkładam notatki Gutnera i wyjaśniam plan podłączenia schronu i wszystkich mieszkań kamienicy systemem telefonów wewnętrznych, wykorzystując stare okablowanie do wzywania służby. A raczej biegnące w ścianach i w pionach rurki do

starego okablowania, bo przewody zostały już wymienione w nowszych czasach.

Uzgadniamy szczegóły. Na koniec wyciągam jeszcze złożoną na czworo kartkę z kieszeni marynarki i proszę o dodanie, tak całkiem ode mnie, prywatnie i między nami, jednego drobnego szczegółu do schematu połączeń. Pan Grzegorz zerka na mnie trochę dziwnie, ale zgadza się i chowa wszystkie papiery do teczki.

– A skoro już tu jestem, można się rozejrzeć? – pyta.

– Oczywiście! Herbata bez cukru i z kroplą mleka, dobrze pamiętam? Zaraz przygotuję. Proszę się rozglądać ile wlezie! Przy okazji – Gutner prosił, żebym wymieniał transformatory wyjściowe w starym lampowym wzmacniaczu Fonica W480f, klient przyniósł do renowacji drewnianej obudowy. Pomoże pan jakieś dobrać? Te mają tylko wyjścia do kolumn szesnastoomowych, nikt takich teraz nie używa... Tak, tam stoi, na stole za witryną.

Pan Grzegorz wraca ze wzmacniaczem. Zdejmujemy obudowę i podziwiamy starą, solidną konstrukcję, wymieniając fachowe (on) i pseudofachowe (ja) uwagi, jak dwóch sąsiadów nad otwartą maską świeżo zakupionego samochodu.

– Widzę, że mamy podobne zainteresowania – mówi pan Grzegorz zadowolony, sięgając po filiżankę z herbatą.

– Wie pan... ja po prostu lubię urządzenia zaprojektowane z myślą o ludziach, którzy będą ich używali. Gdzie poszczególne parametry można precyzyjnie dostroić tak, żeby było idealnie. Optymalnie. Nie cierpię nowej mody na jeden guzik do wszystkiego. Każda sytuacja jest inna, człowiek inny i ma inne potrzeby... Nie wiem, może jestem *control freak*? Jak to powiedzieć po... nieważne. Jeszcze herbaty?

– Panie Robercie... znamy się nie od wczoraj. – Starszy pan zsuwa grube okulary na koniec nosa i patrzy na mnie ponad oprawkami. – Proszę mi szczerze powiedzieć. Co wy tutaj tak naprawdę robicie? Czy to jest komis? Antykwariat? Lombard?

Patrzę mu dzielnie w oczy i odpowiadam, najszczerzej jak umiem:

– Nie mam pojęcia, panie Grzegorzu. Też chciałbym zrozumieć. Pracu... pomagam w Antykowni od tygodnia, to ewidentnie biznes rodzinny, ale nigdzie się nie reklamują, wszyscy klienci muszą być umówieni, może coś w rodzaju hobby z dochodami na boku? Na pewno działalność renowacji antyków pana Moździerzewskiego jest legalna, bo widziałem wystawiane faktury. Czyli podatki płaci. A reszta? Nie wiem. – Chowam się w kubku i myślę.

– Widziałem – dodaję – jak klient dostawał grosze za coś, co wydawało mi się wartościowe, widziałem, jak dostawał nieprzyzwoitą ilość gotówki w zastaw za coś, co nie było funta kłaków warte. Może właśnie dlatego zgodziłem się tu pracować,

żeby ich rozgryźć? Wie pan, ja w sumie niedawno wróciłem i ci ludzie jakoś mnie tak przygarnęli, ale cały czas mam wrażenie, że oni czegoś ode mnie chcą, tylko nie mówią czego...

Starszy pan ściska mnie za przedramię i uśmiecha się:

– Może pan się za bardzo przejmuje? Czasy się zmieniły. Nie trzeba wszędzie szukać... tajemnic. Zmowy milczenia. Teraz o wszystkim się mówi, aż za dużo! – śmieje się. – Każdy sekret jest z lubością wyciągany na światło dzienne... O, ale kogo ja widzę – pana japoński przyjaciel pojawił się o tej późnej porze!

Obracam się. Hattori podchodzi do lady i podaje dłoń panu Grzegorzowi tak zdecydowanym, polskim, męskim, prostym gestem, że przysięgam sobie w myśli już nigdy nikomu się w tym kraju nie ukłonić.

Rozmawiają chwilę, a potem pan Grzegorz się żegna. Hattori odprowadza go na ulicę.

Ja idę powylaczać światła w witrynach.

Zatrzymuję się na chwilę przy dziewiętnastowiecznym sekretarzyku, który oglądała panna Anna. Pięknie odrestaurowany – Moździerzewski jest jednak mistrzem w swoim fachu. Otwieram blat do pisania. Ile tutaj przydatnych szufladek i schowków na wszystkie potrzebne drobiazgi. I wszystko w zasięgu ręki. Bardzo ergonomicznie.

Ktoś mi mówił, że w tych starych meblach zawsze są ukryte schowki. Wysuwam kilka szufladek, macam w głębi.

Nic. Idę po miarkę.

No fakt – głębokość paru szufladek jest znacząco mniejsza niż głębokość mebla. A między dnem tej najniższej i blatem też coś by się zmieściło. Spróbujemy... *voilà*. Pod szufladą znajduję deseczkę, którą można podnieść. Za nią – wysłaną materiałem skrytkę. Wyciągam z niej zeszyt. Notatnik. Niestety nie stary – nie zrobiłem odkrycia godnego muzeum, a przynajmniej gazet. Jest to po prostu czarny Moleskine. Jak mój notes telefoniczny do dokumentowania nowej rzeczywistości.

Ściągam gumkę i otwieram na pierwszej stronie.

Pusta. Ale od drugiej – lista nazwisk, adresów, telefonów. Koło każdego... no tak. Chyba wreszcie odkryłem rejestr klientów i ich zakupów. Dlaczego nie w komputerze? Kto wie. Może dlatego, że Moleskine'a nie da się zhakować. Zapalam lampę, starszą nawet niż ten sekretarzyk, i zaczynam czytać.

W pokoju pachnie potem czystego ciała. I odrobiną perfum.

Alicja nie obraca się, tylko sięga po pilota. Zatrzymuje film, nie przestając miarowo wybijać rytmu piętami na gumowym pasie.

Wieszam ręcznik na poręczu drugiej bieżni i ustawiam ćwiczenie na niezbyt wymagające, ale też nie za łatwe, tak żeby Alicja nie zauważyła, w jak kiepskiej jestem formie.

Przez kilka minut męczę się dzielnie, potem zwalniam, bo zaczyna się kryzys. Robię trochę wymachów rozluźniających w celu przekonania Alicji, że to taki specjalny system ćwiczeń, wymagający zwolnienia po czwartej minucie, a nie, że za chwilę serce wyskoczy mi z gardła.

Potem wpadam w rytm i już jakoś idzie.

Alicja kończy pierwsza. Ja jeszcze trochę się ruszam w ramach demonstracji doskonałej formy.

W końcu idę za nią do łazienki.

– Jak się kąpie w Japonii? – pyta Alicja.

– Długo i namiętnie – odpowiadam. – Pozwolisz, że zademonstruję. Najpierw się napełnia wodą do wanny. Potem siada na małych plastikowych stołeczkach, czekaj, przyniosę ode mnie...

– Nie musisz. Wystarczy wyobraźnia. I ręce masażysty.

– Tak, tak, świetnie, ale wanna będzie się chwilę napełniała. No zaczekaj. Proszę. Możesz się przez ten czas przygotować. Że tak powiem.

Wracam minutę później, bardziej zdyszany niż od ćwiczeń.

Alicja jest cała gotowa.

– Cudownie. No więc siada się na tym stołeczku... i namydla. Starannie i dokładnie. O, tak. Zaczynając od pleców. Bardzo powoli i systematycznie. Samodzielne namydlenie pleców jest możliwe, ale anatomicznie trudne i niewygodne, a więc niewskazane. Proszę. Kark. Pod brodą... I za uszkiem. O, i tutaj. Bardzo ważne miejsce...

– Mmmm.

– A jak już plecy są pięknie namydlone i umyte, ośmiokrotnie, liczba osiem jest tutaj kluczowa, to przechodzimy do boków. Znaczący, boków bocznych i boków przednich... zanim dotrzemy do brzuszka.

– Mmmm...

– Też tak uważam.

*

Leżymy w gorącej wodzie i parujemy z cicha.

Wanna jest na szczęście duża, chociaż nie tak głęboka jak japońskie, do lubego namaczania się perfekcyjnie przystosowane.

– Alicja?

– Mmmm?

– Grasz na jakimś instrumencie?

– Na wiolonczeli. Kiedyś.

– O. Nie wiedziałem. Tylko?

– Nie wystarczy?

– Nie, po prostu niedawno ktoś grał w Antykowni na klawesynie.

– To nie ja.

– Aha.

Kropelka potu ześlizguje mi się z czoła na nos, z nosa skapuje na ramię Alicji, gdzie uruchamia pociąg perełek pędzących na spotkanie lustra wody. Zostawiają malutkie, rozchodzące się kółka. Kółka wchodzi w skomplikowane interakcje falowe...

– To był Gutner. – Alicja decyduje się być miłośnierną dla mojej niezdrowej ciekawości. – On jest po szkole muzycznej, gdzieś tam na południe od Europy i na wschód od nikąd.

– Na wschód od...? Mniejsza. Fajnie, że mi powiedziałaś. Czy mogę jeszcze o coś...?

– No?

– Dlaczego Antykownia prowadzi jakiś rodzaj podziemnej działalności lombardopodobnej? Bierze starocie w zastaw czy coś takiego? Ale nigdzie nie ma napisane „lombard”, a formalnie jest to tylko zakład naprawy antyków. Czy to jest w ogóle legalne?

Alicja sztywnieje, czego bym pewnie nie zauważył, gdyby miała na sobie ubranie i nie leżała akurat rozparta w moich ramionach jak w fotelu.

Ale tylko na chwilkę. Może to samo słowo „Antykownia” tak na nią działa. Wzrusza ramionami, co jest sensorycznie bardzo przyjemne, i odpowiada:

– Proste. Rodzice nie chcieli, żeby do nas przychodzili zygziem panowie,

którym jest potrzeba dwanaście złotych na butelkę wina marki Uśmiech Sołtysa. I w tym celu zastawiali obrączkę żony. Albo zabawkę dziecka, co gorsza.

– Dobór ekskluzywnej klienteli?

– Coś w tym rodzaju.

– To ja jeszcze mam jedno pytanko. Ostatnie. Ostatniutkie.

– Dajesz.

– Dlaczego zawsze się tak jeżysz, kiedy rozmowa dotyczy Antykowni i tego, co twoja rodzina tam robi?

Alicja wstaje, przeciąga się i wychodzi z wanny. Woda leje się strumyczkami wzdłuż jej bioder i nóg, na stopy i do szybko rosnących kałuż na grafitowych, przyjemnie szorstkich kafelkach podłogi.

Obraca się do mnie powoli. Pochyla. Opiera ręce na brzegu wanny. Patrzy mi w oczy.

Czekam, aż coś powie.

Zamiast tego, niestety, sięga po ręcznik i zawija się w niego dokładnie.

Staje oparta pupą o umywalkę, splata ramiona i mówi:

– Mnie dużo rzeczy jeży, panie Robercie. Jestem artystką. Nie lubię, jak dzieła sztuki są kupowane za podwójną cenę albo sprzedawane za pół ceny. W imię jakichś pseudoszlachetnych ideałów. Albo jak są... nie. Pogadaj z Gutnerem albo z tatą. Ich biznes, ich sprawy. Ja tylko tam czasem pomagam, jak mi akurat pasuje. Wiem, niekonsekwencja. Ale rodzina i tak dalej. A w ogóle – dodaje – to robienie masażu lepiej ci idzie niż zadawanie pytań.

– Do usług. Mamy oliwkę? Tak, wiem, głupie pytanie.

*

Piątek, 4 czerwca 2005

Mimo wczesnej pory panowie siedzą już przy stoliku i grają w karty. Ja, z braku lepszego zajęcia, zajmuję się odkurzaniem witryn. Co normalnie jest zadaniem Hattoriego, ale ten przebywa akurat w Wałbrzychu, na spotkaniach z jakimiś japońskimi biznesmenami.

Pięć lat studiów inżynierskich świetnie się przydaje do odkurzania witryn. Kiedy to robię, z nudów wyobrażam sobie wektory sił działających na miotłkę z piór w zależności od kąta, pod jakim jest prowadzona po półkach.

No cóż, trzeba się cieszyć, że ma się pracę. Wśród dziwaków... ale nie piranii.

Dzwoni telefon.

To nasza nowa centrala, ekspresowo zainstalowana przez pana Grzegorza z synem oraz montera z wielkiej firmy telekomunikacyjnej, któremu Gutner zapłacił gotówką w kopercie. Bardzo elegancko i po japońsku. W Japonii nie wypada dawać nagiej gotówki – zawsze się wkłada banknoty do koperty, często ozdobnej i specjalnie do tego celu przeznaczonej. Muszę zainteresować Hattoriego importem takich kopert do Polski. Przydałyby się jak nigdzie.

W centrali nie wszystko jeszcze działa, ale można już zadzwonić do każdego mieszkania, a nawet przekierowywać połączenia stacjonarne z mieszkań do schronu.

Idę podnieść słuchawkę starego ebonitowego telefonu.

– Brakat Robert?

– Tak, to ja. W czym mogę...

– Dzwonię z Sądu Okręgowego w Warszawie, Ósmy Wydział Karny. Mam dla pana wezwanie. Zostało do pana dwukrotnie wysłane. Na adres Grójecka...

– Tak, tak, przepraszam, ja się przeprowadziłem... Czy można wiedzieć, w jakiej sprawie?

– Nie posiadam takiej informacji. Mogę podać numer sprawy. Ma się pan stawić w charakterze pokrzywdzonego. Rozprawa odbędzie się w poniedziałek szóstego czerwca o godzinie jedenastej w sali numer cztery, drugie piętro, korytarz C. Proszę potwierdzić, czy pan się stawi.

– Ja... proszę chwilę poczekać – mówię najspokojniej, jak umiem, do słuchawki i zakrywając ją ręką, rozglądam się w panice.

– Słuchajcie – wołam – potrzebuję porady! Chyba pana Mecenasa...

Towarzystwo przerywa grę. Obraca się w moją stronę.

– Potrzebuję prawnika!

Wszyscy trzej panowie jak na komendę odsuwają krzesła i stają na baczność twarzami do mnie.

Gutner patrzy przez chwilę pytająco na Moździerzewskiego. Ten kiwa głową. Gutner w ciągu trzech sekund znajduje się u mojego boku.

– Oddzwon – mówi cicho, wskazując na słuchawkę.

Posłusznie umawiam się na oddzwonienie i potwierdzenie.

Tłumaczę, co zaszło.

– To może jednak mógłbym porozmawiać z panem Mecenasem? – pytam. –

Znaczy, zakładam, że on jest prawnikiem...

– My też jesteśmy – przerywa Gutner. – Natomiast Mecenas... nie przyjmuje już petentów. Ale spokojna głowa. Pomożemy ci.

Oklapuję na barowy stołek za ladą.

– WSZYSCY jesteście...?

– Jakieś tam studia się zrobiło, drogi panie Robecie – szczerzy się w uśmiechu pan Stanisław. – Za mojego młodu to był popularny kierunek. Nawet czegoś tam potem nauczałem, ale cóż, losy inaczej się potoczyły... Za to nasz Gutner zrobił aplikację, jakby to był spacer stąd do Dziurki! To jest dopiero umysł, mówię panu! Nieprzeciętny!

Gutner robi minę niedbałą i bagatelizującą.

– A pan... Kozak... – próbuję, całkiem oszołomiony.

– Nu, tylko woźny sądowy. Jaki tam prawnik! – Kozak grozi Gutnerowi palcem.

– Dobra. W czym problem? – pyta Gutner.

– Czy ja tam MUSZĘ się stawić?

– Nie – odpowiadają chórem Gutner i Moździerzewski.

Patrzę raz na jednego, raz na drugiego, ale Moździerzewski już siada do kart i pozwala Gutnerowi pełnić obowiązki.

– Jako po-krzyw-dzo-ny – palec staje w pozycji wykładowej – nie masz obowiązku. Jako świa-dek – masz. Więc nie musisz. Ale chcesz.

– Chcę...?

– Ciekawe doświadczenie. – Gutner wzrusza ramionami. – Dowiedz się czegoś o kraju, co się na jego łonie wychowywałeś. Jakiś czas. Pojadę z tobą – dodaje, widząc moją mało przekonaną minę. – Jak odkurzysz jeszcze tamte gabloty. Dobra, panowie, kończymy partyjkę. Kto rozdaje?

*

Leżę bezsennie w całkowitej ciemności i wdycham zapach oliwki. Ylang-ylang. Resztkę moich zapasów z Singapuru, odkrytych na dnie pudła numer dwadzieścia sześć. Singapur. Dlaczego tam było wszystko prostsze? Może to ma coś wspólnego z rozmiarem kraju, który da się objechać dookoła rowerem w ciągu jednego dnia? Pod warunkiem że nocą, i to chłodną – tak nie więcej niż dwadzieścia dziewięć stopni. O zdarza się kilka razy w roku.

Noc jest gorąca i chce mi się pić. Wstaję i idę po ciemku do kuchni nalać sobie

wody z kranu.

Ma dziwnie gorzki smak.

Wracam do łóżka. Patrzę w sufit, którego nie widzę.

W Tōkyō, o dziwo, też wszystko było prostsze. Może nie było czasu na komplikacje?

Jutro wielki dzień. Idę poznać mojego bliskiego nieznanego. Dwa scenariusze są prawdopodobne: albo zobaczę człowieka i przypomni mi się, skąd go znam, albo dojdziemy do przyczyny nieporozumienia, po czym będzie trochę śmiechu, zjemy coś, pożegnamy się i pójdziemy swoimi zupełnie odrębnymi drogami. Jak to zwykle w życiu bywa.

Przewracam się na bok i zapach oliwki wraca.

Słucham oddechu.

Naszyc oddechów.

Splatają się w rytmie lekko swingującym.

Raz. Dwa. Raz, dwa, trzy, cztery...

*

Blacha, kop, werbel, werbel i jedziemy.

Przez chwilę wydaje mi się, że zacząłem odrobinę za szybko, ale nie, Peter wygląda na zadowolonego; ma zamknięte oczy, główka basu kołysze się miarowo w rytm muzyki.

Jest OK.

Rozglądam się po sali. No jasne – *Roomful of Blues*. Tylko dlaczego siedzę za perkusją, a nie przy jednym ze stolików? Mam niejasną świadomość, że umiem grać, że kiedyś się uczyłem, ale zaraz, czy to nie były lekcje fortepianu u cici na Ursynowie?

Wokalista przysysa się do mikrofonu:

I am just a new boy

A stranger in this town

Where are all the good times?

Who's gonna show this stranger around?

Stopa, stopa, werbel. Stopa, stopa, werbel. I przejście.

Solo. Koda. Kończymy. Tłum faluje, setki rąk w powietrzu, wrzeszczą... moje imię? Wstaję niepewnie i próbuję się uklonić, coś mnie podcina, spinam się w przygotowaniu na atak desek estrady, trafiam na pulsującą powierzchnię ramion. Niosą mnie, unoszą, przenoszą, reflektory na suficie rysują ostre błyskawice, ktoś niechcący ciągnie mnie za włosy, mam dużo dłuższe, narasta tremolo trzęsienia ziemi – ostre crescendo dygoczących żaluzji sklepów, rozklekotanych metalowych schodków *Ozawa-sō* z akcentami wybuchających słoików, spadających z półek sklepowych.

Łąduję na piasku plaży w East Coast Park. Podnoszę się i otrzepuję. Hitomi mówi:

– Nie.

Śmiejemy się.

Chłopak już tu są. Czekamy przed czerwonymi drzwiami. Uchylają się o centymetr. Brzęk łańcucha i otwierają się szerzej.

Stary Chińczyk z twarzą pokrytą brązowymi plamami, ubrany w fioletową jedwabną bluzę do kolan, spodnie z tego samego materiału i sportowe sandały firmy Nike, otwiera ciężkie stalowe drzwi kościstą, ale silną ręką. Idziemy przez długi korytarz, wyłożony perskim dywanem. Jest tu chłodno, chociaż to nie klimatyzacja, ale zupełnie w tej części świata nieznany chłód starej piwnicy.

Na końcu korytarza szkielec na sterydach mamrocze coś niezrozumiałego. Wskazuje monstualnie długim paznokciem okrągłe czerwone zdobione złotymi wzorami drzwi i znika za podobnymi, ale polakierowanymi na czarno.

Stoję przed grubym, nie, monstualnie opasłym Chińczykiem w nieokreślonym wieku, za to z wyraźnie określonym brakiem włosów i grubymi ciemnymi okularami w ciemnoczerwonej oprawce. Właściwie wszystko jest u niego grube i czerwone, od warg poprzez fałdy skóry na karku po wetknięty w kieszonkę jedwabnej kwiecistej koszuli plastikowy portfel.

Siedzi na stosie poduszek, przed niskim czerwono-czarnym stołem z blatem inkrustowanym jadeitem i fantazyjnie powyginanymi nogami rzeźbionymi w smoki. Na stole – rząd szklanych słoików z chińskimi ciasteczkami ananasowymi, żeliwny czajniczek, czarka do herbaty, ładowarka do telefonu komórkowego i srebrna tacka z opłatkiem miętowym cienkim jak papier.

Mówi niskim, chrapliwym głosem:

– To nie jest twój sen, Brakat. Znowu jesteś nie tam, gdzie twoje miejsce, Brakat. To niebezpieczne, Brakat. Bardzo niebezpieczne.

Alicja, ubrana w strój pletwonurka, przynosi gruby folder pełen rysunków technicznych. Szef każe czytać. Nie rozumiem języka. Patrę na półkę, szukając słowników – widzę tylko rzędy lampowych łbów i kubeł efektów. Wracam do instrukcji. W pewnej chwili wydaje mi się, że chwyciłem, o co chodzi. To opis techniczny automatycznego korka do wanny. Cofam się do pierwszej strony. Język w tym czasie się zmienił, widzę teraz pokręcone robaczki. Tamilski? Daję za wygraną.

Szef się marszczy, wali pięścią w stół.

– Nie starałeś się, Robert! Pożałujesz tego, gorzko pożałujesz!

Patrę w panice dookoła i dostrzegam, że dziewczyna w stroju pletwonurka to wcale nie Alicja, tylko Judith.

Judith zdejmuje z pleców akwalung i wyrzuca go przez okno, siada na biurku szefa, zakłada nogę na nogę, pochyla się nad nim, podaje mu coś i szepcze do ucha. Szef gapi się beczelnie w jej dekolt.

Odwracam wzrok i widzę Vincenta siedzącego pod biurkiem i pijącego coca-colę. Trzęsą mu się ręce, a cola rozlewa się, pieniąc, cieknie po białej jedwabnej koszuli, spływa na podłogę i zamieniając się w strumień mrówek, ucieka pod dywan.

Przenoszę z wysiłkiem wzrok na instrukcję, zmuszam się do czytania na głos: „Wykorzystanie standardowych elementów aktywnych portali ukierunkowanych na grupę docelową lewarowaną oddziaływaniem kawitacyjno-akustycznym do dalszego przerobu w kierunku uzyskania olejów bazowych grupy II...”. Czuję, że to jakieś bzdury, że się nie przygotowałem, ale nie mogę przestać czytać.

– Ja... ja wszystko poprawię... – bełkoczę coś dalej bez ładu i składu, a szef wstaje zza biurka, przybiera rysy znienawidzonego nauczyciela matematyki z podstawówki na rogu Narbutta i Wiśniowej, z podniesionym palcem wrzeszczy:

If you don't eat yer meat, you can't have any pudding! How can you get any pudding, if you don't eat your meat!

Za oknem rozlega się dźwięk helikoptera i jakieś strzały, suche trzaski, wybuchy jak implozje teleskopów. Prerażony, wycofuję się w kierunku drzwi. Do pokoju wpływa Berger w stroju hipisa. Grzechocząc delikatnie koralikami, nurkuje spod sufitu, chwytając Judith za rękę. Potem oboje, z ramionami rozpostartymi jak skrzydła, powoli wypływają przez otwarte okno. Ciągną się za nimi smugi tęczowego światła.

Szef, marszcząc się straszliwie, wskazuje palcem drzwi. Jego rysy rozpływają się, znowu marszczą, przypominają kogoś, nie mogę zidentyfikować kogo. Chcę uciekać,

ale ruchy mam wolne jak w smole, mimo straszego wysiłku biegnę, a raczej pełzną
w tempie żółwia, nie posuwam się do przodu...

Stoimy na cmentarzu. Nagrobki rozchodzą się we wszystkie strony jak promienie
słońca. Na najbliższym nagrobku czytam:

Robert Brakat

Found that it's groovy to hide in a movie

Believes he's Fellini and Antonioni

And also his countryman Roman Polanski

All rolled into one

*

– Alicja?

– No?

– *Let the sunshine. Let the sunshine...*

– Odślonić firanki?

– *Let the sunshine in.*

Rozdział 12

Tōkyō, czwarta rano

Sobota, 4 czerwca 2005

– Czy ciebie w Polsce w ogóle coś jeszcze szokuje? – pytam, ustawiając się w kolejce do kasy. Mamy wózek pełen zakupów do naszej lodówki i butelkę wina dla Karola.

Hattori zastanawia się, jakiej odpowiedzi oczekuję, więc rozwijam:

– Czasem sprawiasz wrażenie lepiej tu zaaklimatyzowanego ode mnie. Nic cię nie dziwi. Po polsku mówisz lepiej niż połowa tych, których czytam w internecie. A nawet słyszę w radiu. Więc – czy coś cię jeszcze czasem dziwi?

– Tak, codziennie się dziwi – odpowiada Japończyk.

– Mam na myśli: naprawdę SZOKUJE. No nic, powiedz, co cię tak codziennie dziwi.

– Na przykład to – Hattori wskazuje panią przepuszczającą kolejne towary przez kasę.

– Że się nie uśmiecha, masz na myśli?

– Nie, temu się już nie dziwię – stwierdza poważnie. – Wy mieliście taką trudną historię. Ale – zniża głos – popatrz, jak ona robi swoją pracę...

Przyglądam się. Faktycznie, pani za kasą pracuje w tempie *andante moderato*, czyli doskonale zrelaksowanym na pograniczu leniwego. Chociaż nie na tyle, żeby ktoś mógł się formalnie przyczepić. Kolejka czeka z wyrazami posłusznego cierpienia na twarzach.

– Może jest zmęczona? – szepczę do Hattoriego, chociaż wyraz twarzy ciężko obrażonej na swoją pozycję socjalną ekspedientki wskazuje na zupełnie inne przyczyny rozlazłego tempa. Jej mina mówi: „Teraz se poczekacie, klienci, aż JA, na tej kasie wasza SZEFOWA, chociaż do lepszych rzeczy stworzona, dziś łaskawie zdecyduję się was obsłużyć”.

– A popatrz na tamtą – Hattori pokazuje dyskretnie czubkiem kciuka.

Przy następnym stanowisku ekspedientka też jest na świat zła, ale inaczej. Pracuje z zawziętą furią. Starsze małżeństwo dwoi się i troi, żeby odebrać z taśmy strumień zakupów, już nie popychanych, ale prawie ciskanych w ich stronę. Butelki z mlekiem przewracają się na karton jajek, puszki konserw miażdżą warzywa, a starsi państwo powoli przegrywają nierówną walkę z ekspedientką. Ta przepuszcza przez

kasę ostatnią paczkę wędlin, rzuca ją z plaśnięciem, rozsiada się z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i jeszcze, w charakterze aktu specjalnej łaski, upuszcza od niechcenia na taśmę dwie smutne, zmięte torebki plastikowe.

Hattori patrzy na mnie wymownie.

– Tak, Hattori – odpowiadam. – Ja też się nigdy nie przyzwyczaję.

*

– Robert! Gość w dom, woda do zupy!

– Karol! Nic się nie zmieniłeś!

Twarz człowieka w moim wieku i mojej postury (może trochę niższego i tęższego), który zaprasza mnie właśnie w swoje progi, nie mówi mi absolutnie nic.

Mimo protestów zdejmuję buty – kapci gościnnych niestety nie mają. Stwierdzam z przerażeniem, że lewa skarpetka ma małą dziurkę, więc w pośpiechu naciągam ją tak, żeby dziura znalazła się pod stopą i nic nie było widać.

Zostaję zaprowadzony do salonu. Przez dziurę w skarpetce czuję klepkę, która klei mi się nieprzyjemnie do skóry.

Rozpoczyna się przedstawianie. Żony na szczęście mam prawo nie znać, bo tylko o mnie dużo słyszała. Bardzo na to „dużo” liczę – wszelkie wspomnienia mogą pomóc coś rozjaśnić.

Siadamy do obiadu.

Rozmowa się nie klei. W przeciwieństwie do spaghetti, które jest nieco przegotowane. I ciut niedosolone, ale nie wiem, czy wypada sięgnąć po solniczkę – właśnie skończyłem obowiązkową porcję zachwyty nad zjawiskiem kulinarnym, które nawijam dzielnie na widelec.

Żona Karola (imię mi umknęło i teraz muszę starannie dopasowywać gramatykę, żeby się nie wydać) nazywa spaghetti pastą. Za moich czasów pasta miała dwie odmiany: do zębów i do butów. Robię mentalną notatkę, żeby dodać do mojego Słownika.

– Słyszałeś, co u Anki? – pyta w pewnym momencie Karol.

– Nie... a co u niej? – Nadstawiam uszu z nadzieją.

– No więc rozwiodła się – wyjaśnia gospodarz. – I przeprowadziła z powrotem do rodziców. I teraz będzie sprawa o mieszkanie. Albo je sprzedadzą i kupią dwa mniejsze, albo ktoś komuś będzie musiał dać dużo pieniędzy!

Fascynujące. I niezbyt pomocne w zidentyfikowaniu, o którą ze znanych mi Anek

może chodzić. W sumie chodzić może o niebagatelny odsetek wszystkich Anek na świecie. Nawet mam chyba jakąś daleką kuzynkę Ankę, która, jeśli się rozwiodła, to bym się nie zdziwił, bo męża miała wyjątkowo niesympatycznego.

Daję za wygraną i opowiadam o nadchodzącej wizycie w sądach na Lesznie, jak nazywa budynek Sądu Okręgowego pan Stanisław. Karolostwo jest bardzo zainteresowane. Dostaję przeróżne Dobre Rady. Na przykład, żeby włożyć krawat. Sam bym na to nigdy nie wpadł.

Przesiadamy się na kanapę i do kawy albo herbaty (ja wybieram tę drugą). Zaczynają się pytania o Japonię. Aha! Odpowiadam uprzejmie: „tak!” i „nie...” jak Puchatek na wizycie u Sowy Przemądrzałej, a mój umysł pracuje w trybie turbo boost: Karol pyta o Japonię. Ergo, wie, że tam byłem. Ergo, ktoś mu o tym powiedział. Ergo... nie ma ergo. Wszyscy znajomi o tym wiedzieli. Ergo, fakt mało pomocny...

Próbuję skierować rozmowę na inne tory:

– Wiesz, tak naprawdę ja ostatnio mieszkalem w Singapurze, a nie w Japonii. To bardzo ciekawe miejsce. Wyobraźcie sobie kraj wielkości Warszawy...

– Ale Tōkyō dużo większe, prawda? I wszyscy mieszkają w hotelach kapsułkowych? – chce wiedzieć Karolowa.

Daję za wygraną i posłusznie opowiadam o życiu w Tōkyō.

Karolostwo słucha jak w transie z wypiekami na twarzach.

Kiedy kończę, Karol wstaje i przynosi butelkę.

– Nie napijesz się? – Karol zatrzymuje szyjkę nad moją szklanką z wyrazem zgorszonego pseudozdziwienia na twarzy. Ten moment, ten jeden wyraz twarzy coś porusza w pamięci... nie, to chyba złudzenie. Tak po prostu wygląda każdy rodak, kiedy mówię, że nie będę pił wódki.

– Sorry, ja samochodem... – wykręcam się, wstając. – Następnym razem, OK?

Pora na pożegnanie. Teraz albo nigdy.

– Wiesz, Karol... – zaczynam z głębokim namysłem – coś tak sobie nie mogę przypomnieć... Gdzie myśmy się ostatni raz widzieliśmy?

– Ostatni raz? Czekaj. Pewnie na pogrzebie cioci Judzi.

Siadam gwałtownie. Trochę za gwałtownie. Pokój wykonuje krótki, triumfalny taniec, a kręgosłup wybucha protestem po zderzeniu z czymś twardym w ramie kanapy.

– Cioci Judzi... – wyduszam z siebie, próbując się nie krzywić z bólu i szukając

w panice szklanki z herbatą, żeby w niej schować nagle olśnienie. Czyli Karol jest...

– Tak, na pewno wtedy. Hej, nic ci nie jest?!

– Nie, nie, przepraszam, herbata trafiła w złą dziurkę... Już dobrze. Czekaj, to było w...

– Osiemdziesiątym pierwszym?

– Osiemdziesiątym pierwszym. To ty miałeś...

– Jedenaście lat.

– Jedenaście lat. – Zaczynam żałować starannie przygotowanego „Nic się nie zmieniłeś” na powitanie. Mam nadzieję, że Karol już o nim zapomniał. Poprawka: mój KUZYN Karol o nim zapomniał. Syn dalekiego wujostwa z Torunia, oczywiście. Nie widziałem ich od... pewnie od tego pogrzebu. I pewnie nie więcej niż trzy razy w życiu wcześniej. Na poprzednich trzech pogrzebach i/lub weselach. Jak ja mogłem się nie domyślić... No jak to jak – przecież ja go widziałem kilka razy w życiu przez kilka godzin, kiedy był jednym z gromady biegających po pokojach dzieciaków! Dzieciaków, na które nie zwraca się uwagi, chociażby dlatego, że następnym razem zobaczymy je dopiero na kolejnym pogrzebie albo weselu...

Wracam do współczesności, bo kuzyn o coś mnie pyta.

– Przepraszam...?

– Mówiłem, że mam do ciebie taką małą sprawę – powtarza Karol.

– Jasne, wał.

– Chodzi o mojego brata. No wiesz, Jędrka. Chyba go pamiętasz?

– No PEWNIE! – Zapisuję sobie szybko w pamięci, że mam również kuzyna Jędrka. – Co u niego?

– A właśnie. W lutym stracił pracę. Może z twoimi znajomościami z Japonii coś by się dało...?

Obiecuję, że pomyślę, i proszę o przesłanie cefalki. To, że sam mam na tym polu problemy albo że fakt mieszkania pięć lat temu w Japonii nie wydaje mi się specjalnie pomocny w załatwianiu komuś pracy, dyplomatycznie przemilczam.

Żegnamy się ciepło i obiecujemy sobie zrobić powtórkę. Wkrótce. I tym razem taksówką, oczywiście. Z rodziną nie wypić – grzech.

Co mu odbiło, że tak mnie nagle pokochał? – zastanawiam się, zbiegając po schodach i wychodząc na ulicę.

Dwadzieścia cztery lata się odzywał, a teraz maile co tydzień. Przecież nie dlatego, że potrzebuje pracy dla brata? Do tego nie trzeba było strumienia maili,

telefonów i zaproszeń na obiad.

Dlatego że mieszkałem kilka lat w Japonii? Aż tak to dziwne, egzotyczne i fascynujące? Czyżbym stał się dla rodziny (kategorii Piąta Woda Po Kisielu) INTERESUJĄCY, bo byłem w JAPONII, a nie dlatego, że jestem... sobą?

Tak jak dla Ewy?

*

Przyjechałem za wcześnie, więc parkuję pod sądem i gaszę silnik, zostawiając tylko włączone wycieraczki.

Odchylam trochę oparcie, siadam wygodniej i słucham deszczu bębniącego w dach.

Patrzę na przechodniów.

Bawię się w Potencjometr Czasu.

Potencjometr jest precyzyjnie skalibrowany. Wyobrażam sobie dokładnie kształt i dotyk perfekcyjnie wyważonego pokrętki. Kiedy je przekręcam, czas się cofa o... powiedzmy, godzinę na każdą sekundę kątową obrotu. Czyli cały obrót to – wyciągam telefon i włączam kalkulator – tak, około stu pięćdziesięciu lat. Świetnie, bo dalej nie sięgam pamięcią. Nawet pamięcią nabytą. Z historii podręcznikowej byłem zawsze beznadziejny. Umysł ściśnięty.

Chociaż trochę też humanista.

W wyobraźni kładę palce na potencjometrze i obracam ostrożnie, płynnie, w kierunku przeciwnym do ruchów wskazówek zegara. Pięć, sześć... siedem lat.

Samochody na ulicy stają się coraz starsze, bardziej kanciaste, brudne i... polskie. Komórki w rękach przechodniów maleją, robią się prostsze. Potem znowu rosną, ale stają się jeszcze prostsze.

Dalej – osiem, dziewięć, dziesięć lat.

Ubrania przechodniów szarzeją, a nad ich głowami, w miejsce kolorowych kapturów kurtek, wykwitają czarne parasole. Włosy wracających ze szkoły uczniów stają się krótsze. Kostka na chodniku zamienia się w asfalt. Znikają komórki. Znika też część sklepów.

Jeszcze odrobinę... dwanaście... trzynaście lat.

Znika większość reklam po drugiej stronie ulicy. Samochody robią się jeszcze bardziej kanciaste, natomiast autobusy i tramwaje – bardziej obłe. Dziewczyny, które przed chwilą wychodziły z salonu telefonii komórkowej do zaparkowanego przed

nim samochodu, pojawiają się w tych samych drzwiach, ale teraz jest to księgarnia. Otulają się mocniej balonistymi, przeźroczystymi, plastikowymi pelerynami i idą na przystanek autobusowy. Patrzy na nie z nadzieją taksówkarz, z ręką zawieszoną nad wielkim żeliwnym taksometrem – jego chorągiewka pokazuje „wolny”.

Obracam potencjometr o kolejny ułamek kąta. Piętnaście lat.

Czerwono-niebieska tabliczka z nazwą ulicy: aleja „Solidarności” rozmywa się i zostaje zastąpiona przez mniejszą, granatową, z białymi literami: Świerczewskiego. Znika połowa samochodów, a białe plastikowe torebki w rękach ludzi wychodzących ze sklepu spożywczego zamieniają się w granatowe i ciemnozielone nylonowe siatki.

Wywalone na wierzch koszule dwóch młodych ludzi wskakują im do spodni.

Śpieszącemu chodnikiem biznesmenowi znika z ręki telefon wielkości cegły, a skarpetki zmieniają się z czarnych w białe.

Szesnaście, siedemnaście...

Orzeł na tabliczce sądu traci koronę.

Dziewiętnaście lat.

Chudy jak szczapa student w sztruksowej marynarce z małym czerwonym podspółem elektronicznym przyklejonym do klapy i płaską skórzaną torbą przewieszoną przez ramię gna na ukos przez skrzyżowanie do tramwaju. Patrol MO zwraca się w stronę studenta, ale tramwaj zamyka już z łoskotem drzwi i rusza. Student opada na pierwsze z brzegu siedzenie. Sięga do torby. Rozgląda się szybko i wyjmuje małą ciemnogramatową książeczkę.

Otwiera ją z przejęciem.

Paszport.

*

„Czy tu mieszka stolarz Lanz?” – przypomina mi się cytata z jakiejś dawno zapomnianej książki.

Przepastna klatka schodowa odpowiada pustym echem.

Ta część budynku przy alei „Solidarności” 127 jest wyjątkowo wyludniona. Chyba znowu się zgubiłem. Zawracam, skręcam, próbuję dla odmiany w prawo. Wchodzę w kolejny długi korytarz.

Większość starych krzeseł i ławek pod ścianami jest pusta. Mijam kilku urzędników i policjanta w mundurze. Mam dziwną nadzieję, że ktoś mnie zatrzyma i zapyta, co ja tutaj robię, że wcale nie powinienem tutaj być; może zostaną surowo

odeskortowany do właściwej części budynku, ale przy okazji przynajmniej się dowiem, gdzie ta część się znajduje.

Nic z tych rzeczy. Wygląda na to, że każdemu wolno przyjść do sądu i się zgubić. Albo posiedzieć sobie na ławce i zjeść kanapkę, jak młode małżeństwo pod salą numer siedemnaście.

Pytam o salę numer cztery.

Wyglądają na zaskoczonych pytaniem i jakby zażenowanych, że się do nich odezwałem. Kręcą przecząco głowami i wracają do lunchu.

Mijam kolejne numery pokoi. Pod jednym z nich siedzi rodzina o rysach prawie japońskich. Przynieśli kilka dodatkowych krzeseł i robią konsylium na korytarzu. Muszę przeprosić, żeby przejść dalej. Odruchowo wyciągam przed siebie dłoń, płasko, pionowo, jak do ciosu karate, i poruszam nią kilka razy w górę i w dół, pochylając przy tym lekko głowę i mrucząc:

すみません ...

Przerywają naradę, w popłochu usuwają krzesła i przepuszczają mnie. Wracają do dyskusji. Odchodząc, łapię strzępki słów i zdaję sobie sprawę, że nie jest to japoński, chiński ani koreański, więc prawdopodobnie wietnamski. Czyli moja mała szopka była dla nich zupełnie niezrozumiała, a może nawet niepokojąca.

Kolejny zaułek.

Sala numer cztery jest oczywiście tam, gdzie byłem już dwa razy, tylko nie zajrzałem do bocznego korytarza za schodami. Siadam na krzesło i patrzę na zegarek. Gutner ma tu być za pięć minut.

Korytarz jest zupełnie pusty. Zza wysokich dwuskrzydłowych drzwi nie dobiega najmniejszy szmer.

Mija mnie stary zgarbiony człowiek w cienkim szarym garniturze ze spodniami przewiązanymi sznurkiem i w sportowych butach. Znoszonych do szarości – już prawie pasują do garnituru. Siada na drugim końcu tego samego rzędu krzeseł. Mamrocze coś pod nosem, zbyt cicho, żebym mógł zrozumieć.

Do zapachu starej boazerii korytarza dołącza coś skomplikowanego, ale na pewno niemytego od zeszłych wakacji.

Chyba przesiadę się na drugą stronę korytarza. Nie – schody rozbrzmiewają uderzeniami obcasów. Wpada zdyszany Gutner, klapie na siedzenie koło mnie, mierzwi burzę mokrych loków i marszcząc się, szczypie w nasadę nosa.

– Słyszałem, że sprawę ma prowadzić sędzina Fabińska – szepczę. – Znasz ją

może? Ale ty nie praktykujesz, prawda?

– Sędzia – odpowiada Gutner. – Pani sędzia. Sędzina to żona sędziego.

Zapada cisza.

– Czy nie powinienesz być ubrać się nieco bardziej formalnie? – pytam, wskazując na jego dżinsy i koszulę z krótkimi rękawami.

– Nie mam zamiaru z tobą wchodzić. Jako pokrzywdzony prawnika nie potrzebujesz. Jestem tu w ramach wsparcia. Wspierać moralnie można w dżinsach. Nawet mokrych.

– No dobrze. Przynajmniej nie masz butów sportowych, jak toto tam – wskazuję dyskretnie.

– Toto tam jest najprawdopodobniej twoim Oskarżonym. Więc z szacunkiem.

– Co??? – podrywam się prawie z krzesła. Patrzę na dziadka, potem szybko gdzie indziej, żeby nie zauważył, ale nie, on jest zbyt zajęty mamrotaniem do siebie.

Nagle rozumiem. Widziałem go raz w życiu, przez trzydzieści sekund, po drugiej stronie ulicy, ale poznaję, poznaję twarz...

– Pan Brakat. – Pracownica sądu w otwartych nagle drzwiach do sali pyta takim tonem głosu, jakby stwierdzała.

– Tak, proszę pani, nazywam się Robert Brakat... – zaczynam.

Ona nie słucha. Wyciąga rękę po dowód, po czym idzie do mamroczącego dziadka po jego dokument tożsamości.

Sala jest duża, prostokątna, z wielkim biurkiem wzdłuż krótszej ściany, tej naprzeciwko drzwi wejściowych i – pod dłuższymi ścianami po lewej i prawej – trzema rzędami siedzeń, odgradzonymi od centralnego parkietu barierką. Siedzeń zupełnie pustych.

Za biurkiem siedzi kobieta w todze z fioletowym żabotem i pisze coś, nie podnosząc głowy. Po prawej – młoda dziewczyna, dziwnie podobna, ale tylko w białej bluzce. Też pisze.

Jest jeszcze jedna kobieta, w todze z czerwonym żabotem, w pierwszym rzędzie siedzeń po lewej. Ma włosy ufarbowane na rudo, co nie pasuje do żabotu. I dla odmiany pisze. W rozłożonym przed sobą folderze.

Poza tym na sali jesteśmy: ja i dziadek mamroczący.

Przebiegam w pamięci wszystkie znane mi seriale prawnicze i zastanawiam się, czy prawnik po lewej to oskarżyciel, czy obrońca, a jeśli obrońca, to gdzie jest oskarżyciel?

Zostaje poproszony o zajęcie miejsca w mównicy znajdującej się w wolnej przestrzeni na środku sali. Kojarzy mi się z amboną w kościele, a trochę z ławką w szkole, ale jest tu ciasno i blat uwiera mnie w brzuch.

Dziadek zostaje usadzony na ławce po prawej, plecami do barierki odgradzającej pustą widownię. Pracownica sądu następnie wychodzi, zamykając drzwi.

Pani sędzia zaczyna odczytywać numer i szczegóły sprawy.

Dziewczyna w białej bluzce pisze zawzięcie. Nie podniosła na mnie ani razu wzroku.

Dowiaduję się, że dziadek mamroczący jest oskarżony o usiłowanie przywłaszczenia sobie mienia w postaci koła samochodu marki Mazda. Przedniego lewego bodajże.

Pani sędzia przekazuje pałeczkę pani prawnik po lewej. Ta otwiera usta i nitychmiast, samym tonem głosu, określa się jako oskarżyciel. Nawet ja czuję się oskarżony.

Odpowiadam na pytania dotyczące pamiętnych wydarzeń z końca marca, kiedy to pobiłem rekord absurdów i odpadły mi wszystkie cztery koła w czasie jazdy. Na szczęście wydarzenia prowadzące do odpadnięcia kół nie są przedmiotem zainteresowania sądu, tylko rola dziadka mamroczącego. Ten zostaje w końcu wezwany na ambonę.

Pani oskarżyciel oskarża.

Dziadek nie słyszy. Robi trąbkę z dłoni wokół ucha, ale to nie pomaga.

Pani oskarżyciel musi się przenieść na prawą stronę sali i krzyczeć mu prosto do ucha.

Dziadek w końcu kiwa głową i mówi:

– Ale ja nie chciałem nic zabrać, psze pani... a po co mnie tam... ja uprzątałem, bo leżało na jezdni, ktoś mógłby wpaść... Panie – zwraca się do mnie nagle – przecież ja nic od pana nie chciałem ukraść!

Robi mi się strasznie głupio. Dlaczego od początku zakładałem, że dziadek próbował sobie przywłaszczyć to nieszczęsne koło?

Do dyskusji wtrąca się pani sędzia, która, z braku adwokata, ewidentnie pełni na ćwierć etatu funkcję obrońcy.

– Czy pokrzywdzony widział, jak oskarżony oddala się z kołem z miejsca zdarzenia? Czy możliwe jest, że tylko przenosił je pod parkan?

– Nie umiem powiedzieć, Wysoki Sądzie... tak, jak najbardziej jest możliwe, że

tylko je przenosił w bezpieczne miejsce, z dala od jezdni.

Pani sędzia rzuca znaczące spojrzenie pani oskarżyciel. Ta kręci głową nieprzekonana, ale wycofuje się na swoje miejsce po lewej.

Dziadek mruczy pod nosem.

Dziewczyna w bluzce pisze zawzięcie.

A temu panu sąd już dziękuje.

Wychodzę na korytarz. Gutnera nie ma. Nie, jest – właśnie zbiega po trzy stopnie z trzeciego piętra.

Opowiadam, co zaszło.

– Dlaczego ten człowiek nie dostał adwokata z urzędu, jak we wszystkich cywilizowanych krajach? – pytam. – Dlaczego sędzia pełniła funkcję obrońcy? Czy to jest sąd, czy latający cyrk Monty Pythona?

– W polskiej procedurze karnej nie ma obowiązku ustanawiania obrońcy z urzędu. Chyba że zachodzą przesłanki tak zwanej obrony obligatoryjnej. Tu nie zachodzą. Artykuł siedemdziesiąty dziewiąty ka ka, paragrafy pierwszy do czwartego. Idziemy? – Gutner podnosi się i rusza w stronę schodów.

– Czekaj. Czy ja mogę coś dla niego zrobić? Pomóc jakoś?

Gutner zatrzymuje się i patrzy na mnie jakby ze zmęczeniem.

– Robert... dość zrobiłeś. Potwierdziłeś, że mógł mieć dobre intencje. Zasada domniemania niewinności. A nawet jakby sąd w to nie uwierzył, ile jest warta używana felga z oponą – z pięćset złotych?

– Moja? Nawet mniej. Felga stara, a opona dość zużyta...

– Nic mu nie robisz. Czyn o niskiej szkodliwości społecznej. Idziesz czy nie?

Wychodzimy. Mam wrażenie, że nigdy się nie dowiem, jak się skończyła historia dziadka mamroczącego.

A na pewno się nie dowiem, jak było naprawdę.

O ile w ogóle istnieje jakieś naprawdę, a nie tylko punkty widzenia.

*

Środa, 5 czerwca 2005

Muzyka z otwartych drzwi restauracji gra tak głośno, że słyszymy ją po drugiej stronie ulicy:

I am just a new boy

A stranger in this town

Where are all the good times?

Who's gonna show this stranger around?

– Nie wiem, czy to był najlepszy pomysł, Hattori. – Patrzę z powątpiewaniem na wesołe i kolorowe przyjęcie w środku.

– Dobry. – Hattori jest nietypowo dla siebie stanowczy. – Robert-san prosił mnie o poznanie z moimi międzynarodowymi znajomymi. Trzeba czasami wyjść z domu, Robert-san.

– Tak, Hattori-san.

– Na Warsaw Outsider Party poznaje się bardzo ciekawych cudzoziemców światowych. To nie będzie jak *reunion* nasza klasa Roberta-san. Znaczący, miałem na myśli...

– Rozumiem, Hattori-san.

– I wszystko jest za darmo. Jedzenie i picie też. A szczególnie alkohole.

– Oczywiście, Hattori-san. Szczególnie alkohole. I nie trzeba mieć zaproszenia, mówisz?

– Jest wolny wstęp dla czytelników magazyn „Warsaw Outsider”.

– Magazynu. Właściwie czasopisma. Ale ja...

– Położyłem na stole w kuchni. – Hattori jest nieugięty. – Czy już przeczytane?

– Tak, kilka stron przeczytałam...

– To Robert-san jest czytelnikiem „Warsaw Outsider”. Przyjęcie dla czytelników. Co miesiąc. Czy możemy już wejść?

Wchodzimy.

Hattori przedstawia mnie kilku znajomym: Australijczykowi, Hiszpance i małżeństwu z Kanady. Polacy stanowią mniejszość – czasopismo jest anglojęzyczne. Domyślałam się, że gdyby było polskie, to na darmowe jedzenie i alkohole w centrum mogłoby się stawić ciut więcej osób, niż jest w stanie pomieścić lokal. Albo dzielnica.

– Widzisz? – ciągnie mnie za rękaw Hattori. – Wszyscy się miksują.

– Masz na myśli, że z sobą rozmawiają?

– Na polskich przyjęciach ludzie się nie miksują. Przychodzą grupami i rozmawiają tylko z własną grupą – stwierdza autorytatywnie Japończyk i idzie się

witać z jakąś znajomą.

Ma rację chłopak. Rozmawiam już z trzecią osobą i jest... normalnie. Jest jak wszędzie na świecie. Ludzie pytają o przyjazne, standardowe głupstwa w rodzaju pogody i wrażeń po ostatnim odcinku *Doktora House'a*, a nie wiecznie: „Jak było?”, „Dlaczego wróciłeś?”, oraz: „Jakie są Japonki w łóżku?”.

Rozmawiam właśnie z wysokim, przedwcześnie łysiejącym blondynem z Nevady. Ma małe, blisko osadzone oczy i okulary w drucianej oprawce. Za moich czasów mówiło się na nie „lennonki”.

Amerikanin opowiada, jak kiedyś chciał latać, ale zamiast pilotem został niechcący maklerem. Wręcza wizytówkę.

– Jeśli byłąś zainteresowany, mam tutaj małe biuro inwestycyjne, sami ekskluzywni klienci, myślę, że mógłbym cię czymś zainteresować...

Zmieniam temat i opowiadam mu o kursie pilotażu, który zrobiłem w Arizonie, mieszkając przez cztery miesiące u rodziców.

– *Cool!* – podnieca się Nevadyjczyk. – Zawsze o tym marzyłem! Polatać nad pustynią. Świeżo wyrobiłeś tę licencję?

– Nie, już z pięć lat temu.

– Latasz tutaj, w Polsce? – pyta.

– Nie, wiesz, nawet mi to nie przyszło do głowy...

– No fakt, nie dziwię się! – zaczyna się śmiać.

Coś go nagle zastanawia w mojej twarzy albo akcencie, bo przerywa rechot i pyta zaniepokojony:

– Ty nie jesteś Polakiem, prawda...?

– Nie, skądże znowu – odpowiadam. – Jestem pół-Grekiem, pół-Litwinem, urodzonym i wychowanym na Islandii.

– Aha, OK, tak myślałem – uspokaja się Amerykanin. Ale chyba wyczuwa, że coś jest nie tak, że może palnął polityczną niepoprawność, bo przeprosza i szybko się ulatnia.

Idę szukać nowego towarzystwa do rozmowy.

Wszyscy chwilowo zagadani, Hattori też przy stole ze swoimi znajomymi wciśnięty między dwie sporo wyższe od niego biuściaste blondynki i chyba niespecjalnie z tego powodu zmartwiony.

Ktoś podkręca muzykę.

Will some woman in this desert land

Make me feel like a real man?

Take this rock and roll refugee

Oooh, baby set me free.

Postanawiam znaleźć bar. Jest, ale nie ma gdzie usiąść. Do knajpy weszła kolejna grupa czytelników „Warsaw Outsider” i robi się tłoczno.

Zatrzymuję kelnerkę.

Dziewczyna zamiast być obrażona i nadęta, jest niezwykle sympatyczna i uprzejma. Uśmiecha się do mnie promiennie i zaprasza:

– Proszę i przepraszam, że o pana nie zadbałam! Jeśli pan woli usiąść, przyniosę dodatkowe krzesło, o, tu się zwolniło miejsce...

Mamrocze coś przepraszając skrępowanego. Strasznie mi głupio, kiedy obsługa jest taka miła. Jest to dziwnie krępujące. Nie wiem dlaczego. W Tōkyō nie miałem takich problemów.

Nurkuję do kieliszka z winem. Wyjątkowo zacna rioja.

Może jeszcze jedną bruschettę?

Zdecydowanie jeszcze jeden kieliszek.

Kątem oka widzę, jak łysiejący makler z Nevady wręcza wizytówkę kolejnej ofierze. Obracam się, bo zachodzi coś ciekawego: ofiara bierze wizytówkę w obie ręce z lekkim ukłonem, czyta ją, po czym obraca, żeby sprawdzić, co jest po drugiej stronie. Na polskich wizytówkach niczego nie ma na rewersie. Ten człowiek mieszkał w Azji.

Rozmówca Amerykanina jest mojego wzrostu i wieku, może trochę starszy, bo już siwieje. Do tego masywniejszy i wyposażony w niebieskie oczy, pokaźny nos oraz krótko przystryżoną czarno-siwą brodę. Nie najrówniej rosnącą zresztą.

Ubrany w dżinsy, wywaloną na zewnątrz białą koszulę z cienkim czarnym krawatem i czarną skórzaną kurtkę motocyklową – ramoneskę. Musi mu być gorąco. Pewnie przechodzi kryzys wieku średniego. Ciekawe, co ja zrobię, kiedy dojdę do tego etapu życiowego. Skuter, skóra i studentka? A może zacznę grać w zespole rockowym na perkusji?

Czekam, aż przestaną rozmawiać. Nie zajmuje to długo. Nieznajomy idzie prosto do baru i siada na wolnym miejscu, dwa stołki od mojego. Zamawia coś do picia. Postanawiam go przetestować, sprawdzić, czy powtórzy trik z wizytówką. Czekam, aż

się obróci. Szczęśliwie muzyka akurat przycicha – grają coś spokojniejszego:

People are strange when you're a stranger

Faces look ugly when you're alone...

Obrócił się. Wyciągam rękę:

– *Hi, I'm Robert...*

– Bruckowski. Marcin Bruckowski. Gajdzinem zwany – ściska mi dłoń. –

Z Heiwadai, Nerima-ku. よろしく. Sorry, nie mam już wizytówek – tutejsze hieny biznesowe oskubały mnie ze wszystkich. Trudno, uklonię się przynajmniej.

– Robert Brakat... O kurczę, Polak z Heiwadai! Co ty tutaj robisz?

– Odpowiadanie na te słowa jest od dwudziestu lat moim stałym zajęciem, ale cóż, opowiem ci, tylko nie teraz. Teraz muszę się niestety ulotnić, czekają na mnie ważne i niecierpiące zwłoki sprawy rodzinne. Powiem tylko, że naprawdę dobrze dajesz sobie radę z tym całym powrotem. Gdy byłem piękny i młody, też próbowałem wrócić. Owszem, przeprowadziłem się tu i tam, nawet w końcu na łono, ale nigdy nie wróciłem. Cóż, młodość przemija – dodaje filozoficznie. – Uroda na

szczęście nie. No, pora na mnie. じゃ、また! – zeskakuje ze stołka barowego. – Pamiętaj jedno – mówi, zatrzymując się jeszcze na chwilę. – Obcym się nie zostaje. Obcym się rodzi.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

Znika w tłumie.

Nieco oszołomiony, idę doszołomić się jeszcze trochę kolejną lampką. Nie jestem pewien, co właściwie zaszło. Może jutro rano mi się coś wyklaruje. Na razie noc jest młoda. Coraz bardziej podoba mi się to, że ludzie się integrują i nie pytają: „Jak było?”. O dziwo, wśród cudzoziemców czuję się mniej obco. Postanawiam zrobić desant na stół Hattoriego.

Towarzystwo jest czymś bardzo rozradowane. Udaje mi się wcisnąć między kanadyjskie małżeństwo a drobną, wesołą Chinko-Austriaczkę. Instruktorkę wspinaczki skałkowej, jak się okazuje.

Poza nią nikt nie zauważa mojego desantu, bo wszyscy są skupieni na Hattorim, którego Australijczyk, zaciągając po angielsku jak Kresowiak, wypytuje o telewizję japońską.

– No, nie mów, kolego, że nie macie programów, w których chłopcy za prawidłową odpowiedź mogą włożyć dziewczynie rękę do majtek. Sam widziałem, jak u was byłem w dwutysięcznym trzecim!

– To nie są gry telewizyjne, tylko programy pornograficzne o takiej konwencji udającej grę telewizyjną – wyjaśnia zmieszany Hattori. – Każdy kraj ma pornografię. W polskiej telewizji przecież też...

– Oj, nie mów mi o polskiej telewizji, kolego – żacha się Australijczyk.

Towarzystwo wybucha śmiechem.

Poza mną, oczywiście.

Łysiejący Nevadyjczyk narzeka na polski zwyczaj odczytywania amerykańskich seriali przez lektora, zamiast dać napisy albo dubbing, jak w cywilizowanym świecie.

Śmieją się, potakują.

Ja wychodzę przed restaurację.

Zaraz dogania mnie Hattori.

– Już wracamy...?

– Nie, nie, Hattori, możesz zostać. Poczułem się nagle dziwnie obc... zmęczony. Może mnie jakiś wirus bierze. Chyba dla zdrowia przejdę się do domu piechotą.

– Dom jest bardzo daleko! – oponuje Japończyk.

– Gdzie tam daleko. Ile to może być – pięć, sześć kilometrów? Spokojnie dojdę w pół godzinki. Nie protestuj, wiem, że w Tōkyō wydawałoby się to chorym pomysłem, ale ja zawsze lubiłem chodzić piechotą.

Hattori jest pełen wątpliwości. Próbuje zrozumieć sytuację:

– Robert-san nie lubi, kiedy cudzoziemcy narzekają na Polskę? Oni są... głośni?

– Masz na myśli 煩い. No fakt, nie lubię. Narzekanie... nic nie daje. Zatrują umysły. Psuje atmosferę. Przyprawia mnie o ból brzucha, a seiroganu nie ma w aptece. Nie lubię, jak to robią cudzoziemcy, nie lubię, jak robią to Polacy. Właśnie, dlaczego nasz naród tak się lubuje w utyskiwaniu na wszystko i wszystkich? Pławi się w swoich nieszczęściach, zamiast się wziąć do roboty i coś zmienić!

– Robert-san właśnie sam narzeka – ripostuje celnie Hattori. – Może wpadł we wrony...?

– OK, masz mnie. I jestem pod wrażeniem twojej znajomości polskich przysłów. Ale wiesz co? Dokładnie tak samo nie lubiłem gajdzińskiego narzekactwa w Japonii. Amerykanie siedzący przy piwie i wiecznie utyskujący na różne lokalne zjawiska,

zamiast na przykład nauczyć się japońskiego i spróbować na nie spojrzeć od strony... lokalnej. Zawsze im wtedy mówiłem: „Jeśli tu wam się nie podoba, to tam, o, dokładnie w tamtą stronę, jest lotnisko. Nazywa się Narita. Samoloty odlatują co godzinę...”.

Hattori się śmieje, po czym dodaje poważnie:

– Oni musieli bardzo tęsknić za domem.

– I wyrażali to narzekaniem...? Kto wie, może masz rację. Pewnie sami nie wiedzieli, że tęsknili, tylko im się to objawiało niechęcią do wszystkiego, co dookoła. Bo jest inne i brutalnie przypomina, że dom daleko? No nic. Leć już do swoich. Bardzo fajni ludzie. Cieszę się, że masz tu własnych kumpli.

Hattori, uspokojony, kiwa głową i wchodzi do restauracji, wypuszczając przez drzwi bąbel muzyki:

„I’m an alien, I’m a legal alien...”.

Zaczynam długi powrót do domu.

*

Czwartek, 9 czerwca 2005

Oglądanie Gutnera za sterami mojej wiekowej mazdy sprawia mi perfidną przyjemność.

– W samochodach ze skrzynią automatyczną lewą stopę się trzyma na podnóżku, panie teoretyk – pouczam z palcem postawionym znacząco na sztorc. – Wtedy przestaniesz walić stopą w hamulec, myśląc, że to sprzęgło.

– Żeby ci nie przypominał, panie mądrała, jak miałeś do niedawna zwyczaj zjeżdżać po każdym zakręcie na lewy pas i ciągnąć pod prąd – sapie Gutner. – Dopóki cię nie zastanowiły przerażone oczy kierowcy samochodu nadjeżdżającego z przeciwka. Tym samym pasem.

– Ach, to drobiazg – macham nonszalancko ręką. – Gorzej było z włączaniem wycieraczek przed każdym zakrętem, bo w Japonii migacze są po prawej, a wycieraczki po lewej stronie kierownicy. Ale i to opanowałem. Jestem jak tempomat adaptacyjny – adaptuję się. No dobra, zaparkujesz czy ja mam to zrobić? Wolniej, wolniej... Bardzo dobrze! Tylko umiarkowanie chrupnęliśmy podwoziem o krawężnik. Robicie postępy, panie G.

Rozpieram się na siedzeniu pasażera, na którym w tym samochodzie jestem po raz pierwszy, i włączam zakupioną na Znany Portalu Aukcyjnym płytę kompaktową

z przebojami *Sześćdziesięciu minut na godzinę*. Śpiewam razem z Janem Kaczmarkiem:

Oj naiwny, naiwny, naiwny,
Naiwny jak ćma, co w ogień się pcha...

– Więcej cię podwozić nie będę – burczy Gutner, walcząc z pasami. – Zresztą poziom alkoholu we krwi masz równy zeru. Nie wróciłeś wczoraj ani bardzo późno, ani bardzo wstawiony.

– Kac za kierownicą jest groźniejszy od paru promili. – Wyciągam palec wykładowy. Mimo lekkiego bólu głowy bawię się prześwietnie.

Zamykam szyby i szyberdach. Jest pochmurnie, ale gorąco, i chętnie bym zostawił uchylone okna, gdyby w tym miejscu nie było tak niebezpiecznie.

Idziemy na Grójecką po listy – kuzynka Alicji dzwoniła, że coś do mnie przyszło. Odbieram dwie koperty. Wezwanie do sądu, już nieaktualne, oczywiście. I druga urzędowa koperta. Siadam na chwilę na parapecie klatki schodowej.

– Gutner?

– Tak.

– Co to jest OFE?

– Pierwsze trzy litery imienia byłej kochanki Hamleta oraz Otwarty Fundusz Emerytalny. Czyli tak zwany drugi filar. Nie wytrzeszczaj oczu, zrobię ci stosowny wykład, tylko nie dzisiaj. Możemy już wracać?

– Ale ja muszę to coś wybrać. Znaczący wybrać OFE. Tak tu jest napisane.

Gutner wzdycha.

– W tej chwili musisz?

– Do trzech miesięcy po powrocie. Co było jakby tydzień temu. Myślisz, że wybaczą mały poślizg?

– Wieczorem w Antykowni. Wszystko ci wyluszczę. Czy możemy wreszcie?

– OK. – Chowam listy do kieszeni. Wstaję z parapetu. Odruchowo zerkam jeszcze przez okno na zaparkowaną na chodniku mazdę. Ktoś się wokół niej kręci...? Nie, to tylko bezdomny parkingowy kieruje ruchem na miejsce obok. Ale zaraz...

– Zaczekaj – zatrzymuję Gutnera. – Jakby tamten maluch parkujący na sąsiednim miejscu przyskrobał mi lakier, to wołałbym to zobaczyć z góry w charakterze świadka.

Gutner, zrezygnowany, wygląda razem ze mną.

– Strasznie się przejmujesz tym samochodem – stwierdza.

– Jakby ci porysowali gwoździem lakier, przebili oponę i z pięć razy ukradli wycieraczki, też byś się przejmował – odparowuję. – Nie moja wina, że ktoś z tego budynku się na mnie uwziął. A zawsze się starałem być taki uprzejmy i pomocny wobec sąsiadów... Nigdy tego nie zrozumieć.

– A ja nigdy nie wrócę do pracy – sapie Gutner. – No, dobrze, sam się prosiłeś. W więcej niż jednym tych słów znaczeniu.

Otwiera na oścież okno klatki schodowej.

– Wychył się nieco – zarządza. – I popatrz. Co widzisz? Nie, tam, na dole.

– Samochody?

– Brawo. Jakie samochody?

– Skoda fabia, polonez, daewoo matiz, octavia, golf drugiej generacji, nowy fiat panda... – wyliczam. – Mój staruszek, potem mały fiat...

– Jaki staruszek?

– No, moja mazda. Zabytek motoryzacji.

Gutner łapie się za głowę. Po czym łapie oburącz moją i kieruje mi wzrok na parking.

– Człowieku, czy ty naprawdę tego nie widzisz? Ile lat ma ten twój samochód?

– Auć, puszcza! Dziesięć. Sto dwanaście tysięcy kilometrów na liczniku, to zabytek!

– Boże, Ty widzisz i nie grzmisz... A pozostałe samochody?

Milknę. Kilka z nich faktycznie może mieć więcej lat.

– I co jeszcze różni je od twojego?

– Bo ja wiem...? Brudniejsze...?

Gutner wznosi oczy do nieba, gestem dziwnie Alicjowym.

Schodzimy po schodach. Palec Gutnera staje na sztorc, co tym razem przyjmuję z pokorą.

– Szanowny panie R. Przyjeżdżasz do kraju i kupujesz sobie sportowy samochód, wyglądający jak milion dolarów.

– Jaki sportowy? To tylko mazda MX-6 z silnikiem dwa i pół litra, zaledwie sto sześćdziesiąt cztery konie. Gdzie sportowy? Niedrogi, nieduży samochód miejski, jakich w Tōkyō na ulicach pełno! Tylko nie z takim przebiegiem; po stu tysiącach kilometrów w Japonii samochód idzie na złom – protestuję.

– Człowieku, on WYGLĄDA jak sportowy! A lakier ma, jakby wczoraj opuścił fabrykę.

– Poprzednia właścicielka trzymała go w garażu i używała raz na tydzień, na zakupy... – wtrącam.

– Cicho. Otóż kupujesz sobie piękny srebrny sportowy samochód. Myjesz go i woskujesz co tydzień, nawet opony mu nabłyszczasz, nigdy nie rozumiem po co, przecież opony są po to, żeby były brudne. Następnie parkujesz pośród starych, zakurzonych, zmęczonych zabytków poprzedniej epoki. Albo równie zmęczonych emerytów i rencistów ze sznura lawet, który się ciągnie stąd do Berlina, odkąd weszliśmy do Unii. To budzi ludzką zawiść. ZA-WIŚĆ, rozumiesz?

Staram się zrozumieć.

– Czyli gdybym ją rzadziej mył, to by mi jej nie dewastowali?!

Gutner jest załamany moim niepojęctwem i już nic nie mówi.

Wychodzimy na ulicę.

Patrzę na zaparkowane samochody i robi mi się głupio.

– Problem z tobą, panie R. – mówi Gutner, wsiadając do mazdy, tym razem na fotel pasażera – jest następujący. Patrzysz na świat przez wielobarwne okulary swojej przeszłości. Dla ciebie to może być przeciętny, nawet skromny samochód. Dla mieszkańców TEJ ulicy to jest sportowa superbryka. A TY – zarozumiały bubek, który stara im się udowodnić, że są nic niewarci, bo na taką ekstrawagancję ich nie stać. I nigdy stać nie będzie.

– Ale nawet jeśli ktoś uważa tę mazdę za więcej wartą, niż jest, dlaczego miałyby się na niej wyżywać? – Dalej nie rozumiem. – Gdyby mój sąsiad kupił porsche, to bym się cieszył, a nie wkurzał. Cieszył, że mu się powiodło w życiu, i, że na mojej ulicy stoi coś tak pięknego.

– Jesteśmy narodem zawistnych baranów, panie R. – Gutner wzrusza ramionami. – Lepiej się z tym oswój.

– Mam DOŚĆ osławiania – mówię dobitnie, ruszając z piskiem opon i patrząc z satysfakcją, jak Gutner błyskawicznie łapie prawą ręką uchwyt nad drzwiami. – Mam dość wszystkiego, słyszysz! Nie tak miało być! Jeśli tu nie ma miejsca dla mojej mazdy, to może i dla mnie!!! – Wciskam gaz do deski. – Zaraz powiesz, że się nie umiem adaptować. – Gutner nic nie mówi, bo jest blady i trzyma się kurczowo uchwytu, już oburącz. – Otóż UMIEM, do ciężkiej cholery! W Japonii się świetnie zaadaptowałem i nikt mnie nie opieprzał trzy razy dziennie ani nie wandalizował mi samochodu!!!

Zakręć! Z włączonymi wycieraczkami zamiast migacza i przeraźliwym piskiem opon wpadam z Wery-Kostrzewy w Żwirki i Wigury.

Tył mazdy zarzuca i muska barierkę na skraju jezdni.

Wciskam hamulce. Elektronika robi swoje – prostuję tor jazdy i odjeżdżam, już spokojniej, w stronę Mokotowa.

W lewym lusterku wstecznym widzę długą, paskudną ranę drapaną, ciągnącą się od drzwi pasażera aż do tylnego zderzaka.

*

Piątek, 10 czerwca 2005

Siedzę w kuchni, dmucham w herbatę i próbuję znaleźć jakieś argumenty przeciw. O, mam:

– Przecież chciałeś jechać w lipcu pod Grunwald! Robić zdjęcia rycerzy zbrojnych okładających się mieczami. Tego w Japonii nie zobaczysz! Nie, no w sumie zobaczysz, tylko w trochę innych zbrojach. Ale zawsze – to niezwykle polski widok – rycerze i Krzyżacy!

Hattori wsysa powietrze przez zęby i kręci głową:

– Nie mogę, Robert-san. Bilet lotniczy ważny tylko rok.

Zastanawia się. Czuję, że to był powód pierwszy, a teraz dowiem się drugiego, czyli prawdziwego.

– Muszę odnowić kontakty w Japonii. Kontakty ludzkie – bardzo ważne w biznesie. Tak?

– Dokładnie tak, Hattori. Ale mamy internet i telefon, a Gutner ma nawet kamerkę w komputerze...

– Nie to samo. – Kręci głową zdecydowanie. – Robert-san powinien rozumieć.

Odstawiam kubek.

– Jasne, rozumiem. Trzeba się od czasu do czasu ukłonić, wymienić wizytówki i iść na zdrowo zakrapiane fałszowanie, czyli karaoke. Ale...

– Tak. – Hattori wstaje. – Robert-san bardzo dobrze rozumie. Ja muszę pojechać. Bilet się kończy za dwa tygodnie.

– Aaa, tak, i owszem, już wspominałeś. Daj, wstawię naczynia do zmywarki. Chyba pora na ciebie? Twoja zmiana w Antykowni się zaraz zaczyna. Ja napiszę jeszcze maila do rodziców i wpadnę tam... – patrzę na zegarek – za godzinę? Góra dwie?

– Dziękuję, Robert-san.

– To ja dziękuję, Hattori-san.

*

Ebonitowa słuchawka chłonie ciepło z gorącego ucha.

Albo mam gorączkę, albo jakieś resztki moralności, którym nie podoba się koncepcja podsłuchiwania.

Szczególnie kiedy przestępstwo jest popełniane z pełną premedytacją – obwód umożliwiający słuchanie, co mówią ludzie na łączu Antykownia-kamienica, nie zaprojektował się sam. Ani sam nie zlecił instalacji panu Grzegorzowi.

Ktoś jest wreszcie na linii. Gutner. Z Moździerzewskim. Liczyłem na pana Mecenas, którego jakoś nie mogę poznać. Kurczę, jak brzydko podsłuchiwać przybraną rodzinę. Ale muszę. Poza tym sprawia mi to perfidną przyjemność. Ciągłe coś przede mną ukrywali. Pora na odwet.

– Ależ wielce...

– Nie, stary, gdzie, skąd. Mamy zamówienia do końca miesiąca. I mamy Roberta.

– Czy nie uważasz przypadkiem, mój drogi, że nasz młody przyjaciel posiada jeszcze ograniczone doświadczenie?

– Pewnie, że uważam. Ale tak chciał Mecenas. Na wypadek gdybyś zapomniał.

Przyciskam ucho mocniej do słuchawki. Do tej pory złapałem ich na linii trzy razy, ale zawsze mówili tylko o dostawach, wysyłkach i cenach. Teraz zapowiada się ciekawiej. Na to czekałem...

– Ależ pamiętam, pamiętam. I co powiesz, wielce szanowny, stary przyjacielu? Jak zwykle nasz dobrodziej Mecenas miał rację, he? Chłopak jest arcyznakomity, jeśli mogę użyć tego śmiałego epitetu. Aklimatyzuje się szybciej, niż ty się aklimatyzowałeś po powrocie, he, he...

– Dobra, dobra. Może i się aklimatyzuje. Ale za chwilę będzie miał kryzys.

– Myślisz, że wróci? Tak, jak ty kiedyś wróciłeś...?

– Jasne. Doszedł do etapu powrotu chwilowego. Wszyscy dochodziliśmy. Ma dość wszystkiego, co tu inne, niż sobie wyobrażał. Pojedzie, odkryje, że

mu w tej Japonii wcale nie lepiej, że pamięć pozłaca rzeczywistość. I wróci. Albo nie. À propos: wrócisz w końcu z tej kolacji? Jestem sam z Hattorim, a klientów w grafiku stado.

– Dobrze, dobrze, powiem Lusi. Daj mi jeszcze pół godzinki, kochany, w imię starej przyjaźni, że tak powiem. Zrobiła fenomenalne, jeśli mogę tak nieskromnie ocenić, cepeliny. Ze skwareczkami. Koniecznie musisz do nas zajrzeć po pracy, bo...

Odrywam słuchawkę od ucha, które za chwilę dokona samozapłonu. Biorę oddech, bo go nie wiedzieć czemu powstrzymywałem – mikrofon przy podsłuchu jest odłączony.

Śwędzi mnie skóra w pięciu miejscach. Nie wiedziałem, że sumienie śwędzi. Myślałem, że tylko wyrzuca.

Drapię się w plecy jedną ręką, a drugą sprawdzam godzinę na telefonie. Chyba nie jest za późno. Teraz albo nigdy.

Biegnę do łazienki na szybką lustrację. Przeciagam po włosach szczotką Alicji. Usuвам ze szczotki siwy włos, bo pozna i będzie opieprz. Poprawiam koszulę w spodniach. Alicja wiecznie mi każe ją wyciągnąć na wierzch, ale są jakieś limity adaptacji do współczesności. W wyciągniętej koszuli wyglądam idiotycznie. Jak obwieś.

Wkładam kapcie klatkoschodowe i zamykam ostrożnie drzwi.

Jedno piętro w dół.

Drugie.

Stoję przed ostatnimi drzwiami w kamienicy, za którymi jeszcze nie byłem.

Pukam.

Cisza. Nie, kroki. Chyba poznaję te kroki...

Tak, to Kozak.

– Pan Mecenaz czeka na pana Roberta – mówi.

Idziemy przez słabo oświetlony korytarz. Stara klepka trzeszczy cicho, jakby narzekając, że przerywamy jej wieczorną drzemkę.

Pokój na końcu korytarza wcale nie jest lepiej oświetlony. W półmroku widzę tylko jaśniejsze paski grzbietów niektórych książek na półkach wypełniających szczególnie ściany.

Po chwili – zarys postaci w fotelu, na pół ukrytej za starym, rzeźbionym,

dwuczęściowym parawanem z mosiężnymi zawiasami.

Siedzi do mnie tyłem i trzyma na kolanach... tak, klawiaturę.

Chcę podejść bliżej, ale Kozak robi krótki, stanowczy gest – mam zostać dokładnie tam, gdzie jestem. Sam staje koło fotela, bokiem do mnie, wpatrując się w coś poza zasięgiem mojego wzroku. Z lekkiego sinawego odbłasku na jego twarzy wnioskuję, że jest to ekran.

Zapada cisza. W której coś syczy, posykuje słabo, leniwie i rytmicznie, jak morską falą. Jakaś aparatura medyczna?

Stuk klawiatury. Rytm trochę nierówny, ale wcale nie wolny – jak w wykonaniu kogoś, kto kiedyś pisał dużo i szybko.

Kozak odchrząkuje i zaczyna czytać z niewidocznego ekranu.

– Pan Mecenas pozdrawia pana Roberta! I mówi mu tak: dziękuję panu za pomoc. Moi przyjaciele i partnerzy są jednogłośni w swoich pochwałach dla pana. Jestem zaszczycony, mogąc pana tutaj gościć.

– To ja dziękuję... Gutner zawsze był niezwykle pomocny, państwo Moździerzewscy przygarnęli mnie jak rodzinę, nawet Alicja... tak, to ja dziękuję.

Klawiatura rusza do seryjnego stukania.

– Czy ma pan do mnie jakieś pytania albo prośby?

– Dlaczego akurat ja? – mówię, nie zastanawiając się, chociaż przyszedłem tutaj, nie bardzo wiedząc, o co zapytam. – Przecież oni mogliby znaleźć daleko bardziej kompetentnych ludzi do pracy w Antykowni...

Tym razem stukanie zajmuje dłużej. Stanowi dziwny, synkopowany kontrapunkt dla wolnego posykiwania ukrytej aparatury. W końcu Kozak chrząka i zaczyna:

– Dziękuję za szczere pytanie. Wyjechałem z ojczyzny w młodym wieku i nie do końca z własnej woli. W ciągu tych wszystkich lat, w różnych krajach, pomogli mi różni ludzie. Bez ich pomocy bym nie przeżył. Ale przeżyłem i osiągnąłem pewien sukces. Teraz moja kolej. Pomagam starym znajomym i – kiedy ich zabraknie – ich potomkom. Pomagam tym, którzy są tacy, jak ja byłem kiedyś. Nie możemy wynagrodzić wszystkich niesprawiedliwości. Możemy sobie tylko nawzajem pomagać.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale Kozak podnosi rękę – pan Mecenas jeszcze nie skończył.

– Wiem, że nikt nie lubi przyjmować pomocy. Proszę jednak w ten sposób nie myśleć. Pan też pomaga. Sensem naszego istnienia jest wzajemna pomoc. Nie ma

większej wartości.

Cisza. Sssss... Ssssss...

– Czy Gutner i Moździerzewscy też są... odbiorcami pana pomocy? – pytam cicho. Stuk-stuk-stuk-stuk. Stuk, stuk-stuk...

– Tak. A ja z kolei zawsze byłem, jak pan to określił, odbiorcą ich pomocy. Jest pan bardzo inteligentnym młodym człowiekiem. Proszę się nie wahać odwiedzić mnie w przyszłości. Teraz muszę już pana przeprosić.

Kozak odprowadza mnie do drzwi. Żegna skinieniem głowy. Ja kłaniam się formalnie.

– Dziękuję panu – mówię. – Dziękuję bardzo.

Kozak się uśmiecha, co w jego wykonaniu wygląda jak kadr z filmu grozy, i też próbuje wykonać ukłon japoński.

Wracam do siebie zamyślony.

W Japonii nie miał kto mi pomagać. I jakoś dawałem sobie radę.

Czas na powrót chwilowy?

*

Sobota, 25 czerwca 2005

Hattori śpi jak zabity. Drapię się w zamyśleniu po łydce i patrzę przez okno na mokrego przestwór oceanu upstrzony widocznymi już z tego pułapu statkami. Nigdy nie umiałem spać w samolocie.

Wysepki. I lotnisko. Nawrót i podchodzimy do lądowania od południowego wschodu.

Powinienem się czuć znajomo i swojsko.

Nie czuję nic takiego. Żadnego „Witaj, druga ojczyzno”. Ani nawet „*Home, sweet home*”. Może dlatego, że nigdy nie lądowałem w Ōsaka, na Kansai International. Może gdyby to była stara, znajoma Narita, czułbym się inaczej. Bardziej... wracając.

*

– Masz mojego maila, tak? Jakbym miał zostać w Tōkyō dłużej niż tydzień, dam ci znać. Ale nie sądzę. Czyli widzimy się w przyszły weekend. Pozdrów rodziców, OK? Cieszę się, że ich wkrótce poznam. No, pora na mnie.

– Do zobaczenia, Robert-san.

– Do zobaczenia, Hattori-san.

*

Wysiadam z pociągu o piątej. W pierwszej chwili jestem nieco zdezorientowany. Po jedenastogodzinnym locie, przesiadkach, kilku godzinach w shinkansenie i czekaniu, aż ruszy poranny pociąg lokalny, trudno się dziwić.

Dezorientacja wynika też z faktu, że przebudowali stację. Tu nie było kiedyś domu towarowego. Zbiegam po schodach z kładki nad peronami. O, znajoma klinika. I parking rowerowy. Nawet słup z reklamami został, tylko reklamy inne. Przynajmniej już wiem, gdzie jestem.

Jestem w Tōkyō.

O piątej rano.

Bardzo blisko mojego dawnego domu, który już nie jest moim domem, więc będę musiał zamieszkać w horrendalnie drogim (jak na polskie zarobki) hotelu biznesowym. W pokoiku rozmiaru służbówki Alicji.

Ziewam.

Zaciskam mocniej paski ciężkiego plecaka i nurkuję w tłustą, gorącą zupe, znaną lokalnie jako tokijski czerwiec.

Wróciłem?

Za rogiem uśmiecha się do mnie automat z zimnym piwem.

Wróciłem.

*

Płynę spokojnie korytarzem wzdłuż rzędu owalnych okien. Właściwie nie okien, tylko ekranów komunikacyjnych udających okna, które przepuszczałyby za dużo promieniowania kosmicznego. Zatrzymuję się przy jednym z nich i układam wygodnie do małej kontemplacji.

Za oknami – nic. Jak zwykle. Kosmos widać tylko w durnowatych filmach *science fiction*. Nawet go w nich czasem słyszać. To takie wzruszająco hollywoodzkie...

Musiałem pomyśleć za głośno, bo szef zespołu kulturoznawców zatrzymuje się przy moim ekranie, chwyta mackami dwie biegnące wzdłuż korytarza poręcze komunikacyjne i otwiera ramiona, napinając membranę głosową do komunikacji:

– Jak oni mogą robić krótkie loty orbitalne mimo drastycznego niezrozumienia praw fizyki?

Nie chce mi się zmieniać wygodnej pozycji, ale szefowi trzeba odpowiedzieć. Puszczam jedną macką poręcz okalającą ekran, rozkładam ramiona i nadaję:

– To nie jest tak, że Ziemianie nie rozumieją praw fizyki. Fakt, rozumieją je inaczej i maksymalnie komplikują pewne proste zjawiska, ale oni już tacy są – komplikowanie to ich specjalność. W każdym razie koncepcję refleksji i refrakcji fal elektromagnetycznych w swoim zakresie widzialnym rozumieją. Rozchodzenie się fal dźwiękowych też. W pewnym sensie zostali nawet mistrzami w generowaniu bardzo skomplikowanych układów vibracyjnych, nazywają je muzyką.

– Ale te filmy, które ściągałismy z twojej pamięci? – szef nie jest przekonany.

– Trzeba było mnie zapytać, zanim je ściągnęliście i wymazaliście oryginalne wspomnienia z okresu pobytu na tej planecie – odparowuję. – Teraz wiem tyle co wszyscy. Mogę tylko przeglądać zapisy z zarejestrowanych wspomnień. Co nie znaczy, że je rozumiem.

– A jednak coś rozumiesz – nadaje szef, odwijając z poręczy komunikacyjnej jedną mackę, a tym samym kurcząc nieco ramiona, przez co jego głos staje się... szeptem. Tak to się chyba nazywało na Ziemi. – Rozumiesz więcej niż wszyscy. Może ci nie do końca wymazaliśmy poprzednią osobowość?

– Nie, on taki już był, jeszcze zanim go umieściliśmy na tej szalonej planecie! – rozwibrowuje się za mną. Nie mogę się obrócić, bo złożyłyby mi się ramiona i nie miałbym jak odpowiedzieć, ale podnoszę wyżej oko i zwiększam zakres widzenia do szesnastu kątów. Aha, to szef bezpieczeństwa. Nigdy go nie lubiłem. Postanawiam uciąć tę dyskusję.

– Słuchajcie, sprawa jest prosta. W ziemskich filmach współistnieją elementy realistyczne oraz abstrakcyjne, czyli artystyczne. To jakby dwa aspekty tego samego. Dźwięk wybuchów w kosmosie generuje emocje...

– Artystyczne? Abstrakcyjne? Emocje? – obaj patrzą na mnie zdumieni. Jak na... kosmitę. Zaczynam się bać, że...

– Do reprogramowania z nim! – grzmi szef bezpieczeństwa. – Trzeba mu znowu wymazać osobowość z tych ziemskich dziwactw, i tym razem porządnie! Dawać go tu! – Wyciąga po mnie macki.

Odruchowo mocniej owijam moje wokół poręczy komunikacyjnych i obudowy ekranu. Coś ciągnie mnie z tyłu i szarpie.

Szarpie miarowo i coraz mocniej.

Narastający głos powtarza:

_ 外人さん、ベンチに寝てはいけません！

Otwieram oczy.

Nade mną pochyla się japoński policjant.

– Nie wolno spać na ławkach w parku, panie obcy!

Rozdział 13

Księga Powrotów

Niedziela, 5 czerwca 2005

Klimatyzacja w hotelowym pokoiku jest stara i zmęczona życiem. Charcząc i posapując, toczy nierówną walkę z lepkiem, tłustym upałem na zewnątrz.

Siedzę na brzegu łóżka, dotykając kolanami przeciwnej ściany, i drapię się w plecy. A raczej próbuję się drapać, bo nie mogę sięgnąć. Wysypka jakaś?

Włączam telewizor. Wiadomości, durnowaty teleturniej, reklama z chórkami gospodyń domowych śpiewających peany na cześć proszku do prania, durnowaty teleturniej, japońska telenowela. Odkładam pilota i siadam głębiej na łóżku, podkładając sobie poduszkę pod plecy.

Światło telewizora migocze na podłodze przed składanym sedesem, gdzie ogromny karaluch przycupnął i ogląda telenowelę razem ze mną. Tupię na niego nogą. Przygląda mi się z zaciekawieniem. Pewnie zbyt wielu gajdzinów słowiańskich mu się tu nie wprowadza. Tupię mocniej – zmyka obrażony.

Wstaję i idę półtora kroku na drugi koniec pokoju, do okna. Odsuwam nieprzezroczystą szybę. Uderza mnie zapach pleśni, rdzy i rozgrzanych spalin. Po chwili – niski, namolny pomruk miasta.

Widok się nie poprawił, bo przed oknem wisi kawał plastiku falistego, równie nieprzezroczystego co szyby w oknie. Wspinam się na palce, żeby spojrzeć na świat nad plastikiem. Wita mnie identyczny plastikowy ekran domu stojącego półtora metra dalej.

Trzeba będzie wyjść i odwiedzić stare kąty. Przecież się stęskniłem, nieprawdaż?

*

W moją starą uliczkę trafiam bez omyłki. Kilka sklepów się zmieniło i wszyscy przechodnie albo rozmawiają przez telefon komórkowy, albo przynajmniej trzymają go w ręku. No, i cudzoziemców jest więcej – mijam już piątego. Poza tym jak za dawnych czasów. Nawet kabiny kąpielowe na rogu są i działają. Czyli nadal wiele starych, małych mieszkań nie ma łazienki. Zakręcam na rogu przy znajomym sklepie z naftą, gdzie zimą biegałem kupić kolejną bańkę do piecyka. XXI wiek i ogrzewanie naftowe.

Dobrze, że pewne rzeczy się nie zmieniają. Nadmiar zmian kruszy bezpieczne fundamenty rzeczywistości.

Gorzej, że spożywczego za rogiem nie ma. A tak się cieszyłem na spotkanie z właścicielem, który zawsze był dla mnie bardzo miły i w biednych czasach studenckich wsparł nieraz bułkami niesprzedanymi do końca dnia. Przywiozłem mu mały prezent – słoik polskiego miodu. Niestety. Po sklepie ani śladu. Na miejscu starego domu ze sklepikiem prowadzonym przez tę samą rodzinę od początków zeszłego stulecia stanął wyzuty z osobowości dwudziestoczworgodzinny minisupermarket sieciowy. Postęp.

Idę dalej. Skręt w prawo, sto metrów, przyciskam się do muru – ulicą jedzie minivan, prawie tak szeroki jak sama ulica – jeszcze jeden zakręt, dwadzieścia metrów prosto i jestem.

Staję przed moim starym domem. W pierwszej chwili go nie poznałem, bo miejsce zardzewiałej blachy falistej zajęła konstrukcja z brązowych kształtowników aluminiowych i plastiku falistego. I dobrze – to nigdy nie zardzewieje. Poza tym chroniący prywatność ekran się rozrósł i zasłania teraz większość piętra. Czyli pani Okizawa dobudowała więcej mieszkań do wynajęcia. Może dzieci dorosły i się wyprowadziły? Ile one mogą mieć teraz lat – dwadzieścia? Więcej?

Za to u sąsiadów czarne ze starości ściany *apaato* zmieniły się w olśniewająco białe kafelki nowoczesnego *manshion*. Jest nawet parking dla samochodu sąsiada – prostokątna wnęka wykuta w murze domu. Parkuje w niej biała, nowiutka toyota camry, wciśnięta we wnękę – wolnych zostaje tylko kilka centymetrów z każdej strony. Przyglądam się. Na wysokości lusterka wyłobiono w murze dziurę, umożliwiając samochodowi przytulenie się do ściany o pięć centymetrów bliżej. Inaczej wystawałby na ulicę.

Dlaczego on nie kupi czegoś trochę mniejszego, jakiegoś avensisa na przykład, jeśli już lubi toyoty?

Prestiż, oczywiście.

Wracam do starego domu, obchodzę go i wbiegam na metalowe schodki. Nadal dudnią. I faktycznie, na piętrze jest teraz pięć zamiast dwóch mieszkań.

Zbiegam i dzwonię do drzwi frontowych.

Odgłos kroków, potem dłuższa cisza.

– Kto tam? – dobiega w końcu zza drzwi przestraszony kobiecy głos.

– Brakat... Robert Brakat. Kiedyś u państwa mieszkalem.

– Mąż jest teraz zajęty! – słyszę. Nie zrozumiała.

– Chciałem się przywitać... Jestem dawnym wynajmującym!

Drzwi odsuwają się o ułamek grubości ludzkiego włosa.

– O co chodzi, jeszcze raz...? – pyta głos zza szczeliny.

Po kolejnych trzech minutach przekonywania, że nie chcę szanownej gospodyni niczego sprzedać ani nawrócić jej na żadną religię, drzwi się odsuwają. Ubrana klasycznie w fartuszek młoda kobieta gnie się w ukłonach i zaczyna mi przygotowywać kapie gościnne. Przeprasza, że nie mówi po angielsku. W którym to języku nie powiedziałem ani słowa.

Mimo przerażenia najazdem kosmity zaprasza mnie drżącym głosem do salonu.

Salonu znanego mi dobrze z comiesięcznych wizyt, kiedy wręczałem czynsz. Ale teraz zupełnie zmienionego. Nowe meble, a w dalszej części pokoju, gdzie wtedy były maty, twarda podłoga. I sofa. Zrobiło się bardziej po europejsku i zamożniej. Pięć mieszkań do wynajęcia na piętrze z pewnością pomaga.

Dostaję zieloną herbatę.

– Jeśli interesuje pana mieszkanie, to mamy znajomą agencję nieruchomości przy stacji, mogę dać adres... Ale nie mogę obiecać, że będą tam... uczynni dla cudzoziemca.

– Dziękuję bardzo! Nie, nie chcę wynająć, ja po prostu tutaj mieszkałem, przez trzy lata, od roku dziewiątego do jedenastego ery Heisei. W ogóle mieszkałem w Japonii trzynaście lat – od roku sześćdziesiątego drugiego Shōwa.

Zapada cisza. Gospodyni zastanawia się, czego właściwie od niej chcę, i czy dzwonić do męża, czy wołać sąsiadów na pomoc.

– Chciałem tylko się przywitać z panią Okigawa. Była bardzo dobrą i miłą gospodynią.

– Ach, ma pan na myśli matkę męża... Ona zmarła trzy lata temu.

– Nie wiedziałem... Bardzo mi przykro.

– Dziękuję panu. Ja prawie jej nie znałam... Pobraliśmy się już po jej odejściu.

Zastanawiam się, czy poprosić ją o pokazanie mi mojego starego mieszkania, ale widzę, że jest zestresowana całą tą sytuacją, i odpuszczam sobie. Zresztą pewnie jest wynajęte i nie będę robił bogu ducha winnemu lokatorowi bliskiego spotkania trzeciego stopnia.

Odbieram zwyczajową porcję pochwał za mój japoński. Jakby nie usłyszała, że mieszkałem tutaj trzynaście lat.

Żegnam się i wkładam buty. Zastanawiam się przez moment, czy nie podarować

jej słoika miodu, ale od razu rezygnuję – nie chcę przeciągać tej wizyty.

Kłaniam się jeszcze raz i wychodzę.

*

Na ulicy para licealistów stroi szalone miny do kamery w automacie sprzedającym papierosy. System ma za zadanie zidentyfikować wiek po rysach twarzy. Co robi w sposób wielce niedoskonały, jak to algorytmy do analizy obrazów.

Miny działają i paczka Mild Seven trafia do nastoletnich rąk. Chichoczą i zwiewają, zanim ktoś zauważy.

Czyli nadal prawo jest surowe, technologia je wspiera i nadal wszyscy prawo obchodzą, a technologię sprytnie oszukują. To samo było za moich czasów z „zepsutymi” maszynami z piwem, które magicznie nie wyłączały się po jedenastej wieczorem, czego wymagają przepisy.

Japonia wcale nie jest taka inna od Polski.

Różna tylko na powierzchni, tak jak ludzie różnią się bardziej na wierzchu niż w środku.

*

Środa, 29 czerwca 2005

Strasznie drogi ten yen. Na początku kupowałem po prostu w sklepie spożywczym artykuły, do których byłem kiedyś przyzwyczajony. Teraz zacząłem liczyć ceny. W dolarach singapurskich, bo tak łatwiej. W Polsce mieszkalem tylko trzy miesiące, dolar singapurski jakoś lepiej przekłada się na decyzje „stać mnie / nie stać mnie”.

Czekam w kolejce do kasy. Drapię się w ramię i obserwuję ekspedientki.

Oczywiście odżywają w pamięci zakupy z Hattorim miesiąc... nie, jakieś trzy tygodnie temu.

Ekspedientka jest miła, uprzejma i totalnie zaprogramowana.

Wyobrażam sobie, co bym powiedział Hattoriemu, gdyby stał tu koło mnie.

– Otóż zapewniam cię, Hattori-san, że ta panienka uśmiechnęłaby się dokładnie tak samo i zaszczębiotała te same grzeczne słówka, gdybym był pingwinem.

Hattori chichocze, i chociaż robi to tylko w mojej głowie, też się śmieję, na głos, przyciągając liczne zdziwiono-zgorszone spojrzenia w kolejce.

– Możemy przetestować – proponuję.

– Ale Robert-san nie jest pingwinem – stwierdza Hattori z rozbrajającą logiką. Jak to on.

– Pingwinem nie – odpowiadam – ale kosmitą tak. Zaraz ci zademonstruję.

Dochodzę do kasy i przemawiam w swoim najlepszym wcieleniu mistrza Yody. Po polsku.

– Kiedy dziewięćset lat będziesz miała, tak dobrze wyglądać nie będziesz! Strzeż się, młoda ekspedientko. Nieładnie gapić się jest. Lęk, ignorancja. Ciemną stroną mocy one są. Raz zejdziesz na mroczną ścieżkę, na zawsze zawładnie ona przeznaczeniem twoim. A więc znowu mierzysz pietruszkę tę? Rozmiar nie ma znaczenia. Czy i mnie oceniasz po rozmiarze? Zapłacić teraz musimy. Zaiste wysoka ta cena jest... Ale naszym sprzymierzeńcem – Visa. I potężnym sprzymierzeńcem ona jest!

Panienka uśmiecha się słodko i z gracją przepuszcza moje zakupy przez kasę, ani nie za szybko, ani nie za wolno, perfekcyjnie eleganckimi, profesjonalnymi ruchami, szczebiocząc przy tym standardowe grzeczności.

– Widzisz? – triumfuję. – Wygrałem.

Hattori nie odpowiada. Znikł z mojej głowy.

Pora zapłacić.

*

Akihabara wiele się nie zmieniła. Tylko połowa sklepów komputerowych została zamieniona na jakieś mekki fanów anime i gier komputerowych.

I cudzoziemców wszędzie pełno. Różnej maści. Technicolor wypiera sepię.

Przechodzę pod torami Yamanote-sen na drugą stronę Akihabary, do Kanda Izumichō, dzielnicy wąskich uliczek i starych domków, gdzie... Gdzie już ich nie ma.

Stoję totalnie zdezorientowany, ale interaktywna mapa w japońskim telefonie nie kłamie – jestem przed moją starą szkołą masażu. Tylko że teraz jest to lśniąca nowość, sześciopiętrowy *manshion*. Reszta domów w tym samym stylu. I masa biurowców. Ulice trochę poszerzono – musieli burzyć i budować, nie kierując się nawet oryginalną mapą dzielnicy pamiętającej czasy Edo.

Szukam czegoś, czegokolwiek, co by zostało po czasach mojego młodu, jak mawia pan Stanisław.

Nic. Poza nazwami ulic, których nie ma tak samo jak dawniej.

Zatrzymuję salarymana wychodzącego z biurowca obok.

– Przepraszam bardzo, czy orientuje się pan, co się z stało ze szkołą masażu, która się tutaj mieściła, eeetoo... – liczę szybko – dziesięć lat temu?

Przechodzień, zgodnie ze swoją nazwą, jest już na drugim końcu ulicy.

Czyli: miejsca się zmieniają. Ludzie nie.

Próbuję jeszcze raz, z tym samym skutkiem; w końcu otrzymuję jakąś reakcję od dwóch młodych kobiet, które są już bardziej pomocne:

– Eeetoo... My nie jesteśmy stąd... Ale ta dzielnica była niedawno zmodernizowana, wyburzono wszystkie stare domy. Czy tu stała szkoła masażu i medycyny tradycyjnej? Nie wiemy... Może zapyta pan na posterunku policji przy stacji? Bardzo dobrze pan mówi po japońsku!

Dziękuję i odchodzę na północ, w kierunku Ueno. Smutne, kiedy po starym nie zostaje nic. Nawet rzeczy źle się kojarzące, jak stary parking przy stacji, gdzie ktoś mi ukradł rower w czasie zajęcia.

Przeszłość została zmieciona falą tsunami i już nie wiadomo, czy naprawdę miała miejsce.

Idę wzdłuż torów, na północ.

Omijam hałaśliwy targ Ameyoko, dziwiąc się, że jeszcze jest. Cóż, atrakcja turystyczna. Więc nie ruszyli.

Wreszcie Ueno. Początek parku. Znajduję wolną ławkę i siadam, bo kilkukilometrowy spacer kapkę mnie zmęczył. Kiedyś bym ten odcinek przejechał i zaparkował nielegalnie w uliczce za stacją. Teraz mój samochód jest dziesięć tysięcy kilometrów stąd i, co gorsza, w warsztacie blacharskim.

Zamykam oczy i przekręcam Potencjometr Czasu w lewo, o siedem, osiem, dziewięć lat...

Na trawie parku wyrastają namioty. Jeden, dwa, dziesięć, w końcu powstaje ich całe osiedle.

Jest gorąco, więc klapy otwarte. W każdym siedzi bezrobotny salaryman, czytając gazetę, słuchając malutkiego radioodbiornika albo patrząc po prostu w dal obojętnymi, zmęczonymi oczami. Na masztach namiotów wiszą tu i ówdzie garnitury w plastikowych workach z pralni, wyprasowane, gotowe na rozmowę o pracę, która nigdy nie nadejdzie.

Mija ich grupa młodych ludzi. Fantazyjnie ubranych, z ufarbowanymi włosami. Śmieją się, wygłupiają, jedzą lody – jeden z nich trenuje rzut lodami do śmietnika, widać mu nie smakowały.

Starannie omijają park namiotowy, nie patrząc na armię ludzi, którzy zbudowali ich kraj, jego nowoczesność i dobrobyt. Zapomnianych i... obcych.

*

W wagonie linii Jōban jest pustawo. Patrzę na zegarek. Dziewięta trzydzieści wieczorem. Kiedy lata temu jeździłem na tej trasie – z Nippori na wschód, do Matsudo – pociąg był zapchany ludźmi wracającymi z pracy. Nawet o tej porze.

Dopiero na stacji Kita Senju wsiada grupa nastolatków w mundurach szkolnych. Zajmują miejsca naprzeciwko, w ogóle na mnie nie patrząc. Pewnie jakbym zdjął czapkę bejsbolówkę, której daszek zakrywa mi cieniem twarz, wstaliby i przesiedli się dalej. Dla bezpieczeństwa.

Każdy z nich ma w ręku komórkę. Albo dwie. Ten najwyższy i najbardziej pryszczaty, z włosami ufarbowanymi na delikatny odcień skrzydeł japońskiego karalucha – trzy komórki. Stukają w nie zawzięcie. Poza tym od dwóch stacji nie zamienili ani słowa.

Wsiadam w Kanamachi.

Idę na wschód.

Jest! I jeszcze otwarty. Tak jak pamiętałem.

Sklep turystyczno-sportowy „Olimpic”.

Kupuję lekki śpiwór, latarkę, karimatę i mały pomarańczowy namiot firmy Dunlop. Albo chińską podróbkę Dunlopa, w takich sklepach i w tej okolicy nigdy nic nie wiadomo. Ale wygląda solidnie.

O, i jeszcze kilka paczek herbatników wielofunkcyjnych „Przyjaciel kalorii”. Wyposażonych w każdą witaminę znaną ludzkości plus jeszcze kilka nieodkrytych.

Przy kasie spotykam cudzoziemca. Tak, zdecydowanie ich teraz więcej w starej Japonii. Biedni Japończycy.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiada obojętnie po australijsku. Wyczuwam, że na tym znajomość się skończy. Minęły czasy, kiedy spotkanie cudzoziemca w Tōkyō było jak minięcie wędrowca w Tatrach Wysokich – zawsze okazja do wymienienia paru zdań, krótkiego kontaktu dwóch awanturniczych dusz.

Zresztą w Tatrach ludzie nie mówią już sobie „Dzień dobry”, mijając się na szlaku. Tak twierdzi Moździerzewski. Ponoć na co bardziej znane szczyty ustawiają się teraz kolejki.

Zbudowaliśmy drugą Japonię.

Przed wyjściem ze sklepu oglądałem jeszcze piramidy towarów przecenionych. Kubki z napisem: „Olimpiada zimowa 1998 – Nagano wita!”. Odkurzacze samochodowe z jonizatorem zapewniającym usunięcie nieprzyjemnych zapachów podczas odkurzania. O ile dobrze rozumiałem, bo nie wszystkie krzaczkę poznaję. I faksy. Telefono-faksy. W XXI wieku? Widać ciągle służą narodowi.

Wychodzę w nocną zupę czerwcową. Gorący rosół pachnący przypalonym garnkiem.

Idę dalej na wschód. Do rzeki.

Wchodzę w dzielnicę, gdzie o tej porze lepiej nie być samemu. Przynajmniej kiedyś tak było. Teraz wiele starych drewnianych domów znikło, zastąpionych nowoczesnymi, murowanymi. Zrobiło się jakby czystiej i jaśniej. Tylko gąszcz kabli na słupach, niektórych krzywych, bo obciążonych wielkim zardzewiałym transformatorem w kształcie żebrowanej beczki, pozostał ten sam.

Na ulicy jest dziwnie pusto, ale ze szczelin w oknach na pewno ktoś mnie obserwuje. Ktoś nie do końca przyjazny wobec kosmitów.

Zatrzymuję się przy ostatnim sklepie monopolowym i kupuję w automacie puszkę Asahi Super Dry. Legalnie, bo do jedenastej jeszcze kwadrans.

Po namyśle wrzucam jeszcze monetę pięćsetkową i biorę drugą puszkę do plecaka. Kirin Ichiban Shibori, dla odmiany.

Zarzucam plecak na ramiona. Poruszam łopatkami, bo swędzą, a paski przyjemnie je drapią.

Tęsknię za moim starym rowerem firmy Bridgestone.

Kiedy zbliżam się do rzeki, domy mieszkalne zostają zastąpione niskimi zabudowaniami przemysłowymi. Robi się chłodniej. Może nie tyle chłodniej, ile znośniej.

Ulica prowadzi w dół, potem zakręca w prawo. Kończą się lampy, ale niebo jest bezchmurne i księżyc – zadzieram głowę – prawie w pełni. Jeszcze dwa-trzy dni. Kiedy rośnie, wygląda jak puchnąca litera „D”. Babcia uczyła mnie wierszyka mnemotechnicznego po łacinie:

Cum crescit, Decrescit,

Cum decrescit, Crescit.

Czyli, z użyciem lekkiej licencji poetyckiej:

Gdy rośnie – „D” kreśli.

Gdy maleje – „C” kreśli.

Szukam miejsca, które pamiętam bardzo dobrze.

Po lewej – mur, magazyny, kolejny mur z betonowych bloczków i... – tego szukałem! Wyrwa w murze. Nie ta sama co kiedyś i nie ten sam mur, ale równie rozpadający się. Przechodzę ostrożnie i jestem na trawiastej równinie opadającej ku wodzie. Idę w stronę mostu kolejowego.

Wspięcie się na niego okazuje się trudniejsze, niż myślałem. Jakoś się udaje. Teraz oby nic nie jechało.

Nic nie jedzie, więc idę bezczelnie samym środkiem torów, a w mojej głowie odtwarza się na autopowtarzaniu:

When the night has come

And the land is dark

And the moon is the only light we'll see

No I won't be afraid

No I won't be afraid

Just as long as you stand, stand by me...

Po drugiej stronie zejście jest już prostsze.

Staję na brzegu ogromnej równiny. W oddali widać jakieś szopy, baraki i ciemne prostokąty pół uprawnych prefektury Chiba.

Spodziewałem się, że zobaczę tu nowe osiedla, sklepy, rozwój, nowoczesność i Zmianę. Jestem na końcu o głupie dziesięć kilometrów od Tōkyō właściwego.

Nich z tych rzeczy. Stare pola golfowe i łąki zalewowe nad rzeką Edo, sekret Gajdzinów Wtajemniczonych, drzemią cierpliwie nad szeroką czarną wodą, tak jak drzemały za moich czasów, kiedy przyjeżdżałem tutaj samochodem, późno w nocy, zregenerować oczy i duszę po tłoku, ścisku i nadmiarze obiektów zawsze złośliwie blokujących pole widzenia.

Zrzucam plecak. Kładę się na chłodnej i lekko wilgotnej trawie i patrzę w księżyc. Jest mi dobrze. Spokojnie i znajomo.

Mógłbym tak zasnąć, gdyby tylko chciało mi się spać. Niestety, w mojej głowie jest... siódma rano? Coś koło tego. Zresztą spałem po południu w hotelu, bo wtedy w mojej głowie był późny wieczór.

Nienawidziłem tego hotelu, razem z jego karaluchami wielkości prosiaków. Od razu kupiłem puszkę znanej mi i całkiem skutecznej trucizny. Dobrze, że sąsiedzi, trzech robotników z Ameryki Łacińskiej, nie zauważyli – byłaby awantura o przepędzanie karaluchów do ich pokoju.

Jak można mieszkać w swoim mieście w hotelu? Obcy na własnym podwórku.

Poza tym nie lubię być budzony przez zawodowo zatroskanych policjantów. Podnoszę się i idę rozstawić namiot pod mostem. Tam mnie nikt nie wypatrzy. A i most osłoni, gdyby się rozpadał deszcz. Co prawda nadal świeci księżyc, ale z tokijskim czerwcem nigdy nic nie wiadomo.

*

Czwartek, 30 czerwca 2005, trzecia rano

– Alicja? Mam nadzieję, że nie budzę...?

– Budzisz.

– Przepraszam. To ja może...

– I tak miałam wstawać. A ty miałeś dzwonić. Tylko nie o trzeciej rano. Ratunku.

– Ale trzecia jest u mnie...

– No właśnie. Masz spać, nie dzwonić do Polski. A jeśli już, to przez internet, jak normalny człowiek. Gdzie jesteś?

– Na wschód od nikąd – odpowiadam, nie wiem dlaczego, frazą zapamiętaną z jakiegoś snu, dawno temu. – Wiesz, próbowałem odwiedzić stare kąty. Ale jakoś nie wychodziło. Pojechałem do szkoły masażu – ślad po niej nie został. Wszystko wyburzyli, postawili nowoczesne biurowce. Sklepik przed stacją, gdzie był strasznie sympatyczny właściciel, który uczył mnie jednego słowa japońskiego dziennie i nieraz dawał wczorajsze bułki gratis – zlikwidowany. Moja stara gospodyni – już jej nie ma. Tylko pięć lat, a wszystko jakieś takie... coś nie mogę znaleźć tej mojej Japonii.

W słuchawce cisza.

– Chwilowo mieszkam na polu golfowym – wyjaśniam dalej. – Tu nie ma internetu. Za to jest budka telefoniczna. Niesamowite, wiesz, myślałem, że budek już nie ma. Wszyscy mają teraz po dwie komórki. Ale jest. Taka zielona, jak w starych książkach do japońskiego. Obrastała ją bardzo malownicza pajęczyna. Musiałem usunąć kijkiem do namiotu.

– Jesteś sam?

– Zawsze byłem sam. Jak to się teraz mówi? „Ten typ tak ma”. Słuchaj, trafiłem na to pole, taki kawał nadrzecznej łąki między dwoma mostami, dawno temu, przypadkiem, zgubiłem się, wracając z Matsudo do Tōkyō. To było przed erą nawigacji samochodowych... Pole jest przez większość roku nieużywane, bo rzeka zalewa... O, i jeszcze coś cię miałem zapytać... Wiesz, że przed wyjazdem spotkałem się z Mecenase?

– Wiem.

– No tak, na pewno wiesz. Czy ja słusznie się domyślam, że on jest jakimś szalonym filantropem? I połowa działalności Antykowni to zawołowana akcja charytatywna? Wielka Orkiestra Mecenasa? Rozdawanie pieniędzy biednym i uciśnionym?

Czekam w napięciu, ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Ocieram pot z czoła i zerkam szybko na wyświetlacz – mam jeszcze pięć minut rozmowy.

– Coś w tym rodzaju – odpowiada Alicja, z podejrzeniem westchnienia po ostatnim słowie. Wzdychanie jest bardzo niealicyjowe. – Nie tyle biednym i uciśnionym, ile poturbowanym przez historię. Jego też kiedyś poturbowała itepe, itede. Dalej się domyśl.

Domyślanie chyba kiepsko mi idzie, bo Alicja tłumaczy dalej:

– Mecenas wrócił ze Stanów z fortuną. Odrestaurował kamienicę, wykupił po kolei wszystkie mieszkania. Próbował założyć coś w rodzaju domu dla Polaków niedopasowanych. Takich, co wrócili, ale nie do końca. Nie mogą się na nowo znaleźć w kraju. Było ich więcej, teraz paru się wyprowadziło, wyjechali...

– Dom pod Gajdzinem Wyobcowanym! – wykrzykuję w nagłym olśnieniu. – Przytułek dla obcych we własnym kraju! I co, udało mu się?

– Nie krzycz, słyszę cię lepiej niż z Antykowni. Nie, nie do końca się udało. Kupił parę mieszkań w sąsiedniej kamienicy. Tej nad schronem. Reszty nie mógł wykupić. Jakies problemy prawne. Został nasz budynek. Obsadził go znajomymi wygnańcami z dawnych lat. Gajdzinami, jak ich nazywasz.

– Gajdzinami. I mną.

– I tobą. Ty też jesteś znajomy z dawnych lat. Taka zasada. Pewnie znał twoich rodziców. Albo dziadka. A, i jego syn, on już nie żyje, siedział z twoim ojcem w Białoleśce. Coś takiego słyszałam.

Próbuję to przetrawić. Alicja nie daje mi szansy:

– Ja się tu już urodziłam, oczywiście.
– Ale też byłeś gajdzinką? Gdzie?
– Finlandia.
– Stąd ta wiolonczela?
– Niestety. Dziś bym wybrała inny instrument. Obrzydliwie sztampowe: Finka wiolonczelistka. Ratunku. – Śmieje się.

Rzadki i piękny dźwięk. Nic nie mówię, żeby go sobie jeszcze kilka razy odtworzyć w pamięci.

– Mecenas – podejmuje Alicja – w końcu zajął się, jak to powiedziałeś? Zawołowaną działalnością charytatywną. Taki filantrop, który udaje, że jest tylko kiepskim handlowcem. W imię zachowania godności ludzkiej szanownych beneficjentów. Pffff.

– I to cię tak irytuje?
– Też. Lepiej powiedz, jak się ma Kōi.
– Hattori? Jest u rodziców w Ōsaka i zajada się specjałami mamy, bo stęsknił się bardziej, niż myślał.

– A ty?
– Ja...? Uprawiam turystykę na własnym podwórku.
– Stare kąty? I jak? Zmieniło się? Nie licząc nowych budynków na miejscu szkoły masażu?

– Tak. Znaczący nie. Niestety, nie.
– Czyli wkurza cię to samo, co kiedyś?
– Skąd wiesz... o, telefon pika. Zaraz nas rozłączy.
– No to hej.
– Alicja?
– Jestem.
– Słuchaj, mówiłaś kiedyś, że ty jesteś tu i teraz, a ja tam i wtedy.
– Dobrze mówiłam. Mógłbyś wziąć ze mnie przykład. Nie jesteśmy... Biiip!
– Jesteśmy zlepkiem przeszłości i nadziei na przyszłość – szepczę do rozłączonej już słuchawki.

Wychodzę z budki i zataczam się od uderzenia słońca. Wlokę się do namiotu szczęśliwie stojącego pod mostem, w cieniu.

Kręci mi się w głowie.

Piję kilka łyków wody, ściagam koszulkę i upadam na śpiwór. Zasypiam.

Nie mam sił iść do sklepu po kartę telefoniczną. Wyciągam wypożyczoną na lotnisku japońską komórkę, z baterią szczęśliwie jeszcze żywą, bo doładowaną przedwczoraj w Seven Eleven, przy okazji kupowania wody i bułek, które zjadłem z polskim miodem.

To mnie będzie kosztowało fortunę, ale...

– Hattori-san?

– Robert-san! Jak ci zwiedzasz Tōkyō?

– Znakomicie. Słuchaj, mam małe pytanie... Te obrazy, dla których znalazłeś kupca w Kobe, co to było? Z którego roku?

– Obrazy? Aaa. To była sztuka sotsu... socurealizu...

– Socrealizm.

– ... z lat pięćdziesiątych. *Dama na traktorze*. Baaardzo ciekawe. Bardzo cenne w Japonii.

– Czekaś. Miałeś pozwolenie na wywóz?

– Pozwolenie...?

– Pozwolenie na wywóz antyków. Dzieła sztuki starsze niż pięćdziesiąt lat.

Chwila ciszy.

– To już Gutner-san załatwia – odpowiada Hattori nieco sztywno. – Ja ufam Gutner-san. Jesteśmy partnerzy biznesowi.

– Jasne. Oczywiście. Nie przejmuj się, stary, tak tylko chciałem zapytać. No nic, kończę, bo mi bateria pada. Do zobaczenia wkrótce!

– Do zobaczenia, Robert-san. Mama pozdrawia i zaprasza.

Rozłączam się i opadam na śpiwór. Jestem zmęczony i plecy mnie swędzą, ale nie mam sił się podrapać. Zamykam oczy.

Chyba odkryłem ciemną stronę Antykowni. Czyli co jeszcze wkurza Alicję. No cóż, nic nie jest w życiu takie piękne, jak się w pierwszej chwili wydaje.

Myślę, że wybaczę Gutnerowi nielegalną sprzedaż *Damy na traktorze*. Jakoś nie sądzę, żeby miała duże szanse zawisnąć w Muzeum Narodowym. Z drugiej strony – myślę sennie – to, co dziś się wydaje obrzydliwym kiczem z mało przyjemnej epoki, za następne kilkadziesiąt lat może być ważne, cenne i pożądane. Z trzeciej strony, Gutner też sprowadza stare polskie dzieła sztuki z Niemiec przez swoje tamtejsze kontakty. Nie wiem, na ile legalnie. Z czwartej strony... nie ma czwartej strony.

*If I were a rich man,
Ya ba deedle deedle, bubba bubba deedle deedle dum.
All day long I'd biddy biddy bum...*

*

Wiktor Coj zamyka ostatni zatrzask i zdejmuje z przeszkłonej lady pudło gitary. Dwustufuntowy właściciel lombardu chichocze przepraszająco.

Muzyk odchodzi, zawiedziony, ale z tym nieskończonym zrozumieniem, cierpliwością i rezygnowaniem, które jego naród opanował do perfekcji. Właściwie oba jego narody^[7].

Staje na ulicy, kładzie pudło pod murem. Wyjmuje śnieżnobiałą gitarę akustyczną, zostawiając pudło otwarte jak roześmiana paszcza krokodyla Gieni.

Rzuca do środka garść monet na zanętę.

Stoi się na słuch.

Śpiewa:

*Дом стоит, свет горит,
Из окна видна даль.
Так откуда взялась печаль?
И, вроде, жив и здоров,
И, вроде, жить не тужить.
Так откуда взялась печаль?*

*

Piątek, 1 lipca 2005

Budzę się w kałuży potu. Wściekle swędzą mnie uda. I brzuch. Efekt kąpieli w nie najczystszej rzece? Przeciagam dłonią po skórze. Czuję na niej bąble. Coś mnie musiało pogryźć.

Włączam latarkę.

Cały brzuch mam pokryty wielkimi, bladymi, swędzącymi bąblami, jak po ukąszeniu komarów. Chociaż komary znad rzeki skutecznie tępię dymiącą spiralką i moskitierą namiotu.

O, uda też. I łydki. Nawet tam, gdzie światło i komary nie docierają.
W miejscach gdzie nie mogę się obejrzeć, próbuję wyczuć dłoń wypukłości.
Bąble są wszędzie. Nawet na skórze głowy, pod włosami.
Coś mi mówi, że pora się stąd zbierać. W Matsudo jest szpital, a w każdym razie
był, niedaleko stacji.

Zwijam namiot i wlokę się w stronę skarpy. Trochę kręci mi się w głowie.
Przytrzymuję się tyczki. Patrzę na siatkę pól uprawnych po drugiej stronie rzeki.
Są zamglone. Słońce dopiero wschodzi.

Wymiotuję prosto do golfowego dołka.

Hole in one.

Zrzucam plecak. Potykając się, brnę do rzeki. Nabieram wody w dłonie i myję
twarz.

Woda jest zimniejsza, niż pamiętam. Albo ja bardziej rozgrzany.

Robi mi się trochę lepiej. Wracam po plecak i wytrwale, krok za krokiem, zbliżam
się do mostu, pól, ulicy i cywilizacji.

*

Taksówka otwiera automatycznie drzwi pod samym szpitalem.

Kierowca patrzy na mnie z lękiem. Dziwnie.

Ludzie zawsze patrzą na mnie dziwnie.

Wrzucam pieniądze do tacki w szybie odgradzającej taksiarza od pasażerów.
Łapię przy tym swoje odbicie w lusterku wstecznym. Mam twarz pokrytą bąblami.
I spuchnięte usta, z których robi się ryjek. Może postanowiłem zostać słoniem
i zaczyna mi rosnąć trąba?

Stoję przed szpitalem. Robię krok w stronę wejścia.

I dwa kroki wstecz.

Nie czuję się za dobrze. Nie chcę do obcego szpitala.

Ja chcę do domu.

*

– Bardzo mi przykro, ale nie możemy pana wpuścić na pokład samolotu – Japonka
w mundurze linii ANA jest nieugięta.

– Ja tak mam od urodzenia! – przekonuję. – Te grube usta – już taka uroda! No,

może trochę pokąsały mnie komary nad Edo-gawa...

Składa rączki i kłania się, jak panienka windowa w domu towarowym.

– Strasznie nam przykro... Musi pan przynieść zaświadczenie od lekarza na lotnisku.

Kątem oka widzę, że do stanowiska odprawy idzie dwóch panów, też w mundurach ANA, niewątpliwie wezwanych przez tę przeziłą panią. Wyglądają, jakby mieli zamiar być mniej przeziłymi.

Trudno. Podnoszę plecak. Trochę mnie zarzuca na ladę. Dzielnie prostuję się i z godnością lekkim zygzakiem idę w stronę napisu, którego w całości nie

rozumiem, ale znak „療” (opieka, terapia czy coś medycznego w ogóle) daje pewną nadzieję.

*

Szoruj, babciu, do kolejki. Przede mną tylko trzy osoby, ale ja mam samolot do złapania.

Czekam.

Chyba znowu przysypiam, bo szarpie mnie za ramię ręka w gumowej rękawiczce. Podnoszę się z ławki i człapię za lekarzem do gabinetu.

Zaczynam wykład o tym, że tak wyglądam od urodzenia i czuję się świetnie, nie licząc paru drobnych ukąszeń komarów.

– Tak, a pana zielone macki i oczy na szypułkach są przebraniem na Pogańskie Święto Halloween – mówią oczy lekarza.

Ośluchuje mnie i opukuje.

W końcu wypisuje jakieś pigułki.

– Co to za lekarstwo? – pytam po japońsku, przeczuwając już reakcję.

Lekarz oczywiście marszczy się, bo właśnie popełniłem Grzech Główny Nr 8: Podważanie Autorytetu Lekarza. Z niechętnym grymasem na twarzy, na pół obrócony do ściany, odpowiada kiepską angielszczyzną:

– Antyhistamina. Na ostrą reakcję alergiczną. Może pan stąd wylatywać. Pielęgniarka podpisze dokument zezwalający na wejście na pokład.

*

W toalecie samolotowej zamiast lustra zamontowano okienko. Mieszka za nim słoń.

Słoń przygląda mi się z zaciekawieniem.

Ma grubą trąbę i małe czerwone oczka.

Nie wygląda na zadowolonego. Może to dlatego że pokąsały go komary. W afrykańskim buszu są komary wielkości wróbli.

*

Bramka na londyńskim lotnisku bzyczy groźnie.

Przechodzący przez nią staruszek w gumofilcach, nylonowych spodniach od dresu przewiązanych w pasie sznurem do snopowiązałki i czapce gustlikówce obraca się, po czym szybko wycofuje. Podbiega do pojemnika na butelki z wodą, których przez kontrolę bezpieczeństwa przenosić nie wolno. Wyciąga z kieszeni zardzewiały bagnet i zwój linki hamulcowej. Wyrzuca z żalem. Pochyla się jeszcze nad pojemnikiem i zasłaniając go ciałem, wytrząsa coś z kieszeni kufajki. Słychać głucho uderzenia jakichś ciężkich metalowych przedmiotów.

– O kurde – mówi staruch. – Zawlecza się wyciągła...

Świat wybucha.

*

– Powinien pan zostać w szpitalu na Heathrow, nie wygląda pan za dobrze.

– To tylko alergja – chrypię, drapiąc się ukradkiem w biodro – mam ją co roku po polowaniu na słonie w buszu nad rzeką Edo. Proszę, tutaj zaświadczenie, że mogę lecieć. Od japońskiego lekarza, ale ja pani przetłumaczę. Słonie pamiętają wszystkie znaki. W każdym razie te co ważniejsze...

– Ale pan ma wysoką gorączkę...

– Ale ja muszę do domu. Proszę. Bardzo, bardzo proszę...

*

Słonie biegną truchtem, długim rzędem, trąba za ogon, ogon w trąbie. Ciężkie nogi wybijają szybki, zdecydowany rytm na spieczonej od słońca ziemi.

Bum, bu-bum, bu-bum, bu-bummm!

Ja truchtam jako czwarty w szeregu. Czwórka kiepska liczba, ale co tam. Może jak dojdziemy do celu, uda mi się zmienić miejsce.

– Popatrz na te śmieszne, gołe małpy – wibruje ogon, który trzymam w trąbie. –

Wyglądają, jakby nie umiały ani latać, ani nawet wspinać się na drzewa. Widzisz, jakie mają krótkie i słabe kończyny przednie?

– To dlatego, że ich nie używają do chodzenia! – wibruje triumfalnie moim ogonem szef zespołu kulturoznawców. – Pseudospecjalizacja kończyn. Ślepy zaułek ewolucji. Przez to stopy przestają być chwytne, a ramiona słabną i stają się niezdadne do funkcji motorycznych.

Wibracje szefa powodują coraz gorszy świąd w okolicach zadu, ale jak mam się podrapać, nie puszczając trąbą ogona poprzednika, co by przerwało pochód i komunikację? Zaczynam się trząść, żeby falujące zwały skóry ulżyły nieco swędzeniu.

Kolumna biegnie równo, nie licząc mojej trzęsawki.

Bum, bu-bum, bu-bum, bu-bum!

Nagie mały rozbiegają się w popłochu.

Jedna tylko, jakaś wyjątkowo śmiała, podbiega i krzyczy do mnie cienkim głosikiem:

– Proszę pana! Proszę pana! Czy pan się dobrze czuje?! Czy może pan wstać?

*

Ale się wyspałem. Aż mi trochę nogi zdrętwiały. Próbuję się przewrócić na bok, kiedy stwierdzam, że jestem przytroczony pasami do łóżka.

Wykręcam głowę, na ile pozwalają pasy. Spotykam wzrok kierowcy.

– Pan wybaczy – mówi – musimy włączyć trąbę, bo ruch się nasila.

– Grrbrrrr – odpowiadam uprzejmie.

Karetka włącza wyjca i rusza z kopyta.

Ciekawe, gdzie jesteśmy. Z pozycji leżącej widzę tylko szczyty domów. Ruch karetki jest dziwny, zamiast być podrzucanym w pionie, jak to w samochodzie, jestem kołysany, jak falami rzeki. Płynącej w głębokim wąwozie wczesnogomułkowskich kamienic. O, poznaję! To prawobrzeżna Banacha! Jedziemy na Ochotę. Muszę im powiedzieć, że ja już tam nie mieszkam, że mieszkam na Mokotowie. Muszę...

Kierowca chwytą się mackami poręczy i napinając membranę komunikacyjną, nadaje jakieś dowcipy swojemu koledze, który trzęsie workiem trawiennym z radości.

Słonie podnoszą trąby i dmą w nie przeraźliwie.

?,?

Nic mnie nie boli. Ani nie swędzi.

Tylko nie bardzo mogę otworzyć oczy ani się poruszyć.

Ale też jakoś specjalnie nie chcę.

Za to słyszę doskonale. Słyszę rozmowę.

– Ile razy mam ci to tłumaczyć? – mówi głos Gutnera. – Na emigracji konstruujemy sobie wyidealizowany obraz starej ojczyzny. Collage co przyjemniejszych wspomnień dzieciństwa i wszystkiego, co nowe i pozytywne dookoła. Jeśli z czymś nam źle, obwiniamy nową ojczyznę. W starej na pewno tak nie było.

Potem wracamy. Szok. Zderzenie. Trzeba ci było słyszeć, jak on wrzeszczał w samochodzie: „Nie tak miało być!!!”.

– Ja to doskonale rozumiem, drogi przyjacielu – odpowiada nieco cichszy głos pana Stanisława. – Ale nie umiem zrozumieć, co go tak zestresowało i zaszokowało. Na przykład w tej pierwszej pracy. Jak słyszałem, i popraw mnie, kochany, jeśli się mylę, nasz Robert nie mógł znieść, że go dyrektor czasem opieprza. Czyż to się nie zdarza wszędzie? Ja, na przykład, w kwestii opieprzania...

– Nie ma na ciebie ratunku, Stasiu – mówi Gutner. – Jeszcze raz. Człowiek wyjechał na studiach. Wychował się zawodowo w Japonii. Hattori, pomóż.

– W Japonii firma jest rodzina – wyjaśnia głos Hattoriego. – Czasem nagradza, czasem nawet opieprzuje, ale zawsze z sercem. Jak rodzina.

– No widzisz! – triumfuje głos Gutnera. – Dla nas mały opieprz czy bałagan w pracy to mały pikuś. Dla niego to było nowe i bardzo stresujące. Dziwisz się, że uciekł do Japonii? Jedyne, czego nie łąpię: dlaczego do Japonii, a nie Singapuru.

– Robert-san miał singapurską narzeczoną. I mu nie wyszło – mówi głos ze złą wymową, ale dobrym zrozumieniem rzeczywistości.

– Jasne – pstryka palcami Gutner, co słyszę jak ostre kliknięcie gdzieś za głową. – Zawaliły mu się sprawy sercowe, to zamiótł Singapur pod dywan świadomości. Powinienem był wydedukować.

– A jednak – oponuje głos pana Stanisława – próbowałeś mu pomóc... jak ty to nazywasz? W budowaniu mostu między starym a nowym. Reasymilacji. Z pewnymi sukcesami, jak widzę. Przecież kiedy zachorował, wiedziony nieomylnym

instynktem, wrócił tutaj! Nie do rodziców w Stanach ani do starych przyjaciół w Azji, ale do domu. Do nowego domu!

– Oj tam, oj tam. Jakimi sukcesami. Fakt, budowałem mu ten most. Karmiłem go Sapkowskim. Ty – kuchnią Lucyny. I co? Gość uparcie żył wśród duchów Japonii i PRL-u. Czy ja też byłem taki nienawracalny?

– Gorszy, przyjacielu kochany, gorszy...

Mnie też robi się gorzej.

Odpływam gdzieś, gdzie jest lepiej.

W sen o słońcach.

*

?,?

Jakoś mi niewygodnie.

Próbuję się poprawić. Przy poruszeniu głową napina mi się pod nosem plastikowa rurka, a w przedramieniu coś ciągnie i kłuje.

Aha, kroplówka.

Ciekawe, co tam we mnie leją, i dlaczego.

Jest za jasno. I za białe.

– Hej, on zamrugnął – mówi głos Alicji.

– Widzisz? Mówiłem ci, że zdolny – odpowiada głos Gutnera.

– Ciszej! – ofukuje głos pani Moździerzewskiej. – Nie widzicie, że...

*

– Pora pana przenieść na oddział, panie Brakat – mówi pielęgniarka głosem stanowczym i mającym powodować natychmiastowe wyzdrowienie u co słabszych psychicznie osobników.

– A ja nie jestem na oddziale...? – chrypię cicho, bo całkiem zaschło mi w gardle, na co kroplówka nie pomaga.

– Jest pan w izolatce! Izolatki są dla chorób zakaźnych, pan ma tylko sepsę! Kto to widział, młody, zdrowy człowiek z zakażeniem krwi. Musi pan prowadzić zdrowszy tryb życia. Przede wszystkim mniej stresu! – Grozi mi surowo palcem i zabiera się do wyjścia. – Jutro dostanie pan Zupy Mlecznej!

Nie jestem pewien, czy obwieściła mi właśnie nagrodę czy karę.

– Chwileczkę... – chrypię – który dziś jest?

– Sobota, dziewiąty lipca – odpowiada pielęgniarka niezadowolona, że pacjent taki mało rozgarnięty.

– Przepraszam panią... a w którym jestem szpitalu?

– Wojewódzki Szpital Zakaźny na Woli! – Cierpliwość pielęgniarki wyraźnie się kończy.

Moje siły też.

Odpływam.

*

Poniedziałek, 11 lipca 2005

– Wszystko w porządku! – mówi wesoły, pucułowaty operator USG, wycierając mi gardło papierowym ręcznikiem. – Tylko wie pan co? Ten guzek na tarczycy trzeba koniecznie sprawdzić. Wypiszę panu skierowanie na biopsję.

Wracam na oddział powoli, ale już o własnych siłach, gubiąc się po drodze tylko raz. Wielkie stare gmaszysko ze skomplikowanym systemem korytarzy i schodów kojarzy mi się z horrorami. Powinno być szpitalem psychiatrycznym na uroczysku. A przynajmniej starym hotelem w górach, odciętym od świata.

– *Here's Johnny!* – oznajmiam, wchodząc do sali. Jest dość przepełniona. Nikt nie zwraca na mnie jak zwykle uwagi. Nie licząc pani odwiedzającej codziennie wieloryba. Wieloryb śpi na łóżku naprzeciwko i chrapie koszmarnie. Gdyby Gutner nie przywiózł mi zatyczek do uszu, nie zmrzyłbym oka.

Pani odwiedzająca wieloryba strasznie się mnie boi. Nie pomaga tłumaczenie, że sepsa to nie choroba, a tym bardziej nie zakaźna. Na wszelki wypadek przychodzi do męża w lateksowych rękawiczkach i kiedy siadam na brzegu swojego łóżka, nerwowo odsuwa się na bezpieczną odległość dwóch metrów. Jak wiadomo, złośliwe, mikroskopijne Sepsy umieją skakać na maksymalną odległość jednego metra i dziewięćdziesięciu centymetrów.

Kładę się i zamykam oczy. Wieloryb nie chrapie – pora na szybką drzemkę.

*

– Masz już wyniki posiewu? – pyta Gutner.

– A co zasialiśmy? – Nie rozumiem.

– Posiewu bakterii – Pstryka niecierpliwie palcami. – Przecież jak cię przyjęli, musieli pobrać krew. Więc wiadomo już, co za bakteria cię w tyłek ugryzła czy nie?

– Aaa. Nie, niestety – kręcę głową. – Przywieźli mnie w cokolwiek kiepskim stanie, więc natychmiast zaczęli pompować antybiotykami, zanim zdążyli pobrać krew. Tak, wiem, jestem na nich za to nieźle wkurzony, bo...

– To się odkurz. – Gutner wzrusza ramionami. – Ratowali ci życie. Nie ma się co czepiać, że im się przypadkiem udało.

– Dlaczego ta kobita tak się mnie boi? – szepcze Alicja.

– Nie ciebie, tylko mnie – odszeptuję. – Myśli, że się zarazi sepsą. Równie dobrze mogłaby się zarazić gorączką. Doktor prowadząca powiedziała, że to była po prostu reakcja na za dużo wszystkiego w życiu. Przemęczenie, przepracowanie i przeprowadzki... w pewnym momencie organizm ma dość, poddaje się i opuszcza bariery ochronne. Wtedy jakaś zwykła bakteria, jakich dookoła miliony i której zdrowy organizm nigdy by nie wpuścił w swoje progi, przedziera się do krwiobiegu i zaczyna szerzyć zniszczenie.

– Dlatego się tak drapałeś jak pogryziony przez stado mrówek?

– Nie wiadomo. To mogła być kombinacja reakcji alergicznej i osłabienia organizmu. Ostra skórna reakcja alergiczna też może doprowadzić do tak poważnych zaburzeń krążenia, że kończy się sepsą. Tyle zrozumiałem. W każdym razie zdrowym ludziom taka bakteria nie zaszkodzi, a chorzy i tak nie powinni przychodzić do szpitala chorób zakaźnych.

– Już ja jej to wyjaśnię – burzy się Gutner, mierząc panią Wielorybową groźnym wzrokiem i przygotowując palec.

– Oj tam. Szerlok i jego wykłady. – Alicja wywraca oczami. – Dużo to da. Ratunku. Działają tylko demonstracje empiryczne.

Wstaje, wskakuje na łóżko i siada na mnie okrakiem. Po czym nachyla się i całuje.

Dłuuuugo.

Zupełnie się nie przejmując obecnością Gutnera, który złośliwie szczyrzy kły w stronę pani Wielorybowej.

– To było tylko w ramach demonstracji edukacyjnej – stwierdza Alicja z godnością.

– Bardzo pouczające – zgadzam się słabo. – Zeskakuj już, bo zaraz kolacja. Wszyscy na oddziale boimy się pani kucharki. – Nie, nie wyglądaj tak bojowo –

uspokajam Alicję. – Kucharka jest zasadniczo niegroźna, tylko ma wpisane w obowiązki ustawianie pacjentów do pionu za pomocą opieprzania. Jak mnie pierwszy raz opieprzyła (za „niewyjście przed pokój po zupe mleczną”), miałem ochotę ją ucałować. Poczułem się... swojsko.

– Ha! Zrozumiał! – cieszy się Gutner. – Opieprzanie jest kwintesencją polskości. A czego się nie da wyleczyć, trzeba polubić. Czekaj... mam – pstryka palcami. – Mam dla ciebie pomysł. Napisz książkę.

– Ja?!

– Wbrew pozorom – palec staje na sztorc – książki piszą ludzie.

– No właśnie, ludzie. Nie ja. Ja nie umiem.

– Nie bój żaby, naumiesz się. Wszystko ci wyjaśnię. Kupuje się papier, ołówek, ewentualnie popularny pakiet aplikacji biurowych znanej firmy software’owej, siada na krześle...

– Ale o czym miałbym pisać?

– Napisz książkę podróźniczą – sugeruje Gutner.

– To odpada – kręcę głową. – Po pierwsze, nie jestem podróżnikiem. OK, mieszkalem kilkanaście lat w Azji, ale siedziałem przez większość czasu w jednym miejscu, nigdzie nie podróżowałem. Po drugie, nie cierpię książek podróźniczych. I książek o obcych krajach. One miały rację bytu w czasach, kiedy nie można było wyjechać. Teraz, kiedy paszport to formalność, a robotnik budowlany zarabia miesięcznie tyle, ile zapłaciłem za ostatni lot z Polski do Singapuru, nie ma uzasadnienia dla książek „o”. Można pojechać i zobaczyć samemu.

– Nie – kontynuuję po łyku kompotu szpitalnego, obrzydliwego, chociaż do zwilżenia gardła wystarczającego – jakbym już miał napisać książkę, to byłoby *science fiction*. O obcym. Alienie. Marsjańskim Hattorim.

Opadam na poduszki zmęczony przemówieniem.

Gutner szczerzy zęby. Co wskazuje, że cały temat pisania książki był jedną wielką podpuchą. Mogłem się domyślić.

Alicja podnosi oczy znad ekranu.

– Masz pocztę od rodziców. Czekaj, postawię ci laptop na tacce.

Otwieram maila.

Mama wreszcie zgodziła się, że nie przyjadą, pod warunkiem że ja przylecę do Arizony, jak tylko poczuję się lepiej po tym... ataku alergii.

Uff. Biorę się do odpisywania.

Chociaż Arizona w tej chwili wydaje mi się jeszcze bardziej odległa niż Mars.

*

Sobota, 16 lipca 2005

Po tokijskim czerwcu warszawski lipiec jest jak lodówka.

Zapinam szczerzej kurtkę i wciągam kaptur, bo zaczyna mżyć.

Ściągam ją mocniej w pasie. Trochę w tych szpitalach straciłem na wadze. Cóż, plastikowa szynka i zupa mleczna nie mogą konkurować z domową kuchnią pani Moździerzewskiej.

Wsiadam do samochodu. Nieco zachlapanego, ale z nowym lakierem na burcie.

Wyciągam z kieszeni kopertę z wynikami biopsji cienkoigłowej. Człowiek się rozwija językowo.

Otwieram ją po raz trzeci.

„*Cellulae carcinomatosae*”. Komórki rakowe.

Nowotwór złośliwy.

Pani endokrynolog powiedziała:

– I bardzo dobrze! W dzisiejszych czasach nikt nie umiera na raka brodawkowego tarczycy. Najsukuteczniej wyleczalny rak na świecie. Wytniemy, zrobimy radioterapię i będzie pan żył dłużej niż ja. Wie pan, ostatnio jest ogromny wzrost takich zachorowań. Pokolenie Czarnobyła...

Przekręcam kluczyk w stacyjce i włączam się do ruchu. Jadę Puławską, mijam rogatki, gdzie kiedyś chodziłem z dziadkiem na spacer do parku Morskie Oko, a w samo południe słuchaliśmy *Marszu Mokotowa* z zegara na wieży.

Nie wiem, dlaczego skręcam w dół, w Goworka, potem w Chocimską, i nagle znajduję się na Willowej.

Parkuję przed domem numer siedem. Dawną siedzibą ambasady japońskiej.

Zamykam oczy.

Siedemnaście, osiemnaście... dziewiętnaście lat.

Poniedziałek, 28 kwietnia 1986.

Chudy jak szczapa student stoi przed furtką ambasady, czekając na jej otwarcie.

Zawiadomienie o pozytywnym rozpatrzeniu wniosku wizowego przyszło w piątek, już za późno, żeby jechać do sekcji wizowej. Co skutkowało dwiema długimi nocami, kiedy ekscytacja nie pozwalała zasnąć.

Wyjmuje z płaskiej, skórzanej torby małą granatową książeczkę. Połowę sukcesu. Za... czterdzieści pięć minut pojawi się w niej pieczętka. Druga połowa sukcesu.

Zaczyna padać. Student nie ma parasola, ale kwiecień jest wyjątkowo ciepły. Podnosi twarz i cieszy się wiosennym deszczem.

Wydawanie płynu Lugola, fioletowego świństwa w plastikowych kubeczkach, na turystycznych stolikach rozstawionych na rogach ulic, zacznie się dopiero we wtorek.

Wiele lat później specjaliści stwierdzą, że była to musztarda po obiedzie. Cały jod radioaktywny z Czarnobyli, który mógł zostać wchłonięty przez młode tarczyce, został. Na dobre dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem akcji prewencyjnej. W poniedziałek. Kiedy w Warszawie padał ciepły wiosenny deszcz.

Przekręcam kluczyk w stacyjce.

– I tak oto dogoniło mnie „wtedy i tam” – mówię do PRL-owskiego pieska na desce rozdzielczej, prezentu na wyzdrowienie od pana Stanisława.

Piesek potakuje.

*

Stoję po kostki w błocie.

Tym razem błocie letnim i podeszczowym, a nie lodowatym i zamarzającym.

Na pół schodzę, na pół ześlizguję się po skarpie.

Namiotu oczywiście nie ma. Potłuczone butelki, szczątki rozprutych opon i sterty przemoczonych kartonów – są.

Siadam na kamieniu, który służył Hattoriemu do przymocowania linki tropiku. Coś kłuje mnie w łydkę. Z błota wystaje kawałek zardzewiałego, drucianego wieszaka do garnituru.

Wyciągam telefon. To będzie mnie kosztować... a, co tam.

W Ōsaka jest już północ... Tym bardziej a co tam. Ziemia jest okrągła, ale świat robi się płaski. Niech się chłopak przyzwyczai. Wykręcam długi numer.

– Hattori-san?

– Robert-san! Bardzo się cieszę, że już zdrowy. Ale mama baardzo rozczarowana, bo miała zrobić *takoyaki*. Specjalne, nie tylko z *tako*, ale także również ze serem.

– Bardzo mi przykro... Przepraszam mamę. I poproszę, żeby ci dała przepis na *takoyaki*. Zrobimy tutaj. Znajdę ośmiornicę, chociażbym miał ją rękami łowić w Bałtyku.

– Ważne, że Robert-san zdrowy.

– Prawie zdrowy. Ale będzie zdrowy. Alicja cię pozdrawia. Ona cię lubi, bo jesteś tu i teraz. Wiesz, jest jeszcze tyle do zrobienia... Na przykład ciągle nie wiem, dlaczego na Kozaka mówią Kozak! Mam już kilka teorii, wszystko ci powiem, jak...

– Bo Kozak-san ma na nazwisko pan Kozak – wyjaśnia głos z drugiego końca kuli ziemskiej.

– No coś ty? Niesamowite! Ale nadal nie wiem, czy Gutner ma jakąś dziewczynę i czyj jest ten ogromny kundel, pamiętasz go? I dlaczego pani Moździerzewska mówi po angielsku jak rodowita Brytyjka. W ogóle przesympatyczna kobieta, musimy z nią kiedyś się i pociągnąć za język. Czeka, nie wziąłem cię nigdy do Łazienek! Ciekawe, czy jest tam jeszcze plac zabaw z zabytkowym wozem strażackim. No i Krakowskie Przedmieście! Na Przedmiejskim Krakościu rozkonikał się bryk. Słuchaj, przecież ty uwielbiasz bary mleczne. Może jeszcze jest ten przed uniwerkiem? Co jeszcze... Tatry! Montujemy z Alicją wyprawę w Tatry pod koniec lipca. W ogóle trzeba ruszyć w Polskę, Warszawa to nie Polska. Naprawdę, masa rzeczy, do których trzeba wrócić, żeby wrócić. A właśnie. Kiedy wracasz?

– Eetoo... Ja mam umówione spotkania z...

– Kiedy wracasz?

– Niedługo, ale jeszcze muszę...

– Mam raka.

– Co? Robert? Słucham???

– 癌です . Bardzo niegroźnego. Będę miał operację i radioterapię. To znaczy łyknę pigułkę radioaktywną. Nic nie boli, tylko przez tydzień się świeci cicho w ciemności. Potem będę zdrowy i ciąg dalszy nastąpi. Tak powiedziała pani endokrynolog. Śmieszne, tydzień temu nie wiedziałem, co to jest endokrynolog. Bardzo się ostatnio poprawiłem w języku ojczystym, zauważyłeś?

Cisza.

– Przeszłość mnie dogoniła – wyjaśniam. – Czarnobyl.

Znowu cisza.

– Ja będę w Polsce na początku przyszłego tygodnia, Robert-san. Muszę tylko szukać wyloty i...

– Kupisz ryż w torebkach? Dla Moździerzewskiego?

– Tak! Oczywiście kupię.

– Dziękuję, Hattori-san.

– To ja dziękuję, Robert-san...

Rozłączam się.

Wstaję z kamienia i ruszam do samochodu.

Myśląc: dobrze pani doktor powiedziała.

Ciąg dalszy nastąpi.

Czerwiec 2012–maj 2013

Tucson – Kraków – Warszawa – Belfast – Obory koło Konstancina

[7] Wiktor Coj miał matkę Rosjankę i ojca Koreańczyka (przyp. tłum.).

Poksiążkowie

Marcin jestem, Gajdzinem zwany, bardzo mi miło. Co oznacza, że przeszliśmy właśnie na ty. Taka tradycja z czasów, kiedy napisałem *Bezsenna noc w Tokio* i podałem w niej swój adres mailowy.

A właśnie. Jeśli ktoś do mnie napisał z www.marcin.bruckowski.com i nie dostał odpowiedzi, to nie dlatego, że nie odpisałem, tylko nie dostałem maila – mogły go połączyć filtry antyspamowe. Trzeba spróbować ponownie, najlepiej z innego adresu. I bardzo starannie wpisywać adres zwrotny.

Ale do rzeczy. Zadaniem poksiążkowie, którego, jak wiemy, i tak nikt nie czyta, jest odpowiedź na Nurtujące Pytania, wśród których przeważają: „Jak książka ma się do rzeczywistości?” i „Co było dalej?”. Zacznę od drugiego: sorry, Winnetou. Jakbym chciał napisać, co było dalej, to bym napisał:). Równie dobrze można by pytać malarza, co jest za tamtymi drzwiami (tu Gutner stawia palec na sztorc) – jakby chciał, żebyśmy wiedzieli, to by je namalował otwarte. Sztuka to życie, a życie nigdy nie stawia ostatniej kropki i nie otwiera wszystkich drzwi. Co nie zmienia faktu, że w życiu zdarzają się sequele – ostatnie zdanie tej książki sugeruje taką możliwość.

Teraz bierzemy się za temat Nr 2 – książka a rzeczywistość.

Pytanie nieproste, bo kiedy czytam *Proces* albo *The Ground Beneath Her Feet*, to ostatnią rzeczą, jaka mnie interesuje, jest: czy naprawdę istniał Józef K. albo Vina Apsara. To, w jakim stopniu i na kim oparte są te postaci, nijak nie wpływa na odbiór powieści, która albo jest dobra i wciąga, albo nie. Ponieważ jednak temat interesuje wielu czytelników, wyjaśniam:

W roku 2001 pojawiłem się na ziemi ojczystej po piętnastoletniej nieobecności. Z jedną walizką i kontenerem gdzieś na Oceanie Indyjskim. Zbieżność z losami Roberta całkowicie przypadkowa, oczywiście (ukłony dla przeuroczej pani mecenas z Wydawnictwa Znak). OK, może nie do końca przypadkowa, bo CZĘŚĆ moich doświadczeń i przemyśleń na pewno została zawarta w przygodach Roberta. Tego się nie da uniknąć. Jestem dziwnie spokojny, że kiedy Lem opisywał przygody dwóch robotów, Trurla i Klapaucjusza, to miał przed oczami dwóch kolegów z liceum. Albo jednego i... siebie.

Natomiast część przygód Roberta jest oparta na doświadczeniach moich przyjaciół, którzy wrócili po latach. Niektórzy nadal tu są, inni nie dali rady i znowu czmychnęli w świat. Ale wszyscy próbowali dostosować się do zmian. Tych dookoła

i, co jeszcze trudniejsze, tych w środku.

Jeśli to coś rozjaśniło – bardzo mi miło. Jeśli nie – zachęcam do kontaktu mailowego. Przy okazji: jeżeli książka się w ogóle podobała, sugeruję polubienie mnie na Znanym Portalu Społecznościowym:).

Teraz coś ode mnie. Dlaczego tu nie ma słownika wyrazów obcych (głównie japońskich), jak w poprzednich książkach? Otóż zamiast zmuszać czytelników do biegania na koniec książki i z powrotem celem sprawdzenia słowa, dodanego w imię wierności Kolorytowi Lokalnemu, postanowiłem tym razem spróbować innej techniki: wszędzie tam gdzie tekst obcojęzyczny jest istotny, zostaje wyjaśniony bezpośrednio albo kontekstowo. A jeśli nie został, to znaczy, że zrozumienie go nie jest konieczne – niczego nie wnosi do odbioru książki. Ja na przykład, kiedy u Boya-Żeleńskiego natrafiam na francuszczyznę, po prostu czytam dalej, uśmiechając się tylko na to maźnięcie ww. Kolorytu.

Na koniec – o snach słów kilka.

Sny zawsze mnie fascynowały i o ile w poprzednich książkach pojawiały się sporadycznie, tutaj postanowiłem ich użyć do nadania całości rytmu – w terminologii mojego trzeciego zawodu powiedziałbym, że są to przejścia na tomach. Wykorzystałem przy tym pewną konwencję literatury japońskiej, w której sny często łączą nasz świat – realny – ze światem fantazji, widm i czwartego wymiaru, gdzie zdarza nam się nawet śnić... czyjs sen. Zaobserwowałem też taką regułę: im więcej się w życiu dzieje (albo, w konwencji japońskiej, ma się stać – większość snów w tej książce zapowiada pewne wydarzenia), tym bogatsze i bardziej kolorowe sny. Jak u Roberta.

Do snów można mieć dwa podejścia, jak do obrazu. Pierwsze: odejść na dwa kroki i spróbować ogarnąć całość. Poczuć klimat i nastrój. Drugie: wgryźć się, przeanalizować i spróbować zrozumieć znaczenie każdego detalu. Uważam, że oba podejścia są równouprawnione. Jeżeli więc potraktujesz te sny jako interludia służące budowaniu nastroju, to dobrze. A jeśli chciałbyś się wgryźć, to drugie dobrze i na tę okazję – kilka podpowiedzi:

– We śnie Nr 3 Robert znajduje w wigwamie białą okrągłą czapeczkę. To może mieć coś wspólnego ze śmiercią Jana Pawła II, chociaż żadne inne z ówczesnych wydarzeń nie zostało w książce wspomniane – pisałem powieść, nie literaturę faktu. Jednak TEGO faktu pominąć nie mogłem.

– Sen Nr 4 oparty jest na piosenkach z *Abbey Road* Beatlesów. Co zapowiada zresztą spotkanie z panem Grzegorzem. Uważny czytelnik znajdzie w tym śnie wiele cytatów

i odniesień do płyty. A także... Gajdzina. Drań pojawia się na chwilę we wszystkich moich książkach.

– Sen piąty to z kolei amalgamat amerykańskiego programu telewizyjnego *Pawn Stars* (zapowiedź pracy Roberta w lombardzie) i piosenek Wiktora Coja z zespołu Kino. Nie należy się więc dziwić aluminiowym ogórkom („Алюминиевые огурцы”) ani waletowi na Kamczatce (walet – bo Robert będzie spał „na waleta”, Kamczatka – slangowe określenie kotłowni, gdzie do końca życia pracował Tsoi, stąd płyta Начальник Камчатки).

– Sen Nr 7 dzieje się na ranchu La Epifania – tam mieszkał w Meksyku Sławomir Mrozek, autor *Dziennika powrotu*. Którą to książką Gutner powinien był karmić Roberta. Ale nie karmił, bo uważał, że pewne rzeczy reemigrant musi odkryć sam.

– Sen Nr 11: odsyłam do książki *Singapur, czwarta rano*. Czy wspominałem, że można śnić nie swój sen?

Resztę zostawiam czytelnikowi. Gentleman – prestidigitator może wyjaśnić KILKA trików, ale nigdy wszystkie:).

Z pozdrowieniami dla czytelników i wszystkich gajdzinów tego świata

Marcin Bruckowski
www.marcin.bruckowski.com

HASŁO

WYJAŚNIENIE

A

After, afterek

Przedłużacz (od: after party)

B

Brodka Monika

Piosenkarka, wszyscy o niej ostatnio mówią, trzeba będzie posłuchać

Burak

Redneck albo mieszkaniec Saitamy. Sprawdzić, czy warzywo nadal się nazywa „burak”

C

Cichopek Katarzyna

Aktorka z jakiegoś serialu, który wszyscy znają, trzeba obejrzeć

Chłopaki nie płaczą

Jakiś kultowy film, trzeba obejrzeć. Hattori twierdzi, że zwrot „nie bój nic” jest właśnie z tego

D

Doda

Piosenkarka. Ponoć inteligentna jak bies

Dokładnie

Tak jest, o, to to; właśnie. Kalka z angielskiego?

Dlatego, bo

Dlatego, że (albo: „bo”). Albo język się zmienia, albo dziennikarze w radiu robią błędy

Dziwię się

Jest pan chamem i idiotą, tylko brak mi odwagi, żeby to powiedzieć panu

w twarz

Dyskutować coś

Dyskutować o czymś

Dziękuję

Proszę zatrzymać resztę – czuję się dziś szczodrze

Dziękuję

Jestem wdzięczny, że pozwolił mi pan przejechać się z sobą windą i nie wyciągnął mi przy okazji portfela z kieszeni, nie zabił oraz nie zgwałcił

E

Elektryczne Gitary

Nowy polski rock. W sumie nie taki nowy, ale zdecydowanie polski

F

Felga

Koło samochodowe (ta część metalowa, bez opony)

Faktura

Rachunek, bardzo oficjalny, z podpisami i pieczętkami. Ciągłe pytają, czy chcę rachunek czy fakturę. Gutner poradził, żeby zawsze chcieć rachunek, bo nie prowadzę działalności (cokolwiek by to znaczyło)

Fuga

Spoina między płytkami glazury na ścianie. Założę się, że chociaż słowo może istnieje od dawna, to za PRL-u jakoś inaczej to nazywaliśmy. A może nie nazywaliśmy, bo nie dało się kupić

G

Górniak Edyta

Piosenkarka

Gdyż

Bo. Ale nie używaj „azaliż”, bo tak daleko archaizacja języka jeszcze nie zaszła

Galeria

Centrum handlowe. Obrazów brak

Gimnazjum

Junior high school. Wprowadzili, jak mnie nie było. Nie wiem, komu przeszkadzał system podstawówka + liceum. Ale może tak jest internacjonalniej

H

Hotel Novotel

Hotel Forum

Hotel Sofitel

Hotel Victoria. No naprawdę, tę ikonę PRL-u mogliby już zostawić w spokoju

I

Iż

Że. Język się archaizuje

Inwestor

Tak robotnicy nazywają kogoś, kto remontuje własne mieszkanie. Próby wytłumaczenia im, że ja nie inwestuję, tylko mieszkam, nie trafiają na podatny grunt

Inwigilacja

Impreza (imprezka, impre)

Balanga. Jakby moi rodzice mieli taki słownik, to po lewej stronie byłoby: „balanga”, a po prawej: „prywatka”. A dziadkowie: „bibka”. Język się zmienia najszybciej w obszarze rozrywki. Praca nadal jest pracą

J

Jopek Anna Maria

Piosenkarka

Jarzyna Grzegorz

Reżyser

Ja powiem tak:

Formalny zwrot, którym politycy zaczynają wszystkie ważne wypowiedzi

w radiu. Być może jest ustawa, która to wymusza

K

Komisja śledcza

Politycy bawiący się w sąd z okazji jakiejś afery. Zajmuje dużo czasu w radiu i wszyscy się ekscytują, nie do końca wiadomo czym

Kamień milowy

Milestone (ważna data w projekcie)

Kasa

Forsa, szmal, mamona. „Kasa” całkowicie wyparła te słowa

Kasa fiskalna

Kiedyś: kasa

Kiler

Jakiś kultowy film, trzeba będzie obejrzeć

Koszulka

Plastikowa koperta na dokument. Kiedy urzędniczka pyta, czy dać mi koszulkę, nie należy się cieszyć i dziękować, bo NIE dostanę T-shirta, a już na pewno nie jej

Komórka

Telefon komórkowy. Minus wisiorek z Hello Kitty

L

Laweta

Pomoc drogowa

Lipnicka Anita

Piosenkarka

Lis Tomasz

Jakiś dziennikarz

M

Mataczyć

Nie wiem, ale ciągle pojawia się w radiu w kontekście afer. Do sprawdzenia

Materiały lepszej jakości

Nikt nie wie, co to dokładnie znaczy, ale zachwycanie się nimi należy do obowiązków dziennikarzy-recenzentów wszystkiego, co się da pomacać

M jak miłość

Jakiś kultowy serial. Próbowałem oglądać jeden odcinek, ale nic nie rozumiałem, a do *Czterdziestolatka* albo *Alternatyw 4* mu daleko

Majówka

Długi weekend majowy, a nie sobotnia wyprawa na zielną trawkę w maju

N

No cześć

Cześć w sensie *hi*. Występują też odmiany z „hej”, „heja”, „hejka”.

No to cześć

Cześć w sensie *bye*. Odmiana: „nara” (być może pochodzi to od miasta w Japonii)

O

Orthodox Anja

Piosenkarka

Ogarniać

Rozumieć

Otaku

Mangoszołomy, ludzie mdlejący z zachwyty na widok wszystkiego, co tutaj kojarzone z Japonią (błędne użycie japońskiego słowa, bo otaku to fanatyk – każdy)

Oszłołom

Nowe słowo, ale rozumiałe samo przez siebie

P

PESEL

Numer identyfikacyjny obywatela RP, i nie tylko

Pasta

Makaron. Ta do zębów i do butów nadal nazywa się „pasta”. Musi to

prowadzić do konfuzji

Powiem tak:

Zwrot, od którego zaczynają wypowiedzi politycy. Pewnie odpowiednik angielskiego: *Ladies and gentlemen*

R

Rywina afera

Jakaś afera, którą się wszyscy fascynowali i latami badali, ale do niczego chyba nie doszli, nie licząc wydania zdrowych kwot z kieszeni podatników. Trudno zrozumieć, o co chodziło

S

Stadion Dziesięciolecia

Już nie stadion, tylko bazar „Europa”. Ma być zburzony. Szkoda, bo są tam niezłe bary azjatyckie

T

Tirówka

Panienka (w sensie zawodu, a nie płci i wieku)

Ten typ tak ma

Również: „on tak ma” = on taki już jest. Chyba wzięte z jakiejś piosenki

U

Unia

Tak się mówi na EU, do którego przystąpiliśmy rok temu, i znowu jesteśmy obywatelami świata

Urlop na żądanie

Kacówka. Niestawienie się w pracy z powodu nieplanowanej choroby. O dziwo, teraz ustanowione legalnie

W

Wycieraczka

Słomianka

Witam

Tak się teraz zaczyna listy/maile. Bez wyspecyfikowania, kogo witamy.

Dziwne

Wyczaić

Zrozumieć, domyślić się, odkryć. Występuje również jako „obczaić” (chyba jest subtelna różnica – spytać Gutnera)

Y

Yaro

Polski raper. O dziwo, istnieje coś takiego. Trzeba będzie posłuchać

Z

Jak się znajduję w Polsce?

Pytającym chodzi o to, jak mi się tutaj układa życie, a nie o to, czy mam problemy z orientacją terenową. Chyba kalka z angielskiego *how do you find...*

Z o.o.

Wbrew pozorom nie park ze zwierzakami, tylko Pte Ltd (Kabushiki Gaisha, Snd. Bhd, itd.)

Żegnam

Samo „żegnam” używane teraz jako koniec listu/maila, i wcale nie jest odbierane jako oficjalne/oziębłe/nadęte

Zatem

Więc. Pewnie wynik stu lat tępienia zaczynania zdania od „więc” przez polonistów

Podziękowania

Osobami, których nazwiska też powinny być na okładce, ale pewnie się nie zmieściły, są:

- Bogna Rosińska, Artur Wiśniewski, Oskar Błachut, Agata Paszek, Mariusz Banachowicz i załoga Wydawnictwa Znak, bez której zamiast książki dzierżyłbyś teraz, szanowny Czytelniku, stos zabazgranych kartek z licznymi błędami natury wszelakiej
- Gabriela Matusiak – konsultantka ds. Japonii i języka japońskiego
- Kuramochi Kazuya – konsultant ds. bycia Japończykiem w Polsce
- Magdalena Bruckowska – konsultantka ds. języków starożytnych
- Arek Izdebski – konsultant ds. *mābōdōfu*
- Paweł Bruckowski – konsultant ds. aeronautycznych
- Andrzej Rosner – konsultant ds. historii XX wieku
- Panna Monika Jóźwicka – dziękuję za muzowanie i nowy trawnik
- Mateusz Hudzik i Paweł Paszczyk, czyli www.eastofnowhere.pl, bo bez grania nie chciałoby się żyć, a tym bardziej pisać
- Załoga Wojewódzkiego Szpitala Zakaźnego oraz Instytutu im. Marii Skłodowkiej-Curie w Warszawie, bo bez nich nie byłoby autora
- Rebecca & Bill Goldsmith – *thanks for the music this book was written to!*
- Załoga Domu Pracy Twórczej im. Bolesława Prusa w pałacu w Oborach koło Konstancina, gdzie książki piszą się same
- Wszyscy czytelnicy, którzy mnie dzielnie wspierali i dopingowali na www.facebook.com/MarcinBruckowskiAutor



Copyright © 2013 by Marcin Bruczkowski

Projekt okładki

Mariusz Banachowicz

Fotografie na pierwszej stronie okładki

© Dr. OGA/Shutterstock.com

© fivepointsix/Shutterstock.com

Opieka redakcyjna

Bogna Rosińska

Korekta

Barbara Gąsiorowska

ISBN 978-83-240-2465-0



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2013

Plik opracował i przygotował Woblink



Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1 Japończyk pod mostem](#)

[Rozdział 2 Raz na wozie, raz na podwoziu](#)

[Rozdział 3 Sorry, Winnetou](#)

[Rozdział 4 Ja, ryba](#)

[Rozdział 5 Kamienica](#)

[Rozdział 6 Śniadanie na balkonie](#)

[Rozdział 7 Co ja robię tu](#)

[Rozdział 8 Na waleta](#)

[Rozdział 9 Koko wa doko](#)

[Rozdział 10 Nasza klasa](#)

[Rozdział 11 Przekrety](#)

[Rozdział 12 Tōkyō, czwarta rano](#)

[Rozdział 13 Księga Powrotów](#)

[Polsiążkowie](#)

[Słownik peerelowsko-trzeciorzeczpospolicki](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)